

Najnowszy światowy bestseller numer 1

# JOHN GRISHAM

## WIELKI GRACZ



AMBER  
GRYFINA  
SERIA



AMBER  
GRYFINA  
SERIA



**GRISHAM JOHN**

**Wielki Gracz**

**JOHN GRISHAM**

**Przekład**

**Jan Kraśko**



**Tytuł oryginału**

**THE BROKER**

**Redaktorzy serii**

**MAŁGORZATA CEBO-FONIOK**

**ZBIGNIEW FONIOK**

**Redakcja stylistyczna EDYTA DOMAŃSKA**

**Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI**

**Korekta**

**JOLANTA KUCHARSKA**

**MAGDALENA KWIATKOWSKA**

**Ilustracja na okładce STEFANOMONETTI**

**Projekt graficzny okładki MAŁGORZATA CEBO-FONIOK**

**Opracowanie graficzne okładki**

**STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA**

**AMBER**

**Copyright © 2005 by Belfry Holdings, Inc. All Rights Reserved.**

**For the Polish edition Copyright © 2005 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.**

**ISBN 83-241-2236-2**

## **Rozdział 1**

**ostatnich godzinach dogorywającej prezydentury, której historycy mieli w przyszłości poświęcić mniej uwagi niż wszystkim poprzednim, od czasów Williama Henry'ego Harrisona poczynając (trzydzieści jeden dni od zaprzysiężenia do śmierci), Arthur Morgan ukrył się w Gabinetcie Ovalnym ze swoim jedynym już przyjacielem, żeby rozważyć kilka ostatnich decyzji. Czuł – przynajmniej w tej chwili – że wszystkie, które podjął w ciągu minionych czterech lat, były zupełnie chybione, i nie bardzo wierzył, że mógłby to w jakiś sposób naprawić, zwłaszcza teraz, tuż przed końcem kadencji. Jego przyjaciel miał podobne odczucia, chociaż jak zawsze mówił niewiele i tylko to, co chciał usłyszeć prezydent.**

**Dyskutowali na temat ulaskawień, rozpaczliwych próśb złodziei, malwersantów i kłamców, zarówno tych, którzy siedzieli w więzieniu, jak i tych, którzy w więzieniu nigdy nie byli i którzy mimo to chcieli oczyścić swoje imię oraz odzyskać ukochane prawa obywatelskie. Wszyscy zgodnie twierdzili, że są przyjaciółmi, przyjaciółmi przyjaciół lub ich zagorzałymi zwolennikami, chociaż bardzo niewielu miało okazję złożyć tę deklarację przed upływem ostatnich godzin kadencji prezydenta Morgana. Jakie to smutne, że po czterech burzliwych latach przewodzenia wolnemu światu pozostało mu tylko to: nędzny plik próśb aferzystów i złodziei. Któremu z nich pozwolić znowu kraść? Oto jak doniosłą decyzję musiał podjąć w tych coraz szybciej upływających godzinach.**



Jego ostatnim przyjacielem był niejaki Critz, stary kumpel ze studiów w Cornell, z czasów kiedy to Morgan przewodniczył samorządowi studenckiemu, a on napychał głosami urny wyborcze. W ciągu tych czterech lat Critz pełnił funkcję sekretarza prasowego, szefa sztabu Białego Domu, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, a nawet sekretarza stanu, chociaż z tego ostatniego stanowiska został odwołany już po trzech miesiącach, zaraz po tym, jak jego specyficzny styl uprawiania dyplomacji omal nie doprowadził do wybuchu III wojny światowej. Swoje ostatnie zadanie próbował wypełnić w październiku, w gorączkowej końcówce wyborczego szturmu. Ponieważ sondaże wskazywały, że prezydent Morgan przegrywa w co najmniej czterdziestu stanach, przejął dowodzenie kampanią i zdołał zrazić do siebie pozostałą część kraju, z wyjątkiem -choć to zupełnie niezrozumiałe – Alaski.

Były to prawdziwie historyczne wybory; nigdy dotąd sprawujący władzę prezydent nie otrzymał tak małej liczby głosów elektorskich. Morgan zdobył dokładnie trzy, wszystkie z Alaski, jedyne go stanu, którego, za namową Critza, ani razu nie odwiedził. Pięćset trzydzieści pięć głosów dla jego przeciwnika, trzy głosy dla niego. Oberwał straszliwie, jak żaden inny prezydent w historii Stanów Zjednoczonych. Określenie „miażdżąca klęska” w najmniejszym stopniu nie odzwierciedlało ogromu tej sromotnej porażki.

Gdy podliczono głosy, jego przeciwnik, wbrew dobrym radom, postanowił podważyć wyniki wyborów na Alasce. Bo dlaczego nie miałby zdobyć wszystkich pięciuset trzydziestu ośmiu głosów? Przecież żaden kandydat do prezydenckiego fotela już nigdy nie będzie miał okazji wygrać z kimś do zera, rozgromić go, roznieść i wdeptać w ziemię. Przez półtora miesiąca na Alasce szalał proces za procesem, a on, Morgan, cierpiał jeszcze większe katusze. Gdy Sąd Najwyższy przyznał mu w końcu te nieszczęsne trzy głosy, po cichu wypił z Critzem butelkę szampana.

I właśnie wtedy zakochał się w Alasce, chociaż oficjalnie potwierdzony wynik wyborów zapewnił mu zwycięstwo jedynie siedemnastoma głosami.

Tak, nie powinien był jeździć do innych stanów.

Przegrał nawet w Delaware, u siebie, we własnym domu, gdzie świątły elektorat na osiem cudownych lat powierzył mu niegdyś stanowisko gubernatora. Tak samo jak on nigdy nie odwiedził Alaski, tak jego przeciwnik ani razu nie był w Delaware: nie wysłał tam speców od reklamy, nie dawał ogłoszeń w tamtejszej telewizji, ani razu nie przejeżdżał tamtędy podczas kampanii. I mimo to zgarnął aż pięćdziesiąt dwa procent głosów!

Critz siedział w wielkim, skórzanym fotelu z listą stu spraw do załatwienia. Siedział i patrzył, jak prezydent chodzi od okna do okna, spoglądając w ciemność i marząc o tym, co mogłoby być, a nie było. Szef był przygnębiony i ponizony. Miał dopiero pięćdziesiąt osiem lat, a jego życie dobiegło już kresu. Zniszczona kariera, rozpadające się małżeństwo... Pani Morgan wróciła do Wilmington i otwarcie wyśmiewała pomysł domku na Alasce. W skrytości ducha Critz bardzo wątpił, czy jego przyjaciel mógłby do końca życia polować i łowić ryby, chociaż perspektywa zamieszkania ponad trzy tysiące kilometrów od żony była dość kusząca. Mogliby wygrać i w Nebrasce, gdyby pierwsza dama, kobieta o arystokratycznych zapędach, niczego nie pokręciła i nie nazwała tamtejszej drużyny futbolowej Soonersami.

### Soonersi z Nebraski!

Z dnia na dzień ich notowania w Nebrasce i Oklahomie spadły na łeb na szyję i już się nie podniosły.

A w Teksasie przełknęła łyżkę ich słynnego chili i od razu zwymiotowała. Gdy przenoszono ją do karetki, czuły mikrofon jednego z dziennikarzy wychwycił jej słowa: „Co za zacofani ludzie. Jak wy możecie jeść tę cuchnącą breję?”

Nebraska ma pięć głosów elektorskich. Teksas aż trzydzieści cztery. To, że obrazili miejscową drużynę futbolową, jakoś by jeszcze przeżyli. Ale żaden kandydat na prezydenta nie przeżyłby konsekwencji tak poniżającego opisu teksaskiego chili.

Ach, cóż to była za kampania! Critza kusiło, żeby napisać o niej książkę. Ostatecznie ktoś powinien uwiecznić tę katastrofę.

Ich niemal trzydziestoletnie partnerstwo dobiegało końca. Critz załatwił sobie pracę u kontrahenta sprzętu wojskowego za dwieście tysięcy rocznie, poza tym zamierzał wygłaszać wykłady po pięćdziesiąt tysięcy za odczyt, oczywiście pod warunkiem, że znajdzie desperata, który zechce tyle zapłacić. Poświęcił życie służbie publicznej i teraz był kompletnie splukany, a szybko się starzał i chciał choć trochę zarobić.

Prezydent miał piękny dom w Georgetown i sprzedał go z olbrzymim zyskiem. Kupił za to małe ranczo na Alasce, gdzie ludzie najwyraźniej go podziwiali. Zamierzał spędzić tam resztę życia, polując, łowiąc ryby, może nawet pisząc pamiętniki. Wiedział jedno: bez względu na rodzaj zajęcia na pewno nie będzie miał nic wspólnego z polityką. Nie zamierzał chodzić na przyjęcia i odgrywać roli senatora seniora, mędrca z bogatym



doświadczeniem czy dostojnego starca. Nie zamierzał też budować biblioteki swojego imienia. Lud przemówił głosem czystym i grzmiącym. Skoro go nie chcieli, mógł żyć bez nich.

–Musimy podjąć decyzję w sprawie Cuccinella – powiedział Critz.

Prezydent stał przy oknie, wciąż patrząc w mroczną pustkę i myśląc o Delaware.

–W czyjej?

–Figgy'ego Cuccinella, tego reżysera oskarżonego o seks z młodą aktorką.

–Młodą? Jak młodą?

–Miała chyba piętnaście lat.

–To z bardzo młodą.

–Tak. Cuccinello uciekł do Argentyny i siedzi tam od dziesięciu lat. Zateśknił za domem. Chce wrócić i kręcić te swoje koszmarne filmy. Píše, że wzywa go sztuka.

–Raczej młode dziewczyny.

–To też.

–Siedemnastolatka nie zawracałbym sobie głowy. Ale piętnastolatka to już przesada.

–Proponuje pięć milionów. Prezydent odwrócił się od okna.

–Pięć milionów za ułaskawienie?

–Tak, i zostało nam bardzo mało czasu. Musi przelać pieniądze z banku w Szwajcarii. Tam jest teraz trzecia nad ranem.

–I gdzie by je przelał?

–Mamy konta za granicą, to proste.

–Co zrobiliby ci z prasy?

–Pewnie coś paskudnego.

**–Czyli to, co zawsze.**

**–Tym razem byłoby gorzej.**

**–Prasę mam gdzieś.**

**No to po co mnie pytasz? – pomyślał Critz.**

**–Te pieniądze... Wytropiliby je? – Morgan spojrział w okno.**

**–Nie.**

**Prezydent podrapał się w kark; robił to, ilekroć stawał przed trudną decyzją. Na dziesięć minut przed tym, jak omal nie spuścił bomby atomowej na Koreę Północną, drapał się tak mocno, że poplamił krwią kołnierzyk koszuli.**

–Nie, odpada – mruknął. – Za młoda. Piętnaście lat to piętnaście lat.

Chociaż nikt nie zapukał, otworzyły się drzwi i do gabinetu wparadował Artie Morgan, jego syn. W jednym ręku trzymał puszkę heinekena, w drugim jakieś papiery.

–Rozmawiałem z CIA – powiedział od niechcienia. Był w wyplwiałych dżinsach i bez skarpetek. – Maynard tu jedzie. – Rzucił papiery na

biurko i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Ten to wziąłby pięć baniek bez wahania, pomyślał Critz. I miałby gdzieś wiek tej siksy. Piętnaście lat to dla niego w sam raz. Mogliby wygrać i w Kansas, gdyby nie przyłapano go w motelu z trzema cheerleaderkami, z których najstarsza miała siedemnaście lat. Prokuratura z Topeki wycofała zarzut dwa dni po wyborach, gdy wszystkie trzy podpisały dobrowolne oświadczenie pod przysięgą, że nie uprawiały z nim seksu. A doszłoby do tego, ledwie sekundy dzieliły ich od wyuzdanych harców, gdy jedna z matek zapukała do drzwi, zapobiegając orgii.

Prezydent usiadł w fotelu i zaczął przeglądać plik bezużytecznych dokumentów.

–No więc co z tym Backmanem? – spytał.

Przez osiemnaście lat dyrektorowania CIA Teddy Maynard był w Białym Domu mniej niż dziesięć razy. Nigdy nie był tam na kolacji (zawsze wymawiał się stanem zdrowia), nigdy nie jeździł tam po to, żeby uścisnąć rękę jakiemuś ważniakowi (miał to gdzieś). Kiedy jeszcze mógł chodzić, od czasu do czasu wpadał tam, żeby porozmawiać z urzędującym prezydentem albo z tymi, którzy decydowali o jego polityce. Teraz jeździł na wózku i rozmowy z Białym Domem odbywał wyłącznie przez telefon; dwa razy Biały Dom, a konkretnie wiceprezydent, przyjechał do niego, do Langley.

Jedyną zaletą jeżdżenia na wózku było to, że mógł gdzieś iść albo nie iść, i że w ogóle mógł robić to, co mu się żywnie podoba. Był kalekim starcem i nikt nie chciał go do niczego zmuszać.

Szpiegował prawie od pięćdziesięciu lat i teraz jeśli już musiał dokądś pojechać, chętnie korzystał z możliwości jeżdżenia tyłem do kierunku jazdy. Przemieszczał się nieoznakowaną białą furgonetką – z kuloodpornymi szybami, ołowianymi ścianami, dwoma po zęby uzbrojonymi goryłami, z po zęby uzbrojonym kierowcą – siedząc na przymocowanym do podłogi wózku, przodem do tylnych drzwiczek, tak że jadąc, widział tych,

co na ulicy, ale ci z ulicy nie widzieli jego. W pewnej odległości za nim sunęły dwie inne furgonetki, więc każda niefortunna próba zbliżenia się do dyrektora CIA zostałyby natychmiast udaremniona. Nie żeby jakiejś oczekiwano. Większość świata myślała, że Maynard albo już nie żyje, albo dogorywa w tajnym domu starców, dokąd wysyłano przed śmiercią wszystkich zgrzybiałych szpiegów.

I dobrze. Teddy tak wolał.

Siedział owinięty w gruby, szary pled z Hobym, swoim wiernym asystentem, u boku. Furgonetka pędziła obwodnicą z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę, a on spokojnie popijał zieloną herbatę z termosu Hoby'ego i obserwował jadące za nimi samochody. Hoby czuwał tuż obok, na specjalnie zrobionym dla niego stołku.

Teddy wypił łyk i spytał:

–Gdzie jest teraz Backman?

–W celi – odparł Hoby.

–A nasi rozmawiają z naczelnikiem?

–Siedzą w gabinecie. Czekają.

Kolejny łyk herbaty z papierowego kubka, pilnie strzeżonego obiema rękami. Ręce miał wątłe, żylaste, koloru mleka, jakby już umarły i cierpliwie czekały na śmierć reszty ciała.

–Ile zajmie wywiezienie go z kraju?

–Okolo czterech godzin.

–Samolot już podstawiony?

–Wszystko jest przygotowane. Czekamy tylko na zielone światło.

–Mam nadzieję, że ten kretyn da się przekonać.

Critz i wspomniany kretyn gapili się na ściany Gabinetu Owального, przerywając ciężką ciszę sporadycznymi uwagami na temat Joela Backmana. Musieli o czymś rozmawiać, ponieważ ani jeden, ani drugi nie zamierzał zdradzać, o czym tak naprawdę myśli.

Czy to możliwe?

**Czy to naprawdę już koniec?**

**Czterdzieści lat. Od Cornell do Białego Domu. Koniec. Był tak nagły i gwałtowny, że nie zdążyli się do niego odpowiednio przygotować. Liczyli na jeszcze cztery lata. Cztery lata chwały, starannie przygotowana spuścizna i niczym dzielni kowboje odjechaliby w dal na tle zachodzącego słońca.**

Może to tylko złudzenie, ale nawet na dworze jakby zrobiło się jeszcze ciemniej. Okna wychodzące na różany ogród były czarne. Słyszeli cichutkie tykanie zegara na kominku, który odmierzał nieuchronnie upływające sekundy.

–Co zrobią, jeśli go ułaskawię? – spytał prezydent, nie po raz pierwszy.

–Ci z prasy? Wpadną w furję.

–Byłoby zabawnie.

–Ciebie już tu nie będzie.

–To prawda – mruknął Morgan.

Zaraz po przekazaniu władzy, nazajutrz w południe, miał wsiąść do prywatnego odrzutowca (należał do pewnej spółki naftowej) i uciec na Barbados, do willi dawnego przyjaciela. Na jego polecenie z willi usunięto wszystkie telewizory. Obowiązywał tam również całkowity zakaz prenumeraty gazet i czasopism, a telefony po prostu wyłączono. Przez co najmniej miesiąc nie zamierzał się z nikim kontaktować, nawet z Critzem, a już na pewno nie z żoną. Gdyby Waszyngton doszczętnie spłonął, miałby to gdzieś. W głębi ducha miał nadzieję, że spłonie.

Potem chciał prześliznąć się chyłkiem do domku na Alasce i, dalej ignorując cały świat, spokojnie zaczekać, aż zima minie i znowu nastanie wiosna.

–Myślisz, że powinniśmy go ułaskawić? – spytał.

–Chyba tak.

Prezydent przeszedł na tryb „my”. Robił tak, ilekroć musiał podjąć potencjalnie niepopularną decyzję. Te łatwiejsze zawsze podejmował w trybie „ja”. Kiedy musiał się na kimsz wesprzeć, a zwłaszcza gdy potrzebował kozła ofiarnego, otwierał proces decyzyjny i wciągał w niego Critza.

Critz był kozłem ofiarnym już od czterdziestu lat i chociaż do tego przywykł, świadomość ta zaczynała go męczyć.

–Gdyby nie on, mogłoby nas tu nie być – odparł.

–Chyba tak – mruknął prezydent. Zawsze utrzymywał, że wybrano go dzięki błyskotliwie przeprowadzonej kampanii, charyzmatycznej osobowości, genialnemu rozeznaniu w sprawach państwowych i jasnej wizji, którą obdarował Amerykę. To, że w końcu przyznał, iż wszystko zawdzięczał Joelowi Backmanowi, było dość

szokujące.

**Ale gruboskórnego, a przy tym zbyt znużonego Critza trudno było czymś zaszokować.**

**Skandal z Backmanem wybuchł przed sześcioma laty. Wybuchł, ogarnął niemal cały Waszyngton i w końcu splamił Biały Dom. Nad głową**

popularnego prezydenta zawisła czarna chmura, torując drogę Arthurowi Morganowi, który zataczając się i potykając, z trudem pokonał ostatnią przeszkodę, by wreszcie zasiąść na jego miejscu.

Teraz, gdy zataczając się i potykając, z tego gabinetu uciekał, cieszyła go myśl, że tuż przed odejściem mógłby wymierzyć ostatni policzek establishmentowi, który przez cztery lata tak bardzo od niego stronił. Ułaskawienie Joela Backmana zatrzęsłoby ścianami wszystkich urzędów w Waszyngtonie i doprowadziło do furii rozgorączkowane media. Tak, bardzo mu się to podobało. Podczas gdy on korzystałby z kąpeli słonecznych na Barbados, kongresmani zaczęliby domagać się przesłuchań, prokuratorzy graliby pod kamery, w kablówce pojawiłoby się tysiące nowych gadających głów – które plotłyby trzy po trzy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – i w zakorkowanej samochodami stolicy zapanowałby kompletny chaos.

Prezydent uśmiechnął się do panującej za oknami ciemności.

Na moście Arlington Memorial nad Potomakiem Hoby dolał mu herbaty.

–Dziękuję – powiedział cicho Teddy. – Co nasz chłopczyk teraz zrobi?

–Ucieknie z kraju.

–Powinien był uciec dużo wcześniej.

–Przez miesiąc zamierza lizać rany na Karaibach. Będzie wszystkich ignorował, odymał się i czekał, aż ktoś okaże mu trochę zainteresowania.

–A jego żona?

–Wróciła już do Denver. Gra w brydża.

–Rozchodzą się?

–Jeśli Morgan będzie na tyle bystry... Któż to wie. Teddy ostrożnie wypił łyk zielonej herbaty.

–Dobrze. Mamy na niego jakiegoś haka?

–Wątpię, czy będzie się stawiał. Rozmowy wstępne poszły bardzo dobrze. Wygląda na to, że Critz jest po naszej stronie. Ma więcej wyczucia niż on, zwłaszcza teraz. Wie, że gdyby nie skandal z Backmanem, nigdy w życiu by się tam nie dostali.



**–Ale mamy jakiegoś haka czy nie? Tak na wszelki wypadek.**

**–Nie, chyba nie. To idiota, ale czysty idiota.**

**Z Constitution Avenue skręcili w Osiemną i wkrótce stanęli przed wschodnią bramą Białego Domu. Z ciemności wychynęli żołnierze z pistoletami maszynowymi w rękach, a za nimi agenci Secret Service w czar-**

nych płaszczach. Padły tajne hasła, zaskrzeczały radionadajniki i kilka minut później Teddy'ego powoli opuszczono na ziemię. Pobieżne oględziny wózka nie ujawniły niczego oprócz skurczonego, kalekiego starca.

Artie – już bez heinekena, lecz znowu bez pukania – wystawił głowę zza drzwi i oznajmił:

–Przyjechał.

–A więc jeszcze żyje – skonstatował prezydent.

–Ledwo.

–No to wtoczcie go tu.

Wtoczyli go Priddy, jego zastępca, i Hoby. Prezydent i Critz powitali ich i zaprowadzili przed kominek. Chociaż Maynard unikał Białego Domu jak ognia, Priddy praktycznie tu mieszkał, co rano zapoznając Morgana z doniesieniami wywiadowczymi.

Gdy już usiedli, Teddy rozejrzał się wokoło, jakby szukał ukrytych mikrofonów czy kamer. Był niemal pewien, że żadnych tu nie ma; tego rodzaju praktyki skutecznie ukrócono zaraz po aferze Watergate. Nixon naszpikował Biały Dom tyłoma pluskwami, że wystarczyłoby ich na założenie podsłuchu w małym mieście, no, ale słono za to zapłacił. Teddy jednak pluskwę miał. Nad osią jego wózka, tuż pod siedzeniem, zainstalowano i starannie zakamuflowano magnetofon z potężnym mikrofonem, który przez najbliższe pół godziny miał rejestrować każdy, nawet najcichszy dźwięk.

Spojrzał na Morgana i spróbował się uśmiechnąć, chociaż tak naprawdę miał ochotę powiedzieć: Jesteś najbardziej ograniczonym politykiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Kretyn taki jak ty mógł dojść na szczyt tylko w Ameryce.

Prezydent też się do niego uśmiechnął, chociaż to, co cisnęło mu się na usta, brzmiałoby pewnie tak: Powinienem był wylać cię cztery lata temu. Twoja agencja jest dla nas źródłem nieustannego wstydu.

Teddy: Byłem wstrząśnięty, słysząc, że wygrałeś tylko w jednym stanie, i to zaledwie siedemnastoma głosami.

Morgan: Nie potrafiłbyś znaleźć terrorysty, nawet gdyby ogłaszał się na billboardach.

**Teddy: Miłego wędkowania. Złapiesz mniej pstrągów niż głosów.**

**Morgan: Dlaczego ty wreszcie nie umrzesz, tak jak wszyscy mi obiecywali?**

**Teddy: Prezydenci przychodzą i odchodzą, ale ja jestem wieczny.**

**Morgan: To Critz chciał cię zatrzymać, to jemu podziękuj. Ja chciałem cię wyrzucić już dwa tygodnie po zaprzysiężeniu.**

**–Czy ktoś ma ochotę na kawę? – spytał Critz.**

**–Nie – odparł Teddy i gdy tylko to wyjaśnił, Hoby i Priddy też odmówili. Ale ponieważ dyrektor kawy nie chciał, Morgan czym prędzej o nią**

**poprosił:**

**–Tak, z dwiema kostkami cukru.**

**Critz dał znak sekretarce, która czuwała w uchylonych drzwiach, spojrzał na gości i rzekł:**

**–Nie mamy za dużo czasu...**

**–Przyjechałem, żeby omówić sprawę Joela Backmana – zaczął szybko Teddy.**

**–Tak myślałem – odparł prezydent.**

**–Jak pan wie – kontynuował Teddy, jakby tego nie słyszał – Joel Back-man poszedł do więzienia, nie powiedziawszy ani słowa. Wciąż zna tajemnice, które mogą zagrozić naszemu bezpieczeństwu narodowemu.**

**–Nie możecie go zabić – wypalił Critz.**

**–Nie, panie Critz. Backman jest obywatelem amerykańskim, więc nie możemy, to wbrew prawu. Wolelibyśmy, żeby zrobił to ktoś inny.**

**–Nie rozumiem – przyznał prezydent.**

**–Plan jest taki. Jeśli ułaskawi pan Backmana i jeśli Backman to ułaskawienie przyjmie, w ciągu kilku godzin wyślemy go za granicę. Resztę życia spędzi w ukryciu i musi się na to zgodzić. Nie powinno być z tym żadnego problemu, ponieważ dobrze wie, że są ludzie, którzy chętnie splunęliby na jego trupa. Przerzucimy go najpewniej do Europy, gdzie obserwacja będzie łatwiejsza. Dostanie nowe papiery. Będzie wolnym człowiekiem i z czasem ludzie zapomną o prawdziwym Joelu Backmanie.**

**–Ale to jeszcze nie koniec – domyślił się Critz.**

**–Nie, nie koniec. Odczekamy rok, może trochę dłużej, a potem damy znać komu trzeba. Znajdą go i zabiją, a kiedy to zrobią, uzyskamy odpowiedź na wiele pytań.**

**Zapadła cisza. Teddy spojrział na Critza, potem na prezydenta. Upewniwszy się, że są kompletnie zdezorientowani, niespiesznie dodał:**

**–To bardzo prosty plan, panowie. Chodzi o to, kto go zlikwiduje.**

**–A więc będziecie to wszystko... obserwować? – spytał Critz.**

**–Tak, bardzo uważnie.**

**–A kto chce go zlikwidować? – spytał prezydent.**

Teddy rozłożył żylaste ręce, lekko się wzdrygnął, po czym wycelował w niego swój długi nos, niczym nauczyciel z podstawówki zwracający się do trzecioklasisty.

–Może Rosjanie. Może Chińczycy. A może Izraelczycy. Niewykluczone, że inni też.

Inni oczywiście też polowali na Backmana, ale Teddy nie zamierzał mu tego zdradzać. Nigdy wszystkiego nie zdradzał; nie zdradziłby wszystkiego żadnemu prezydentowi, i to bez względu na to, ile czasu zostało mu do końca kadencji. Prezydenci przychodzili i odchodzili, jedni po czterech latach, inni po ośmiu. Jedni uwielbiali szpiegowanie, innych interesowały tylko wyniki najnowszych sondaży. Morgan był człowiekiem niekompetentnym, zwłaszcza w polityce zagranicznej, i ponieważ już za kilka godzin miał opuścić Biały Dom, Teddy nie chciał mu mówić nic ponad to, co wystarczyło do ulaskawienia Backmana.

–Niby dlaczego miałby na to pójść? – spytał Critz.

–Słusznie, nie musi – odparł Teddy. – Ale siedzi już szósty rok. Dwadzieścia trzy godziny na dobę w maleńkiej celi. Godzina słońca dziennie. Prysznic trzy razy w tygodniu. Podłe żarcie; podobno schudł dwadzieścia siedem kilo. Słyszałem, że źle się czuje.

Dwa miesiące wcześniej, zaraz po wyborczej klęsce, uknuwszy plan uwolnienia Backmana, Teddy pociągnął za odpowiednie sznurki – a trzymał ich w garści wiele – i warunki pobytowe więźnia uległy natychmiastowemu pogorszeniu. O kilka stopni obniżono temperaturę w celi i od miesiąca Backman straszliwie kaszlał. Jedzenie, i tak już mdłe i, delikatnie mówiąc, bez smaku, przepuszczano jeszcze raz przez robota kuchennego i podawano zimne. Skuteczność działania i wydajność spłuczki klozetowej w jego celi spadła o pięćdziesiąt procent. Strażnicy budzili go o najdziwniejszych porach nocy. Z dnia na dzień zabroniono mu korzystać z biblioteki prawniczej, którą przedtem odwiedzał dwa razy w tygodniu. Był prawnikiem i znał swoje prawa, dlatego zaczął grozić naczelnikowi i administracji państwowej wszelkiego rodzaju procesami, chociaż dotąd żadnego im nie wytoczył. Walczył, lecz walka ta dużo go kosztowała. Zaczął domagać się prosków na sen i prozacu.

–Chce pan, żebym ulaskawił Backmana tylko po to, żebyście mogli go zabić? – spytał prezydent.

–Tak – odparł bez ogródek Teddy. – Ale to nie my go zabijemy.

–Ale Backman zginie.

–Tak.

–I jego śmierć leży w interesie naszego bezpieczeństwa narodowego?

–Jestem o tym głęboko przekonany.

## Rozdział 2

skrzydle izolacyjnym federalnego zakładu penitencjarnego w Rudley mieściło się czterdzieści identycznych cel o wymiarach trzy sześćdziesiąt na trzy sześćdziesiąt, bez okien i krat. Wszystkie miały pomalowaną na zielono betonową podłogę, ściany z pustaków, no i drzwi, takie z solidnej stali, z wąskim otworem na tacę z jedzeniem i małym wizjerem dla strażników. Siedzieli tam policyjni informatorzy, narkotykowi donosiciele, mafijni odszczepieńcy i paru szpicli, których trzeba było zamknąć, bo zbyt dużo facetów chciało poderżnąć im gardła. Większość z czterdziestu więźniów z aresztu prewencyjnego znalazła się w tym skrzydle na własną prośbę.

Joel Backman właśnie próbował zasnąć, gdy nagle szczęknął zamek, otworzyły się drzwi, zapłonęło światło i do celi weszło dwóch klawiszy.

–Naczelnik wzywa. – Tylko tyle, żadnych wyjaśnień.

Więzienną furgonetką jechali w milczeniu przez zimną prerię Oklahomy, mijając po drodze bloki, w których siedzieli ci, za którymi nie uganiał się żaden bandzior z nożem w ręku, aż dojechali do budynku administracyjnego. Wtedy skuli go bez wyraźnego powodu i zapędzili do środka: schody, pierwsze piętro, długi korytarz i wielki gabinet, gdzie paliły się wszystkie światła i gdzie działo się chyba coś ważnego. Spojrzał na zegar na ścianie: dochodziła jedenasta.

Nie znał naczelnika, ale nie było w tym niczego niezwykłego. Naczelnik nie chodził po blokach, bo nie miał ku temu żadnego powodu – nie ubiegał się o ponowny wybór, a motywowanie podwładnych miał gdzieś. Towarzyszyło mu trzech mężczyzn w ciemnych garniturach, trzech poważnie wyglądających facetów, z którymi musiał chyba już dość długo gadać. Chociaż w amerykańskich urzędach państwowych obowiązywał całkowity zakaz palenia tytoniu, z popielniczki aż się wysypywało, a sufit ginął w gęstej chmurze dymu.

–Niech pan siada – zaczął bez wstępów naczelnik.

–Bardzo mi miło pana poznać – odparł Backman, zerknąwszy na pozostałych. –  
Właściwie po co mnie tu wezwano?

–Zaraz o tym porozmawiamy.

–Czy ktoś mógłby mnie rozkuć? Obiecuję, że nikogo nie zabijają.

Naczelnik warknął na najbliższego klawisza, a ten szybko wyjął kluczyk i zdjął  
Backmanowi kajdanki. Zdjął je i pospiesznie wyszedł z gabinetu, głośno trzaskając  
drzwiami, ku niezadowoleniu naczelnika, człowieka bardzo nerwowego.

–To jest agent specjalny Adair z FBI. – Naczelnik przedstawiał ich po  
kolei, wskazując palcem. – To pan Knabe z Departamentu Sprawiedliwości. A to pan  
Sizemore, też z Waszyngtonu.

Żaden z nich nie zrobił ani kroku w stronę zdezorientowanego Backmana, który  
wciąż stał i z wymuszoną grzecznością, bez przekonania kiwał każdemu z nich  
głową. Żaden z tamtych głową nie kiwnął.

–Proszę, niech pan usiądzie – powtórzył naczelnik.

Backman wreszcie usiadł.

–Dziękuję. Jak pan wie, jutro zostanie zaprzysiężony nowy prezydent.

Prezydent Morgan jest na wylocie. Siedzi teraz w Gabinetcie Ovalnym

i zмага się z decyzją: ułaskawić pana czy nie.

Gwałtowny kaszel, który nagle zaatakował Backmana, był częściowo rezultatem  
niemal arktycznej temperatury w jego celi, a częściowo wynikiem wstrząsu  
wywołanego słowem „ułaskawić”.

Knabe z Departamentu Sprawiedliwości podał mu butelkę wody. Backman łapczywie  
przełknął kilka łyków, ochlapując sobie podbródek, po czym zdołał wreszcie stłumić  
kaszel.

–Ułaskawić? – wykrztusił.

–Tak, pod pewnymi warunkami.

–Ale dlaczego?



**–Nie wiem tego, i to nie moja sprawa. Mam to tylko panu przekazać.**

**–Proponujemy panu układ – wyjaśnił Sizemore, ten z Waszyngtonu, człowiek bez żadnego tytułu i określonej przynależności. – W zamian za pełne ułaskawienie musi pan wyjechać z kraju, już nigdy tu nie wrócić i z nową tożsamością zamieszkać gdzieś, gdzie nikt pana nie znajdzie.**

**Żaden problem, pomyślał Backman. Wcale nie chciał, żeby ktoś go znalazł.**

**–Ale dlaczego? – powtórzył. Trzęsła mu się ręka. W której ścisnął butelkę.**

Sizemore, ten z Waszyngtonu, popatrzył na nią, otaksował spojrzeniem jego krótko ostrzyżone siwe włosy, tanie, mocno zniszczone adidas, czarne więzienne skarpetki i przypomniał mu się Backman sprzed lat. Okładka jakiegoś czasopisma. Błyszczące zdjęcie eleganckiego mężczyzny w nienagannie skrojonym, czarnym, włoskim garniturze, który patrzył w obiektyw z nieludzkim wprost samozadowoleniem. Włosy miał wtedy dłuższe i ciemniejsze, twarz pełną i gładką, a jego obfity brzuch wymownie świadczył o ilości skonsumowanych lunchów i czterogodzinnych kolacji z ludźmi będącymi u władzy. Uwielbiał wino, kobiety i sportowe samochody. Miał własny odrzutowiec, jacht, dom w Vail i chętnie o tym opowiadał. Nad zdjęciem wielkimi literami napisano: **WIELKI GRACZ – NAJPOTĘŻNIEJSZY PO PREZYDENCIE CZŁOWIEK W STOLICY?**

Czasopismo leżało teraz w jego teczce, razem z grubym plikiem akt Backmana. Przewertował je w drodze z Waszyngtonu do Tulsy.

Według autora artykułu Backman wyciągał ponad dziesięć milionów dolarów rocznie, choć mówił o tym niechętnie. Firma, którą założył, zatrudniała dwustu prawników i chociaż według waszyngtońskich standardów nie należała do gigantów, była bez wątpienia najbardziej wpływową spółką w stołecznych kręgach politycznych. Ba! Była lobbystyczną machiną wojenną i nie miała nic wspólnego z kancelarią, gdzie pracują praw-dziwi adwokaci. Machiną wojenną, a raczej burdelem, domem publicznym dla bogatych firm i zagranicznych rządów.

Cóż za upadek, pomyślał, patrząc na jego trzęsącą się rękę.

–Nie bardzo rozumiem... – wyszeptał Backman.

–A my nie mamy czasu na wyjaśnienia – odparł Sizemore. – Układ jest prosty i szybki, nie pora na analizy i rozważania. Musi pan podjąć decyzję. Teraz. Natychmiast. Tak albo nie. Chce pan tu zostać czy pod innym nazwiskiem zamieszkać na drugim końcu świata?

–Gdzie?

–Tego jeszcze nie wiemy, ale się dowiemy.

–I będę tam bezpieczny?

–Tylko pan potrafi na to odpowiedzieć.

Backman intensywnie myślał i myśląc, trząsał się jeszcze bardziej niż przedtem.

**–Kiedy miałbym wyjechać? – spytał powoli. Mówił teraz nieco silniejszym głosem, lecz w każdej chwili groził mu kolejny atak gwałtowne**

**go kaszlu.**

**–Natychmiast – odparł Sizemore, który przejął rolę prowadzącego spotkanie; naczelnik, ten z FBI i z Departamentu Sprawiedliwości byli już tylko widzami.**

**–To znaczy... zaraz?**

**–Nie wróciłby pan już do celi.**

**–O cholera... – mruknął Backman i tamci się uśmiechnęli, chyba wbrew własnej woli.**

**–Pod celą czeka strażnik – wtrącił naczelnik. – Przyniesie panu, co pan zechce.**

**–Pod moją celą zawsze czeka strażnik – warknął Backman. – Jeśli to ten sadysta Sloan, niech pan mu każe wziąć moją brzytwę i podciąć sobie żyły.**

**Tamci głośno przełknęli ślinę, czekając, aż te słowa ulecą z pokoju szybem wentylacyjnym. Ale one zamiast ulecieć, przecięły zadymione powietrze i przez chwilę echem odbijały się od ścian.**

**Sizemore odchrząknął i poprawił się na krześle, przenosząc ciężar ciała z lewej strony na prawą.**

**–W Gabinetce Owalnym czekają na pańską decyzję – powiedział. – Przyjmuje pan propozycję czy nie?**

**–Prezydent też czeka?**

**–Można tak powiedzieć.**

**–Ma u mnie dług. To ja go tam wprowadziłem.**

**–Naprawdę nie pora na rozmowy o takich sprawach – odparł spokojnie Sizemore.**

**–Chce go spłacić?**

**–Prezydent nie wtajemnicza mnie w swoje myśli.**

**–A więc zakłada pan, że w ogóle jakieś ma.**

**–Zadzwońię tam i powiem, że nic z tego.**

**–Chwileczkę.**

**Backman dopił resztkę wody, poprosił o kolejną butelkę i wytarł usta rękawem.**

**–To coś w rodzaju programu ochrony świadków, tak?**

**–Nie, to nie jest oficjalny program. Ale czasem bywa tak, że trzeba kogoś ukryć.**

**–Jak często ich znajdują?**

**–Raczej rzadko.**

**–Ale czasem znajdują. A więc nie ma gwarancji, że będę bezpieczny.**

**–Gwarancji nie ma, ale są duże szanse.**

Backman spojrzał na naczelnika.

–Ile mi jeszcze zostało, Lester?

Naczelnik drgnął, bo nieoczekiwanie wciągnięto go do rozmowy. Lester. Nie znosił tego imienia; nikt się tak do niego nie zwracał. Napis na tabliczce na biurku był wyraźny i jednoznaczny: L. Howard Cass.

–Czternaście lat, i proszę nie mówić mi po imieniu. Nazywam się Cass, naczelnik Cass.

–Czternaście lat? Sraty pierdaty. Zdechnę tu za trzy. Niedożywienie, hipotermia, parszywa opieka medyczna: nasz Lester to wymagający szef.

–Czy moglibyśmy kontynuować? – wtrącił Sizemore.

–Oczywiście, że się zgadzam – powiedział Backman. – Tylko głupiec by odmówił.

Ruszył się w końcu Knabe, ten z Departamentu Sprawiedliwości. Otworzył dyplomatkę i powiedział:

–Tu są papiery.

Backman spojrzał na Sizemore'a.

–Dla kogo pan pracuje?

–Dla prezydenta Stanów Zjednoczonych.

–To niech pan mu powie, że nie głosowałem na niego, bo mnie przymknęli. Ale gdybym miał okazję, na pewno bym zagłosował. I niech mu pan ode mnie podziękuje.

–Oczywiście.

Hoby nalał herbaty – tym razem zielonej, bo dochodziła już północ – i podał kubek owiniętemu w pled Teddy'emu, który siedział na wózku, obserwując sunące za nimi samochody. Byli na Constitution Avenue i jechali w kierunku mostu Roosevelta. Teddy upił łyk i powiedział:

–Morgan jest za głupi, żeby sprzedawać ulaskawienia. Ale niepokoi mnie Critz.

–Założyli nowe konto na Nevis – odrzekł Hoby. – Dwa tygodnie temu, firmowe. Firma jest lewa i należy do Floyda Dunlapa.

**-Kto to?**

**-Pomagał Morganowi zbierać fundusze na kampanię.**

**-Na Nevis? Dlaczego akurat tam?**

**-Ta wyspa to teraz jedno z najruchliwszych centrów zagranicznych operacji bankowych.**

**-Monitorujemy to konto?**

–Bardzo dokładnie. Pieniądze, jeśli w ogóle tam trafią, powinny wpłynąć w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Teddy lekko kiwnął głową i zerknął na częściowo przesłonięte Centrum Kennedy'ego.

–Gdzie teraz jest Backman?

–Wywożą go z więzienia.

Teddy uśmiechnął się i wypił kolejny łyk herbaty. Most przejechali w milczeniu.

–Kto go załatwi? rzucił, gdy Potomac został w tyle.

–Czy to ważne?

–Nie. Ale z przyjemnością obejrzę te zawody.

Pięć minut po północy i czternaście lat przed czasem Joel Backman wyszedł z federalnego zakładu penitencjarnego w Rudley w czarnych, błyszczących butach wojskowych, w znoszonym, pozbawionym pagonów i naszywek, lecz upranym i starannie uprasowanym mundurze polowym i w grubej wojskowej kurtce z kapturem, którym szczelnie okrył sobie głowę. Przesiedział sześć lat w pojedynczej celi i wychodząc, niósł tylko małą płócienną torbę z kilkoma książkami i zdjęciami. Ani razu nie obejrzał się za siebie.

Miał pięćdziesiąt dwa lata, był rozwiedziony i splukany. Całkowicie zraził do siebie dwoje z trojga dzieci, zapomnieli o nim wszyscy dawni przyjaciele. Kilku z nich do niego pisało, ale tylko przez pierwszy rok. Potem przestali. Jedna z niezliczonych sekretarek, za którymi uganiał się po swoich luksusowych gabinetach, pisała aż dziesięć miesięcy, dopóki „Washington Post” nie doniósł, że wbrew początkowym plotkom jest mało prawdopodobne, by Joel Backman ograbił swoją firmę i oszukał klientów na ciężkie miliony dolarów. Kto by chciał korespondować ze zrujnowanym prawnikiem, który na dodatek siedzi w więzieniu? Z bogatym to jeszcze może.

Od czasu do czasu pisała do niego matka, ale ponieważ miała dziewięćdziesiąt jeden lat i mieszkała w domu starców pod Oakland, z każdym kolejnym listem myślał, że jest on ostami. Pisał do niej co tydzień, chociaż wątpił, czy staruszka jeszcze widzi, i był niemal pewien, że nikt z tamtejszego personelu nie ma czasu ani ochoty czegokolwiek jej czytać. Zawsze pisała: „Dziękuję za list”, ale nigdy do tego listu nie nawiązywała. Wysyłał jej również okolicznościowe kartki. W jednym z listów wyznała, że ojej ostatnich urodzinach pamiętał już tylko on.





Buty były ciężkie. Idąc chodnikiem, uświadomił sobie, że całe sześć lat spędził w samych skarpetkach. Dziwne. Człowiek, którego bez najmniejszego uprzedzenia wypuszczają z kicia, myśli o bardzo zabawnych rzeczach. Kiedy ostatni raz miał buty na nogach? Te ważyły chyba tonę. Kiedy będzie mógł je wreszcie zrzucić?

Przystanął i spojrział w niebo. Przez godzinę dziennie pozwalano mu chodzić po małym, trawiastym spacerniaku. Zawsze samemu i zawsze pod strażą, jakby on, Joel Backman, były prawnik, który nigdy w życiu nie wystrzelił w gniewie z pistoletu, mógł stać się nagle niebezpieczny i kogoś okaleczyć. Spacerniak albo „ogródek”, jak go nazywano, był otoczony trzymetrowym ogrodzeniem z drutem kolczastym na szczycie. Za ogrodzeniem biegł pusty kanał ściekowy, a za kanałem rozciągała się bezkresna, bezdrzewna preria, która kończyła się pewnie dopiero w Teksasie.

Towarzyszyli mu Sizemore i ten z FBI. Zaprowadzili go do ciemnozielonego samochodu, takiego do przewożenia sprzętu sportowego. Samochód był nieoznakowany, ale na pewno pochodził z rządowego przydziału – wystarczyło na niego spojrzeć. Wczołgał się na tylne siedzenie, usiadł – sam! – i zaczął się modlić. Mocno zamknął oczy i zacisnął zęby, prosząc Boga, żeby silnik odpalił, koła się potoczyły, brama się otworzyła, a strażnicy nie doszukali się czegoś w papierach. Boże, błagam. Niech to nie będzie okrutny żart. Proszę, niech to nie będzie sen!

Milczenie przerwał Sizemore, dobre dwadzieścia minut później.

–Jest pan głodny?

Backman przestał się modlić i się rozplakał. Nie otworzył oczu, ale czuł, że samochód wciąż jedzie. Leżał na tylnym siedzeniu. Leżał, walczył z emocjami i przegrywał na całej linii.

–Tak. – Zdołał wykrztusić tylko tyle. Usiadł i spojrział w okno. Byli na międzystanówce i na poboczu mignęła zielona tablica z napisem: Zjazd na Perry. Skręcili i wjechali na parking przed barem z naleśnikami kilkaset metrów dalej. Autostradą pędziły z rykiem wielkie ciężarówki. Obserwował je przez chwilę i nadśluchiwał. Potem spojrział w niebo i zobaczył półksiężyc.

–Bardzo się spieszymy? – spytał, gdy wchodzili do środka.

–Jesteśmy o czasie.

Usiedli przy oknie od frontu i od razu wyjrzał na parking. Bojąc się, że jego żołądek za bardzo przywykł do więziennej papki, zamówił grzanki

i owoce, nic ciężkostrawnego. Rozmowa się nie kleiła; Sizemore'a i tego drugiego zaprogramowano na milczenie, dlatego pogawędka o niczym nie wchodziła w rachubę. Nie, żeby chciał usłyszeć, co mają do powiedzenia.

Próbował się nie uśmiechać. Sizemore zameldował potem, że Backman zerkał na drzwi i uważnie obserwował siedzących w sali gości. Nie robił wrażenia wystraszonego, wprost przeciwnie. Po kilkunastu minutach, a więc dość szybko, otrząsnął się z szoku, przystosował do nowych warunków i nieco ożywił. Pochłonął dwie grzanki i wypił cztery kubki czarnej kawy.

Kilka minut po czwartej nad ranem wjechali na teren Fortu Summit pod Brinkley w Teksasie. Tam zabrano go do wojskowego szpitala, przebadano i stwierdzono, że nie licząc kataru, kaszlu i ogólnego wychudzenia, jest w całkiem dobrej formie. Potem zaprowadzono go do hangaru, gdzie poznał pułkownika Gantnera, który od razu został jego najlepszym przyjacielem. Na jego rozkaz i pod jego czujnym okiem przebrał się w zielony, wojskowy kombinezon z naszywką Herzog nad kieszenią na piersi.

–Herzog to ja? – spytał Backman.

–Przez najbliższe czterdzieści osiem godzin – odparł Gantner.

–Jaki mam stopień?

–Major.

–Nieźle.

W trakcie tej krótkiej odprawy Sizemore i agent Adair gdzieś zniknęli i Joel już ich nie zobaczył. O świcie wszedł na tylną rampę samolotu transportowego C-130 i z pułkownikiem Gantnerem wspinał się po drabince na górny pokład maszyny, gdzie w małej pakamerze z piętrowymi pryczami pod ścianą sześciu innych żołnierzy przygotowywało się do długiego lotu.

–To pana – powiedział pułkownik, wskazując najniższą pryczą.

–Mogę spytać, dokąd lecimy? – zapytał szeptem Backman.

–Tak, aleja nie mogę odpowiedzieć.

–Ja tak tylko z ciekawości.

–Wszystkiego dowie się pan, kiedy wylądujemy.

**-To znaczy kiedy?**

**-Za około czternaście godzin.**

**Ponieważ w kabinie nie było okien, Joel położył się, naciągnął koc na głowę i zanim wystartowali, już głośno chrapał.**

**ritz przespał się kilka godzin i wyszedł z domu na długo przed tym, gdy w mieście zapanował przedinauguracyjny bałagan. O świcie wsiadł z żoną na pokład jednego z wielu prywatnych samolotów jego nowego chlebodawcy i poleciał do Londynu. Miał tam spędzić dwa tygodnie, a potem, już jako nowy lobbysta grający w bardzo starą grę, wrócić do Waszyngtonu i dać się zaprząć do kieratu. Ilekroć o tym pomyślał, robiło mu się niedobrze. Nieudacznicy tacy jak on przechodzili na drugą stronę barykady, żeby wykręcać ręce**

**dawnym kolegom i zaprzedać duszę  
każdemu, komu starczyło pieniędzy na  
zakup reklamowanych przez nich wpływów  
– widywał to od lat. Ohyda. Rzygał  
polityką, ale – co smutne – na  
niczym innym się nie znał.**

**Cóż, wygłosi kilka wykładów, może napisze książkę i przetrwa kilka lat z nadzieją, że ktoś o nim sobie przypomni. Ale dobrze wiedział, jak szybko zapomina się w Waszyngtonie o tych, którzy niegdyś sprawowali władzę.**

**Żeby nie zakłócić przebiegu uroczystości zaprzysiężenia nowego prezydenta, Morgan i Maynard zgodzili się utrzymać sprawę w tajemnicy co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny. Morgan miał to gdzieś, bo i tak wyjeżdżał na Barbados. Jednak Critz nie czuł się zobowiązany do przestrzegania umowy, zwłaszcza z kimś takim jak Teddy Maynard. Po długiej kolacji z mnóstwem wina, gdzieś koło drugiej nad ranem, zadzwonił z Londynu do waszyngtońskiego korespondenta CBS i sprzedał mu wiadomość o ułaskawieniu Backmana. Zgodnie z przewidywaniami CBS ujawniło ją już w porannych, a więc najbardziej plotkarskich, wiadomościach i o ósmej stolica zatrzęsała się w posadach.**

**Bezwarunkowe ułaskawienie! Prezydent Morgan ułaskawił Joela Backmana w ostatniej godzinie urzędowania!**

**Szczegółów jego uwolnienia nie podano. Wiadomo było tylko tyle, że jeszcze do niedawna siedział w więzieniu o zaostrzonym rygorze gdzieś w Oklahomie.**

**W bardzo podminowanym Waszyngtonie wiadomość o jego ułaskawieniu stała się sensacją dnia, przyćmiewając doniesienia o nowym prezydencie i jego pierwszym dniu w Białym Domu.**

**Upadła firma prawnicza Pratt Bolling mieściła się teraz przy Massachusetts Avenue, cztery ulice od Dupont Circle; niezła lokalizacja, cho-**

cięż nie tak szykowna jak poprzednia, ta przy New York Avenue. Przed kilkoma laty – nazywała się wtedy Backman, Pratt Bolling – Joel Backman, jej ówczesny szef, uparł się, żeby płacić najwyższy czynsz w mieście tylko po to, żeby z wielkiego okna swojej wielkiej kancelarii na siódmym piętrze gmachu widzieć Biały Dom.

Z okien kancelarii przy Massachusetts Avenue Białego Domu widać nie było; nie było tam również przestronnych gabinetów, a okoliczne domy miały najwyżej dwa piętra. Personel firmy skurczył się z dwustu wysoko opłacanych prawników do zaledwie trzydziestu, i to takich, którzy z trudem wiązali koniec z końcem. Pierwsze bankructwo – w firmie nazywano je w skrócie Backmanem Pierwszym – straszliwie ich zdziesiątkowało, jednocześnie cudem uchroniło przed więzieniem. Backman Drugi był rezultatem trzyletnich, zażartych wewnętrznych walk i procesów, które wytaczali przeciwko sobie niedoszli bankruci z Backmana Pierwszego. Konkurencja z lubością powtarzała, że prawnicy z Pratt Bolling poświęcają więcej czasu na wzajemne procesowanie się niż oskarżanie tych, do których oskarżenia ich wynajęto.

Ale tego ranka konkurencja milczała. Joel Backman był wolny. Gracz wyszedł z więzienia. Zacznie wszystko od nowa? Wróci do Waszyngtonu? I w ogóle czy to wszystko prawda? Niemożliwe.

Kim Bolling siedział pod kluczem w ośrodku odwykowym, skąd miał zostać odesłany do prywatnej kliniki psychiatrycznej i pozostać tam do końca swoich dni. Stres ostatnich sześciu lat doprowadził go do obłędu, tam skąd nie było już powrotu. Dlatego nowemu koszmarowi musiał stawić czoło Carl Pratt.

To właśnie on wypowiedział brzemiennie w skutki „tak” przed dwudziestoma dwoma laty, kiedy to Backman zaproponował mariaż ich dwóch małych firm. To właśnie on przez szesnaście lat harował jak wół, sprzątając bałagan, jaki towarzyszył rozrastaniu się spółki i gwałtownemu wzrostowi przychodów przy jednoczesnym rozmywaniu się i zanikaniu wszelkich barier etycznych. To właśnie on co tydzień wyklócał się ze współnikami i także on z czasem rozsmakował się w owocach tego gigantycznego sukcesu.

I wreszcie to jego omal nie postawiono w stan oskarżenia tuż przed tym, jak Backman bohaterko wzięł na siebie całą winę. Umowa, jaką zawarł z sądem ten ostatni, wiązała się z koniecznością zapłacenia grzywny w wysokości dziesięciu milionów dolarów, co w konsekwencji doprowadziło ich do bankructwa, czyli do Backmana Pierwszego.

Ale cóż, powtarzał sobie Pratt. Bankructwo jest lepsze od więzienia. Wczesnym rankiem tego dnia krążył ociężale po swoim ciasnym gabinecie, mamrocząc pod nosem i rozpaczliwie próbując przekonać samego siebie, że to po prostu nieprawda. Wreszcie stanął przed małym oknem, spojrzął na szarą kamienicę naprzeciwko i pomyślał: Jakim cudem? Jakim cudem doszczętnie splukany, okryty hańbą i wyrzucony z palestry adwokat-lobbysta przekonał odchodzącego prezydenta, żeby ten ułaskawił go w ostatnich minutach urzędowania?

Przed pójściem do więzienia był prawdopodobnie najślynniejszym przestępcą wśród pracowników umysłowych Ameryki. Każdy chciał zobaczyć, jak będą go wieszać.

Prawdziwy cud. Pratt musiał przyznać w duchu, że jedynym człowiekiem na świecie, który mógłby go sprawić, był właśnie Joel Backman.

Zasiadł do telefonu i przez kilka minut wnikliwie sondował rozległą sieć waszyngtońskich plotkarzy oraz tych, co wszystko wiedzą. Stary przyjaciel, pracownik Departamentu Zarządzania, który przetrwał czterech prezydentów – po dwóch z każdej partii – w końcu potwierdził doniesienia.

–Ale gdzie on teraz jest? – spytał niespokojnie Pratt, jakby Backman miał lada chwila zmartwychwstać w Waszyngtonie.

–Nikt nie wie – odparł tamten.

Pratt zamknął drzwi na klucz i z trudem zwalczył pokusę, żeby otworzyć butelkę wódki. Miał czterdzieści dziewięć lat, gdy jego współnika skazano na dwadzieścia lat więzienia bez możliwości wcześniejszego zwolnienia, i często się zastanawiał, co zrobi w wieku sześćdziesięciu dziewięciu, kiedy Backman wyjdzie w końcu z pudła.

Dlatego czuł się teraz tak, jakby oszukano go na czternaście lat.

Sala była tak zatłoczona, że sędzia opóźnił rozprawę o dwie godziny, żeby można było zorganizować dodatkowe krzesła i wszystkich usadzić według jakiegoś porządku. Miejsca, siedzącego lub stojącego, domagała się niemal każda grupa medialna w kraju. Grube ryby z Departamentu Sprawiedliwości, FBI, Pentagonu, CIA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Białego Domu i Kapitolu domagały się wejściówek, twierdząc, że w ich najlepszym interesie leżałby udział - choćby tylko pośredni -w linczu Backmana. Gdy w drzwiach stanął w końcu oskarżony, podenerwowany tłum nagle zamarł i w sali słyhać było jedynie stukot maszyny do stenografowania.



Zaprowadzono go do stołu obrony, gdzie natychmiast zniknął za szczelnym kordonem małej armii adwokatów, jakby lada chwila miał przeszyć go grad kul wystrzelonych z galerii dla publiczności; nie byłoby w tym nic dziwnego, chociaż jego ochrona mogła konkurować z prezydencką. W pierwszym rządzie, zaraz za stołem obrony, siedział Carl Pratt i kilkunastu innych współników oraz przyszłych byłych współników Joela Backmana. Przed wejściem dokładnie i dość nachalnie ich obszukano, ale nie bez powodu. Chociaż go nienawidzili – bo dosłownie kipieli nienawiścią – trzymali też za niego kciuki. Gdyby układ z prokuraturą w ostatniej chwili nie wypalił z powodu jakichś niedopatrzeń czy sprzeczek, znowu staliby się zwierzyną łowną i groziłaby im seria procesów.

A tak siedzieli przynajmniej w pierwszym rządzie, wśród widzów, a nie przy stole obrony, gdzie sadzano złodziei i oszustów. No i jeszcze żyli. Osiem dni wcześniej na Narodowym Cmentarzu Arlingtonniano znaleziono zwłoki Jacy'ego Hubbarda, ich zdobycznego współnika: podobno popełnił samobójstwo, ale chyba nikt w to nie wierzył. Hubbard, były senator z Teksasu, zrezygnował z senatorowania po dwudziestu czterech latach zasiadania w Kongresie, i to z jednej, jedynej – choć, oczywiście, nieupublicznionej – przyczyny: po to, żeby zaoferować swoje rozległe wpływy temu, kto da najwięcej. Tak wielka ryba miałaby uciec z sieci? Kto jak kto, ale Joel Backman nie mógł do tego dopuścić, dlatego ze współnikami z Backman, Pratt Bolling zaangażował go za milion dolarów rocznie -przecież stary, poczciwy Jacy był w Gabinetcie Owalnym kiedy tylko chciał!

Jego śmierć działała cuda, bo Backman momentalnie zrozumiał punkt widzenia władz. Prawniczy zator, który uniemożliwiał negocjacje w sprawie ewentualnej winy i kary, nagle pękł. Joel nie tylko zgodził się na dwadzieścia lat, ale i jak najszybciej chciał znaleźć się w więzieniu. Ba! Domagał się aresztu prewencyjnego!

Oskarżycielem był wysokiej rangi prokurator z Departamentu Sprawiedliwości, a ponieważ sala pękała w szwach, po prostu nie mógł się nie popisać. Tam gdzie wystarczyłoby jedno słowo, wypowiadał trzy; za dużo słuchało go ludzi. Nagle znalazł się w centrum wydarzeń, w świetle jupiterów: oglądał go naród, co w jego długiej, nudnej karierze było prawdziwą rzadkością. Z dzikim, beznamietnym chłodem zabrał się do czytania akt oskarżenia i chociaż bardzo się starał, szybko stało się oczywiste, że nie ma za grosz talentu aktorskiego czy smykałki do dramatyzowania. Po

ośmiu minutach tego ogłupiającego monologu sędzia spojrzął na niego znad okularów i sennym głosem rozkazał:

–Zechce pan trochę przyspieszyć i mówić nieco ciszej?

Na Backmanie ciążyło osiemnaście zarzutów, od szpiegostwa poczynając, na zdradzie stanu kończąc. Gdy je w końcu odczytano, Joel został tak oczerniony, że mógłby grać w jednej drużynie z Hitlerem. Jego adwokat natychmiast przypomniał sądowi, tudzież wszystkim obecnym, że żadnego z tych zarzutów nie udowodniono, że w sumie jest to tylko jednostronna wyliczanka odzwierciedlająca bardzo tendencyjne nastawienie prokuratury, tym samym władz. Zaznaczył, że jego klient przyzna się jedynie do czterech, w tym do nieupoważnionego posiadania dokumentów wojskowych. Potem sędzia zagłębił się w szczegóły długiej umowy między stronami i na dwadzieścia minut w sali zapadła cisza. Siedzący w pierwszym rzędzie rysownicy szkicowali tę scenę jak szaleni, nie oddając przy tym choćby minimalnego podobieństwa obecnym na sali osób.

W ostatnim rzędzie krył się wśród obcych Neal Backman, najstarszy syn Joela. Wciąż był pracownikiem Backman, Pratt Bolling, ale miało się to szybko zmienić. Przebieg rozprawy obserwował w stanie kompletnego szoku, nie mogąc uwierzyć, że jego niegdyś potężny ojciec chciał przyznać się do winy i dobrowolnie wpaść w tryby federalnego systemu karnego.

Przed sędziowski stół zapędzono w końcu samego oskarżonego, który stanął tam najdumniej, jak tylko mógł. W towarzystwie szepczących mu do uszu adwokatów przyznał się do czterech zarzutów, po czym poproszono go, żeby wrócił na miejsce. Idąc, starał się nie nawiązywać z nikim kontaktu wzrokowego i nawet mu się to udało.

Wyrok miał zapaść za miesiąc. Gdy zakuto go w kajdanki i wyprowadzono, stało się oczywiste, że ci, którzy zostali w sali, nie będą musieli zdradzać jego sekretów i że Backman posiedzi za kratkami do chwili, aż uknute przez niego spiski rozmyją się i pójdą w zapomnienie. Tłum powoli się rozchodził. Reporterzy zdobyli tylko połowę tego, co chcieli. Ważniacy z CIA, FBI i Pentagonu wyszli bez słowa – jedni byli zadowoleni, że tajemnica pozostała tajemnicą, inni wściekli, że sąd przymknął oko na tak ciężką zbrodnię. Carl Pratt i jego znękanii koledzy ruszyli do najbliższego baru.

Pierwszy reporter zadzwonił tuż przed dziewiątą rano. Pratt uprzedził sekretarkę. Miała im mówić, że jest w sądzie, że to bardzo długi proces

i że nie będzie go przez kilka miesięcy. Zaraz potem linia się zablokowała i coś, co zapowiadało się na względnie produktywny dzień, od razu diabli wzięli. Wszyscy prawnicy, adwokaci i pozostali pracownicy rzucili robotę i szeptali po kątach o Backmanie. Niektórzy obserwowali frontowe drzwi, jakby oczekując, że zaraz wejdzie nimi jego krwiożerczy duch.

Pratt siedział samotnie w gabinecie i, popijając Krwawą Mary, oglądał dziennik za dziennikiem. Dzięki Bogu, że na Filipinach uprowadzono autobus z duńskimi turystami, w przeciwnym razie wiadomość o ułaskawieniu Joela Backmana byłaby newsem dnia. Ale i tak wracano do niej równie często jak do Duńczyków, bo równie często sprowadzano do studia wszelkiego rodzaju ekspertów, których pudrowano i sadzano w świetle reflektorów, żeby paplali trzy po trzy o jego legendarnych występach.

Były szef Pentagonu nazwał jego ułaskawienie „potencjalnym ciosem w nasze bezpieczeństwo narodowe”. Emerytowany sędzia federalny, który miał grubo ponad dziewięćdziesiąt lat i na tyle wyglądał, stwierdził -co było do przewidzenia – że „doszło do pomyłki sądowej”. Nieopierzony senator z Vermont przyznał, iż o skandalu z Backmanem wie bardzo mało, mimo to cieszył się, że pokazują go na żywo i zapewniał, że wezwie władze do wszczęcia wszelkich możliwych śledztw. Anonimowy przedstawiciel Białego Domu oświadczył, że nowy prezydent jest „bardzo zaniepokojony” ułaskawieniem i zamierza je zrewidować, cokolwiek to oznaczało.

I tak dalej, i tak dalej. Pratt zrobił sobie kolejnego drinka.

Żeby było jeszcze bardziej krwawo, jeden z korespondentów – „korespondentów”, a nie po prostu „reporterów” – wygrzebał stary materiał o senatorze Hubbardzie i Pratt sięgnął po pilota. Gdy na ekranie pojawiło się wielkie zbliżenie jego twarzy, ściszył głos. Na tydzień przed tym, jak Backman przyznał się do winy, Hubbarda znaleziono z kulą w głowie. To, co na pierwszy rzut oka wyglądało na zwykłe samobójstwo, nazwano potem samobójstwem podejrzanym, chociaż żaden podejrzanym nie został nigdy zidentyfikowany. Pistolet był nieoznakowany i prawdopodobnie kradziony. Hubbard, stary myśliwy, nigdy nie używał broni krótkiej. Obecność drobinek prochu na jego prawej ręce dawała do myślenia. Sekcja zwłok wykazała dużą zawartość alkoholu i barbituranów w jego krwi. Alkohol był oczywiście do przewidzenia, ale Hubbard nigdy nie ćpał. Kilka godzin wcześniej widziano go z młodą, atrakcyjną kobietą w barze w Georgetown, co było dla niego typowe.

Panowało powszechne przekonanie, że owa młoda dama wyspała mu do drinka jakieś prochy i gdy stracił przytomność, przekazała go zawodowemu zabójcom. Ci wywieźli go do odległego zakątka cmentarza Arlington i strzelili mu w głowę. Jego ciało spoczęło na mogile brata, bohatera wojny wietnamskiej odznaczonego licznymi medalami. Miły akcent, sęk w tym, że ci, którzy go dobrze znali, twierdzili, że Hubbard rzadko kiedy wspominał o rodzinie, a wielu z nich w ogóle nie wiedziało, że miał brata.

Niewypowiedziana teoria mówiła, że zabili go ci sami ludzie, którzy polowali na Backmana. Dlatego przez wiele lat Carl Pratt i Kim Bolling wydawali fortunę na zawodowych ochroniarzy, na wypadek gdyby ich nazwiska znalazły się na tej samej liście co nazwisko Joela. Ale najwyraźniej ich tam nie było. Szczegóły fatalnego kontraktu, który na dobre przygwoździł Backmana i zabił Hubbarda, pozostały ich tajemnicą i z czasem Pratt złagodził środki bezpieczeństwa, chociaż wciąż nie rozstawał się z rugerem.

Tymczasem Backman był z każdą minutą coraz dalej. Co dziwne, on też myślał o Jacym Hubbardzie i tych, którzy mogliby go zabić. Miał mnóstwo czasu na myślenie – czternaście godzin na składanej pryczy w rozdygotanym samolocie transportowym przytępiłoby zmysły każdemu, a przynajmniej każdemu, kto uważał się za normalnego. Jednak dla skazańca, który dopiero co wyszedł z więzienia po sześciu latach samotnej odsiadki, lot był dość stymulujący.

Ten, kto zabił Jacy'ego, chciał na pewno zabić i jego, dlatego trzęsąc się i podskakując na wysokości siedmiu tysięcy dwustu metrów, próbował znaleźć odpowiedź na kilka poważnych pytań. Kto się za nim wstawił? Gdzie chcieli go ukryć? Chcieli? Oni? Jeśli tak, kim są ci „oni”?

Bardzo miłe pytania. Niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej dręczyły go zupełnie inne: Zagłodzą mnie tu na śmierć? Chcą, żebym zamarł? Czyżbym w tej małej, ciasnej celi powoli odchodził od zmysłów? Powoli? A może szybko i gwałtownie? Czy zobaczę jeszcze wnuki? Czy w ogóle chcę je zobaczyć?

Nowe pytania podobały mu się znacznie bardziej, chociaż były dość niepokojące. Ale cóż. Przynajmniej będzie mógł przejść się gdzieś ulicą, pooddychać normalnym powietrzem, poczuć ciepło słońca, może nawet wstąpić do kafejki na filiżankę mocnej kawy.

Kiedys miał klienta, bogatego importera kokainy, którego zwabiono w sieć tych z DE A, Urzędu do Walki z Handlem Narkotykami. Był tak cenną zdo-

byczą, że federalni zaproponowali mu nowe życie, nowe nazwisko i nową twarz, pod warunkiem że sypnie Kolumbijczyków. Ten oczywiście sypnął i po operacji plastycznej odrodził się w jednej z północnych dzielnic Chicago, gdzie prowadził małą księgarnię. Pewnego dnia, wiele lat później, Joel do niego wpadł i zobaczył mężczyznę z małą, elegancką bródką, z fajką w zębach i miną pragmatycznego intelektualisty. Miał nową żonę i troje pasierbów, a Kolumbijczycy nigdy się o nim nie dowiedzieli.

**Świat jest duży. Wystarczy dobrze się ukryć, to nie takie trudne.**

Zamknął oczy, znieruchomiał i wsłuchując się w monotonne buczenie silników, próbował sobie wmówić, że bez względu na to, gdzie wyląduje, nie będzie żył jak ścigane zwierzę. Że przystosuje się do nowych warunków i przetrwa. Nie zamierzał żyć w wiecznym strachu.

Dwie prycze dalej dwaj żołnierze prowadzili przyciszoną rozmowę, wymieniając się opowieściami o dziewczynach. Pomyślał wtedy o Mo, mafijnym donosicielu, który przez cztery lata zajmował sąsiednią celę i który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę był jedynym człowiekiem, z którym Joel mógł porozmawiać. Nie widział go, ale słyszeli się wzajemnie przez szyb wentylacyjny. Mo nie tęsknił ani za rodziną, ani za kumplami, ani za sąsiadami, ani za jedzeniem, ani za pićciem, ani za słońcem. Mówił tylko o seksie. Snuł długie, kunsztownie dopracowane opowieści o swoich eskapadach. Opowiadał kawały, jedne z najsprośniej szych kawałów, jakie Joel kiedykolwiek słyszał. Pisał nawet wiersze o dawnych kochankach, orgiach i fantazjach.

**Nie, nie będzie mu go brakowało. Ani jego, ani jego wyobraźni.**

**Wbrew sobie znowu przysnął.**

**–Panie majorze, panie majorze – szepnął głośno pułkownik Gantner, potrząsając go za ramię. – Musimy porozmawiać.**

Backman wyczołgał się z pryczy i ciasnym, ciemnym przejściem ruszyli do małej pakamery za kabiną pilotów.

**–Niech pan siada. – Usiedli przy małym, metalowym stole. Gantner**

**trzymał w ręku kartonową teczkę. – Zrobimy tak – zaczął. – Za godzinę**

**wylądujemy. Jest pan chory, tak bardzo chory, że na lotnisku czekać będzie karetka**

**z wojskowego szpitala. Włoskie władze przejrzą papiery, ale**

**zrobią to pobieżnie. Mogą też zechcieć zerknąć na pana, ale pewnie nie**

**zechcą. To amerykańska baza wojskowa, więc żołnierze ciągle tam przyjeżdżają i wyjeżdżają. Mam dla pana paszport. Porozmawiam z Włocha**

**mi i karetka odwiezie pana do szpitala.**

–Z Włochami?

–Tak. Słyszał pan o bazie sił powietrznych Aviano?

–Nie.

–Tak myślałem. Jest w naszych rękach od czterdziestego piątego, odkąd wypędziliśmy stamtąd Niemców. Leży w północnych Włoszech, niedaleko Alp.

–Brzmi uroczo.

–Tak, ale to tylko baza.

–Jak długo tam będę?

–To już nie moja działka. Ja mam pana wsadzić do karetki i zawieźć do szpitala. Tam ktoś się panem zajmie. Tu są dane osobowe majora Herzoga. Niech pan je przejrzy, tak na wszelki wypadek.

Joel spędził kilka minut na lekturze fikcyjnych personaliów i zapamiętywaniu danych z fałszywego paszportu.

–Proszę pamiętać, jest pan ciężko chory i pod wpływem środków uspokajających – dodał Gantner. – Najlepiej niech pan udaje, że jest pan w śpiączce.

–Byłem w śpiączce przez sześć lat.

–Chce pan kawy?

–Która jest tam teraz godzina?

–We Włoszech? – Pułkownik spojrział na zegarek i szybko przeliczył czas. – Powinniśmy wylądować o pierwszej, o trzynastej.

–W takim razie tak, chętnie się napiję.

Gantner dał mu papierowy kubek, termos i zniknął.

Po dwóch kubkach Joel poczuł, że silniki zaczynają zmniejszać moc. Wrócił na pryczę i spróbował zamknąć oczy.

Gdy samolot znieruchomiał, do opuszczonej rampy załadunkowej podjechała tyłem wojskowa karetka pogotowia. Wciąż na wpół śpiąc, żołnierze leniwie zeszli na płytę

lotniska. Nosze z majorem Herzogiem stoczono rampą na płytę i ostrożnie wsunięto do ambulansu. Włoski celnik siedział w amerykańskim dżipie, bez entuzjazmu obserwując poczynania załogi i wygrzewając się w słońcu. Karetka wolno odjechała i pięć minut później nosze z majorem Herzogiem wtoczono do maleńkiej separatki na pierwszym piętrze szpitala, przed której drzwiami stało dwóch amerykańskich żandarmów.



## Rozdział 4

a szczęście dla Backmana chociaż oczywiście nie mógł o tym wiedzieć, a nawet gdyby wiedział, miałby to pewnie gdzieś – w ostatniej godzinie sprawowania władzy prezydent Morgan ułaskawił również starego miliardera, który uniknął więzienia, bo uciekł za granicę. Miliarder, emigrant ze słowiańskiego kraju, który przybywszy do USA jako młody człowiek, miał prawo zmienić nazwisko, chętnie z tego prawa skorzystał, przybierając tytuł księcia Mongo. Książę podarował mnóstwo pieniędzy na kampanię wyborczą Morgana. Gdy wyszło na jaw, że jego głównym zajęciem było uchylanie się od płacenia podatków, okazało się również i to, że kilka wieczorów spędził w Sypialni Lincoln, gdzie przy małym kieliszeczku na dobranoc omawiał z prezydentem ciężące na nim zarzuty. Według obecnego przy tych rozmowach świadka, młodej dziwki, wówczas piątej żony księcia, prezydent obiecał wywrzeć nacisk na izbę skarbową i wyciszyć sprawę. Ale tak się nie stało. Akt oskarżenia liczył trzydzieści osiem stron i zanim zszedł z prasy drukarskiej, książę zagrał wszystkim na nosie i z przyszlą żoną numer sześć wyjechał do Urugwaju.

Teraz chciał wrócić do kraju, żeby umrzeć z godnością, jak prawdziwy patriota, i spocząć w mogile na swoim ranczo pod Lexington w Kentucky, gdzie hodował czystej krwi araby. Critz dograł sprawę i kilka minut po podpisaniu aktu ułaskawienia Joela Backmana prezydent Morgan ułaskawił również księcia Mongo.

Wiadomość przeciekła w jeden dzień – Biały Dom miał dobre powody, żeby jej nie upubliczniać – i prasa oszalała. Oto człowiek, który w ciągu dwudziestu lat oszukał rząd na sześćset milionów dolarów, kanciarz zasługujący na dożywocie, i co się z tym kanciarzem dzieje? Wsiada do swojego gigantycznego samolotu i wraca do kraju, żeby dożyć swych dni w obrzydliwym luksusie. Sprawa Backmana, chociaż niesamowicie sensacyjna, miała teraz poważnego rywala nie tylko w uprowadzonych Duńczykach, ale i w postaci największego w kraju oszusta podatkowego.

Mimo to wiadomość wciąż była gorąca. Większość porannych gazet ze Wschodniego Wybrzeża zamieściła zdjęcie Wielkiego Gracza na pierwszej stronie. Większość zamieściła również długi artykuł o związanym z nim skandalu, o jego przyznaniu się do winy i ułaskawieniu.

Carl Pratt przeczytał je wszystkie w Internecie, w wielkiej, zagraconej pakamerze nad garażem w północno-zachodniej części Waszyngtonu.

Uciekał tam od wewnętrznych wojen szalejących w firmie i od wspólników, których chronicznie nie cierpiał. Mógł tam pić i nikogo to nie obchodziło. Mógł przeklinać, rzucać czymś w ścianę, robić wszystko co chciał, bo było to jego prywatne schronienie.

Jako jedne z nielicznych, akta Backmana trzymał w szafie, w wielkim kartonowym pudle. Teraz leżały na stole i przeglądał je po raz pierwszy od wielu lat. Było w nich wszystko: wycinki z gazet, zdjęcia, okólniki, najważniejsze notatki, kopia aktu oskarżenia, a nawet protokół z sekcji zwłok Jacy'ego Hubbarda.

Cóż to była za żałosna historia...

W styczniu 1996 roku trzech młodych pakistańskich informatyków dokonało zdumiewającego odkrycia. Pracując w ciasnym, dusznym mieszkaniu na najwyższym piętrze bloku na przedmieściach Karaczi, połączyli w sieć kilka komputerów Hewlett-Packard, które nabyli przez Internet dzięki rządowemu stypendium. Ten nowy superkomputer podłączyli następnie do wyrafinowanego telefonu satelitarnego, który też dostali od władz. Cała operacja była tajna i finansowała ją - nielegalnie - pakistańskie wojsko. Cel mieli prosty: zlokalizować i uzyskać dostęp do nowego indyjskiego satelity szpiegowskiego, który krążył na wysokości czterystu osiemdziesięciu kilometrów nad ich krajem. Gdyby im się udało, mogliby śledzić jego poczynania, taką przynajmniej mieli nadzieję. Jeszcze śmielszym marzeniem byłaby próba przejęcia nad nim kontroli.

Kradzież tajnych danych wywiadowczych była początkowo ekscytująca, ale szybko okazało się, że dane te są całkowicie bezużyteczne. Nowe indyjskie „oko” robiło dokładnie to samo, co stare satelity robiły od dziesięciu lat: pstrykało tysiące zdjęć wciąż tych samych instalacji wojskowych. Z kolei satelity pakistańskie od dziesięciu lat przesyłały na ziemię zdjęcia indyjskich baz wojskowych i ruchów indyjskich wojsk. Obydwa kraje mogłyby powymieniać się fotkami i nie dowiedziałyby się niczego nowego.

Ale przy okazji, zupełnie przypadkowo, informatycy odkryli innego satelitę, a zaraz potem drugiego i trzeciego. Nie należały ani do Pakistanu, ani do Indii, co więcej, w ogóle nie powinno ich tam być. Krążyły na wysokości mniej więcej czterystu osiemdziesięciu kilometrów, przemieszczając się na północny wschód ze stałą prędkością stu dziewięćdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę i utrzymując odległość sześciuset czterdziestu kilometrów od siebie. Podnieceni do nieprzytomności hakerzy

przez dziesięć dni śledzili ruchy co najmniej sześciu różnych satelitów, najwyraźniej należących do jednej sieci czy systemu – nadlatywały powoli od strony Półwyspu Arabskiego, żeglowały nad Afganistanem i Pakistanem i znikaly nad zachodnią granicą Chin.

Nic nikomu nie mówiąc, wyprosili od wojskowych nowocześniejszy telefon o dużo lepszym zasięgu, twierdząc, że potrzebują go do ukończenia prac nad indyjskimi satelitami. Po miesiącu metodycznych, dwudziestoczwierogodzinnych obserwacji odkryli istnienie globalnej sieci dziewięciu współpracujących ze sobą identycznych satelitów, które skonstruowano w taki sposób, że były widoczne jedynie dla tych, którzy je wystrzelili.

Odkryciu swemu nadali kryptonim „Neptun”.

Wszyscy trzej kształcili się w Stanach Zjednoczonych. Ich przywódca, niejaki Safi Mirza, absolwent i były asystent na uniwersytecie Stanforda, pracował przez krótki czas w Breedin Corporation, firmie zbrojeniowej spoza klucza, rządowego dostawcy systemów satelitarnych. Fazal Sharif zrobił doktorat z informatyki na politechnice w Georgii.

Trzecim i najmłodszym członkiem grupy był Farooq Khan i to właśnie on napisał program, który spenetrował tajniki pierwszego satelity Neptuna. Gdy po miesiącu intensywnej pracy nawiązali wreszcie łączność z komputerem pokładowym, Farooq zaczął ściągać z niego dane tak sensacyjne, że natychmiast stało się jasne, iż trafili na ziemię niczyją. Były tam wyraźne, kolorowe zdjęcia obozów szkoleniowych islamskich terrorystów w Afganistanie oraz zdjęcia rządowych limuzyn w Pekinie. Neptun mógł podsłuchiwać chińskich pilotów rozmawiających na wysokości sześciu tysięcy metrów nad ziemią i obserwować podejrzany kuter rybacki w basenie portowym w Jemenie. Na ulicach Hawany wysledził opancerzoną półciężarówkę należącą zapewne do samego Fidela Castro. A na przekazywanych na żywo zdjęciach, które zaszokowały całą trójkę, widać było Arafata, który przystanąwszy w jakimś zaułku w Gazie, zapalił papierosa, rozpiął spodnie i oddał mocz.

Gdy satelity znalazły się nad terytorium Pakistanu, przez dwa bezsenne dni analizowali zawartość ich komputerów. Ponieważ oprogramowanie było angielskie, a obiektywy kamer celowały w Bliski Wschód, Azję i Chiny, łatwo się domyślili, że Neptun należy do Stanów Zjednoczonych; odległe miejsca drugie i trzecie na liście podejrzanych zajmowały Wielka Brytania i Izrael. Niewykluczone też, że był wspólnym produktem i tajemnicą USA i Izraela.

Po dwóch dniach podsłuchiwania i podglądania, uciekli z wynajmowanego mieszkania i zreorganizowali swoją małą komórkę w wiejskim domu przyjaciela, szesnaście kilometrów od Karaczi. Owszem, odkrycie było pasjonujące i ekscytujące, ale Safi – zwłaszcza on – chciał pójść krok dalej. Był całkowicie przekonany, że uda mu się przejąć kontrolę nad Neptunem.

Pierwszy sukces odniósł, gdy udało mu się podejrzeć, jak Fazal Sharif czyta gazetę. Żeby nikt nie namierzył ich nowej kryjówki, Fazal włożył czapkę i ciemne okulary, wsiadł do autobusu, pojechał do śródmieścia Karaczi, kupił gazetę i usiadł na parkowej ławce w pobliżu jakiegoś skrzyżowania. Wystarczyło, że Farooq wydał kilka poleceń przez telefon satelitarny, a komputer pokładowy Neptuna momentalnie go odnalazł – odnalazł, skierował na niego kamerę, zrobił powiększenie do tego stopnia, że można było przeczytać nagłówki na pierwszej stronie gazety, a następnie przekazał ten obraz do ich wiejskiego domku. Farooqowi i Safiemu odebrało mowę.

Ówczesna technologia nie znała tak wysokiej rozdzielczości zobrazowania elektroniczno-optycznego, rozdzielczości, dzięki której można było rozróżnić i dokładnie opisać każdy przedmiot wielkości stu dwudziestu centymetrów. Tak dobrą ostrością i rozdzielczością mogły się poszczycić jedynie amerykańskie wojskowe satelity szpiegowskie, bo jakość obrazu przekazywanego przez najlepsze satelity komercyjne, zarówno amerykańskie, jak i europejskie, była już dwa razy gorsza.

Przez wiele miesięcy cała trójka pisała oprogramowanie niezbędne do skutecznego sterowania dziewięcioma satelitami. Większość tego, co napisali, szła do kosza, ale im bliżej byli celu, tym bardziej zdumiewały ich drzemiące w Neptunie możliwości.

Półtora roku po dokonaniu odkrycia zapełnili oprogramowaniem cztery dwugigabajtowe płyty kompaktowe. Oprogramowanie to nie tylko zwiększyło szybkość, z jaką poszczególne satelity komunikowały się z ziemią, ale i umożliwiło Neptunowi zagłuszanie krążących po orbicie satelitów nawigacyjnych, komunikacyjnych i wywiadowczych. Z braku lepszego kryptonimu nazwali swój program JAM, czyli „zakłócaacz”.

Chociaż Neptun bez wątpienia do kogoś należał, trzech młodzi spiskowcy potrafili nim kierować i manipulować – mogli nawet całkowicie go unieszkodliwić. Doszło do wielkiej awantury. Safi i Fazal stali się chciwi i chcieli sprzedać oprogramowanie temu, kto da najwięcej. Natomiast

Farooq przewidywał, że Neptun przyniesie im same kłopoty. Chciał przekazać płytki pakistańskim wojskowym i umyć od tego ręce.

We wrześniu 1998 roku Safi i Fazal polecili do Waszyngtonu i spędzili nerwowy miesiąc, próbując prześwietlić amerykański wywiad wojskowy za pośrednictwem pakistańskich kontaktów. I wtedy jeden z przyjaciół wspomniał o słynnym Graczu, przed którym stały otworem wszystkie drzwi w stolicy.

Sęk w tym, że trudno się było do niego dostać. Backman, człowiek bardzo ważny, miał wielu ważnych klientów i wielu ważnych ludzi zabiegało o chwilę jego czasu. Za godzinną konsultację z nowym klientem brał pięć tysięcy dolarów, i to tylko od tych nielicznych szczęśliwców, na których raczył łaskawie spojrzeć. Safi pożyczył dwa tysiące od wuja z Chicago i obiecał, że resztę dopłaci w ciągu trzech miesięcy. Z dokumentów sądowych dowiedziano się później, że do ich pierwszego spotkania doszło dwudziestego czwartego października 1998 roku w kancelarii Backman, Pratt Bolling. Spotkanie to miało zniszczyć życie wszystkim biorącym w nim udział.

Backman był początkowo bardzo sceptyczny wobec niezwykłych możliwości opracowanego przez Pakistańczyków programu. Możliwe też, że natychmiast je dostrzegł i postanowił to chytrze rozegrać. Safi i Fazal marzyli o sprzedaży oprogramowania Pentagonowi za fortunę, jaką Gracz zdołałby bez wątplenia wynegocjować. Bo jeśli ktoś mógł ją w ogóle zdobyć, to tym kimś był tylko Joel Backman.

Nie zwlekając, Joel zadzwonił do Jacy'ego Hubbarda, swojego nadzianego „rzecznika”, który wciąż raz w tygodniu grywał w golfa z prezydentem i włóczył się po barach z ważniakami z Kapitolu. Był to człowiek niezwykle barwny, ekstrawagancki, wojowniczy i trzykrotnie rozwiedziony. Był też miłośnikiem dobrej, kosztownej whisky, zwłaszcza whisky od tego czy innego lobbysty. W Waszyngtonie przetrwał tylko dlatego, że uchodził za polityka prowadzącego najbardziej nieuczciwe i nieprzyzwoite kampanie wyborcze w historii amerykańskiego senatu, co było nie lada osiągnięciem. Był antysemitą i z czasem nawiązał bliskie stosunki z Saudyjczykami. Bliskie, a nawet bardzo bliskie. Jedno z wielu śledztw prowadzonych przez senacką komisję do spraw etyki ujawniło, że pewien arabski książę, ten sam, z którym Hubbard jeździł na narty do Austrii, wpłacił na jego kampanię wyborczą milion dolarów.

Często się ze sobą kłócili, on i Backman, przynajmniej początkowo. Hubbard chciał sprzedać oprogramowanie Saudyjczykom, twierdząc –

dawał za to głowę – że zapłacą za nie miliard dolarów. Tymczasem Back-man przyjął bardziej prowincjonalny punkt widzenia, uważając, że tak niebezpieczny produkt powinien pozostać w Stanach. Hubbard był przekonany, że udałoby mu się zawrzeć z Saudyjczykami umowę, w której złożyłby obietnicę, że nigdy nie wykorzystają Neptuna przeciwko USA, swojemu rzekomemu sojusznikowi. Backman obawiał się Izraelczyków, ich potężnych przyjaciół w Stanach Zjednoczonych, ich armii, a przede wszystkim ich tajnych służb specjalnych i wywiadowczych.

W tamtym czasie jego kancelaria reprezentowała wiele obcych firm i rządów. Była adresem, pod który udawał się każdy, kto szukał w Waszyngtonie natychmiastowych wpływów i dojsć. Wystarczyło zapłacić monstrualne honorarium i wszystkie drzwi stawały otworem. Na nie mającej końca liście klientów Backmana figurowały: japoński przemysł stalowy, południowokoreański rząd, Saudyjczycy, niemal cała sieć najbardziej szemranych karaibskich banków, przedstawiciele panującego reżimu panamskie-go, boliwijska spółdzielnia rolnicza, która nie produkowała niczego oprócz kokainy, i tak dalej, i tak dalej. Joel Backman miał wielu klientów legalnych i równie wielu co najmniej podejrzanych.

Plotka o tajemniczym oprogramowaniu powoli rozeszła się po całej kancelarii. Mogli zgarnąć najwyższe honorarium w historii firmy, a porażająco wysokich zgarnęli już niemało. Z czasem do spisku przystąpili pozostali wspólnicy, podsuwając szefowi coraz to nowe projekty spożytkowania opracowanego przez Pakistańczyków „zakłócacza”. O patriotyzmie powoli zapomniano – w zasięgu ręki było po prostu za dużo kasy! Reprezentowali duńską firmę, która zajmowała się awioniką dla chińskich sił powietrznych, i mając tak dobre dojsć, mogli ubić znakomity interes z Pekinem. Rząd Korei Południowej spałby o wiele spokojniej, gdyby wiedział, co dzieje się u jego północnych sąsiadów. Syryjczycy chętnie przekazaliby im zawartość swojego skarbcza narodowego w zamian za możliwość zneutralizowania izraelskiej łączności wojskowej. A pewien kartel narkotykowy zapłaciłby miliardy za sprawne narzędzie do śledzenia poczynań agentów DEA.

Czas mijał i z każdym dniem Joel Backman i banda jego zachłannych prawników robili się coraz bogatsi. W biurach i największych gabinetach firmy nie mówiło się prawie o niczym innym.

Lekarz był szorstki i gburowaty, i wyglądało na to, że nie ma zbyt wiele czasu dla nowego pacjenta. Cóż, ostatecznie to szpital wojskowy. Prawie

bez słowa zmierzył mu puls i ciśnienie, osłuchał serce i płuca, zbadał odruchy, a potem ni z tego, ni z owego oznajmił:

–Jest pan odwodniony.

–Jak to? – spytał Backman.

–Po długim locie to się zdarza. Zaczniemy od kroplówki. Za dwadzieścia cztery godziny wszystko wróci do normy.

–Od kroplówki? Takiej dożylniej?

–Tak.

–Nic z tego.

–Słucham?

–Czyja się jąkam? Nikt nie będzie mnie kłuł, nie znoszę igieł.

–Przecież pobraliśmy panu próbkę krwi.

–Tak, ale wtedy krew ze mnie wypływała, a pan chce coś we mnie wlać. Nic z tego, żadnych kroplówek.

–Ale jest pan odwodniony...

–Nic takiego nie czuję.

–To ja jestem lekarzem i stwierdzam, że jest pan odwodniony.

–W takim razie poproszę o szklankę wody.

Pół godziny później do separatki weszła pielęgniarka z szerokim uśmiechem na twarzy i garścią jakichś pigułek. Tabletek nasennych nie przyjął, a kiedy zaczęła wymachiwać mu przed nosem strzykawką, spytał:

–A to co?

–Ryax.

–Jaki, do diabła, ryax?

–Środek na rozluźnienie mięśni.

**–Siostro, tak się przypadkiem składa, że moje mięśnie są bardzo rozluźnione. Nie pamiętam, żebym skarżył się na skurcze. Lekarz też nic o nich nie wspomniał. Nikt nie pytał mnie o stan moich mięśni. Dlatego niech pani weźmie ten cały ryax, zrobi sobie zastrzyk w tyłek, a wtedy oboje będziemy znacznie bardziej rozluźnieni i radośniejsi.**

**Omam nie upuściła strzykawki. Na długą, pełną udręki chwilę odebrało jej mowę, a gdy ją wreszcie odzyskała, zdołała wykrztusić tylko cztery słowa:**

**–To ja... spytam lekarza.**

**–Koniecznie – odparł. – Albo wie pani co? Niech pani da tę szprycę jemu. Ma tłuste dupsko i chyba powinien się trochę rozluźnić.**

**Ale jej już nie było w pokoju.**



W pomieszczeniu po drugiej stronie bazy sierżant McAuliffe stuknął w klawisz i wysłał meldunek do Pentagonu. Z Pentagonu meldunek niemal natychmiast trafił do Langley, a tam przeczytała go Julia Javier, doświadczona weteranka, którą dyrektor Maynard osobiście wyznaczył do sprawy Backmana. Niecałe dziesięć minut po incydencie ze strzykawką Javier spojrzała na ekran monitora i mruknęła:

–Cholera jasna.

Potem poszła na górę.

Teddy Maynard jak zwykle siedział na końcu długiego stołu i szczelnie owinięty pledem, czytał jedno z niezliczonych sprawozdań, których sterty dostarczano mu co godzinę.

–Jest wiadomość z Aviano – zaczęła Javier. – Nasz pacjent nie chce przyjmować leków. Nie chce kroplówki. Ani żadnych tabletek.

–Nie mogą dodać mu czegoś do jedzenia? – spytał cicho Teddy.

–On nie je.

–Co mówi?

–Że coś mu zaszkodziło.

–To możliwe?

–Trudno powiedzieć, nie chodzi często do toalety.

–Pije coś?

–Dali mu szklankę wody, ale odmówił. Zażądał butelkowanej. Kiedy ją dostał, dokładnie sprawdził nakrętkę.

Maynard odsunął sprawozdanie i przetarł kciukami oczy. Pierwotny plan zakładał, że podadzą mu środki uspokajające – albo w kroplówce, albo w zastrzyku – zwałą go nimi z nóg, potrzymają w tym stanie przez dwa dni, a potem powoli przywrócą do życia za pomocą cudownej mieszanki narkotyków najnowszej generacji. Po kilku dniach w stanie silnego oszołomienia rozpoczęliby kurację pentotalem, serum prawdy, które w rękach doświadczonych śledczych zawsze było narzędziem przynoszącym dobre rezultaty.

Tak więc plan był prosty i niezawodny. Realizacja planu awaryjnego potrwałaby

**kilka miesięcy i wcale nie gwarantowała sukcesu.**

**–Ten człowiek zna wiele tajemnic – rzucił Teddy.**

**–Na pewno.**

**–Ale to dla nas nie nowina. Prawda?**

**–Tak.**

## Rozdział 5

woje z trojga dzieci Joela Backmana wyrzekło się go, gdy wybuchł skandal. Neal, najstarszy z nich, pisał do ojca co najmniej dwa razy w miesiącu, chociaż początkowo przychodziło mu to z dużym trudem.

Miał dwadzieścia pięć lat i gdy ojciec poszedł siedzieć, był młodszym wspólnikiem w jego firmie. O „zakłócaczu” i Neptunie nie wiedział prawie nic, mimo to FBI wymaglowało go i przekazało prokuraturze federalnej, a ta postawiła go w stan oskarżenia.

Na to, że Backman nagle przyznał się do winy, olbrzymi wpływ miała śmierć Hubbarda, ale bez wątpienia przyczyniły się do tego i władze, które tak niesprawiedliwie potraktowały jego syna. W wyniku układu zawartego z prokuraturą wszystkie zarzuty przeciwko Nealowi od razu wycofano, ale gdy tylko zapadł wyrok, Carl Pratt natychmiast go zwolnił, wezwał uzbrojonych ochroniarzy i kazał im wyprowadzić go z kancelarii. Nazwisko Backmana było teraz prawdziwym przekleństwem, dlatego potomek Joela nie mógł nawet marzyć o pracy w Waszyngtonie. Kumpel ze studiów miał wuja, emerytowanego sędziego, i po kilku telefonach Neal wylądował w miasteczku Culpeper, w Wirginii, gdzie zaproponowano mu pracę w małej, pięcioosobowej firmie prawniczej. Przyjął ją chętnie i ze szczerą wdzięcznością.

Łaknął anonimowości. Myślał nawet o zmianie nazwiska. Nie chciał rozmawiać o ojcu. Robił to, co musiał, spisywał testamenty i akty prawne, i wkrótce wpadł w małomiasteczkową rutynę. W końcu ożenił się nawet z miejscową dziewczyną i szybko spłodził córeczkę, drugą wnuczkę Joela i jedyną której dziadek miał zdjęcie.

O zwolnieniu ojca przeczytał w „Washington Post”. Długo rozmawiał o tym z żoną i krótko z kolegami z kancelarii. Sprawa ułaskawienia Joela Backmana wywołała w Waszyngtonie prawdziwe trzęsienie ziemi, ale do Wirginii, do Culpeper, nie doszedł nawet najmniejszy wstrząs. Wydawało się, że nikt nie chce o tym wiedzieć albo że nikogo to nie obchodzi. Neal nie był synem Gracza; był po prostu Nealem Backmanem, jednym z wielu prawników w małym południowym miasteczku.

Któregoś dnia jeden z sędziów odciągnął go na bok.

–Gdzie oni ukryli twojego staruszka? – spytał.

–Nie lubię o tym rozmawiać, panie sędzio – odparł z szacunkiem Neal.

Na pierwszy rzut oka nic się w Culpeper nie zmieniło. Neal żył i praco

**wał dokładnie tak samo jak przedtem, jakby prezydent ułaskawił zupełnie**

obcego człowieka. Ale cały czas czekał na telefon; czuł, że wcześniej czy później ojciec do niego zadzwoni.

Po jego wielokrotnych żądaniach siostra oddziałowa wzięła czapkę i zebrała prawie trzy dolary drobnymi. Pieniądze przekazano majorowi Herzogowi – wciąż się tak do niego zwracano – niezwykle uciążliwemu pacjentowi, którego stan pogarszał się z godziny na godzinę z powodu ewidentnego wygłodzenia. Major wziął pieniądze i ruszył prosto do automatu, który odkrył na pierwszym piętrze, po trzy małe torebki fritosów i dwa dr peppery. Wszystko to pochłonął w kilka minut i godzinę później siedział już w toalecie, bo dostał ostrej biegunki.

Ale przynajmniej nie był już tak głodny ani odurzony prochami i nie mówił rzeczy, których nie chciał powiedzieć.

Chociaż formalnie był człowiekiem wolnym, całkowicie ułaskawionym, i tak dalej, wciąż przebywał w pokoju niewiele większym od więziennej celi. Więzienne jedzenie było obrzydliwe, ale przynajmniej jadł je bez obaw, że ktoś go podtruje. A tu mógł jeść tylko płatki kukurydziane i pić wodę sodową. Pielęgniarki były niewiele milsze od sadystycznych klawiszy z Rudley. Lekarze tylko czyhali, żeby naszpikować go jakimś paskudztwem; wykonywali rozkazy kogoś z góry, był tego pewien. Dawał głowę, że tuż za ścianą jest mała izba tortur, gdzie rzuciliby się na niego, gdyby tylko prochy zaczęły działać.

Bardzo chciał wyjść na dwór. Tęsknił za świeżym powietrzem, za słońcem, dobrą wyżerką i za kontaktem z kimś, kto nie nosi munduru. I po dwóch bardzo długich dniach wreszcie się tego doczekał.

Trzeciego dnia do separatki wszedł młody mężczyzna nazwiskiem Stennett.

–No dobrze, panie Backman – zaczął uprzejmie, lecz z kamienną twarzą. – Nazywam się Stennett. To dla pana.

I rzucił mu kartonową teczkę; wylądowała na kocu w nogach łóżka, gdzie wały się stare, trzykrotnie już przeczytane czasopisma. Joel otworzył ją i zajrzał do środka.

–Marco Lazzeri?

–To pan, od teraz rodowity Włoch. Ma pan tam metrykę i dowód osobisty. Niech pan jak najszybciej wyryje to na pamięć.

–Co? To wszystko? Nie umiem nawet tego przeczytać.

**–To niech się pan nauczy. Za trzy godziny wyjeżdżamy. Podrzucę pana do miasta, gdzie pozna pan swojego nowego przyjaciela, który przez kilka dni będzie prowadził pana za rączkę.**

–Przez kilka dni?

–Może nawet przez miesiąc, zależy, jak szybko się pan zaaklimatyzuje. Joel odłożył teczkę.

–Dla kogo pan pracuje?

–Gdybym panu powiedział, musiałbym pana zabić.

–Bardzo śmieszne. Dla CIA?

–Dla rządu Stanów Zjednoczonych. Nic więcej nie musi pan wiedzieć.

Joel spojrział na oprawione w metalową framugę okno z solidnym zamkiem.

–Nie widzę tu paszportu.

–Tak. Cóż, to dlatego, że nie wybiera się pan za granicę, Marco. Czeka pana bardzo spokojne życie. Pańscy sąsiedzi będą myśleli, że urodził się pan w Mediolanie, ale wychował w Kanadzie i dlatego tak kiepsko mówi pan po włosku. Gdyby ni stąd, ni zowąd naszła pana ochota na zagraniczne wojaże, sprawy przybrałyby dość niebezpieczny obrót.

–Niebezpieczny?

–Marco, niech pan przestanie. Po co te gierki? Gdzieś tam, w szerokim świecie, są ludzie, którzy chętnie by pana znaleźli. Niech pan nas słucha, a nic takiego się nie stanie.

–Nie znam ani słowa po włosku...

–Na pewno pan zna. Pizza, spaghetti, *caffè*, brawo, opera, *mamma mia*. Resztę szybko pan podłapie. Im szybciej i sprawniej, tym będzie pan bezpieczniejszy. Damy panu korepetytora.

–Nie mam ani centa.

–Podobno. Szukali, szukali, ale nie znaleźli, co? – Stennett wyjął z kieszeni kilka banknotów i położył je na teczce. – Kiedy pan siedział, Włochy zrezygnowały z lira i przeszły na euro. Tu ma pan stówę. Jedno euro to mniej więcej jeden dolar. Za godzinę przyniosę panu ubranie. W teczce jest podręczny słowniczek, pańskie pierwsze słówka, coś około dwustu. Proponuję, żeby nie tracił pan czasu.

**Godzinę później wrócił z koszulą, spodniami, marynarką, butami i skarpetkami, oczywiście włoskimi, jak cała reszta.**

**–*Buon giorno* - powiedział.**

**–Ano cześć – odparł Backman.**

**–Samochód?**

**–*Macchina*.**

**–Bardzo dobrze, Marco. Zatem pora wsiąść do macchiny.**



Za kierownicą małego, nie rzucającego się w oczy fiata siedział milczący mężczyzna. Joel zgiął się wpół na tylnym siedzeniu z płócienną torbą, do której zapakował swój cały dobytek. Stennett usiadł z przodu. Było zimno i wilgotno, a spod cieniutkiej warstwy śniegu przebijała ziemia. Gdy wyjechali za bramę bazy, Joel poczuł pierwszy powiew wolności, chociaż wraz z falą podniecenia zalała go fala lęku.

Uważnie przyglądał się tablicom drogowym; z przedniego siedzenia wciąż nie padało ani jedno słowo. Jechali dwupasmową szosą numer 251, chyba na południe. Pod Pordenone ruch wyraźnie przybrał na sile.

–Ile mieszka tam ludzi? – spytał, przerywając ciężką ciszę.

–Pięćdziesiąt tysięcy - odparł Stennett.

–To są północne Włochy, tak?

–Północno-wschodnie.

–Daleko stąd do Alp?

Stennett kiwnął głową w prawo.

–Trochę ponad sześćdziesiąt kilometrów w tamtą stronę. W ładny dzień dobrze je widać.

–Możemy zatrzymać się gdzieś na kawę?

–Nie, bo... Bo nie mamy prawa się zatrzymywać.

Mówił tylko on, Stennett. Kierowca był chyba głuchy.

Okrążyli północny skraj miasta i wkrótce znaleźli się na czteropasmowej szosie A28. Wyglądało na to, że nie licząc kierowców ciężarówek, wszyscy pozostali są mocno spóźnieni do pracy. Ich fiat terkotał z prędkością ledwie stu kilometrów na godzinę, więc małe samochody śmigały tuż obok, jakby stał w miejscu. Stennett rozłożył włoską gazetę, „La Repubblica”, i zasłonił nią pół przedniej szyby.

Joel spojrział w boczne okno, na uciekający do tyłu krajobraz; znowu zapadło milczenie, co w sumie mu odpowiadało. Za oknem rozciągała się pagórkowata nizina. Musiała być żyzna, chociaż był koniec stycznia i pola ziały pustką. Tu i ówdzie, wysoko na zboczach odległych wzgórz, widać było stare wille.

Raz taką wynajął. Kiedyś, przed kilkunastoma laty, jego żona numer dwa zagroziła

odejściem, jeśli nie zabierze jej gdzieś na długie wakacje. Pracował wtedy po osiemdziesiąt godzin w tygodniu i mógłby pracować jeszcze więcej. Wolał mieszkać w biurze, bo sądząc po tym, co działo się w domu, życie było tam znacznie spokojniejsze. Sęk w tym, że rozwód za dużo by kosztował, dlatego któregoś dnia oznajmił wszem wobec, że za-

biera ukochaną żonę na miesięczny urlop do Toskanii. Zachowywał się tak, jakby to był jego pomysł: „Miesięczna przygoda z winem i włoską kuchnią w sercu Chianti!”

Pojechali do czternastowiecznego klasztoru pod prastarym San Gimignano, gdzie czekała na nich armia gospoś, kucharzy, a nawet szofer. Ale czwartego dnia tej przygody otrzymał niepokojącą wiadomość, że senacka komisja budżetowa rozważa skreślenie klauzuli, która pozbawiłaby jego klienta – rządowego dostawcę wojskowego – przychodu w wysokości dwóch miliardów dolarów. Wrócił do domu wynajętym samolotem, bo przecież musiał tamtych solidnie objechać i przywołać ich do porządku. Żona numer dwa została w klasztorze i, jak się potem dowiedział, sypiała z młodym szoferem. Przez tydzień codziennie do niej dzwonił, obiecując, że niedługo wróci, ale po siedmiu dniach przestała podnosić słuchawkę.

Złatwił wszystko z klasą, jak to on, i klauzuli nie wykreślono.

Miesiąc później żona wniosła o rozwód i tak rozpoczęła się zażarta walka, w której wyniku stracił ponad trzy miliony dolarów.

I pomyśleć, że była jego ulubioną żoną. A teraz nie miał żadnej. Wszystkie się gdzieś rozpierzchły, odeszły raz na zawsze. Pierwsza, matka jego dzieci, od urodzenia Joela dwa razy wyszła za męża, a jej obecny mąż dorobił się majątku na eksporcie płynnych nawozów sztucznych do krajów Trzeciego Świata. Napisała do niego, do więzienia krótki, okrutny list, w którym wychwalała amerykański system sądowniczy za to, że rozprawił się w końcu z jednym z najgroźniejszych bandytów w kraju.

Wcale się jej nie dziwił. Spakowała manatki zaraz po tym, jak przyłapała go z sekretarką, słodką idiotką, przyszłą żoną numer dwa.

Żona numer trzy opuściła okręt, gdy tylko postawiono go w stan oskarżenia.

Parszywe życie. Bo cóż mu pozostało po latach zwodzenia klientów, podrywania sekretarek, wyciskania wszystkich soków z tych małych, ośli-złych polityków, po latach całotygodniowej harówki i zaniedbywania trojga zadziwiająco normalnych dzieci, po latach zmyślnego tworzenia swojego wizerunku publicznego, bezgranicznego rozdymania ego, uganiania się za kasą, kasą i jeszcze raz kasą? Jaka nagroda spotkała go za ten nierozważny amerykański sen?

Sześć lat za kratkami. I nowe nazwisko, bo to stare było zbyt niebezpieczne. No i jeszcze sto dolarów w kieszeni.

Marco? Czy mógłby spoglądać co rano do lustra i mówić: *Buon giorno, Marco?*

Lepsze to niż: Witam, panie kryminalisto.

Stennett nie tyle czytał gazetę, ile się z nią mocował, i to tak intensywnie, że cały czas podskakiwała, marszczyła się i gniotła. Zerkał na niego nawet sfrustrowany kierowca.

Gdy minęli tablicę, z której wyczytał, że dzieli ich sześćdziesiąt kilometrów od Wenecji, postanowił przerwać to monotonne milczenie.

–Chciałbym tam zamieszkać – powiedział. – W Wenecji. Oczywiście pod warunkiem, że Biały Dom nie miałby nic przeciwko temu.

Kierowca drgnął, gazeta opadła co najmniej o piętnaście centymetrów. Wyraźnie wzrosło napięcie, ale po chwili Stennett wzruszył ramionami i mruknął:

–Przykro mi.

–Muszę siusiu – nie ustępował Joel. – Naprawdę. Może pan poprosić władze o zgodę na siusiu?

Zatrzymali się za Conegliano, w nowoczesnym przydrożnym *servizio*. Stennett postawił mu kawę. Joel wziął filiżankę, stanął przy oknie i patrząc na pędzące szosą samochody, przysłuchiwał się ostrej wymianie zdań między jakimś chłopakiem i dziewczyną. Nie wypowiedzieli ani jednego słowa z dwustu, których próbował nauczyć się na pamięć w szpitalu. To zadanie wyraźnie go przerastało.

Podszedł do niego Stennett i też wbił wzrok w okno.

–Był pan we Włoszech?

–Tylko raz, w Toskanii. Przyjechałem na miesiąc...

–Naprawdę? Na cały miesiąc? Musiało się panu podobać.

–Nie, wyjechałem już po czterech dniach. Moja żona siedziała tu miesiąc; spotkała znajomych. A pan? Często pan tu bywa?

–Dużo jeżdżę. – Nieprzenikniona twarz, wymijające słowa. I łyk kawy z maleńkiej filiżanki. – Conegliano, znane z prosecco.

–Włoski odpowiednik szampana.

**-Tak. Pije pan?**

**-Od sześciu lat nie wypilem ani kropli.**

**-W więzieniu nie podawali?**

**-Nie.**

**-A teraz?**

**-Pewnie znowu zacznę. Kiedyś lubilem. Paskudny nałóg.**

–Lepiej już jedźmy.

–Daleko jeszcze?

–Nie.

Stennett ruszył do drzwi, ale Joel go zatrzymał.

–Jestem głodny. Mógłbym dostać kanapkę na drogę?

Stennett spojrzał na półkę zavaloną świeżo zrobionymi *panini*.

–Oczywiście.

–To może dwie?

–Nie ma sprawy.

Szosa A27 prowadziła na południe, prosto do Treviso, i kiedy stało się jasne, że tego miasta nie ominą, Joel założył, że podróż dobiega końca. Kierowca zwolnił, dwa razy skręcił i wkrótce podskakiwali już na wąskich uliczkach Treviso.

–Ile mieszka tu ludzi? – spytał.

–Osiemdziesiąt pięć tysięcy – odparł Stennett.

–Co to za miasto?

–Małe, ale bogate. Od pięciuset lat prawie się nie zmieniło. Było wiernym sojusznikiem Wenecji w czasach, kiedy wielkie miasta ze sobą walczyły. Podczas wojny nasze bombowce dały tu takiego czadu, że hej. Ładne

miasteczko, prawie bez turystów.

Dobre miejsce na kryjówkę, pomyślał Joel.

–Tutaj wysiadam?

–Może.

Wysoka wieża zegarowa ściągała cały ruch do centrum, do Piazza dei Signori, gdzie między pełznącymi powoli samochodami śmigały skutery, których kierowcy nie znali chyba strachu. Joel chłonał widoki: małe, urokliwe sklepiki, *tabaccheria* z

**blokującymi drzwiami rzędami gazet, *farmacia* z neonowym zielonym krzyżem, sklep mięsny z wszelkiego rodzaju szynkami wiszącymi w oknie, no i oczywiście maleńkie uliczne kafejki ze stolikami okupowanymi przez ludzi, którzy najwyraźniej mogli siedzieć tam godzinami, czytając, plotkując i popijając espresso. Dochodziła jedenasta. Z czego oni żyli, skoro już godzinę przed lunchem robili sobie przerwę na kawę?**

**Postanowił, że kiedyś to sprawdzi.**

**Wciąż bezimienny kierowca zatrzymał na chwilę samochód. Stennett wyjął komórkę, wybrał numer i kilka sekund później zagadał do kogoś po włosku. Skończywszy, wskazał ręką przez okno i spytał:**

–Widzi pan tę kawiarenkę? Tam, pod tą czerwono-białą markizą. Caffè

Donati,

Joel wyciągnął szyję.

–Tak, widzę.

–Wejdzie pan tam, minie bar i usiądzie na końcu sali, gdzie stoi osiem stolików. Zamówi pan kawę i zaczeka.

–Na co?

–Na kogoś, kto podejdzie do pana za dziesięć minut. Zrobi pan to, co ten człowiek powie.

–A jeśli nie zrobię?

–Bez żadnych sztuczek, Marco. Będziemy pana obserwowali.

–Kto to będzie?

–Pański nowy przyjaciel. Posłucha go pan i może pan przeżyje. Zrobi pan coś głupiego i nie przetrwa pan miesiąca. – Stennett powiedział to z wyraźnym zadowoleniem, jakby cieszył się, że wkurzył biednego Marca.

–A więc to już nasze *adios*, tak? – Joel sięgnął po torbę.

–*Arrivederci*, nie *adios*. Ma pan papiery?

–Mam.

–W takim razie *arrivederci*.

Joel powoli wysiadł i ruszył przed siebie. Kusilo go, żeby się odwrócić albo chociaż zerknąć przez ramię i sprawdzić, czyjego obrońca Stennett wciąż tam jest, czy wciąż go pilnuje i chroni przed nieznanym. Ale się nie odwrócił. Starając się wyglądać jak najnormalniej, szedł powoli ulicą z torbą, jedyną płócienną torbą, jaką widział w tej chwili na centralnym placu Treviso.

Stennett oczywiście go obserwował. On i kto jeszcze? Na pewno jego nowy przyjaciel, który gdzieś się tam krył i częściowo przesłonięty gazetą, dawał znaki Stennettowi i reszcie. Joel przystanął przed *tabaccheria* i powiódł wzrokiem po



nagłówkach włoskich gazet, chociaż nie rozumiał z nich ani słowa. Przystanął, bo mógł przystanąć, bo mógł swobodnie sobą dysponować, bo był wolnym człowiekiem i miał prawo przystanąć gdziekolwiek chciał i pójść dalej, kiedykolwiek naszłaby go na to ochota.

Gdy wszedł do Caffè Donati, młody człowiek, który przecierał barową ladę, powitał go cichym: „*Buon giorno*”.

–*Buon giorno* – wykrztusił w odpowiedzi, po raz pierwszy zwracając się po włosku do prawdziwego Włocha. Żeby uniknąć dalszej rozmowy, od razu poszedł dalej, mijając bar, kręte schody ze strzałką wskazującą drogę

do sali na górze i długą ladę ze wspaniałymi zapiekankami. Pomieszczenie na samym końcu było ciasne, ciemne i zasnute mgłą papierosowego dymu. Ten i ów na niego zerknął, ale on usiadł przy wolnym stoliku, nie zwracając na to uwagi. Był przerażony. Bał się kelnerki, bał się cokolwiek zamówić, bał się, że go zdemaskują – już teraz, zaraz, na samym początku ucieczki -dlatego spuścił głowę i zaczął przeglądać swoje nowe papiery.

–*Buon giorno*. – Po jego lewej stronie wyrosła kelnerka.

–*Buon giorno* – odparł. I zanim zdążyła zasypać go gradem słów, proponując coś z menu, szybko dodał: – *Espresso*,

Kelnerka uśmiechnęła się i powiedziała coś niezrozumiałego, na co odrzekł:

–*No*.

Poskutkowało. Odeszła i tak odniósł swoje pierwsze wielkie zwycięstwo. Nikt się na niego nie gapił, nikt nie spojrział na niego jak na nieokrzesanego obcokrajowca. Gdy wróciła, powiedział cichutko: „*Grazie*”, a ona się nawet uśmiechnęła. Pił kawę powoli, nie wiedząc, na jak długo będzie musiała mu wystarczyć i nie chcąc dopić jej za wcześnie, bo gdyby dopił, musiałby znowu coś zamówić.

Wokoło rozbrzmiewały rozmowy po włosku, nieustanny szmer głosów ludzi wypowiadających słowa z szybkością karabinu maszynowego. Czy angielski też był takim „szybkim” językiem? Pewnie tak. Doszedł do wniosku, że opanowanie włoskiego na tyle, żeby zrozumieć, co się wokół niego mówi, jest zupełnie niemożliwe. Popatrzył na swoją nędzną, ledwie dwustuwyrazową listę słówek, wyteżył słuch i przez kilka chwil rozpaczliwie próbował wyłowić z chaosu choćby jedno z nich.

Przechodząca obok kelnerka zadała mu jakieś pytanie. Odpowiedział standardowo: „*No*” – i znowu poskutkowało.

A więc tak. Joel Backman pił sobie włoskie espresso w małej kawiarence na rogu Via Verde i Piazza dei Signori w centrum Treviso w północno-wschodnich Włoszech, podczas gdy jego dawni kumple z federalnego zakładu penitencjarnego w Rudley wciąż siedzieli pod kluczem w pojedynczych celach, jedząc wstrętne jedzenie, pijąc wodnistą kawę, użerając się z sadystycznymi strażnikami, przestrzegając głupich regulaminów i zadręczając się świadomością, że upłyną lata, zanim będą mogli pomarzyć o życiu na wolności.

Tak więc wbrew czyimś pierwotnym zamysłom nie dane mu będzie umrzeć za

**kratkami. Ani zmarnieć na cieie, duszy i umyśle. Oszukał swoich**

prześladowców na czternaście lat i bez kajdan na rękach i nogach siedział teraz w uroczej kawiarence zaledwie godzinę jazdy od Wenecji.

Tylko dlaczego myślał o więzieniu? Bo po sześciu latach kompletnej pustki wstrząs był nieunikniony. Bo przeszłość, a przynajmniej jej część, zawsze nosi się w sobie, bez względu na to, jak bardzo jest niemiła. Dlatego to, że po więziennym koszmarze nagle odzyskał wolność, było takie słodkie. Przywyknie. Potrzebował tylko czasu i obiecał sobie, że od tej chwili skupi się na terażniejszości.

Przyszłość? Nawet o niej nie myśli. Wsłuchaj się w dźwięki, w głosy rozgadanych przyjaciół, w ich śmiech. Wsłuchaj się w szept mężczyzny rozmawiającego przez telefon komórkowy, w głos pięknej kelnerki, która właśnie woła do kogoś z kuchni. Chłoń zapachy: papierosowy dym, bogaty aromat kawy i świeżych ciastek, ciepły zapach małej, prastarej przestrzeni, gdzie miejscowi spotykają się od stu, dwustu, może nawet trzystu lat.

I po raz setny zadał sobie to pytanie: Dlaczego w ogóle tu był? Dlaczego wywieziono go ukradkiem z więzienia, a potem z kraju? Ułaskawienie to jedno, ale doskonale zorganizowana międzynarodowa ucieczka? Dlaczego po prostu nie wręczyli mu papierów, nie kazali pożegnać się z Rudley i nie pozwolili mu żyć po swojemu, jak wszystkim dopiero co ułaskawionym przestępcom?

Miał przecucie. Chyba się czegoś domyślał. Mógłby zaryzykować względnie celny strzał.

I to go przerażało.

Luigi wyrósł przed nim jak spod ziemi.

## Rozdział 6

iał trzydzieści kilka lat, ciemne, smutne oczy, ciemne włosy do połowy uszu i co najmniej trzydniowy zarost na twarzy. Był w grubej, chłopskiej kurtce, co w połączeniu z nieogoloną twarzą upodabniało go do przystojnego wieśniaka. Zamówił espresso i niemal cały czas się uśmiechał. Joel natychmiast zauważył, że ma czyste ręce i paznokcie oraz proste zęby. Chłopska kurtka i zarost stanowiły część przebrania. Luigi ukończył pewnie Harvard.

Mówił doskonałą angielszczyzną, którą ozdabiał leciutkim obcym akcentem, pewnie po to, żeby dać wszystkim do zrozumienia, że tak naprawdę jest Włochem. Powiedział, że pochodzi z Mediolanu. Że jego ojciec był dyplomata, że ożenił się z Amerykanką i że już jako małżeństwo jeździli wraz z dziećmi po całym świecie. Joel domyślał się, że nowy przyjaciel dużo o nim wie, dlatego drążył i wypytywał go, żeby dowiedzieć się czegoś o nim.

Ale dowiedział się niewiele. Żona? Brak. College? W Bolonii. Studia? W Stanach Zjednoczonych – gdzieś na środkowym zachodzie. Posada? Państwowa. Państwowa włoska? Czy amerykańska? Tego nie mógł mu powiedzieć. Często się uśmiechał i uśmiechem tym zbywał pytania, których wolał uniknąć. Joel miał do czynienia z zawodowcem, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

–Rozumiem, że sporo o mnie wiesz.

Znowu ten uśmiech, znowu te idealne zęby. Gdy Luigi się uśmiechał, przymykał na chwilę swoje smutne oczy. Kobiety musiały za nim szaleć.

–Czytałem twoje akta.

–Akta? Moje akta nie zmieściłyby się w tej sali.

–Czytałem akta...

–Dobra. Jak długo Hubbard był senatorem?

–O wiele za długo. Posłuchaj, Marco. Nie będziemy wracać do przeszłości. Mamy za dużo pracy.

–Nie możecie dać mi innego imienia? Za tym jakoś nie przepadam.

–To nie ja je wybrałem.

A kto?

–Nie wiem. Ale na pewno nie ja. Zadajesz mnóstwo bezsensownych pytań.

–Przez dwadzieścia pięć lat byłem prawnikiem. To stary nawyk. Luigi dopił resztkę kawy i położył na stoliku kilka euro.

–Chodźmy się przejść – rzucił, wstając.

Joel wziął torbę, wyszli z kawiarni i skręcili w boczną uliczkę, gdzie ruch był

**mniejszy. Przeszli zaledwie kilka kroków, gdy nagle Luigi przystanął.**

**–Albergo Campeol. Twój pierwszy przystanek.**

**–To? Co tu jest? – Stali przed ozdobionym sztukaterią trzypiętrowym domem, wciśniętym między dwa inne. Nad wejściem powiewały kolorowe flagi.**

–Miły hotelik. *Albergo* znaczy hotel. Jeśli chcesz, możesz mówić „hotel”, ale w małych miastach wolą *albergo*.

–Łatwy język. – Joel rozejrzał się po ulicy, swoim nowym sąsiedztwie.

–Łatwiejszy od angielskiego. Zobaczymy. Ile znasz języków?

–Pięć czy sześć.

Weszli do małego holu i Luigi porozumiewawczo skinął głową recepcjoniście. Joel zdołał wyartykułować znośne: „*Buon giorno*” i szybko poszedł dalej, żeby uniknąć dłuższej rozmowy. Schody, kilka półpięter, piętro, długi korytarz, pokój na końcu korytarza. Numer 30. Luigi miał klucz. Skromnie urządzone, ale ładne mieszkanie z oknami z trzech stron i z widokiem na kanał.

–Ten jest najładniejszy – powiedział Luigi. – Bez luksusów, ale ujdzie.

–Szkoda, że nie widziałeś mojego ostatniego pokoju. – Joel rzucił torbę na łóżko i zaczął rozsuwać kotary.

Luigi otworzył drzwi do malutkiej garderoby.

–Popatrz. Masz tu cztery koszule, cztery pary spodni, dwie marynarki i dwie pary butów, wszystko w twoim rozmiarze. Jest jeszcze gruby, wełniany płaszcz; w Treviso bywa bardzo zimno.

Joel popatrzył. Ubrania wisiały jak na wystawie, wyprasowane i gotowe do włożenia. Były w gustownych, stonowanych kolorach, a każdą koszulę można było nosić z każdą marynarką czy spodniami. Patrzył, patrzył, w końcu wzruszył ramionami.

–Dzięki.

–W szufladzie są pasek, skarpetki i bielizna, wszystko, co trzeba. W łazience znajdziesz przybory toaletowe.

–Co mogę powiedzieć?

–A na biurku masz dwie pary okularów. – Luigi podniósł jedno do światła. Małe, prostokątne szkła i cienkie, metalowe oprawki, bardzo europejskie. – Od Armaniego – dodał nie bez dumy.

–Do czytania?

**–Tak i nie. Proponuję, żebyś wkładał je przed wyjściem z hotelu. To część przebrania. Część twojego nowego,ja".**

**–Szkoda, że nie znałeś starego.**

**Chyba tego nie żałuję. Wygląd jest we Włoszech bardzo ważny, zwłaszcza tu, na północy. Twój strój, okulary, twoje włosy: wszystko musi do siebie pasować, bo jeśli nie, od razu cię zauważą.**



Joel był trochę zakłopotany, ale z drugiej strony, co tam. Ostatecznie chodził w więziennych łańkach, i to o wiele dłużej, niż chciałby o tym pamiętać. W czasach swojej świetności rutynowo wydawał po trzy tysiące dolarów na dobrze skrojony garnitur.

Luigi kontynuował wykład:

–Żadnych szortów, czarnych skarpetek i białych adidasów. Żadnych golfów czy spodni z włókna sztucznego. I proszę, tylko nie zacznij tyć.

–Pocałuj mnie w dupę. Jak to jest po włosku?

–Niedługo do tego dojdziemy. Tutejsze zwyczaje i przyzwyczajenia odgrywają bardzo ważną rolę. Są miłe i łatwo się ich nauczyć. Na przykład, nigdy nie zamawia się cappuccino przed dziesiątą trzydzieści. Za to espresso można zamawiać o każdej porze dnia. Wiedziałeś o tym?

–Nie.

Tylko turyści zamawiają cappuccino po lunchu czy po kolacji. To hańba i wstyd. Tyle mleka na pełny żołądek. – Luigi zmarszczył czoło i zrobił taką minę, jakby miał zaraz zwymiotować. Joel podniósł prawą rękę.

–Przysięgam, że nigdy tego nie zrobię.

–Usiądź. – Luigi wskazał ręką małe biurko i dwa krzesła. Usiedli. – Po pierwsze, ten pokój. Wynająłem go na moje nazwisko, ale w recepcji myślą, że jesteś kanadyjskim biznesmenem i przyjechałeś tu na dwa tygodnie.

–Na dwa?

–Tak. Potem przeniesiemy cię gdzie indziej. – Luigi powiedział to groźnie, a nawet złowieszczo, jakby w Treviso grasowały już szwadrony zabójców polujących na Joela Backmana. – Od tej chwili będziesz zostawiał za sobą ślady. Nigdy o tym nie zapominaj: wszystko to, co zrobisz, każdy człowiek, którego poznasz, to część twojego śladu. A tajemnica przetrwania polega na tym, żeby zostawić ich jak najmniej. Dlatego rozmawiaj tylko z tymi, z którymi naprawdę musisz, unikaj nawet recepcjonisty i sprzątaczek. Pamiętaj, że personel hotelowy uważnie przypatruje się gościom i ma dobrą pamięć. Za pół roku ktoś może tu przyjść i zacząć o ciebie wypytywać. Może mieć twoje zdjęcie. Może dać komuś w łapę. recepcjonista nagle przypomni sobie, że tu mieszkałeś, że prawie nie mówiłeś po włosku.

**-Mam pytanie...**

–A ja niewiele odpowiedzi.

**Dlaczego akurat tutaj? Dlaczego do kraju, w którym nie mogę się z nikim dogadać? Dlaczego nie do Anglii czy Australii, gdzieś, gdzie mógłbym łatwiej wtopić się w tłum?**

–Tę decyzję podjął ktoś inny, Marco. Nie ja.

–Tak myślałem.

–To po co pytałeś?

–Nie wiem. Można złożyć podanie o przeniesienie?

–Kolejne bezsensowne pytanie.

–Nie pytanie, tylko marny dowcip. Możemy kontynuować?

–Możemy.

–Przez kilka pierwszych dni będę zabierał cię na lunch i kolację. Pochodzimy trochę po knajpkach, pozwiedzamy. Treviso to ładne miasto z mnóstwem kafejek; zaliczymy wszystkie. Musisz zacząć myśleć o dniu, kiedy mnie już tu nie będzie. Uważaj, z kim rozmawiasz.

–Jeszcze jedno...

Tak, Marco?

–Chodzi o pieniądze. Nie lubię być bez centa przy duszy. Zamierzacie przyznać mi kieszonkowe czy coś w tym rodzaju? Mógłbym myć ci samochód. Albo coś zanieść, przynieść, pozamiatać...

–Co znaczy kieszonkowe?

–Kasa, gotówka. Pieniądze w kieszeni.

–O pieniądze się nie martw. Rachunkami zajmę się chwilowo ja. Nie będziesz chodził głodny.

–Dobra.

Luigi sięgnął do kieszeni i wyjął telefon komórkowy. To dla ciebie.

**–Ale do kogo mam niby dzwonić?**

**–Do mnie, w razie potrzeby. Numer jest z tyłu.**

**Joel położył telefon na biurku.**

**–Zgłodniałem. Marzy mi się dobry lunch: makaron, wino, deser, no i oczywiście espresso, na pewno nie cappuccino, nie o tej porze, a potem sjesta. Jestem we Włoszech od czterech dni i od czterech dni jem tylko chipsy i kanapki. Co ty na to?**

**Luigi zerknął na zegarek.**

**–Znam dobry lokal, ale najpierw interesy. Nie mówisz po włosku, tak?**

Joel przewrócił oczami i sfrustrowany głośno westchnął. Potem uśmiechnął się i odparł:

–Nie, nigdy nie miałem okazji nauczyć się ani włoskiego, ani francuskiego, ani niemieckiego, ani żadnego innego. Jestem Amerykaninem, chwytasz? Mój kraj jest większy niż cała Europa razem wzięta. Wystarcza nam angielski.

–Nie zapominaj, że jesteś Kanadyjczykiem.

–Dobra, wszystko jedno. Stany i Kanada są odizolowane. Jesteśmy tylko my i oni.

–Mam cię ochraniać, to moje zadanie.

–Dziękuję.

–I żeby było nam łatwiej, musisz nauczyć się włoskiego, im szybciej, tym lepiej.

–Rozumiem.

–Dostaniesz korepetytora, młodego studenta; ma na imię Ermanno. Będzie uczył cię rano i po południu. Czeka cię ciężka praca.

–Ile to potrwa?

–Ile będzie trzeba. Wszystko zależy od ciebie. Jeśli będziesz pilnie pracował, za trzy, cztery miesiące powinieneś dać sobie radę.

–Jak długo uczyłeś się angielskiego?

–Moja matka była Amerykanką. W domu mówiliśmy po angielsku, poza domem po włosku.

–To nie fair. Jakie jeszcze znasz języki?

–Hiszpański, francuski i kilka innych. Ermanno jest znakomitym nauczycielem. A twoja klasa jest tam, na drugim końcu ulicy.

–Nie tutaj? Nie w hotelu?

–Nie, nie. Nie zapominaj o śladach. Co powiedziałby tutejszy goniec czy sprzątaczką, gdyby na cztery godziny dziennie przychodził do ciebie młody chłopak?

–Boże uchowaj.

**–Sprzątaczką podsłuchałaby was pod drzwiami i odkryła, co robicie. Powiedziałałaby kierownikowi i za parę dni cały personel wiedziałby, że kanadyjski biznesmen intensywnie uczy się włoskiego. Cztery godziny dziennie!**

**–Dobra, rozumiem – odparł Joel. – A teraz lunch.**

**Wychodząc z hotelu, zdołał uśmiechnąć się do recepcjonisty, portiera i szefa gości. Poszli do centrum, na Piazza dei Signori, główny plac**

miasta otoczony arkadami i kafejkami. Było południe i na ulice wyległo więcej miejscowych, którzy spieszili chyba na lunch. Trochę się ochłodziło, chociaż w wełnianym płaszczu było mu ciepło i wygodnie. Robił, co mógł, żeby wyglądać na Włocha.

–Wbijamy się do środka czy zostajemy tutaj? – spytał.

–Nie, wchodzimy – odparł Luigi i weszli do Caffè Beltrame. Wnętrze ogrzewał stojący przy drzwiach ceglany piec, a z tyłu dochodził przepyszny zapach smakowitej uczy. Luigi i kierownik sali zagadali do siebie w tej samej chwili, potem się roześmiali i natychmiast znalazł się dla nich stolik przy oknie.

–Mamy szczęście – powiedział Luigi, gdy zdjęli okrycia i usiedli. – Daniem dnia jest dzisiaj *faraona eon polenta*.

–A cóż to takiego?

–Perliczka z polentą.

–Mają coś jeszcze?

Luigi spojrzał na jedną z tablic zwisającą z poprzecznych belek pod sufitem.

–*Panzerotti di funghi al burro*: zapiekanka ze smażonymi grzybami. *Conchiglie eon cavalfiori*: makaronowe muszelki z kalafiorem. *Spiedino di carne misto alla griglia*: kebab z grilla z kilku rodzajów mięs.

–Wezmę wszystko.

–Mają tu bardzo dobre wino...

–Lubię czerwone.

W ciągu kilku minut sala wypełniła się miejscowymi i wydawało się, że wszyscy się tu znają. Mały, miły człowieczek w brudnym białym fartuchu, który przebiegał obok ich stolika, zwolnił kroku na tyle, żeby nawiązać kontakt wzrokowy z Joelem. Niczego nie zapisując, przyjął zamówienie, czyli długą listę potraw, którą Luigi wyrzucił z siebie jednym tchem. Na stół wjechały dzban czerwonego wina, miseczka ciepłej oliwy oraz półmisek focaccia w plastrach i Joel zaczął jeść. W tym czasie Luigi cierpliwie tłumaczył mu zawitości lunchu i kolacji, opisywał miejscowe tradycje i zwyczaje, a przy tym najczęstsze błędy popełniane przez turystów próbujących uchodzić za rodowitych Włochów.

**Nie ma to jak nieustanna nauka, a w jego obecności Joel uczył się non stop.**

**Gdy delektując się, wypił pierwszy łyk wina, alkohol momentalnie uderzył mu do głowy i Joel poczuł, jak całe jego ciało zalewa fala cudownie**



odrętwiającego ciepła. Był wolny, na wiele lat przed czasem: siedział w regionalnej włoskiej knajpcie w miasteczku, o którym nigdy dotąd nie słyszał, pił dobre miejscowe wino i wdychał cudownie apetyczne zapachy. Z uśmiechem na ustach słuchał wykładu Luigiego, mimo to w pewnej chwili odplynał do zupełnie innego świata.

Ermanno twierdził, że ma dwadzieścia trzy lata, ale wyglądał na góra szesnaście. Wysoki i straszliwie chudy, miał rudoblond włosy, piwne oczy i bardziej przypominał Niemca niż Włocha. Był też bardzo nieśmiały i nerwowy i w sumie zrobił na Joelu niemiłe wrażenie.

Spotkali się w maleńkim mieszkanku na drugim piętrze zaniedbanej kamienicy sześć czy siedem domów od hotelu. Mieszkanie składało się z trzech maleńkich pomieszczeń – kuchni, sypialni i saloniku – i stało w nim zaledwie kilka mebli, lecz z drugiej strony, cóż, Ermanno był studentem i należało się tego spodziewać. Wyglądało to jednak tak, jakby dopiero co się wprowadził i miał się zaraz wyprowadzić.

Siedzieli przy małym biurku pośrodku saloniku. Nie było nawet telewizora. Zimno, słabe oświetlenie – Joel poczuł się tak, jakby postawiono go nagle na środku podziemnej szosy, którą zbudowano do utrzymywania przy życiu uciekinierów i potajemnego przerzucania ich z miejsca na miejsce. Miłe ciepło, jakie ogarnęło go po dwugodzinnym lunchu, szybko odchodziło w zapomnienie.

Nie pomagała mu również nerwowość korepetytora.

Widząc, że nie potrafi opanować sytuacji, Luigi wkroczył do akcji i pchnął sprawę do przodu. Zaproponował, żeby uczyli się co rano od dziewiątej do jedenastej, potem żeby robili sobie dwugodzinną przerwę, spotykali się ponownie o pierwszej i kontynuowali aż do zmęczenia. Propozycja przypadła do gustu zarówno Ermannowi, jak i Joelowi, którego kusilo, żeby zadać oczywiste pytanie: skoro Ermanno jest studentem, jakim cudem ma czas na całodzienne korepetycje? Ale szybko to sobie odpuścił. Zdążył wypytać go potem.

Ermanno w końcu się odprężył i zapoznał go z programem kursu. Gdy mówił powoli, akcent miał do zniesienia. Ale gdy przyspieszał, brzmiało to tak, jakby nagle przeszedł na włoski. W pewnej chwili Luigi przerwał mu:

–Ermanno, powoli. Ważne jest, żebyś mówił bardzo powoli, przynajmniej przez kilka pierwszych dni.

–Dziękuję – wtrącił Joel, jak na przemądrzałego dupka przystało. Ermanno poczerwieniał.

–Przepraszam – bąknął nieśmiało.

Dał mu pierwsze pomoce naukowe: podręcznik, magnetofon kasetowy i dwie kasy.

–Taśmy są do książki – wyjaśnił powoli. – Dzisiaj przerobi pan rozdział pierwszy i kilka razy przesłucha kasy. Zaczniemy jutro.

–I to intensywnie – podkreślił Luigi, jeszcze bardziej stresując już i tak zestresowanego Joela.

–Gdzie uczyłeś się angielskiego?

–Na uniwersytecie – odparł Ermanno. – W Bolonii.

–A więc nie studiowałeś w Stanach?

–Studiowałem. – Ermanno zerknął nerwowo na Luigiego, najwyraźniej wołał o tym nie mówić. W przeciwieństwie do tego ostatniego można było w nim czytać jak w otwartej księdze, więc na pewno nie należał do zawodowców.

–Gdzie? – drażył Joel, chcąc sprawdzić, do czego się dokopie.

–W Furman. To taka mała uczelnia w Karolinie Południowej.

–Kiedy?

Luigi odchrząknął, spiesząc biedakowi na ratunek.

–Na rozmowy towarzyskie będziecie mieli czas później. Marco, waż ne jest, żebyś zapomniał o angielskim. Od dzisiaj będziesz żył tylko w świecie włoskiego. Wszystko, czego dotykasz, ma swoją włoską nazwę. Musisz przekładać na włoski każdą myśl. Za tydzień będziesz zamawiał lunch w restauracji. Za dwa będziesz po włosku śnił. To jest totalne, całkowite zanurzenie w język i kulturę, i nie ma od tego odwrotu.

**–Możemy zaczynać o ósmej? – spytał Joel. Ermanno zerknął na niego i poruszył się niespokojnie.**

**–Może o wpół do dziewiątej?**

**–Dobra, będę o wpół do dziewiątej.**

**Wrócili spacerkiem na Piazza dei Signori. Było późne popołudnie i ruch uliczny wyraźnie zelżał, a chodniki prawie opustoszały. Luigi przystanął przed Trattoria del Monte i ruchem głowy wskazał drzwi.**

**–Spotkamy się tu o ósmej na kolacji, dobrze?**

**–Dobrze.**

**–Trafisz do hotelu?**

**–Tak. *Albergo* to *albergo*.**

**–Masz plan miasta?**

**–Mam.**

**–Dobrze, w takim razie cię zostawiam. Jesteś zdany na własne siły. Po tych słowach Luigi skręcił w boczną uliczkę i zniknął. Joel patrzył za nim przez chwilę, a potem ruszył dalej.**

**Czuł się bardzo samotnie. Cztery dni po wyjściu z więzienia był wreszcie wolny i niezależny, bo po raz pierwszy nikt mu nie towarzyszył; możliwe nawet, że go nie obserwowano, chociaż w to wątpił. Natychmiast postanowił, że będzie zwiedzał miasto i robił swoje, jakby nikt go nie śledził. A zaraz potem, udając, że zainteresowało go coś na wystawie sklepiku z galanterią skórzaną, poprzysiągł sobie, że nie będzie do końca życia oglądał się przez ramię.**

**Nie znajdą go.**

**Szedł i szedł, wreszcie doszedł na Piazza San Vito, małego placu, gdzie od siedmiu stuleci stały dwa kościoły, Santa Lucia i San Vito. Obydwa były zamknięte i według informacji na mosiężnej tabliczce miały zostać otwarte dopiero między czwartą a szóstą po południu. Przerwa od dwunastej do czwartej? Co to za instytucja?**

**Bary nie były zamknięte, tylko puste, i wreszcie zebrał się na odwagę, żeby do któregoś wejść. Przystawił sobie stółek, wstrzymał oddech i gdy barman podszedł bliżej, powiedział:**

**–Birra.**

**Barman coś odpowiedział i ponieważ wyraźnie czekał na jego reakcję, przez ułamek sekundy Joel miał ochotę zwać. Ale w tym samym momencie zobaczył kurek z wajchą i czym prędzej wskazał go palcem, jakby było zupełnie oczywiste, czego chce. Barman sięgnął po kufel.**

**Pierwsze piwo od sześciu lat. Było chłodne, ciężkie i przepyszne, więc delektował się każdą kroplą. Na końcu lady ryczał telewizor; puszczał jakiś serial. Od czasu do czasu wsłuchiwał się w wypowiedane przez aktorów kwestie, a ponieważ nie rozumiał ani słowa, z uporem wmawiał sobie, że da radę, że na pewno opanuje ten język. Chciał już wyjść i powoli wrócić do hotelu, gdy nagle spojrzął w okno.**

**Ulicą przechodził Stennert.**

**Joel zamówił drugie piwo.**



## Rozdział 7

Ydarzenia związane ze skandalem Backmana były uważnie śledzone i dokładnie opisywane przez Dana Sandberga, starego weterana z „Washington Post”, który w 1998 roku ujawnił, że z Pentagonu ukradkiem wyniesiono ściśle tajne dokumenty. Zaraz potem FBI wszczęło śledztwo w tej sprawie, dzięki czemu Sandberg miał zajęcie na pół roku i w tym czasie napisał osiemnaście artykułów, których większość trafiła na pierwszą stronę. Miał dobre kontakty w CIA i FBI. Znał wszystkich współników w Backman, Pratt często bywał u nich w biurze. Polował na wiadomości w Departamencie Sprawiedliwości. Był na rozprawie, gdy Backman szybko przyznał się do winy i zniknął.

Rok później napisał jedną z dwóch książek na temat skandalu. Sprzedała się w całkiem przyzwoitej liczbie dwudziestu czterech tysięcy egzemplarzy w twardej oprawie, podczas gdy ta w miękkiej w nakładzie o połowę mniejszym.

W trakcie swojego prywatnego dochodzenia nawiązał wiele pożytecznych znajomości. Jedna z nich zupełnie nieoczekiwanie przekształciła się z czasem w bardzo wartościowe źródło informacji. Otóż miesiąc przed śmiercią Jacy'ego Hubbarda zadzwonił do niego Carl Pratt, wówczas jeszcze oskarżony, podobnie jak niemal wszyscy starsi współnicy Joela Backmana. Zadzwonił i poprosił o spotkanie. Wyszło w końcu tak, że spotkali się kilkanaście razy, a z biegiem lat zostali kumplami od kieliszka. Co najmniej dwa razy w roku wymykali się z pracy, żeby powymieniać się plotkami.

Trzy dni po ułaskawieniu Backmana Sandberg zadzwonił do Pratta i umówili się w swojej ulubionej knajpce, studenckim barze niedaleko uniwersytetu Georgetown.

Pratt wyglądał koszmarnie, jakby od wielu dni nie przestawał pić. Zamówił wódkę; Sandberg pozostał przy piwie.

–No i gdzie jest ten wasz Wielki Gracz? – spytał z uśmiechem.

–W więzieniu go nie ma, tyle wiem na pewno. – Pratt pociągnął łyk wódki i mlasnął językiem.

–Nie odezwał się?

–Ani słowem. Przynajmniej do nikogo z firmy.

–Zdziwiłbyś się, gdyby nagle zadzwonił albo wpadł?

**–I tak, i nie. Jego stać na wszystko. – Kolejny łyk wódki. – Nie zdziwiłbym się, gdyby już nigdy tu nie wrócił. A gdyby przyjechał jutro i oznajmił, że otwiera nową kancelarię? Też by mnie to nie zdziwiło.**

–Ale ułaskawienie cię zaskoczyło.

–Tak, ale on nie miał z tym nic wspólnego.

–Fakt, chyba nie. – Sandberg otaksował spojrzeniem przechodzącą obok studentkę. Dwukrotnie rozwiedziony, wciąż polował. Pociągnął łyk piwa. – Ale nie może już praktykować. Odebrali mu licencję.

–Brak licencji by go nie powstrzymał. Nazwałby to „biurem konsultingowym”, „biurem stosunków międzyrządowych” czy jeszcze inaczej, i załatwione. Jest lobbystą, a do lobbingu licencja niepotrzebna. Kurczę, przecież połowa adwokatów w tym mieście nie wie, gdzie jest najbliższy sąd. Ale na Kapitol trafią z zamkniętymi oczami.

–Skąd wzięłby klientów?

–Nie, to niemożliwe. On nie wróci. Chyba że słyszałeś coś innego. Słyszałeś?

–Nie. Wziął i zniknął. Nikt z więzienia nie chce o tym gadać. Ani nikt z departamentu.

–Masz jakąś teorię? – Pratt dopił wódkę i wyglądało na to, że szykuje się na kolejną.

–Dowiedziałem się dzisiaj, że dziewiętnastego późnym wieczorem w Białym Domu był Teddy Maynard. Tylko on mógłby tak przycisnąć Morgana. Backman wyszedł, pewnie pod strażą, i przepadł.

–Program ochrony świadków?

–Coś w tym stylu. Albo to pierwszy raz CIA kogoś ukrywa? Musi. Nieoficjalnie, ale musi, no i ma możliwości.

–Ale dlaczego ukryli akurat jego?

–Z zemsty. Pamiętasz Aldricha Amesa, najszynniejszego kreta w historii CIA?

–Jasne.

–Siedzi teraz bezpiecznie w więzieniu federalnym. Myślisz, że nie chcieliby go skasować? Chcieliby, ale to wbrew prawu: nie mogą likwidować obywateli amerykańskich, ani tu, ani za granicą.

–Backman nie był kretem. Nienawidził Maynarda, i z wzajemnością.



**–Maynard go nie zabije. Tak wszystko poustawia, że zrobi to ktoś inny, i to z przyjemnością.**

**Pratt wstał.**

**–Wziąć ci jeszcze jedno? – spytał, wskazując piwo.**

**–Może później. – Sandberg podniósł kufel, dopiero drugi raz od początku rozmowy, i przytknął go do ust.**

Pratt wrócił z podwójną wódką, usiadł i spytał:

–Więc myślisz, że jego dni są policzone?

–Pytałeś, czy mam jakąś teorię. Ty masz?

Solidny łyk i mlaśnięcie.

–Finał mojej jest taki sam jak twojej, tylko punkt widzenia jest inny. – Zamieszał wódkę palcem, oblizał go i popadł w zadumę. – Ale nieoficjalnie, dobra?

–Jasne. – Przez te wszystkie lata rozmawiali ze sobą tyle razy, że wszystko było nieoficjalne.

–Od śmierci Hubbarda do chwili, gdy Backman przyznał się do winy, upłynęło osiem dni. To był koszmar. FBI przydzieliło nam ochronę, Kimowi Bollingowi i mnie. Pilnowali nas przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, łazili za nami krok w krok, dosłownie wszędzie. To w sumie dziwne. Stawali na głowie, żeby wpakować nas raz na zawsze do więzienia, a jednocześnie czuli się zobowiązani nas chronić. – Pratt pociągnął łyk i czujnie zerknął przez ramię, sprawdzając, czy nie podsłuchują ich studenci. Studenci nie podsłuchiwali. Grozili nam, próbowali nas podejść, ci sami, którzy zabili Hubbarda. FBI wprowadziło nas w sprawę dużo później, kilka miesięcy po tym, jak Backman poszedł siedzieć i wszystko trochę przycichło. Poczuliśmy się bezpieczniej, ale i tak wynajęliśmy uzbrojonych ochroniarzy i przez dwa lata chodziliśmy z obstawą. Do dzisiaj zerkam we wsteczne lustro. A biedny Kim kompletnie zwariował.

–Kto wam groził?

–Ci sami, którzy chcieliby znaleźć Backmana.

–To znaczy kto?

–On i Hubbard dobili targu i postanowili sprzedać toto Saudyjczykowi za kupę szmalu. Drogo, ale budowa nowego systemu satelitarnego byłaby jeszcze droższa. Tak czy inaczej, dogadali się. Wtedy Hubbard obrywa kulkę. Backman idzie szybko do więzienia i Saudyjczyków szlag trafia. Izraelczyków też, bo oni też chcieliby to kupić. Poza tym są wściekli, że Hubbard i Backman gadali z Arabami. – Pratt zrobił przerwę na kolejny łyk, jakby musiał pokrzepić się przed finałem. – No i masz jeszcze tych, którzy ten system zbudowali.

–Rosjan?

**–Chyba nie. Hubbard uwielbiał Azjatki. Kiedy widziano go ostatni raz, wychodził z baru ze wspaniałą, długonogą, kruczowłosą dzierlatką z tamtych stron. Żółtki mają tysiące agentów. Ich studenci, biznesmeni, dy-**

plomaci: roi się tu od wężących Chińczyków. A w ich wywiadzie pracują sami spece. Dla czegoś takiego jak to nie zawahaliby się ukatrupić i Hub-barda, i Backmana.

–To na pewno oni? Chińczycy?

–Tu nie ma żadnych „na pewno”, zgoda? Może Backman wie kto, ale nic nikomu nie powiedział. Nie zapominaj, że o tych satelitach nie wiedziała nawet CIA. Przyłapano ich ze spuszczoneymi portkami i stary Ted-dy chce się teraz odgryźć.

–Ma niezłą zabawę, co?

–A jak. Wciska Morganowi tekst o bezpieczeństwie narodowym, a Morgan to oczywiście kupuje. Backman wychodzi. Teddy przerzuca go ukradkiem za granicę, zasadza się i tylko patrzy, kto go skasuje. Tej gry nie może przegrać.

–Genialne.

–Więcej niż genialne. Pomyśl tylko. Kiedy Backman spotka się ze Stwórcą, nikt nie będzie o tym wiedział. Nikt nie wie, gdzie przepadł. I nikt się nie dowie, kim był, kiedy znajdą jego trupa.

–Jeśli w ogóle znajdą.

–Otóż to.

–I on o tym wie?

Pratt dopił wódkę, wytarł usta rękawem i zmarszczył czoło.

–Backman nie jest głupi. Ale dużo z tego, co wiemy, wyszło na jaw

dopiero po tym, jak go wsadzili. Jeśli przetrwał za kratkami sześć lat,

przetrwa wszystko.

Critz wszedł chyłkiem do pubu niedaleko hotelu Connaught w Londynie. Lekki deszcz przybrał na sile i musiał się gdzieś schronić. Żona siedziała w domu, w małym mieszkaniu, które wynajął mu nowy pracodawca, więc czym prędzej skorzystał z luksusu, jakim była możliwość wypicia paru piw w zatłoczonym barze, gdzie nikt go nie znał. Tydzień pobytu miał już za sobą, tydzień przed sobą. A potem znowu będzie musiał przeskoczyć Atlantyk, wrócić do Waszyngtonu i podjąć nędzną pracę lobbyisty w firmie produkującej między innymi wadliwe pociski rakietowe, które

**Pentagon chętnie oddałby na złom, ale które tak czy inaczej był zmuszony kupować, ponieważ firma miała dobrych lobbystów.**

**Znalazł pusty boks, ledwo widoczny w chmurze papierosowego dymu, i wcisnął się za stół z kuflem piwa w rękę. Jak miło było pić samotnie i nie**

martwić się, że ktoś zaraz podbiegnie i rzuci: „Hej, Critz, co wy tam, kurde, robicie z tym wetem Bermana? Banda idiotów!” Blebleble-bleble-ble-blebleble.

Chłonał wesołe głosy wchodzących i wychodzących Anglików. Nie przeszkadzał mu nawet dym. Był sam i nikt go tu nie znał – napawał się prywatnością.

–Można, panie Critz? – Jakiś marynarz. Uśmiechał się, demonstrując wielkie, żółte zębiska. Critz go nie znał. Pamiętałby te zęby.

–Proszę – odrzekł nieufnie. – A pańskie nazwisko?

–Ben. – Nie pochodził stąd i angielski na pewno nie był jego ojczystym językiem. Koło trzydziestki, ciemne włosy, ciemnobrązowe oczy i długi, szpiczasty nos: wyglądał na Greka.

–Ben bez nazwiska, co? – Critz wypił łyk piwa. – Skąd pan wie, jak się nazywam?

–Wiem o panu wszystko.

–Nie miałem pojęcia, że jestem taki sławny.

–Nie nazwałbym tego sławą. Będę się streszczał. Pracuję dla ludzi, którzy bardzo chcą znaleźć Joela Backmana. Ci ludzie są gotowi wyłożyć dużo pieniędzy, i to w gotówce. Z ręki do ręki, przelewem na szwajcarskie konto, wszystko jedno jak. Mogą to załatwić bardzo szybko, w ciągu kilku godzin. Pan powie nam, gdzie on jest, my zapłacimy panu milion zielonych i nikt się o niczym nie dowie.

–Jak mnie pan znalazł?

–To nie było trudne. Jesteśmy... Powiedzmy, że jesteśmy zawodowcami.

–Szpiegami?

–Nieważne. Jesteśmy, kim jesteśmy i znajdziemy Backmana tak czy inaczej. Ważniejsze jest, czy chce pan ten milion.

–Nie wiem, gdzie on jest.

–Ale może się pan dowiedzieć.

–Może.

–No więc? Wchodzi pan w to?

**-Nie za milion.**

**-A za ile?**

**-Muszę pomyśleć.**

**-Byle szybko.**

**-A jeśli się nie dowiem?**

–To już się nie zobaczymy. A tego spotkania nigdy nie było. Proste.

Critz w zadumie pociągnął duży łyk piwa.

–Dobrze, powiedzmy, że zdobędę tę informację. Nie jestem zbyt wielkim optymistą, ale założmy, że mi się poszczęści. Co wtedy?

–Poleci pan Lufthansą z Waszyngtonu do Amsterdamu, pierwszą klasą. Zamelduje się pan w hotelu Amstel przy ulicy Biddenham. Znajdziemy pana tak samo, jak znaleźliśmy tutaj.

Lufthansa, Amsterdam, hotel Amstel – Critz zapamiętał namiary.

–Kiedy?

–Jak najszybciej. Inni też go szukają.

Ben zniknął równie szybko, jak się pojawił i próbując dostrzec coś przez gęsty dym, Critz zastanawiał się, czy nie był to sen. Wszedł z pubu godzinę później z twarzą przesłoniętą parasolem, pewien, że ktoś go obserwuje.

Czy w Waszyngtonie też będą go śledzili? Miał niepokojące przeczucie, że tak.

## Rozdział 8

jesta nie pomogła. Wino do lunchu i dwa popołudniowe piwa też nie. Po prostu miał za dużo do przemyślenia.

Bo tak w ogóle to był za bardzo wypoczęty; nosił w sobie za dużo snu. Sześć lat samotnej odsiadki wprowadza organizm w stan takiej bierności, że jego główną czynnością jest spanie. Po kilku pierwszych miesiącach w Rudley spał osiem godzin nocą, a w dzień, po lunchu, ucinał sobie długą, twardą drzemkę, co było zupełnie zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że w ciągu poprzednich dwudziestu lat, kiedy za dnia miał na głowie całe państwo, a w nocy uganiał się za panienkami, sypiał tyle co nic. Po roku mógł liczyć na dziewięć, czasem na dziesięć godzin snu. Oprócz spania, czytania i oglądania telewizji nie miał tam nic więcej do roboty. Kiedyś z nudów zrobił ankietę – jedną z wielu tajnych ankiet jego autorstwa – polegającą na tym, że gdy strażnicy zapadali w drzemkę, z celi do celi więźniowie przekazywali sobie kartkę papieru z pytaniem, jak długo śpią, i okazało się, że średnia wśród trzydziestu siedmiu ankietowanych w jego bloku wynosi jedenaście godzin na dobę. Mo, mafijny szpicel, twierdził, że sypia szesnaście, i chyba sypiał, bo często słyszano, jak chrapie





w samo południe. Miller Szalona Krowa spał najmniej, bo tylko trzy, ale on, biedaczysko, zwariował już przed laty, dlatego Joel nie uwzględnił jego odpowiedzi.

Zdarzały mu się napady bezsenności, długie godziny gapienia się w czarny sufit i rozmyślania o błędach, dzieciach i wnukach, o upokorzeniach z przeszłości i o podszytej lękiem przyszłości. Bywały tygodnie, gdy dawali mu tabletki na sen – zawsze po jednej – ale nigdy nie skutkowały. Podejrzewał, że dostawał placebo.

Ale w ciągu tych sześciu lat snu było za dużo. Ciało miał dobrze wypoczęte. Umysł wyrabiał nadgodziny.

Nie mogąc zasnąć, powoli wstał z łóżka – leżał już od godziny – podszedł do stolika i wziął telefon. Stał przy oknie, wybrał numer, ten z samoprzylepnej taśmy na obudowie, i po czterech sygnałach usłyszał znajomy głos.

–*Ciao, Marco. Come stai?*

–Sprawdzam, czy to działa.

–Myślisz, że dałbym ci zepsutą komórkę?

–Nie, a skąd.

–Zdrzemnąłeś się? Jak się spało?

–Bardzo miło. Do zobaczenia na kolacji.

–*Ciao.*

Gdzie ten Luigi był? Czyhał gdzieś w pobliżu z komórką w kieszeni, czekając na jego telefon? Obserwował hotel? Skoro jemu i Ermannowi towarzyszyli Stennett i kierowca, wciąż obecni w Treviso, znaczyło to, że do pilnowania Joela Backmana przydzielono aż czterech „przyjaciół”.

Ściskając telefon w rękę, zastanawiał się, kto jeszcze wiedział o tej krótkiej rozmowie. Kto jeszcze go podsłuchiwał? Zerknął na ulicę. Ciekawe, kto tam jest. Tylko Luigi?

Potrząsnął głową i usiadł przy stole. Miał ochotę na kawę, może na podwójne espresso, żeby się trochę nakręcić, na pewno nie na cappuccino – nie o tej porze – ale nie śmiał podnieść słuchawki i zadzwonić na dół. Dałby radę powiedzieć: „Dzień dobry”, „Kawa”, ale natychmiast zalałby go potok słów, których jeszcze nie rozumiał.

**Jak można przeżyć bez kawy? Jego ulubiona sekretarka przynosiła mu pierwszą – mocną, turecką, prawdziwą siekierę – punktualnie o szóstej trzydzieści. I tak codziennie, przez sześć dni w tygodniu; omal się z nią nie ożenił. O dziesiątej był już tak nabuzowany, że rzucał, czym popadło,**

w ścianę, wrzeszczał na podwładnych i załatwiał po trzy telefony naraz, nie zważając na to, że na linii czeka ten czy inny senator.

Te migawki z przeszłości nie sprawiły mu przyjemności. Rzadko kiedy sprawiały. Wspomnień miał bez liku i przez te sześć lat toczył z nimi zażartą walkę, chcąc je zabić i oczyścić przeszłość.

Wracając do kawy, którą bał się zamówić, bo nie znał języka. Gracz nie bał się niczego i skoro mógł śledzić na bieżąco drogę trzystu ustaw wędrujących przez labirynt Kongresu, skoro mógł załatwiać po sto telefonów dziennie, nie zaglądając do notesu czy książki telefonicznej, na pewno mógł też nauczyć się włoskiego na tyle, żeby zamówić kawę. Starannie ułożył na stole kasety i słownik, otworzył podręcznik, zajrzał do spisu treści, sprawdził baterie w magnetofonie i pobawił się trochę taśmami. Na pierwszej stronie podręcznika widniał dość toporny obrazek, szkic saloniku, w którym mama, tato i dzieci oglądali telewizję. Każdy przedmiot miał podwójną nazwę, angielską i włoską. Drzwi i *porta*, sofa i *sofa*, okno i *finestra*, obraz i *quadro*, i tak dalej. Chłopiec to *ragazzo*, matka to *mądre*, starzec o lasce w kącie pokoju to dziadek, czyli *ii nonno*.

Kilka stron dalej była kuchnia, jeszcze dalej sypialnia, a na końcu łazienka. Godzinę później, wciąż bez kropli kawy, Joel chodził po pokoju i nazywał wszystko, co zobaczył. Łóżko? *Letto*. Lampa? *Lampada*. Zegar? *Orologio*. Mydło? *Sapone*. Do rzeczowników dorzucono kilka czasowników: mówić – *parlare*, jeść – *mangiare*, pić – *berę*, myśleć – *pensa-re*. Stał przed małym lustrem (*specchio*) w łazience (*bagno*) i próbował przekonać sam siebie, że jest naprawdę Markiem. Markiem Lazzerim.

–*Sono Marco, sono Marco* – powtórzył. Jestem Marco, jestem Marco. Czuł się trochę głupio, ale trudno. Stawka była za wysoka. Przez dawne imię i nazwisko mógł wpaść i zginąć. Skoro bycie Markiem Lazzerim dawało mu szansę, mógł być Markiem Lazzerim.

Marco. Marco. Marco.

Zaczął szukać słów, których nie było na obrazkach. W nowym słowniku znalazł *carta igienica* (papier toaletowy), *guanciaie* (poduszka) i *soffitto* (sufit). Wszystko miało swoją nazwę, każdy przedmiot w pokoju, w jego własnym, małym świecie: cokolwiek zobaczył, natychmiast stawało się czymś innym. Przenosząc szybko wzrok z przedmiotu na przedmiot, bez końca powtarzał włoskie odpowiedniki angielskich słów.

Zaraz, a on sam? Miał mózg, czyli *cervello*. Dotknął ręki, czyli *mano*; ramię – *braccio*, noga – *gamba*. Musiał też oddychać, *respirre*. No



i widział, *vedere*. Dotykać? *Toccare*. Słyszeć? *Sentire*. Spać? *Dormire*. Śnić? *Sognare*. Przyłapał się na tym, że za daleko odszedł od tematu lekcji. Ermanno zacznie od samego początku, od pierwszej partii słówek z naciskiem na podstawy, na powitania i pozdrowienia, na krótką wymianę uprzejmości, na liczebniki od jednego do stu, nazwy dni tygodnia, nazwy miesięcy, a nawet na alfabet. Czasowniki „być” (*essere*) i „mieć” (*avere*) odmieniały się w czasie teraźniejszym, przeszłym prostym i przyszłym.

Do kolacji wrył na pamięć całą lekcję pierwszą, kilkanaście razy przesłuchał kasetę i chociaż na dworze było bardzo zimno, tryskając zadowoleniem, ruszył do Trattoria del Monte, gdzie przy najlepszym stoliku miał czekać Luigi z przepyszными propozycjami z menu. Na ulicy, wciąż oszołomiony po kilku godzinach nieustannego kucia, zobaczył skuter, rower, psa, dwie dziewczyny bliźniaczki, i uderzyło go, że nie zna żadnego z tych słów.

Wszystkie zostały w hotelu.

Ale ponieważ czekało na niego jedzenie, niezrażony parł naprzód z głębokim przekonaniem, że Marco może jeszcze zostać przyzwoitym Włochem.

Luigi siedział przy stoliku w kącie sali.

–*Buona sera, signore, come sta?*

–*Sto bene, grazie, etu?*– odparł Luigi z pełnym aprobaty uśmiechem. Dobrze, dziękuję, a ty?

–*Molto bene, grazie.* - Bardzo dobrze, dziękuję.

–Widzę, że się uczyłeś.

–Tak, nie mam nic innego do roboty.

Zanim Marco zdążył rozłożyć serwetkę, wyrósł przed nimi kelner z butelką wina w wiklinowym koszyczku. Szybko rozlał je do kieliszków i zniknął.

–Ermanno jest dobrym nauczycielem – powiedział Luigi.

–Już dla was pracował? – spytał ostrożnie Marco.

–Tak.

–Jak często przerzucacie tu kogoś takiego jak ja i przerabiacie go na Włocha?

**–Od czasu do czasu – odrzekł z uśmiechem Luigi.**

**–Aż trudno w to uwierzyć.**

**–Wierz sobie, w co chcesz, Marco. To wszystko fikcja.**

**–Mówisz jak agent.**

Wzruszenie ramion, brak konkretnej odpowiedzi.

–Dla kogo ty właściwie pracujesz, Luigi?

–A jak myślisz?

–Pewnie dla tych z alfabetu, dla CIA, FBI, NSA. Może dla jakiejś trefnej komórki wywiadu wojskowego.

–Lubisz spotykać się ze mną w tych małych restauracyjkach?

–A mam jakiś wybór?

–Masz. Jeśli nie przestaniesz mnie wypytywać, koniec ze spotkaniami. A wtedy twoje życie, już i tak chwiejne i niepewne, stanie się jeszcze bardziej kruche.

–Myślałem, że masz mnie chronić.

–Tak, dlatego przestań zadawać takie pytania. Zapewniam cię, że nie ma na nie odpowiedzi.

W tym samym momencie, z wyczuciem chwili godnym kolejnego agenta, kelner rzucił na stół dwie wielkie karty dań, skutecznie zmieniając kierunek rozmowy. Marco spojrzął na listę potraw, zmarszczył czoło i po raz któryś tego dnia uświadomił sobie, ile pracy go jeszcze czeka. Rozpoznał tylko trzy słowa wypisane na samym dole strony: *caffè, vino i birra*.

–Co byś polecił? – spytał.

–Szef kuchni pochodzi ze Sieny, więc lubi toskańskie potrawy. Na pierwsze danie najlepsze będzie risotto z grzybami *porcini*. Jadłem jego stek po florencku, jest wyśmienity.

Marco zamknął kartę, rozkoszując się dochodzącymi z kuchni zapachami.

–Wezmę i to, i to.

Luigi skinął na kelnera. Zamówili, po czym przez kilka minut w milczeniu sączyli wino.

–Kilka lat temu – zaczął Luigi – obudziłem się rano w małym hotelu w Istambule. Sam, z pięciuset dolarami w kieszeni. I z fałszywym paszportem. Nie znałem ani słowa po turecku. Mój prowadzący był w mieście, ale gdybym nawiązał z nim



**kontakt, musiałbym poszukać sobie nowej pracy. Kazano mi wrócić do tego samego hotelu dokładnie za dziesięć miesięcy na spotkanie z kimś, kto miał mnie przerzucić za granicę.**

**–To było jakieś szkolenie? CIA?**

**–Nie ta część alfabetu – odparł Luigi i pociągnął łyk wina. – Ponieważ lubię jeść, musiałem nauczyć się tam żyć. Chłonałem język, kulturę, wszystko wokół mnie. Całkiem nieźle dawałem sobie radę. Wtopiłem się**

w otoczenie i kiedy dziesięć miesięcy później spotkałem się z tym człowiekiem, miałem przy sobie ponad tysiąc dolarów.

–Włoski, angielski, francuski, hiszpański, turecki... Znasz jeszcze jakiś?

Rosyjski. Rzucili mnie do Stalingradu, na rok. Marco już miał zapytać: kto?, ale ugryzł się w język. Zresztą i tak nie uzyskałby odpowiedzi; poza tym chyba się już domyślał.

–A więc mnie tu też rzucili?

Kelner postawił na stole koszyk z kilkoma rodzajami pieczywa i miseczkę z oliwą z oliwek. Luigi umoczył bułkę w oliwie i zaczął jeść, i albo zdążył już zapomnieć o pytaniu, albo je zignorował. Na stole wylądowały przystawki, mała taca z szynką, salami i oliwkami, i rozmowa przestała się kleić. Luigi był szpiegiem albo szpiegował innych szpiegów. Mógł też być tajniakiem, agentem, agentem prowadzącym, terenowym albo tajnym współpracownikiem, ale przede wszystkim był Włochem, dlatego nawet najlepsze wykszolenie nie odwróciłoby jego uwagi od wyzwania, jakim był suto zastawiony stół.

Jedząc, ciągle zmieniał temat. Wyjaśnił mu rygorystyczne prawa rządzące włoską kolacją. Tak więc najpierw *antipasti*, przystawki – półmisek różnych wędlin, choćby taki, jaki przed nimi stał. Potem pierwsze danie, czyli *primi*, zwykle okazała porcja makaronu, ryżu, zupy czy polenty, której spożycie miało przygotować żołądek na przyjęcie dania głównego, czyli *secondi*, solidnej porcji ryby, wieprzowiny, kurczęcia czy cielęciny. Ostrożnie z deserami, przestrzegł go złowieszczo, rozglądając się wokoło, żeby sprawdzić, czy kelner nie podsłuchuje. A potem, ze smutkiem kręcąc głową, wyjaśnił, że wiele restauracji kupuje desery na mieście, że te desery są tak przesłodzone, tak obficie polane tanim likierem, że potrafią zepsuć człowiekowi zęby.

Narodowy skandal, Marco był stosownie wstrząśnięty.

–Naucz się słowa *gelato* - dodał Luigi i znowu rozbłysły mu oczy.

–Lody.

–*Bravo*. Najlepsze na świecie. Tu zaraz jest lodziarnia. Pójdziemy po kolacji.

Zamówienia przyjmowano do północy. Za pięć dwunasta powoli podniósł słuchawkę telefonu i dwa razy nacisnął czwórkę. Głośno przełknął ślinę i wstrzymał oddech. Ćwiczył ten dialog przez pół godziny.

Po kilku długich, leniwych sygnałach – dwa razy omal nie odłożył słuchawki – odezwał się zaspany głos.

*–Buona sera.*

Marco zamknął oczy i skoczył na głęboką wodę.

*–Buona sera. Vorrei un caffè, per favore. Un espresso doppio.*

*–Si, latte e zucchero? – Z mlekiem i cukrem?*

*–No, senza latte e zucchero.*

*–Si, cinque minuti.*

*–Grazie.* – Szybko odłożył słuchawkę; nie chciał ryzykować kolejnych pytań, chociaż biorąc pod uwagę entuzjazm, z jakim tamten z nim rozmawiał, dalszy dialog był dość wątpliwy. Zerwał się na równe nogi, kilka razy przeciął powietrze ciosem pięści i poklepał się po plecach, gratulując sobie pierwszej rozmowy po włosku. Nie popełnił ani jednego błędu. Dyżurujący kelner zrozumiał jego, a on kelnera.

O pierwszej wciąż sączył podwójne espresso, rozkoszując się smakiem, chociaż kawa już dawno wystygła. Był w połowie lekcji trzeciej, a ponieważ ani trochę nie chciało mu się spać, pomyślał, co by to było, gdyby przed pierwszym spotkaniem z Ermannem samodzielnie przerobił całą książkę.

Zapukał do drzwi dziesięć minut przed czasem. Znowu chciał być górą, nie mógł się powstrzymać. Chociaż próbował z tym walczyć, podświadomie wracał do starych nawyków. To on miał być tym, kto decyduje, kiedy rozpocznie się lekcja. Dziesięć minut za wcześnie, dwadzieścia minut za późno – nie chodziło o czas. Gdy czekał w obskurnym korytarzu, przypomniało mu się spotkanie na wysokim szczeblu, którego kiedyś był gospodarzem. Wielka sala konferencyjna pękała w szwach od VIP-ów, ważnych dyrektorów i szefów kilku agencji federalnych, których wezwał tam on, Wielki Gracz. Chociaż z gabinetu do sali miał zaledwie pięćdziesiąt kroków w linii prostej, przyszedł dwadzieścia minut spóźniony, przepaszając i wyjaśniając, że właśnie rozmawiał przez telefon z sekretariatem premiera pewnego pomniejszego kraju.

Te jego gierki. Jakie były płytkie, jakie małostkowe.

Niewzruszony Ermanno zachował kamienny spokój. Kazał mu czekać pięć minut, zanim otworzył drzwi z nieśmiałym uśmiechem i przyjacielskim:

***-Buon giorno, Signor Lazzeri.***

***-Buon giorno, Ermanno. Come stai?***

**–*Molto bene, grazie, e tu?***

**–*Molto bene, grazie.***

**Ermanno szerokim gestem ręki zaprosił go do środka.**

**–*Pręgo.* – Proszę.**

**Marco wszedł i znowu uderzyła go prowizoryczność i tymczasowość tego mieszkania. Położył książki na stoliku pośrodku pokoju i postanowił nie zdejmować płaszcza. Na dworze było nieco ponad cztery stopnie, tutaj niewiele więcej.**

**–*Vorrebbe un caffè?* - spytał Ermanno. Napije się pan kawy?**

**–*Si, grazie.* – Spał dwie godziny, od czwartej do szóstej, potem wziął prysznic, ubrał się, wyszedł do miasta i znalazł bar pełen starszych panów, którzy pili espresso i gadali jeden przez drugiego. Tak, miał ochotę na kawę, ale tak naprawdę to chciało mu się jeść. Zjadłyby croissanta, jakąś bułeczką czy coś takiego, w każdym razie coś, czego nie umiał jeszcze nazwać po włosku. Ale nie, uznał, że wytrzyma do południa, kiedy to pójdzie z Luigim na kolejną włoską ucztę.**

**–*Jesteś studentem, tak?* – spytał, kiedy Ermanno wrócił z kuchni z dwiema małymi filiżankami.**

**–*Non inglese, Marco, non inglese.***

**No i było po angielskim. Gwałtowny koniec; surowe i definitywne pożegnanie z ojczystym językiem. Ermanno usiadł naprzeciwko niego i punktualnie o ósmej trzydzieści otworzyli książki na lekcji numer jeden. Marco przeczytał pierwszy dialog – Ermanno poprawiał go łagodnie, chociaż to, że uczeń był tak dobrze przygotowany, bardzo mu zaimponowało. Zapamiętał całe słownictwo i musiał tylko popracować nad akcentem. Godzinę później Ermanno zaczął wskazywać różne przedmioty w pokoju – dywan, książką, czasopismo, krzesło, narzutę, zasłony, radio, podłogę, ścianę, torbę – a on bez trudu mówił ich włoskie nazwy. Z coraz lepszą wymową płynnie wyrecytował całą listę zwrotów grzecznościowych: „dzień dobry”, „Jak się masz”, „dobrze, dziękuję”, „proszę”, „do zobaczenia”, „do widzenia”, „dobranoc” – i trzydzieści innych. Bez zająknięcia wymienił również nazwy dni tygodnia i miesięcy. Lekcję pierwszą przerobili w dwie godziny i Ermanno spytał, czy zrobić przerwę. Nie. Od razu przeszli do lekcji drugiej z całostronicową listą słówek, których Marco już się nauczył, i z nowym dialogiem, który bezbłędnie odtworzył.**

**–*Uczył się pan* – wymamrotał po angielsku Ermanno.**

**-Non inglese, non inglese - zganit go Marco.**

To była gra z cyklu, kto szybciej padnie. Padł nauczyciel, bo już w południe zażądał przerwy i obydwaj z ulgą powitali pukanie do drzwi i głos Luigiego z korytarza. Wszedł i popatrzył na nich od progu: siedzieli naprzeciwko siebie przy zawalonym podręcznikami stoliku, jakby przez kilka godzin siłowali się na ręce.

–*Come va?* - spytał. Jak idzie? Ermanno posłał mu znużone spojrzenie.

–*Molto intenso* - odparł.

–*Vorreipranzare* - oznajmił Marco i powoli wstał. Chciałbym coś zjeść.

Miał ochotę na lunch chociaż z odrobiną angielskiego, tak dla ułatwienia, żeby nie stresować się tłumaczeniem każdego słowa. Jednak gdy Ermanno przedstawił Luigiemu pełne pochwał sprawozdanie z przebiegu porannej nasiadówki, ten postanowił kontynuować naukę podczas posiłku, a przynajmniej na jego początku. Jadłospis nie zawierał ani jednego słowa po angielsku i kiedy Luigi zaczął opisywać poszczególne potrawy, Marco wyrzucił do góry ręce i stanowczo zaprotestował.

–Dość tego. Przez godzinę nie chcę słyszeć włoskiego. Mówić po włosku też nie będę.

–No, a lunch?

–Zjem twój. – Marco wypił łyk wina i spróbował się odprężyć.

–Dobrze. Godzina angielskiego chyba nie zaszkodzi.

–*Grazie* - mruknął Marco, zanim zdążył ugryźć się w język.

## Rozdział 9

astępnego dnia w połowie porannej sesji gwałtownie zmienił temat rozmowy. Właśnie ćwiczyli wyjątkowo nudny dialog, gdy nagle przeszedł na angielski i rzucił:

–Ty nie jesteś studentem.

Ermanno spojrział na niego znad podręcznika dla nauczyciela, długo milczał, wreszcie odparł:

–*Non inglese, Marco. Soltanto italiano.* – Tylko po włosku.

–Mam dość włoskiego, jasne? Nie jesteś studentem.

**Ermanno był kiepskim łgarzem, bo za długo zastanawiał się nad odpowiedzią.**



–Jestem – odparł bez przekonania.

–Nie, nie sędzę. Nie chodzisz na zajęcia. Gdybyś chodził, nie mógłbyś mnie uczyć, nie przez cały dzień.

–Może studiuję na wieczorowych? Co to za różnica?

–Nigdzie nie studiujesz. Nie ma tu żadnych książek, żadnych gazetek studenckich, nie ma tu typowo studenckiego bałaganu.

–Może jest w drugim pokoju.

–Mogę sprawdzić?

–Po co? Dlaczego to takie ważne?

–Bo myślę, że pracujesz dla tych samych ludzi co Luigi.

–A jeśli nawet, to co?

–To to, że chcę wiedzieć, kim są.

–A jeśli nie wiem? I w ogóle co to pana obchodzi? Ma pan uczyć się włoskiego, to wszystko.

–Jak długo tu mieszkasz?

–Nie odpowiem.

–Bo widzisz, myślę, że wprowadziłeś się w zeszłym tygodniu. Że to mieszkanie to jakaś kryjówka. Że nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

–No to byłoby nas dwóch. – Ermanno nagle wstał i wyszedł do kuchni. Wrócił z jakimiś papierami, które rzucił na stolik. Dokumenty rejestracyjne z uniwersytetu w Bolonii, w których widniało jego nazwisko: Ermanno Rosconi, adres domu oraz numer mieszkania, w którym właśnie przebywali.

–Niedługo zaczynam zajęcia – wyjaśnił. – Napije się pan jeszcze kawy?

–Tak, chętnie. – Marco przeglądał dokumenty, ale wiedział jedno: to były tylko papiery, można je było łatwo podrobić. Jeśli jednak je podrobiono, fałszerz odwalił kawał solidnej roboty.

**Ermanno ponownie wyszedł do kuchni i puścił wodę. Marco odsunął krzesło i oznajmił:**

**–Idę się przejść. Muszę się przewietrzyć.**

**Rutyna skończyła się w porze kolacji. Spotkał się z Luigim przed sklepikiem tytoniowym przy Piazza dei Signori i ruszyli przed siebie ruchliwą uliczką. Sklepikarze już zamykali. Było ciemno i bardzo zimno, dlatego elegancko ubrani biznesmeni w kapeluszach i szalikach spieszyli do domu.**

**Luigi trzymał ręce głęboko w kieszeniach szorstkiego, wełnianego, długiego do kolan płaszcza, który mógł dostać w spadku od dziadka albo**

kupić przed tygodniem w Mediolanie, w jednym z tych koszmarnie drogich butików. Tak czy inaczej, nosił go szykownie i z klasą i Marco znowu pozazdrościł mu tej niedbałej elegancji.

Nie spieszył się; wyglądało na to, że lubi zimno. Rzucił kilka uwag po włosku, ale Marco nie chwycił przynęty.

–Po angielsku – powtórzył dwa razy. – Teraz po angielsku, chociaż trochę.

–Zgoda. Jak poszła dzisiejsza lekcja?

–Dobrze. Ermanno jest w porządku. Nie ma poczucia humoru, ale jest niezłym nauczycielem.

–Robisz postępy?

–Jak mógłbym nie robić?

–Ermanno mówi, że masz ucho do języków.

–Ermanno nie umie kłamać, i dobrze o tym wiesz. Haruję jak wół, bo dużo od tego zależy. Facet magluje mnie sześć godzin dziennie, a w nocy trzy godziny zakuwam u siebie. Postęp jest nieunikniony.

–Tak, rzeczywiście ciężko pracujesz... – przyznał Luigi i nagle przystanął przed czymś, co wyglądało na małe delikatesy. – A oto i twoja kolacja.

Marco z dezaprobatą nachmurzył czoło. Minibar, a raczej pomieszczenie jadalne, miał najwyżej cztery i pół metra szerokości. Jeden za drugim, tuż przy oknie stały zaledwie trzy stoliki, a w środku kłębił się tłum.

–Tutaj? – spytał. – Na pewno?

–Tak, to bardzo dobry lokal. Lżejsze jedzenie, kanapki, i tak dalej. Zjesz sam. Ja nie wchodzę.

Marco zaczął protestować, ale zreflektował się, uśmiechnął i chętnie podjął wyzwanie.

–Jadłospis jest wypisany kredą na tablicy. Tylko po włosku. Najpierw zamówisz, potem odbierzesz jedzenie na końcu lady, gdzie całkiem dobrze się siedzi, jeśli tylko znajdziesz wolny stółek. Napiwek jest wliczony w cenę.

**–Jaka jest ich specjalność?**

**–Pizza z szynką i karczochami. Jest wyśmienita. *Panini* też. Spotkamy się za godzinę przy fontannie.**

**Marco zacisnął zęby i wszedł do baru. Stojąc w kolejce za dwiema kobietami, rozpaczliwie wypatrywał na tablicy czegoś, co umiałby wymówić. Do diabła ze smakiem. Najważniejsze było zamówić i zapłacić. Na szczęście kasjerka, miła kobiecina w średnim wieku, lubiła się uśmiechać.**

Rzucił przyjazne: „*Buona sera*” i zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zamówił *panino prosciutto e formaggio* - kanapkę z szynką i serem -i colę.

Coca-cola. Dobra, stara coca-cola. Jej nazwa brzmiała tak samo we wszystkich językach.

Brzęknęła kasa i kobieta zasypała go gradem słów, których nie zrozumiał. Mimo to, nie przestając się uśmiechać, odparł: „*Si*” i wręczył jej dwadzieścia euro, za co kupiłby chyba każdą kanapkę i dostałby jeszcze resztę. Podziałało. Wraz z resztą dała mu bilecik.

–*Numero sessantasette* – powiedziała. Numer sześćdziesiąt siedem.

Z bilecikiem w ręku powoli ruszył w stronę kuchni. Nikt się na niego nie gapił, nikt niczego nie zauważył. Czyżby rzeczywiście brali go za rodowitego Włocha, za jednego z miejscowych? A może nie gapił się dlatego, że było aż zbyt oczywiste, iż jest obcokrajowcem? Szybko wyrobił w sobie nawyk oceniania stroju innych i uznał, że dobrze się na tym zna. Tak jak mówił Luigi, mieszkańcy północnej części Włoch przywiązywali do swojego wyglądu znacznie większą wagę niż Amerykanie. Widywało się tu dużo więcej marynarek i szytych na miarę spodni, więcej swetrów i krawatów. Natomiast dżinsów było znacznie mniej, nie wspominając już o podkoszulkach czy innych oznakach niechlujności.

Luigi albo ktoś, kto dobierał mu garderobę – bez wątpienia na koszt amerykańskich podatników – odwalił kawał dobrej roboty. Jak na człowieka, który przez sześć lat chodził w więziennych łachach, Marco szybko przystosowywał się do włoskich gustów i standardów.

Stał i obserwował talerze zjedzeniem, które wyskakiwały z okienka na ladę zaraz obok grilla. Po dziesięciu minutach wyskoczyła gruba kanapka. Chłopak z obsługi chwycił talerz, zerwał z niego bilecik i wrzasnął:

–*Numero sessantasette!*

Marco podszedł bliżej i bez słowa wręczył mu swój bilet. Gdy podano mu colę, znalazł mały stolik w kącie i usiadł, by rozkoszować się samotnym posiłkiem. W barze było tłoczno i głośno; najwyraźniej trafił do lokalu, gdzie spotykali się znajomi z sąsiedztwa. Na powitanie obejmowali się, całowali i wymieniali pozdrowienia, a jeszcze dłużej się żegnali. Stanie w kolejce do kasy nie było dla nich żadnym problemem, chociaż chyba mieli kłopoty ze staniem jako takim, to znaczy w jednej linii, jeden za drugim. W Stanach obrzucono by ich za to ostrymi słowami, a kasjer pewnie by ich zbluzgał.



W kraju, gdzie trzystuletni dom jest domem nowym, czas ma inne znaczenie. Je się tu po to, żeby nacieszyć się jedzeniem, nawet w malutkim barze z kilkoma stolikami. Wydawało się, że ci siedzący najbliżej niego są gotowi spędzić co najmniej parę godzin na trawieniu pizz i kanapek. Po prostu za dużo mieli sobie do powiedzenia!

Zabijające umysł tempo więziennego życia przytępiło mu wszystkie zmysły. Nie zwariował tylko dlatego, że czytał po osiem książek tygodniowo, ale robił to jedynie po to, żeby uciec, niekoniecznie, żeby się czegoś nauczyć. Dlatego dwa dni intensywnego kucia, odmieniania, wymawiania i słuchania z uwagą, z jaką nigdy niczego nie słuchał, wyczerpały go umysłowo.

Dlatego też chłonał tę włoską wrzawę, nie próbując zrozumieć z niej ani słowa. Podobał mu się sam rytm języka, intonacja, podobał mu się włoski śmiech. Od czasu do czasu, zwłaszcza podczas powitań i pożegnań, wychwytywał znajomy zwrot i szybko uznał, że jednak robi postępy. Obserwując rodziny i przyjaciół, czuł się samotny, ale nie chciał o tym myśleć. Nie, prawdziwa samotność to dwadzieścia trzy godziny na dobę w małej celi, całe tygodnie bez listów i towarzystwo taniej książki w miękkiej okładce. Dobrze ją znał. To tutaj było cudownym dniem na słonecznej plaży.

Starał się jeść jak najwolniej, ale szynka i ser nie wystarczyły na zbyt długie siedzenie. Postanowił, że następnym razem weźmie frytki, bo frytkami można się bawić, aż ostygną, i bawiąc się, przeciągnąć kolację ponad amerykańską normę. Niechętnie zwolnił stolik. Prawie po godzinie od wejścia do baru, opuścił ciepłe wnętrze i ruszył w stronę fontanny, w której zakręcono wodę, żeby nie zamrzła. Luigi dołączył do niego chwilę później, jakby przez cały czas czaił się gdzieś w mroku. Miał czelność zaproponować mu *gelato*, lody, ale Marco dygotał już z zimna. Wrócili do hotelu i się pożegnali.

Prowadzący Luigiego miał dyplomatyczną przykrywkę, bo pracował w konsulacie Stanów Zjednoczonych w Mediolanie. Nazywał się Whitaker i sprawa Backmana bynajmniej nie należała do jego priorytetów. Back-man nie miał nic wspólnego z wywiadem ani kontrwywiadem, podczas gdy on nie wiedział, w co ręce włożyć i bez jakiegoś tam VIP-a z Waszyngtonu, którego wywieziono ze Stanów i ukryto we Włoszech. Mimo to skrzętnie pisał codzienne sprawozdania i wysyłał je do Langley. Trafiały

do Julii Javier, wysokiej funkcjonariuszki z bezpośrednim dostępem do dyrektora Maynarda. Gdyby nie jej czujne oko, Whitaker byłby pewnie mniej pilny, a jego sprawozdania nie tak regularne.

A teraz Teddy chciał, żeby Julia zapoznała go z aktualną sytuacją.

Wezwano ją do gabinetu na szóstym piętrze, do „skrzydła Teddy'ego”, jak nazywano je w Langley. Weszła na „posterunek” – zdecydowanie wolał to określenie i zobaczyła, że znowu parkuje na końcu długiego stołu konferencyjnego. W swoim standardowym czarnym garniturze, opatulony pledem od piersi w dół, przeglądał stertę meldunków, a tuż obok czuwał Hoby, żeby w każdej chwili podać mu kolejną filiżankę tej ohydnej zielonej herbaty, która - dyrektor był o tym przekonany – utrzymywała go przy życiu.

A żył już ledwo, ledwo, chociaż z drugiej strony Julia myślała tak od lat.

Ponieważ nie piła kawy i nigdy nie tknęłaby zielonej herbaty, niczym jej nie poczęstowano. Jak zwykle usiadła po jego prawej stronie, na swojego rodzaju miejscu dla świadków, gdzie siadywali wszyscy goście – na prawe ucho Teddy słyszał dużo lepiej niż na lewe – a wtedy zmęczonym głosem wychrypiął:

–Jak się masz, Julio?

Hoby usiadł naprzeciwko niej – też jak zwykle - i jak zwykle zaczął przygotowywać się do notowania. Każdy odgłos w gabinecie był rejestrowany przez najbardziej wyrafinowane urządzenia nagrywające, jakie tylko stworzyła najnowsza technologia, mimo to on zawsze odstawiał tę samą maskaradę.

–Proszę zapoznać mnie z sytuacją – polecił Teddy. Ustne sprawozdanie musiało być konkretne i treściwe, bez niepotrzebnych komentarzy.

Julia zerknęła na notatki, odchrząknęła i zaczęła mówić do ukrytych mikrofonów:

–Backman jest w Treviso, małym, ładnym miasteczku w północnych Włoszech. Mieszka tam od trzech dni i szybko się aklimatyzuje. Nasz agent utrzymuje z nim stały kontakt, a tamtejszy korepetytor robi dobrą robotę. Backman nie ma pieniędzy ani paszportu, dlatego chętnie trzyma się naszego człowieka. Ani razu nie korzystał z hotelowego telefonu, a z komórki zadzwonił tylko raz, do naszego agenta. Nie wykazuje żadnego zainteresowania spacerowaniem ani zwiedzaniem miasta. Najwidoczniej nie może wyzbyć się więziennych przyzwyczajeń. Trzyma się blisko



hotelu. Wychodzi tylko na lekcje z korepetytorem i do restauracji, a resztą czasu spędza na nauce w swoim pokoju.

–Jak mu idzie?

–Włoski? Nieźle. Ale ma pięćdziesiąt dwa lata, więc szybko się nie nauczy.

–Ja nauczyłem się arabskiego po sześćdziesiątce – odparł z dumą Teddy, jakby od tamtego czasu upłynęły wieki.

–Tak, wiem. – Wiedziało o tym całe Langley. – Pracuje bardzo intensywnie i robi postępy, ale jest tam dopiero od trzech dni. Korepetytor jest pod wrażeniem.

–O czym mówi?

–Backman? O niczym, co by nas interesowało. Ani o starych przyjaciółach, ani o wrogach. Wygląda na to, że zamknął ten rozdział i nie chce do niego wracać. Mówi głównie o swoim nowym domu, o kulturze i języku.

–W jakim jest nastroju?

–Wyszedł z więzienia czternaście lat przed czasem i jada teraz długie posiłki z dobrym winem. Jest zadowolony. Chyba nie tęskni za domem, ale z drugiej strony, nie ma prawdziwego domu. Nigdy nie wspomina o rodzinie.

–Nie choruje?

–Nie, nic mu nie dolega. Kaszel ustąpił. Dobrze sypia. Na nic się nie skarży.

–Dużo pije?

–Zachowuje umiar. Lubi wypić trochę wina do lunchu i kolacji, wpada na piwo do pobliskiego baru, ale nic poza tym.

–Podkręćcie go trochę, podsuńcie mu więcej alkoholu. Może wtedy coś powie.

–Taki mamy plan.

–Co ze środkami bezpieczeństwa?

–Wszystko jest na podsłuchu: telefony, jego pokój, pokój korepetytora. Słyszymy go podczas lunchu i kolacji. Ma mikrofony nawet w butach, w obydwu parach. I mikrofon model Peak 30 pod poszewką płaszczka. Jesteśmy w stanie znaleźć go

**zawsze i wszędzie.**

**–Nie zgubi was?**

**–Jest prawnikiem, nie agentem. Poza tym przynajmniej jak na razie, cieszy się wolnością i robi to, co mu każemy.**

–Nie jest głupi. Pamiętaj o tym. Dobrze wie, że kilku bandziorów chętnie dobrałoby mu się do skóry.

–To prawda, ale w tej chwili jest jak małe dziecko trzymające się matczynej spódnicy.

–A więc czuje się bezpiecznie?

–Zważywszy na okoliczności, tak.

–W takim razie go nastraszymy.

–Teraz?

–Tak. – Teddy przetarł oczy i wypił łyk herbaty. – Co z jego synem?

–Nadzór trzeciego stopnia; w Culpeper niewiele się dzieje. Jeśli Back-man spróbuje się z kimś skontaktować, to na pewno z nim. Ale zanim dowiemy się o tym w Culpeper, będą o tym wiedzieli nasi ludzie we Włoszech.

–To jedyny człowiek, któremu jeszcze ufa – stwierdził Teddy, powtarzając to, co Julia mówiła wiele razy.

–To prawda.

Maynard zamilkł i długo milczał.

–Coś jeszcze? – spytał wreszcie.

–Pisze list do matki.

Teddy uśmiechnął się, lekko i krótko.

–Jak miło. Mamy ten list?

–Tak, właśnie przyszedł; wczoraj sfotografował go nasz agent. Back-man ukrywa go w swoim pokoju między kartkami czasopisma turystycznego.

–Długi jest?

–Dobre dwa akapity. Jeszcze nie skończył.

–Przeczytaj. – Teddy oparł głowę o zagłówek fotela i zamknął oczy.

**Julia zaszeleściła papierami i poprawiła okulary.**

**–Brak daty, pisany ręcznie, trudny do odczytania, bo Backman ma okropny charakter pisma. „Kochana mamo. Nie wiem, czy dostaniesz ten list. Nie wiem, czy w ogóle go wyślę, co może mieć wpływ na to, czy go otrzymasz. Tak czy inaczej, wyszedłem z więzienia i radzę sobie coraz lepiej. W ostatnim liście pisałem, że na nizinnych równinach Oklahomy sprawy mają się dobrze. Nie miałem wtedy pojęcia, że prezydent mnie ułaskawi. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że wciąż nie mogę w to uwierzyć”.  
Drugi akapit. „Mieszkam teraz na drugim końcu świata; nie mogę powiedzieć gdzie, bo zdenerwowałbym tym parę osób. Wolałbym miesz-**

kać w Stanach, ale to niemożliwe. Nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia. Nie jest to najwspanialsze życie, ale na pewno lepsze od tego sprzed tygodnia. W więzieniu umierałem wbrew temu, co czytałaś w moich listach. Nie chciałem cię martwić. Tutaj jestem wolny, to najważniejsze. Mogę chodzić ulicami, jadać w barach, wychodzić i wracać do domu, kiedy mam ochotę, robić prawie wszystko, co chcę. Wolność, mamo, wolność. Coś, o czym marzyłem od lat i co przez tyle lat wydawało się nieosiągalne". Julia odłożyła list.

–W tym miejscu skończył. Teddy otworzył oczy.

–Myślisz, że jest na tyle głupi, żeby wysłać list do matki?

–Nie. Ale przez wiele lat pisywał do niej co tydzień. To nawyk, prawdopodobnie terapeutyczny. Musi z kimś rozmawiać.

–Sprawdzamy jej korespondencję?

–Tak, chociaż prawie nikt do niej nie pisze.

–Dobrze. Nastraszcie go i zameldujcie, jak poszło.

–Tak, panie dyrektorze. – Julia zebrała papiery i wyszła.

Teddy wziął sprawozdanie i poprawił okulary. Hoby zniknął w małej kuchni za ścianą.

Założyli podsłuch w telefonie matki Backmana w domu opieki społecznej w Oakland, ale jak dotąd niczego się nie dowiedzieli. W dniu, kiedy ogłoszono wiadomość o ułaskawieniu, zadzwoniło do niej kilka stareń-kich przyjaciółek z mnóstwem pytań i nieśmiałoymi gratulacjami, ale pani Backman była tak oszołomiona i dezorientowana, że musiano jej podać środki uspokajające, po których przez kilka godzin spała. Przez ostatnich sześć miesięcy nie zadzwonił do niej żaden z trzech wnuków, dzieci Joela i jego żon.

Lydia Backman przeżyła dwa wylewy i była przykuta do wózka. Kiedy jej syn był na szczycie, mieszkała w przestronnym, luksusowym apartamencie i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę miała do dyspozycji pielęgniarkę. Gdy go skazano, musiała zrezygnować z wygod, przenieść się do domu starców i zamieszkać z setką innych staruszków.

Nie, Backman nie będzie próbował się z nią skontaktować, to niemożliwe.

## Rozdział 10

o kilku dniach snucia marzeń o wielkich pieniądzach Critz zaczął je wydawać, na razie w myślach. Z milionem dolarów w kieszeni nie musiałby pracować u tego podejrzanego dostawcy sprzętu wojskowego ani spędzać ludzi na wykłady. (Poza tym wcale nie był pewien, czy znalazłby chętnych, wbrew temu, co obiecał mu agent).

Myślał o przejściu na emeryturę! O wyjeździe gdzieś daleko, byle dalej od Waszyngtonu i wrogów, których sobie narobił, o pięknej plaży i czekającej na brzegu żaglówce. Mógłby też przeprowadzić się do Szwajcarii i zamieszkać w pobliżu banku, gdzie ukryłby swoją nową fortunę, cudownie wolną od podatku i z dnia na dzień coraz większą.

Zadzwoił i o kilka dni przedłużył wynajem mieszkania. Zachęcił żonę do intensywniejszych zakupów. Ona też miała dość Waszyngtonu i zasługiwała na lepsze życie.

Częściowo dlatego że ogarnął go zachłanny entuzjazm, a częściowo dlatego że brakowało mu wyrafinowania w sprawach wywiadu, schrzanił wszystko już na samym początku. Jak na starego waszyngtońskiego wyjadacza popełnił sporo niewybaczalnych błędów.

Po pierwsze, zadzwonił z wynajętego mieszkania, dzięki czemu bez trudu go namierzono. A zadzwonił do niejakiego Jeba Priddy'ego, łącznika CIA, który od czterech lat tyrał w Białym Domu. Wciąż tam siedział, chociaż spodziewał się, że lada dzień odwołają go i przeniosą z powrotem do Langley; nowy prezydent nie zdążył się jeszcze zadomowić, wszędzie panował chaos, i tak dalej. Telefon Critza trochę go zirytował, bo przecież nigdy nie byli przyjaciółmi. Tak, nie ulegało wątpliwości, że ten dupiek czegoś chce, że węszy. W końcu wyznał, że szuka dawnego kumpla, starszego analityka z CIA, z którym kiedyś często grywał w golfa. Kumpel nazywał się Daly, Addison Daly, i wyjechał z Waszyngtonu na jakąś fuchę do Azji. Czy Priddy wiedział, co się z nim teraz dzieje?

Addison Daly już dawno wrócił ukradkiem do Langley i Priddy dobrze go znał.

–Tak, znam go – odparł. – Może uda mi się go znaleźć. Gdzie cię łapać?

Critz podał mu numer telefonu, tego samego, z którego dzwonił. Priddy wykręcił do Daly'ego i opowiedział mu o swoich podejrzeniach. Daly włączył magnetofon i zadzwonił do Londynu. Critz odebrał i omal nie



oszalał z radości, słysząc głos starego druha. Bez ładu i składu zaczął opowiadać mu, jak cudowne życie teraz wiecie i jak to miło znowu być osobą prywatną, zwłaszcza po latach politycznych gier w Waszyngtonie i Białym Domu. Bardzo chciał odświeżyć stare znajomości i na poważnie zagrać w golfa.

Dały, dobry aktor, odparł, że on też myśli o przejściu na emeryturę -ostatecznie pracował już trzydziesty rok – i że coraz częściej tęskni za wygodniejszym życiem.

–A jak tam nasz Teddy? – dopytywał się Critz. – Jak nowy prezydent i jego administracja? Jak nastroje w Waszyngtonie?

–Tu nic się nigdy nie zmienia – zapewnił go Dały. – Ot, kolejna banda głupców. A tak przy okazji, co słyhać u prezydenta Morgana?

Critz nie wiedział, bo ani razu z nim nie rozmawiał i niewykluczone, że nie będzie rozmawiał jeszcze przez wiele tygodni. Ponieważ pogawędka powoli dobiegała końca, Critz roześmiał się sztucznie i spytał:

–A co nowego u Joela Backmana? Nie przypuszczam, żeby ktoś go ostatnio widział, co?

Dały też się roześmiał: świetny dowcip, jak cała ta rozmowa.

–Nie – odparł. – Za dobrze go ukryli.

–I o to właśnie chodzi.

Critz obiecał zadzwonić zaraz po powrocie do Waszyngtonu. Zagrają na osiemnastu dołkach, a potem, jak za starych czasów, pójdą na kielicha!

Za jakich starych czasów? – pomyślał Dały i odłożył słuchawkę.

Godzinę później ich rozmowę odtworzono Teddy'emu Maynardowi.

Ponieważ pierwsze dwa telefony były dość zachęcające, Critz parł naprzód. Uwielbiał załatwiać sprawy przez telefon, ze słuchawką w rękę czuł się w swoim żywiole. Zawsze wyznawał teorię śrutówki: wystrzel sto śrucin, a któraś na pewno w coś trafi, czyli zadzwoń w sto miejsc, a coś się wydarzy. Powoli ułożył coś w rodzaju wstępnego planu. Pewien stary kumpel pracował kiedyś w sekretariacie przewodniczącego senackiej komisji do spraw wywiadu i chociaż był teraz dobrze ustosunkowanym lobbystą, podobno wciąż utrzymywał bliskie kontakty z CIA.



**Pogadali o polityce i golfie i w końcu, ku ucieście Critza, kumpel spytał, co temu Morganowi odbiło, że ułaskawił kogoś takiego jak księżę Mon-go, największy oszust podatkowy w historii Ameryki. Critz odparł, że był temu przeciwny, i skierował rozmowę na inny, równie kontrowersyjny temat.**

**–A co mówią o Backmanie?**

**–To, co na pewno wiesz – odrzekł tamten.**

**–Tak, ale gdzie ten Maynard go ukrył? Oto jest pytanie.**

**–A więc to była robota CIA?**

**–Oczywiście – potwierdził z przekonaniem Critz. Któż inny mógłby wywieźć go cichcem z kraju?**

**–Ciekawe – mruknął kumpel i przycichł. Critz zaprosił go na lunch i na tym skończyli.**

**Gorączkowo wydzwanając, po raz kolejny wpadł w zachwyt nad swoją nieskończoną listą kontaktów. Władza miała jednak swoje plusy.**

**Joel – albo Marco – pożegnał się z Ermannem o wpół do szóstej wieczorem po trzygodzinnej sesji, podczas której nie zrobili ani jednej przerwy. Obydwaj lecieli z nóg.**

**Na wąskich uliczkach Treviso wiało chłodem, dzięki czemu trochę otrzeźwiał. Po drodze postanowił wpaść do małego narożnego baru. Wpadł, zamówił piwo i usiadł przy oknie, obserwując Włochów, którzy spieszyli z pracy do domu czy szli na szybkie wieczorne zakupy. W barze było ciepło i siwo od papierosowego dymu, i znowu powrócił myślami do więzienia. Nie mógł się powstrzymać – zmiana była zbyt drastyczna, wolność zbyt nagła. Wciąż dręczył go uporczywy strach, że obudzi się celi, słysząc w oddali histeryczny śmiech jakiegoś niewidzialnego żartownisia.**

**Po piwie wypił espresso, a potem z rękami głęboko w kieszeniach płaszcza wyszedł w mrok. Gdy skręcił za róg, przed hotelem zobaczył Luigiego, który z papierosem w ustach krążył nerwowo po chodniku. Marco przeszedł na drugą stronę ulicy, a wtedy Luigi podszedł do niego i oznajmił:**

**–Wyjeżdżamy. Natychmiast.**

**–Dlaczego? – Marco rozejrzał się niespokojnie w poszukiwaniu czających się w ciemności morderców.**

**–Wyjaśnienia potem. Na łóżku masz torbę. Spakuj się jak najszybciej. Zaczekam tutaj.**

**–A jeśli nie zechcę?**

**Luigi chwycił go za nadgarstek, ale namyślił się i posłał mu naciągany uśmiech.**

**–Nie przeżyjesz dwudziestu czterech godzin – odparł złowieszczo. –**

**Proszę, zaufaj mi.**

Marco popędził schodami na górę, sprintem pokonał korytarz i dopiero tuż przed drzwiami pokoju zdał sobie sprawę, że ostry ból w brzuchu nie jest rezultatem poważnej zadyszki, tylko zwykłego strachu.

Co się stało? Co Luigi widział? Co słyszał? Co mu powiedziano? I kim tak naprawdę był, czyje wykonywał rozkazy? Zadręczał się tym, wygrzebując ubrania z maleńkiej szafy i rzucając je na łóżko. Spakowawszy się, usiadł na chwilę i spróbował zebrać myśli. Oddychał głęboko, powoli wypuszczał powietrze i wmawiał sobie, że to wszystko jest tylko częścią

**gry-**

Czy już zawsze będzie uciekał? Czy już zawsze będzie pakował się w szaleńczym pośpiechu i uciekał z hotelu do hotelu? To na pewno sto razy lepsze niż więzienie, ale też odcisnie na nim swoje piętno.

I jakim cudem tak szybko go znaleźli? Przecież mieszkał w Treviso dopiero od czterech dni.

Kiedy się trochę uspokoił, powoli wyszedł na korytarz, zszedł schodami na dół, przeciął hol, bez słowa skinął głową gapiącemu się na niego recepcjoniście i wreszcie znalazł się na ulicy. Luigi chwycił torbę i wrzucił ją do bagażnika niewielkiego fiata. Rozmawiać zaczęli dopiero na przedmieściach Treviso.

–No dobra. Mów, co się stało.

–Zmiana scenerii.

–To już wiem. Dlaczego?

–Z kilku bardzo dobrych powodów.

–No tak, to wszystko wyjaśnia.

Luigi prowadził lewą ręką, prawą gorączkowo zmieniał biegi i zapominając o hamulcach, wciskał do deski pedał gazu. Marco był zdezorientowany i oszołomiony: niektórzy ludzie potrafili spędzić dwie i pół godziny na leniwym lunchu, a potem wskoczyć nagle do samochodu i z zawrotną prędkością w dziesięć minut przejechać przez całe miasto.

Jechali już godzinę, na południe, unikając głównych dróg.

–Ktoś nas śledzi? – pytał, ilekroć niemal na dwóch kołach brali ostry

**zakręt.**

**Ale Luigi tylko kręcił głową. Oczy miał zwężone, brwi ściągnięte, a zęby zaciśnięte, chyba że palił papierosa. Bo kiedy palił, palił spokojnie i nie spoglądając w lusterko, pędził przed siebie jak wariat. Najwyraźniej postanowił milczeć, co jeszcze bardziej zdopingowało Marca do nawiązania rozmowy.**

–Chcesz mnie tylko nastraszyć, tak? Bawimy się w szpiegów. Ty jesteś mistrzem, a ja biednym przygłupem, który zna jakieś tam tajemnice. Dlatego trzeba wystraszyć mnie na śmierć, żebym był od was zależny i lojalny. Dobrze wiem, co robisz.

–Kto zabił Jacy'ego Hubbarda? - spytał Luigi, ledwo poruszając ustami.

Marco raptownie zamilkł. Musiał zamilknąć. Nazwisko Hubbarda momentalnie go zmroziło. Zawsze przywoływało te same wspomnienia: policyjne zdjęcie Jacy'ego leżącego bezwładnie na grobie brata. Odstrzelona lewa połowa głowy, wszędzie krew. Na grobowej płycie, na białej koszuli. Wszędzie.

–Macie akta – odparł. – To było samobójstwo.

–O tak. Skoro w to wierzysz, to dlaczego przyznałeś się do winy i poprosiłeś o osobną celę?

–Bałem się. Samobójstwa bywają zaraźliwe.

–Święta prawda.

–A więc twierdzisz, że ścigają mnie ci, którzy upozorowali jego samobójstwo?

Luigi tylko wzruszył ramionami.

–I jakimś cudem odkryli, że ukrywam się w Treviso?

–Lepiej nie ryzykować.

Nie, nie zdradzi mu żadnych szczegółów, jeśli w ogóle jakieś były. Próbował się powstrzymać, jednak nie zdołał i odruchowo zerknął za siebie, ale zobaczył tylko ciemną drogę. Luigi spojrzął w lusterko i uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby chciał powiedzieć: Tak, są tam, są.

Joel osunął się niżej w fotelu i zamknął oczy. Najpierw zginęło tych dwóch. Safi Mirza oberwał nożem przed wejściem do nocnego klubu w Georgetown trzy miesiące po tym, jak będąc już jego klientem, przekazał mu jedyny istniejący zestaw płyt kompaktowych z oprogramowaniem Neptuna. Rany były groźne, ale zabiła go najpewniej trucizna, którą mu wstrzyknięto lub którą wysmarowano ostrze noża. Nie było żadnych świadków. Żadnych śladów. nierozwiązane morderstwo, jedno z wielu w Waszyngtonie. Miesiąc później w Karaczi zaginął Fazal Sharif. Prawdopodobnie też już nie żył.

Oprogramowanie Neptuna było warte miliardy dolarów, ale nikt nie miał z tych

**pieniędzy skorzystać.**

W 1998 roku spółka Backman, Pratt Bolling zaangażowała Jacy'ego Hubbarda za milion dolarów rocznie. Jego pierwszym poważnym wyzwaniem był marketing Neptuna. Żeby udowodnić swoją wartość, zastraszając i przekupując kogo się dało, Hubbard wtargnął do Pentagonu ze zgubną próbą zdobycia dowodów, że system taki w ogóle istnieje. Jego kret, człowiek ściśle współpracujący z przełożonymi, wyniósł stamtąd pewne dokumenty, spreparowane, mimo to ściśle tajne. Wynikało z nich, że Stany Zjednoczone dysponują siecią Gamma, systemem satelitarnym rodem z *Gwiezdných Wojen*, o niesłychanych wprost parametrach i możliwościach. Upewniwszy się, że młodzi Pakistańczycy nie zmyślają – ich Neptun należał do Stanów Zjednoczonych – Hubbard z dumą zameldował o swoim odkryciu Joelowi Backmanowi i przeszli do interesów.

Ponieważ sieć Gamma należała jakoby do amerykańskich sił zbrojnych, posiadane przez nie oprogramowanie było warte jeszcze więcej. Tymczasem tak naprawdę ani władze Pentagonu, ani kierownictwo CIA nie miały pojęcia o istnieniu Neptuna.

I wtedy Pentagon dał komu trzeba fałszywy cynk: doszło do naruszenia wewnętrznego systemu bezpieczeństwa, bo kret pracujący dla Jacy'ego Hubbarda oraz jego nowego, potężnego mocodawcy, Joela Backmana,

czyli samego Gracza, zdradził im jedną z największych tajemnic wojskowych. Wybuchł skandal. W środku nocy agenci FBI przeprowadzili nalot

na ich kancelarię, znaleźli wyniesione z Pentagonu dokumenty, które wszyscy uważali za prawdziwe, i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wysoce

zmotywowana ekipa prokuratorów federalnych postawiła w stan oskarżenia wszystkich współników firmy Backman, Pratt Bolling.

Niedługo potem doszło do tych wszystkich niewyjaśnionych zabójstw. Pentagon w przepięknym stylu pozbył się Hubbarda i Backmana, nie zdradzając przy tym, kto tak naprawdę jest twórcą i właścicielem tajemniczego systemu satelitarnego. Sieć Gamma, Neptun czy jakkolwiek się to nazywało, znikły za nieprzeniknioną zasłoną „tajemnicy wojskowej”.

Backman adwokat chciał procesu sądowego, zwłaszcza że autentyczność pentagońskich dokumentów była dość wątpliwa, jednak Backman podsądny wolał uniknąć losu Hubbarda.

I jeśli obłąkana ucieczka z Treviso miała go tylko nastraszyć, nastraszyła aż nadto



**skutecznie. Po raz pierwszy od ułaskawienia Joel zatęsknił nagle za małą, bezpieczną celą w więzieniu o zastrzonym rygorze.**

Przed nimi leżała Padwa; ruch był z każdym kilometrem większy, światła jaśniejsze.

–Ile tam mieszka ludzi? – spytał, odzywając się pierwszy raz od pół godziny.

–Dwieście tysięcy. Dlaczego Amerykanie zawsze o to pytają?

–Nie wiedziałem, że to jakiś problem.

–Jesteś głodny?

Tępe pulsowanie w żołądku brało się nie z głodu, ale ze strachu, mimo to potwierdził. Zjedli pizzę w barze tuż za obwodnicą, potem szybko wrócili do samochodu i pojechali dalej.

Tej nocy spali w maleńkiej wiejskiej gospodzie – osiem pokoików wielkości szafy na ubranie – która od wielu stuleci należała do jednej i tej samej rodziny. W pobliżu nie było ani jednego znaku czy tablicy, która by ją reklamowała; najwidoczniej wiedział o niej tylko Luigi i tylko on tam nocował. Najbliższą drogą, wąską i zaniedbaną, nie jeździły żadne samochody wyprodukowane po 1970 roku. Niedaleko była Bolonia.

Luigi spał w pokoju obok, za grubym, kamiennym, parusetletnim murem. Gdy Joel Backman vel Marco Lazzeri wczołgał się pod koc, żeby wreszcie się trochę ogrzać, nie zobaczył nigdzie nawet pojedynczego światełka. Za oknem panowała całkowita ciemność, totalna ciemność. I totalna cisza. Było tak cicho, że długo nie mógł zamknąć oczu.

## Rozdział 11

o piątym meldunku, że Critz znowu wypytywał o Joela Backmana, Teddy Maynard, co było u niego rzadkie, wpadł w złość. Ten głupiec siedział w Londynie i wściekle wydzwaniał do znajomych, z jakiegoś powodu szukając kogoś, kto naprowadziłby go na trop Backmana.

–Ktoś zaproponował mu pieniądze – warknął na Wigline'a, swojego zastępcę.

–Nie znajdzie go, to niemożliwe – odparł Wigline.

–W ogóle nie powinien próbować. Tylko komplikuje sprawę. Trzeba go unieszkodliwić.

Wigline zerknął na Hoby'ego, który nagle przestał notować.

**-To znaczy? – spytał.**

–To znaczy unieszkodliwić – powtórzył Teddy.

Jest Amerykaninem...

–Wiem! Ale psuje nam operację. Mamy precedens. Już to robiliśmy. –

Maynard nie pofatygował się, żeby przypomnieć im szczegóły, ale uznali, że skoro często tworzy własne precedensy, nie ma sensu się z nim sprzeczać.

Hoby kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Tak, już to robiliśmy”. Wigline zacisnął zęby.

–Rozumiem, że już teraz.

–Jak najszybciej – odparł Teddy. – Za dwie godziny chcę widzieć plan operacji.

Obserwowali Critza, jak wyszedł z wynajmowanego mieszkania i udał się na długi przedwieczorny spacer, który zwykle kończył kilkoma kufkami piwa. Po trzydziestu minutach leniwej przechadzki znalazł się na Leicester Square i wszedł do Dog and Duck, tego samego pubu co poprzedniego dnia.

Właśnie pił przy barze drugi kufel, gdy tuż obok, na stołku, który się przed chwilą zwolnił, usiadł agent Greenlaw, krzykliwie zamawiając piwo.

–Można zapalić? spytał Critza, a ten wzruszył ramionami i odrzekł:

–Tu nie Ameryka.

–Jankes, hę?

–Tak.

–Mieszka pan tu?

–Nie, jestem przejazdem. – Critz skupił uwagę na butelkach stojących na półce za ladą, unikając kontaktu wzrokowego i nie chcąc z nim gadać. Szybko polubił samotność w zatłoczonych pubach. Uwielbiał siedzieć, pić i wsłuchiwać się w krzykliwe głosy przekomarzających się Anglików ze świadomością, że absolutnie nikt nie wie, kim tak naprawdę jest. Mimo to wciąż wracał myślą do małego człowieczka o imieniu Ben. Jeżeli go obserwowali, musieli być świetni, bo jak dotąd niczego nie zauważył.

**Greenlaw pił piwo wielkimi haustami, chcąc jak najszybciej nadrobić zaległości w stosunku do sąsiada. Ważne było, żeby kolejne dwa zamówił jednocześnie. Wypił, zaciągnął się i wypuścił dym, zagęszczając wiszącą nad nimi chmurę.**

**–Ja siedzę tu od roku rzucił.**

**Critz kiwnął głową, nie odrywając wzroku od butelek. Spadaj, stary.**

**–Nie przeszkadza mi jeżdżenie złą stroną jezdni ani parszywa pogoda, ale wkurza mnie ten ich sport. Widział pan kiedyś mecz krykieta? Trwa cztery dni.**

Critz odchrząknął i na odczepnego burknął:

–Głupie.

–Albo piłka nożna, albo krykiet, a oni mają szajbę na punkcie jednego i drugiego. Nie wytrzymuję bez NFL, ledwo przeżyłem zimę. To było całkowite dno.

Critza, wiernego kibica Czerwonoskórych i posiadacza biletu sezonowego, niewiele podniecało w życiu tak bardzo, jak jego ukochana drużyna. Greenlaw chodził na mecze tylko od czasu do czasu, ale siedząc w kryjówce CIA na północnych przedmieściach Londynu, poświęcił cały dzień na przestudiowanie i zapamiętanie niezbędnych statystyk. Gdyby coś nie wypaliło, w odwodzie czekała kobieta, bardzo piękna i elegancka, chociaż Critz nie uchodził za podrywacza.

A Critz nagle zatęsknił za domem. Siedząc w zatłoczonym pubie, tak daleko od rodzinnych stron i od szaleństwa Super Pucharu – rozgrywki miały rozpocząć się już za dwa dni, a brytyjska prasa całkowicie to ignorowała – usłyszał ryk tłumu i poczuł znajome podniecenie. Gdyby „Czerwonoskórzy” nie przepadli w dogrywkach, na pewno nie piłyby teraz piwa w Londynie. Siedziałyby na pięćdziesiątym jardzie, w łoży wykupionej przez jedną z wielu korporacji, na których zawsze mógł polegać.

Spojrzał na Greenlawa i spytał:

–Patrioci czy Packersi?

–Nie, moi sienie zakwalifikowali. Ale zawsze kibicuję NFC.

–Ja też. Co to za drużyna?

To było chyba najbardziej zgubne pytanie w jego życiu. Gdy z ust Greenlawa padło: „Czerwonoskórzy”, Critz uśmiechnął się szczerze i nagle zapragnął pogadać. Kilka minut poświęcili na ustalenie rodowodu: od kiedy kibicują Czerwonoskórym, najwspanialsze mecze, jakie widzieli, najlepsi gracze, no i oczywiście Super Puchar. Greenlaw zamówił jeszcze jedną kolejką i wyglądało na to, że obydwaj są gotowi na wielogodzinną dyskusję o futbolu. Critz rzadko kiedy rozmawiał z rodakami w Londynie, ale z tym gadało mu się całkiem dobrze.

Greenlaw przeprosił go i poszedł do toalety. Była na górze, jak większość tego rodzaju przybytków w Londynie miała jedno oczko i przypominała pakamerę na szczotki. Dla odrobiny prywatności zamknął drzwi na zasuwkę, szybko wyjął z kieszeni komórkę i złożył meldunek. Ryba połknęła haczyk. Członkowie grupy do zadań specjalnych czekali na ulicy. Trzech mężczyzn i elegancka kobieta.



W połowie czwartego kufła, podczas kulturalnej sprzeczki o stosunek średniej przyłożeń do średniej przechwyceń Sonny'ego Jurgensena, Crit-zowi wreszcie zachciało się do toalety. Spytał, gdzie jest i zniknął. Wówczas Greenlaw wprawnym ruchem wrzucił mu do piwa małą, białą tabletkę rohypnolu – silnego, pozbawionego smaku i zapachu środka uspokajającego. Pan Czerwonoskóry wrócił odświeżony i gotowy do dalszej, mocno zakrapianej biesiady. Właśnie rozmawiali o Joe Gibbsie i świetnie się bawili, gdy nagle biedny Critz zaczął zsuwać się ze stołka.

–Ups! – wybełkotał, bo nie wiedzieć czemu spuchł mu język. – Lepiej już pójdę. Moja pani czeka.

–Tak, też już lecę. – Greenlaw podniósł kufel. – Dopijmy.

Dopili, wstali i ruszyli do wyjścia, Critz przodem, Greenlaw tuż za nim, w każdej chwili gotów go podtrzymać. Przebili się przez tłum przy drzwiach i wyszli na ulicę, gdzie zimny wiatr nieco otrzeźwił Critza, choć tylko na sekundę. Zapomniawszy o nowym kumplu, zrobił nie więcej jak dwadzieścia kroków, po czym zatoczył się i wyciągnął w bok rękę, żeby wymacać słup najbliższej latarni. Byłby upadł, lecz Greenlaw podtrzymał go i widząc, że obok przechodzą młoda dziewczyna z chłopakiem, głośno powiedział:

–Cholera jasna, Fred, znowu się wlałeś!

Tymczasem Fred był bardziej niż wlany. Jak spod ziemi na jezdni wyrósł samochód, który podjechał do krawężnika i zwolnił. Otworzyły się tylne drzwiczki i Greenlaw wepchnął na wpół martwego Critza do środka. Po raz pierwszy zatrzymali się przy magazynie osiem ulic dalej. Tam nieprzytomnego Critza przeniesiono do małej, nieoznakowanej furgonetki z podwójnymi tylnymi drzwiami i gdy ułożono go na podłodze, jeden z agentów wstrzyknął mu potężną dawkę czystej heroiny. Obecność heroiny w organizmie skutecznie wypaczała wyniki sekcji zwłok, oczywiście jeśli rodzina sekcji tej w ogóle zażądała.

Z ledwo dyszącym Critzem w środku furgonetka pojechała na Whit-comb Street; biedak, mieszkał o kilka kroków stamtąd. W akcji musiały uczestniczyć trzy wozy: furgonetka, duży, ciężki mercedes i samochód śledzący, prowadzony przez rodowitego Anglika, który miał zostać na miejscu zdarzenia i pogadać z policją. Jednakże głównym zadaniem samochodu śledzącego było blokowanie ruchu, żeby jadący w środku mercedes miał jak największe pole manewru.

Na ostatnim etapie akcji – kierowcy utrzymywali ze sobą stałą łączność radiową, a z chodnika dyskretnie obserwowali ich pozostali członkowie



grupy, łącznie z piękną, elegancką kobietą – pchnięto tylne drzwi furgonetki i gdy Critz wypadł na jezdnię, kierowca mercedesa lekko odbił w prawo, z obrzydliwym chrupotem przejechał mu głowę, po czym wszyscy zniknęli – wszyscy oprócz Anglika w ostatnim samochodzie. Ten gwałtownie zahamował, wyskoczył na ulicę, podbiegł do biednego pijaka, który tak nagle wtargnął na jezdnię, i szybko rozejrzał się w poszukiwaniu ewentualnych świadków.

Świadków nie było, ale z naprzeciwka nadjeżdżała taksówka. Anglik zatrzymał ją i po chwili na ulicy zrobił się korek. Wkrótce zebrał się tłum gapiów i przyjechała policja. Tak, Anglik był na miejscu wypadku jako pierwszy, ale widział niewiele. Widział, jak pijak wyszedł chwiejnie spomiędzy parkujących przy krawężniku samochodów, jak wtargnął na jezdnię i jak potracił go duży, czarny samochód. Czarny, a może ciemnozielony. Marka i model? Nie, tego nie był pewien. Nie pomyślał też, żeby spojrzeć na tablicę rejestracyjną. A skąd, nie miał pojęcia, jak wyglądał kierowca. Był zbyt wstrząśnięty widokiem pijaka, który wyszedł zza tych samochodów i wpadł prosto pod koła tego czarnego. Albo ciemnozielonego.

Zanim zwłoki Critza załadowano do karetki, żeby przewieźć je do kostnicy, Greenlaw, piękna, elegancka kobieta i dwóch pozostałych członków grupy specjalnej byli już w pociągu do Paryża. Mieli zniknąć na kilka tygodni, a potem wrócić do Anglii, do bazy.

Marco chciał zjeść śniadanie, głównie dlatego, że doszedł go pyszny zapach – szynki i kiełbasek piekących się na grillu gdzieś w głębi domu -ale Luigi nalegał na pośpiech.

–W gospodzie są inni goście i wszyscy jedzą przy jednym stole – wyjaśnił, wrzucając torby do bagażnika. – Pamiętaj, że zostawiasz za sobą

ślad, a signora ma dobrą pamięć.

Ruszyli wąską, wiejską drogą.

–Dokąd teraz?

–Zobaczymy.

–Przestań wreszcie kręcić! – warknął Marco i Luigi aż drgnął. - Jestem wolnym człowiekiem i mogę w każdej chwili wysiąść!

–Tak, ale...

**–I przestań mi wreszcie grozić! Ilekroć cię o coś pytam, rzucasz mętne groźby, że nie przeżyję dwudziestu czterech godzin. Chcę wiedzieć, co**

się dzieje. Dokąd jedziemy? Jak długo tam zostaniemy? Jak długo ty tam zostaniesz? Mów, bo wysiądę i zniknę.

Skręcili na czteropasmówkę i zobaczyli tablicę z informacją, że od Bolonii dzieli ich trzydzieści kilometrów. Luigi odczekał chwilę, żeby opadło napięcie, i odparł:

–Jedziemy do Bolonii, na kilka dni. Czeka tam na nas Ermanno. Będziecie kontynuowali naukę. Na kilka miesięcy damy ci bezpieczną kryjówkę. Potem wyjadę i zostaniesz sam.

–Dziękuję. Czy to było takie trudne?

–Plan się zmienia...

–Wiedziałem, że Ermanno nie jest studentem.

–Jest. Jest też częścią planu.

–Zdajesz sobie sprawę, że ten wasz plan jest kretyński? Pomyśl tylko. Traciecie mnóstwo czasu i pieniędzy, żeby nauczyć mnie obcego języka i obcej kultury. Nie prościej by było wsadzić mnie do samolotu towarowego i ukryć gdzieś w Nowej Zelandii?

–Świetny pomysł, Marco, ale to nie ja podejmuję decyzje.

–Marco-srarko. Ilekroć patrzę w lustro i mówię: „Marco”, chce mi się śmiać.

–Nie ma w tym nic śmiesznego. Znasz Roberta Critza?

Marco zmarszczył brwi.

–Przez te wszystkie lata spotkałem go może parę razy. Ale nie był mi potrzebny. Ot, jeszcze jeden polityczny wyrobnik, pewnie ktoś taki jak ja.

–Bliski przyjaciel prezydenta Morgana, szef jego kampanii wyborczej i szef sztabu Białego Domu.

–No to co?

–Wczoraj w nocy zabito go w Londynie. W sumie to już pięciu, Marco. Pięciu ludzi, którzy przez ciebie zginęli: Jacy Hubbard, trzech Pakistańczyków, a teraz Critz. Oni nie przestali i nie przestaną. Proszę, miej więcej cierpliwości. Próbuję cię tylko chronić.

**Marco grzmotną głową o oparcie fotela i zamknął oczy. Za nic nie mógł sobie tego poukladać.**

**Skręcili, żeby zaparkować. Luigi wrócił do samochodu z dwoma kubkami mocnej kawy.**

**–Kawa na wynos – rzucił uprzejmie Marco. – Myślałem, że we Włoszech to zakazane.**

**–Zakrada się do nas fast food. To smutne.**

–Zwał winę na Amerykanów, jak wszyscy.

Była godzina szczytu i już wkrótce w sznurze samochodów pełzli przez przedmieścia Bolonii.

Tu produkuje się nasze najlepsze samochody – powiedział Luigi. – Ferrari, lamborghini, maserati. Najsłynniejsze wozy sportowe.

–Dacie mi jakiś?

–Niestety, budżet tego nie przewiduje.

–A co przewiduje?

–Bardzo proste, spokojne życie.

–Tak myślałem.

–Jest o wiele lepsze od więziennego. Marco wypił łyk kawy i spojrzał w okno.

–Tutaj studiowałeś, tak?

–Tak. Uniwersytet ma tysiąc lat. To jedna z najstarszych i najlepszych wyższych uczelni na świecie. Później ci pokażę.

Ponownie zjechali z autostrady i znaleźli się na brudnych przedmieściach. Ulice robiły się coraz krótsze i węższe, ale wyglądało na to, że Luigi dobrze zna drogę. Sądząc po znakach, jechali do centrum, w stronę uniwersytetu, lecz nagle skręcili, wskoczyli na krawężnik i wcisnęli się w miejsce, w którym z trudem zaparkowałyby motocykl.

–Chodźmy coś zjeść – powiedział Luigi i gdy wreszcie udało im się wysiąść z fiata, szybko ruszyli chodnikiem przez zimowy chłód.

Kolejną kryjówką był obskurny hotelik kilka ulic od starówki.

–Cięcia budżetowe, co? – mruknął, idąc za Luigim przez ciasny hol.

–Tylko na kilka dni.

–A potem? – Szli wąskimi schodami. On dźwigał torby, Luigi nic. Na szczęście

**pokój, bardzo mały, z maleńkim łóżkiem i zasłonami w oknach, których nie dotykano od wielu dni, był na pierwszym piętrze.**

**–Bardziej podobało mi się w Treviso – powiedział, gapiąc się na ściany.**

**Luigi rozsunął zasłony. Słońce pomogło, ale tylko trochę.**

**–Nie jest tak źle – odparł bez przekonania.**

**–Moja cela była ładniejsza.**

**–Ciągle narzekasz.**

**–Nie bez powodu.**

**–Rozpakuj się. Spotkamy się na dole za dziesięć minut. Ermanno czeka.**

Wyglądało na to, że nagła przeprowadzka wstrząsnęła Ermannem równie mocno jak nim. Był przygnębiony i zdenerwowany, jakby gonił ich przez całą noc. Przeszli razem kilka ulic do zapuszczonego bloku mieszkalnego. W bloku nie było windy, więc wdrapali się na drugie piętro i weszli do maleńkiego, dwupokojowego mieszkanca, jeszcze skromniej umeblowanego niż jego mieszkanie w Treviso. Widać było, że spakował się szybko i jeszcze szybciej rozpakował.

–Mieszkasz jeszcze gorzej niż ja – stwierdził Marco, rozglądając się  
wokół.

Na wąskim stoliku leżały otwarte podręczniki, z których korzystali zaledwie poprzedniego dnia.

–Wrócę na lunch – oznajmił Luigi i szybko wybył.

–*Andiamo a studiare* - zaczął Ermanno.

–Już wszystko zapomniałem.

–Wczoraj dobrze nam szło.

–Nie moglibyśmy pójść do baru na kielicha? Nie mam dzisiaj nastroju. – Ale Ermanno już zajął miejsce po drugiej stronie stołu i przewracał kartki. Marco niechętnie usiadł naprzeciwko.

Lunch i kolacja nie należały do pamiętnych. Po prostu przekazali coś w podrabianej trattorii, włoskim odpowiedniku baru szybkiej obsługi. Luigi był w parszywym nastroju i nalegał, czasem surowo, żeby rozmawiali tylko po włosku. Mówił powoli i wyraźnie. Każde zdanie powtarzał cztery razy, aż Marco wszystko zrozumiał, po czym wypowiadał następne. Pod tak silną presją nie można było cieszyć się jedzeniem.

O północy, szczelnie opatulony cienkim kocem, Marco leżał już w zimnym pokoju, pijąc sok pomarańczowy, który osobiście zamówił, i wkuwając listy czasowników i przymiotników.

Co ten Critz takiego zrobił, że zabili go ci sami ludzie, którzy prawdopodobnie szukają Joela Backmana? Już samo pytanie brzmiało dziwacznie. Za nic nie umiał na nie odpowiedzieć. Przypuszczał, że decyzja o ułaskawieniu zapadła w jego obecności; prezydent Morgan nie potrafił podejmować takich decyzji sam. Ale poza tym było absolutnie niemożliwe, żeby maczał palce w czymś na wyższym szczeblu.

**Od dziesięcioleci był zwykłym wyrobnikiem, nikiem więcej. Niewielu mu ufało.**

**Skoro jednak ludzie nadal ginęli, musiał jak najszybciej nauczyć się rozrzuconych na łóżku czasowników i przymiotników. Język to przetrwanie**



i możliwość swobodnego poruszania się. Luigi i Ermanno mieli wkrótce wyjechać, a wówczas on, Marco Lazzeri, będzie zdany tylko na siebie.

## Rozdział 12

świcie uciekł z klaustrofobicznego pokoiku albo „apartamentu”, jak nazywali go tamci, i poszedł na długi spacer. Chodniki były niemal równie mokre jak zimne, wilgotne powietrze. Z planem miasta w kieszeni – plan był oczywiście tylko po włosku – doszedł do starówki i minawszy prastare mury Porta San Donato, skręcił w Via Irnerio, która biegła wzdłuż północnego skraju dzielnicy uniwersyteckiej. Przejścia i uliczki miały setki lat i kilometrami ciągnęły się nimi łukowate portyki.

Wyglądało na to, że życie rozpoczyna się tu bardzo późno. Minął go jakiś samochód, potem dwa rowery, ale przechodnie jeszcze spali. Luigi mówił, że Bolonia była kiedyś lewicowa, a nawet komunizująca. Miała bardzo bogatą historię – obiecał, że wszystko mu opowie.

W oddali zobaczył mały, zielony neon obojętnie zapraszający do baru Fontana i gdy podszedł bliżej, natychmiast poczuł zapach mocnej kawy. Bar wciskał się ciasno w narożnik starego domu, chociaż z drugiej strony, wszystkie domy były tu stare. Drzwi otworzyły się niechętnie, ale kiedy wszedł do środka, niemal uśmiechnął się do otaczających go zapachów: kawa, papierosy, ciastka, śniadanie z grilla. A zaraz potem ogarnął go strach, znajomy lęk przed złożeniem zamówienia w obcym języku.

Ale bar Fontana nie był barem studenckim czy przybytkiem dla kobiet. Prawie wszyscy goście byli w jego wieku, od pięćdziesiątki w górę -trochę dziwnie ubrani, niemal wszyscy palili fajki i mieli brody, tak że od razu domyślił się, iż trafił do baru profesorskiego. Ten i ów zerknął w jego stronę, ale w stutysięcznym ośrodku akademickim trudno było przykuć czyjąś uwagę.

Wypatrzył mały stolik na końcu sali i gdy wreszcie usiadł, opierając się o ścianę, okazało się, że siedzi prawie ramię w ramię z dwoma sąsiadami, którzy byli tak pochłonięci poranną prasą, że nawet go nie zauważyli. W jednym ze swoich wykładów na temat włoskiej kultury Luigi wyjaśnił mu, że koncepcja przestrzeni jest w Europie zupełnie inna niż koncepcja przestrzeni w Stanach. Przestrzeń jest tu dzielona, nie chroniona. Dzielona-

ne są stoliki, powietrze najwyraźniej też, ponieważ papierosowy dym nikomu tu nie przeszkadza. Samochody, domy, autobusy, mieszkania, kawiarnie – wszystko jest tu dużo mniejsze, ciasniejsze, bardziej zatłoczone, dlatego chętniej przez wszystkich dzielone. W tym, że podczas zwykłej rozmowy stoi się z kimś nos w nos, nie ma nic złego, ponieważ nie dochodzi do naruszenia prywatnej przestrzeni. Częściej się tu gestykułuje, obejmuje, ściska i całuje.

Chociaż Włosi uchodzili za naród niezwykle przyjazny, tego rodzaju zażyłość była dla Amerykanów czymś trudno zrozumiałym.

Tak więc Marco nie był jeszcze gotowy do rezygnacji z zajmowanej przez siebie przestrzeni. Wziął ze stolika zmięty jadłospis, szybko zdecydował się na pierwszą rzecz, jaką rozpoznał, i gdy przechodzący obok kelner spojrzał na niego, z całą swobodą, na jaką było tylko stać, rzucił:

*–Espresso, e un panino alformaggio.* – Małą kanapkę z serem.

Kelner pochwalił ten wybór skinieniem głowy. Nikt na niego nie spojrzał, nikt nie zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, kto mówi po włosku z tak dziwnym akcentem. Nikt nie opuścił nawet gazety. Bo nikogo to nie obchodziło – słyszeli tu setki dziwnych akcentów. Odkładając jadłospis, Marco Lazzeri doszedł do wniosku, że Bolonia chyba mu się spodoba, nawet gdyby miało się okazać, że jest siedliskiem komunistów. Ponieważ przyjeżdżało tu tylu studentów z całego świata, obcokrajowców akceptowano jako część miejscowej kultury. Dziwny akcent i odbiegający od normy strój mogły być nawet w modzie. Tak samo jak jawna nauka języka.

Jedną z cech charakterystycznych każdego obcokrajowca było to, że wszystko zauważał, że strzelał wokoło oczami, jakby nielegalnie przekroczył granicę obcej kultury i bał się, że go złapią. Postanowił, że jego nie złapią – nie na podziwianiu widoków w barze Fontana. Dlatego wyjął książkę i usiłując tylko na niej skupić uwagę, zaczął wkuwać słówka. Czasowniki, czasowniki i jeszcze raz czasowniki. Ermanno ciągle powtarzał, że aby opanować włoski czy jakikolwiek inny język romański, trzeba znać czasowniki. W książce było około tysiąca podstawowych i twierdził, że na początek to wystarczy.

Chociaż wkuwanie było zajęciem monotonnym i nużącym, znajdował w tym dziwną przyjemność. Szybkie przejście czterech stron z setką czasowników – zamiast nich mogły być również rzeczowniki – i bezbłędne

ich zaliczenie sprawiało mu wielką satysfakcję. Jedna pomyłka czy błąd w wymowie i za karę powtarzał wszystkie od początku. Zanim na stoliku wylądowały kawa i kanapka, zdążył wyryć na blachę prawie trzysta. Wypił łyk i wrócił do pracy, jakby jedzenie było o wiele mniej ważne od czasowników. Właśnie dobijał do końca czwartej setki, gdy przyszedł Rudolph.

Krzesełko po drugiej stronie okrągłego stolika było wolne i przykuło uwagę niskiego, ubranego w wypłowiałą czerń grubasa o mocno kręconych, sterczących na wszystkie strony włosach, których nie mógł ujarzmić nawet czarny beret trzymający się cudem na czubku głowy.

–*Buon giorno. E libera?* – spytał grzecznie, wskazując krzesło.

Marco nie wszystko zrozumiał, chociaż sytuacja była oczywista. Ale

ułamek sekundy później dotarło do niego słowo *libera* i założył, że znaczy „wolne” czy „puste”.

–*Si.* - Jedno krótkie słowo, więc zdołał wymówić je bez akcentu.

Grubas zdjął długą, czarną pelerynę, zarzucił ją na oparcie i wcisnął się

za stolik. Gdy usiadł, znaleźli się niewiele ponad pół metra od siebie. Pojęcie przestrzeni jest tu inne, powtarzał sobie Marco. Grubas rzucił na blat „L'Unite”, stolik się zachwiał i Marco bał się przez chwilę o swoje espresso. Żeby uniknąć rozmowy, spuścił głowę i podniósł wyżej słownik.

–Amerykanin? – rzucił nowy znajomy; mówił po angielsku bez cienia akcentu.

Marco opuścił książkę. Oczy tamtego błyszcząły tuż przed nim.

–Blisko. Kanadyjczyk. Skąd pan wie?

Ruchem głowy grubas wskazał słownik.

–Angielsko-włoski. Nie wygląda pan na Anglika, więc pomyślałem, że pewnie Amerykanin.

Sądząc po akcencie, pochodził prawdopodobnie ze środkowego zachodu. Na pewno nie z Nowego Jorku czy z New Jersey; nie z Teksasu, nie z południa, nie z

**Appalachów czy Nowego Orleanu. Wyeliminowawszy okazałą część kraju, Marco zaczynał już myśleć o Kalifornii. Zaczynał się też denerwować. Wiedział, że zaraz będzie musiał kłamać, a tego nie zdążył przeciwżyć.**

**–A pan skąd? – spytał.**

**–Ostatnio z Austin w Teksasie. Ale to było trzydzieści lat temu. Mam na imię Rudolph.**

–Miło mi. Ja jestem Marco. – Jak w przedszkolu. W przedszkolu wystarczy samo imię. – Nie mówisz jak Teksańczyk.

–I dzięki Bogu! – Rudolph roześmiał się, ledwo rozchylając usta. – Urodziłem się w San Francisco.

Gdy podszedł do nich kelner, zamówił czarną kawę, a potem dodał coś szybko po włosku. Wymienili kilka zdań z kelnerem, ale Marco nic z tego nie rozumiał.

–Co cię sprowadza do Bolonii? – spytał Rudolph. Widać było, że ma ochotę pogadać; pewnie rzadko kiedy mógł dopaść rodaka w swojej ulubionej kafejce.

Marco opuścił słownik.

–Od roku podróżuję po Włoszech. Zwiedzam, podziwiam widoki, próbuję nauczyć się języka.

Połowa twarzy Rudolpha ginęła pod zmierzwioną siwą brodą, która zaczynała się od kości policzkowych i rozrastała we wszystkich kierunkach. Widać było nos i część ust. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego nikt nigdy nie miał zrozumieć, bo nikt nie śmiałyby zadać tak idiotycznego pytania, starannie wygalał małą, okrągłą łatkę tuż pod dolną wargą, podczas gdy w pozostałych miejscach broda rosła jak chciała, niepielęgnowana i prawdopodobnie niemyta. Podobnie na czubku głowy: pieniała się tam dżungla wystających spod beretu siwych włosów.

Ponieważ zarost skrywał większość rysów jego twarzy, całą uwagę skupiały na sobie oczy – ciemnozielone, a ich spojrzenie było jak promienie lasera, które wystrzeliwując spod grubych, ciężko opadających powiek, dokładnie skanowały wszystko i wszystkich.

–Od dawna w Bolonii? – spytał.

–Od wczoraj. Podróżuję, ot tak sobie, bez żadnego planu. A ty? – Marco robił co mógł, żeby skierować rozmowę na inny tor, jak najdalej od siebie.

Oczy zatańczyły, choć ani razu nie mrugnęły.

–Siedzę tu od trzydziestu lat. Wykładam na uniwersytecie.

Marco odgryzł wreszcie kawałek kanapki, trochę z głodu, a trochę po to, żeby uniknąć mówienia.

**–Gdzie mieszkasz?**

**–W Toronto – odparł Marco zgodnie ze scenariuszem. – Osiedlili się tam moi dziadkowie; pochodzili z Mediolanu. Płyne we mnie włoska krew, ale nigdy nie miałem okazji nauczyć się włoskiego.**

–Nie jest taki trudny. – Kelner przyniósł kawę. Rudolph chwycił małą filiżankę i zagrzebał ją głęboko w brodzie. Musiała trafić do celu,

bo głośno mlasnął i nachylił się lekko, jakby chciał coś dodać. Nie mówisz jak Kanadyjczyk – szepnął z rozbawieniem w oczach.

Od kilku dni Marco walczył o to, żeby wyglądać, zachowywać się i mówić jak Włoch. O udawaniu Kanadyjczyka nie miał czasu nawet pomyśleć. Zresztą jak ci Kanadyjczycy w ogóle mówili? Znow ugrzył kęs, tym razem wielki, i z zapchanymi ustami odparł:

–Nic na to nie poradzę. Jak tu trafiłeś z Austin?

–To długa historia.

Marco wzruszył ramionami, jakby miał mnóstwo czasu.

–Jako młody asystent wykładałem prawo na tamtejszym uniwersytecie. Kiedy odkryli, że jestem komunistą, zaczęli na mnie naciskać, żebym odszedł. Dałem im odpór. Wtedy oni naparli jeszcze mocniej. Zacząłem głośno protestować, zwłaszcza na zajęciach i wykładach. Na początku lat siedemdziesiątych komunistom niełatwo było w Teksasie; bardzo wątpię, czy teraz jest inaczej. Zwolnili mnie i wypędzili z miasta, więc przyjechałem do Bolonii, do głównego ośrodka włoskiego komunizmu.

–Czego uczysz?

–Prawoznawstwa. Prawa. Lewicowych teorii prawnych.

Na stoliku pojawiła się pudrowana cukrem bułeczka i Rudolph pożarł połowę jednym kęsem. Z brody posypało się kilka okruszków.

–Ciągle jesteś komunistą?

–Oczywiście. I zawsze będę. Dlaczego miałbym nie być?

–Komunizm się chyba wypalił, nie uważasz? Okazało się, że to wcale nie taka wspaniała idea. Spójrz tylko na Rosję, na cały ten bałagan, który pozostawili po sobie Stalin i jego następcy. A w Korei Północnej? Ludzie głodują, a dyktator buduje głowice nuklearne. Kuba jest pięćdziesiąt lat za resztą świata. Sandinistów przegłosowano i wysiudano. Chiny zwracają się ku kapitalizmowi wolnorynkowemu, bo stary system się załamał. Komunizm po prostu się nie sprawdza. Nie sądzisz?

Bułeczka straciła cały powab, zielone oczy zwęziły się do szparek. Czekala go długa

tyrada, najpewniej przyprawiona przekleństwami po włosku i angielsku – Marco rozejrzał się szybko i nagle uświadomił sobie, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż komunistów w barze Fontana jest znacznie więcej.

Z drugiej strony, co zrobił dla niego kapitalizm?



Na szczęście Rudolph uśmiechnął się, wzruszył ramionami i z nutką nostalgii w głosie odparł:

Może się i nie sprawdza, ale trzydzieści lat temu zabawnie było być komunistą, zwłaszcza w Teksasie. To były czasy...

Marco zerknął na stolik.

–Sięgasz czasem po nasze gazety?

–Nasze? Z domu? Mój dom jest tutaj, przyjacielu. Mam włoskie obywatelstwo i od dwudziestu lat nie byłem w Stanach.

Backmanowi ulżyło. Nie widział amerykańskich gazet od wyjścia z więzienia, ale przypuszczał, że dużo o nim pisano. Prawdopodobnie zamieszczano również stare zdjęcia. Nie, był bezpieczny. Rudolph nic nie wiedział o jego przeszłości.

Zastanawiał się też, czy taka właśnie czeka go przyszłość: włoskie obywatelstwo. Jeśli w ogóle jakieś. Czy gdyby przewinąć taśmę do przodu, okazałoby się, że wciąż krąży bez celu po Włoszech, może już nie zerkając co chwilę przez ramię, ale zawsze o tym myśląc?

–Powiedziałaś: „nasze gazety” – rzekł Rudolph. – Nasze, czyli amerykańskie czy kanadyjskie?

Marco uśmiechnął się i ruchem głowy wskazał nieokreśloną dal.

–Nasze, czyli tamtejsze. – Błąd. Mały, bo mały, ale nie powinien był

popęlić żadnego. – Jestem tu pierwszy raz – dodał szybko, żeby zmienić

temat. – Nie wiedziałem, że to główny ośrodek włoskiego komunizmu.

Rudolph odstawił filiżankę, znowu cmoknął częściowo ukrytymi ustami, a potem obiema rękami, niczym stary kocur przyglądający sobie wąsy, łagodnie odgarnął brodę do tyłu.

–Bolonia to nie tylko komunizm, przyjacielu – odrzekł i zabrzmiało to jak

początek długiego wykładu. – Bolonia zawsze była ośrodkiem intelektualizmu i wolnomyślicielstwa, stąd jej przydomek: *la dotta*, czyli „uczona”. Potem stała się domem lewicowców i otrzymała drugi przydomek: *la rossa*,

czyli „czerwona”. Jedzenie zawsze było dla bolończyków czymś bardzo ważnym. Wierzą, i pewnie nie bez racji, że ich miasto jest brzuchem Włoch. Stąd przydomek numer trzy, *la grassa*, czyli „gruba”, „tłusta”, ale jest to określenie miłe i pieszczotliwe, bo nie zobaczysz tu wielu grubasów. Że niby ja? Ja byłem gruby już wtedy, kiedy tu przyjechałem. – Jedną ręką poklepał się dumnie po brzuchu, drugą podniósł do ust reszkę pudrowanej bułeczki.

Marcowi przyszła do głowy przerażająca myśl: czy to możliwe, żeby Rudolph był jednym z nich? Kumplem Luigiego, Ermanna, Stennetta

i wszystkich tych, którzy kryjąc się w mroku, tak usilnie próbowali utrzymać przy życiu Joela Backmana? Nie, to niemożliwe. Był tym, za kogo się podawał: profesorem prawa. Ekscentrykiem, dziwakiem, odmieńcem i podstarzałym komunistą, który znalazł lepsze życie gdzieś indziej.

Myśl przyszła i odeszła, lecz raczej o niej nie zapomniał. Skończył kanapkę i uznał, że dość już pogawędzili. Przypomniało mu się nagle, że musi złapać pociąg, że czeka go kolejny dzień zwiedzania. Gdy wygramolił się zza stolika, Rudolph czule go pożegnał.

–Jestem tutaj co rano – powiedział. – Wpadnij kiedyś na dłużej. Pogadamy.

–*Grazie* - rzekł Marco. – *Arrivederci*.

Via Irnerio powoli budziła się do życia; kursowały już furgonetki dostawcze. Dwóch kierowców wrzeszczało na siebie, obrzucając się zapewne przyjacielskimi wyzwiskami, których nie rozumiał, i które nieprędko dane mu będzie zrozumieć. Szybko odszedł na wypadek, gdyby stary Rudolph nagle wybiegł z kafejki, chcąc go jeszcze o coś zapytać. Skręcił w boczną uliczkę, Via Capo di Lucca – wiedział już, że wszystkie są dobrze oznakowane i łatwe do znalezienia na planie miasta – i ruszył w kierunku śródmieścia. W pewnym momencie minął kolejną kawiarnię, małą i bardzo przytulną. Szybko zawrócił i wpadł na cappuccino.

Tu nie zaczepiali go żadni komuniści, tu nikt go nawet nie zauważył. Marco i Joel Backman rozkoszowali się chwilą: pyszna, mocna kawa, ciepło, cichy śmiech rozgadanych gości. Nikt, ani jedna osoba na świecie nie wiedziała, gdzie teraz jest. Cóż za radosne uczucie.

Na jego żądanie poranna lekcja zaczynała się już o ósmej, a nie o wpół do dziewiątej. Ermanno, jak to student, lubił spać długo i twardo, ale czego się nie robi dla pracowitego ucznia. Marco przychodził na każde spotkanie z wykutą na pamięć listą słówek, do perfekcji opanowanymi dialogami i z żądzą jak najintensywniejszej nauki, nad którą z trudem panował. Raz zaproponował nawet, żeby zaczęli o siódmej.

W dniu kiedy poznał Rudolpha, po dwóch godzinach nieustannej nauki nagle oświadczył:

–*Vorrei vedere l'universita*. - Chciałbym zobaczyć uniwersytet.

–*Quando?* – spytał Ermanno. Kiedy?

**-Adesso. Anidamo a fare una passeggiata. - Teraz. Chodźmy na spacer.**

–*Penso che dobbiamo studiare.* - Myślę, że powinniśmy się uczyć.

–*Si. Possiamo studiare a camminando.* Możemy się uczyć, spacerując.

Marco już stał, już chwycił płaszcz. Wyszli z przygnębiającego mieszkania i ruszyli w kierunku uniwersytetu.

–*Questa via, come si chiama?* - spytał Ermanno. Jak się nazywa ta ulica?

–*E Via Donati* - odrzekł Marco bez spoglądania na tabliczkę. Przystanęli przed zatłoczonym sklepikiem.

–*Che tipo di negozio e questo?* – spytał Ermanno. Co można tu kupić?

–*Posso comprare molte cose. Giornali, riviste, francobolli, sigarette.*

– Dużo rzeczy. Gazety, czasopisma, znaczki pocztowe, papierosy.

Spacer przekształcił się w pieszą zabawę w nazywanie rzeczy. Ermanno pokazywał coś i pytał: „*Cosa e quello?*” Co to jest? Rower, policjant, niebieski samochód, autobus miejski, śmieciarka, student, budka telefoniczna, piesek, kawiarnia, cukiernia. Nie licząc słupa latarni, Marco znał wszystkie i błyskawicznie nazywał każdą z nich po włosku. No i najważniejsze: czasowniki. Iść, mówić, widzieć, uczyć się, kupować, myśleć, rozmawiać, oddychać, jeść, pić, spieszyć się, prowadzić samochód – chociaż lista nie miała końca, zawsze potrafił znaleźć właściwy odpowiednik.

Kilka minut po dziesiątej uniwersytet w końcu ożył. Ermanno wyjaśnił, że nie ma tu centralnie położonego kampusu, wysadzanego drzewami czworokątnego dziedzińca i całej reszty, jak w Ameryce. Università degli Studi mieścił się w kilkudziesięciu starych, pięknych budynkach. Niektóre miały pięćset lat i jeden przy drugim stały głównie przy Via Zamboni, choć nie tylko tam, bo z biegiem lat uczelnia rozrosła się i zajmowała teraz prawie całą dzielnicę.

Porwała ich fala studentów spieszących z zajęć na zajęcia i na kilka minut zapomnieli o lekcji. Marco przyłapał się na tym, że podświadomie wypatruje w tłumie starego grubasa o siwych włosach, swojego ulubionego komunisty, pierwszego prawdziwego znajomego, jakiego poznał po wyjściu z więzienia. Postanowił już, że spotka się z nim ponownie.

**Przy Via Zamboni numer 22 przystanął, patrząc na tablicę między drzwiami i oknem:  
Facolte di giurisprudenza.**

**–To wydział prawa? – spytał.**

**–Si.**

**Gdzieś tam był Rudolph, który miał pewnie lewicowy zamęt w głowach podatnych na  
wpływy studentów.**

Niespiesznie poszli dalej, kontynuując zabawę w nazywanie rzeczy i ciesząc się bijącą z ulicy energią.

### Rozdział 13

*ezione a piedi* - pieszą lekcję – kontynuowali nazajutrz, gdyż po godzinie nudnych ćwiczeń gramatycznych z podręcznika Marco zbuntował się i zażądał spaceru.

–*Ma, deve imparare la grammatica* - upierał się Ermanno. Musisz

uczyć się gramatyki.

Ale on już wkładał płaszcz.

–I tu się mylisz. Brakuje mi żywej rozmowy, a nie struktur gramatycznych.

–*Sono io l'insegnante.* – To ja jestem nauczycielem.

–Chodźmy – rzucił Marco. – *Andiamo.* Bolonia czeka. Na ulicach jest pełno młodych, szczęśliwych ludzi, powietrze wibruje dźwiękami twojej ojczystej mowy: będę je chłonał, chłonał i jeszcze raz chłonał. – Widząc, że Ermanno wciąż się waha, dodał: – Proszę cię, przyjacielu. Sześć lat siedziałem w celi wielkości tego pokoju. Nie dziw się, że chcę stąd wyjść. Tam za oknem jest tętniące życiem miasto. Chodźmy trochę pozwiedzać.

Czyste, chłodne powietrze, na niebie ani jednej chmurki – był wspaniały zimowy dzień, więc wszyscy ciepłokrwisci bolończycy wylegli na ciche ulice, żeby coś załatwić albo porozmawiać ze starymi przyjaciółmi. Zaspiani studenci pozdrawiali zaspanych studentów, gospodynie domowe witały się z gospodyniami i tu, i tam rozbrzmiewał gwar rozmów. Starsi panowie w płaszczach i krawatach ściskali sobie ręce i mówili wszyscy naraz. Uliczni sprzedawcy zachwalali swój towar i oferowali specjalne zniżki.

Ale dla Ermanna nie był to spacer po parku. Uczeń chciał konwersacji? Proszę bardzo. Wskazał policjanta i powiedział, po włosku oczywiście:

–Podejdz do niego i spytaj o drogę na Piazza Maggiore. Dobrze wszystko zapamiętaj, potem cię przepytam.

Marco szedł powoli, powtarzając znajome słówka i zwroty i próbując przypomnieć sobie inne. Zawsze zaczynaj od uśmiechu i powitania, od uśmiechu i powitania...

– *Buon giorno* - powiedział, prawie wstrzymując oddech.

–*Buon giorno* odrzekł policjant.

–*Mi puo aiutare?* - Może mi pan pomóc?

–*Certamente.* – Oczywiście.

–*Sono Canadese. Non parlo molto bene...* – Jestem Kanadyjczykiem. Słabo mówię po włosku...

–*Allora.* - W porządku, słucham. Policjant czekał z uśmiechem i widać było, że bardzo chce mu pomóc.

–*Dov 'e la Piazza Maggiore?*

Pan władza odwrócił się i popatrzył w kierunku centrum. Odchrząknął i Marco przygotował się na potok słów; stojący kilka kroków dalej Er-manno wszyściutko słyszał.

–To niedaleko. – Cudownie! Policjant mówił powoli, bardzo powoli i, jak wszyscy policjanci, pokazywał ręką. - Na najbliższym skrzyżowaniu skręci pan w prawo, w Via Zamboni. Pójdzie pan prosto, aż zobaczy pan dwie wieże. Wtedy skręci pan w Via Rizzoli. Trzy ulice dalej...

Marco słuchał najuważniej, jak tylko mógł, powtarzając sobie w myślach każde zdanie. Policjant skończył i cierpliwie zaczął wszystko od początku. Marco podziękował mu, odtworzył w pamięci to, co zdołał przyswoić, wrócił do Ermanna i zasypał go gradem słów.

–*Non c 'e male* – mruknął tamten. Nieźle. Ale zabawa dopiero się rozkręcała. Podczas gdy Marco cieszył się swoim małym triumfem, on szukał już kolejnego, niczego nieświadomego korepetytora. Znalazł staruszkę o lasce, który sunął noga za nogą z grubą gazetą pod pachą. – Spytaj go, gdzie kupił tę gazetę – rozkazał.

Nie spiesząc się, Marco szedł przez chwilę za staruszką i gdy wreszcie złożył odpowiednią kwestię, powiedział:

–*Buon giorno, scusi...*

Staruszek przystanął, wytrzeszczył oczy i wydawało się, że zaraz zdzieli go laską w głowę. Nawet mu nie odpowiedział.



**–Dov 'e ha comprato questo giornale? - Gdzie pan kupił tę gazetę?**

**Starzec popatrzył na gazetę, jakby ją przemycił, a potem spojrzął na Marca, jakby ten obrzucił go stekiem wyzwisk. Gwałtownym ruchem głowy wskazał w lewo i mruknął coś w rodzaju: „Tam”. Dla niego rozmowa już się skończyła. Gdy poczłapał dalej, u boku Marca wyrósł Ermanno.**

**–Nie pogadałeś sobie, hę? – rzucił po angielsku.**

**–Raczej nie.**

Wstąpili do małej kafejki i Marco zamówił dla siebie zwykłe espresso. Ale tak proste ćwiczenie Ermanna nie interesowało. Zażądał kawy z cukrem bez śmietanki, małego kawałka czereśniowego ciasta i kazał mu to wszystko zamówić, szybko i z perfekcyjną wymową. Gdy już usiedli, rozłożył na stoliku banknoty o różnych nominałach oraz parę monet, jedno euro i pięćdziesiąt centów, żeby poćwiczyć liczenie i liczebniki. Niedługo potem nabrał ochoty na jeszcze jedną kawę, tym razem bez cukru, za to z odrobiną śmietanki. Marco wziął dwa euro i wrócił z kawą. Potem musiał przeliczyć resztę.

Po tej krótkiej przerwie znowu wrócili na ulicę i ruszyli wolno Via San Vitale, jedną z głównych uniwersyteckich alej z ciągnącymi się po obu stronach portykami i tysiącami spieszących na poranne zajęcia studentów. Jezdnia była szczelnie zapchana rowerami, ich ulubionym środkiem transportu. Ermanno studiował w Bolonii trzy lata, a przynajmniej tak mówił, chociaż Marco nie bardzo mu wierzył, podobnie jak nie wierzył swojemu opiekunowi.

–To jest Piazza Verdi. – Korepetytor wskazał mały plac, gdzie właśnie zaczynał się jakiś wiec protestacyjny. Długowłosy relik z lat siedemdziesiątych ustawiał mikrofon, bez wątpienia po to, żeby z wrzaskiem oskarżyć Stany Zjednoczone o kolejne zbrodnie i wszelaką nieprawość. Jego koledzy próbowali rozwinąć duży, niechlujnie zrobiony transparent z hasłem, którego nie mógł odczytać nawet Ermanno. Ale organizatorzy protestu przyszli za wcześnie. Studenci byli jeszcze zaspani i bardziej interesowało ich to, żeby nie spóźnić się na zajęcia.

–O co im chodzi? – spytał Marco, gdy ruszyli dalej.

–Nie jestem pewien. Chyba o Bank Światowy. Tu zawsze jest jakaś demonstracja.

Szli z tłumem, kierując się do *ii centro*.

Luigi czekał na nich w Testerino, restauracji niedaleko uniwersytetu. Ponieważ rachunki za lunch i kolację płacili amerykańscy podatnicy, zamawiał dużo i często, nie zwracając uwagi na cenę. Ermanna, biednego studenta, tego rodzaju ekstrawagancje wprawiały początkowo w zakłopotanie, ale ponieważ był Włochem, na myśl o długim lunchu szybko przełamywał wszelkie opory. Ten trwał dwie godziny i przez ten czas nie wypowiedziano ani jednego słowa po angielsku. Mówiono tylko po włosku, wolno, starannie i z licznymi powtórkami – angielski w ogóle nie wchodził w rachubę. Marcowi trudno było cieszyć się dobrym jedzeniem,

ponieważ jego umysł cały czas pracował na pełnych obrotach, żeby wszystko usłyszeć, pojąć, przetrwać, zrozumieć i ułożyć odpowiedź na skierowane do niego pytanie. Często bywało tak, że Ermanno i Luigi wymieniali nad jego głową zwroty i frazy, w których rozpoznawał jedynie pojedyncze słowa, lecz nie robili tego dla zabawy. Gdy tylko zauważali, że nie nadaża i potakuje tylko po to, żeby spokojnie zjeść, milkli i pytali: „*Che cosa ho detto?*” Co przed chwilą powiedziałem?

Wtedy żuł przez kilka sekund, żeby zyskać na czasie i wymyślić coś -do cholery, po włosku! – co pozwoliłoby mu wybrnąć z kłopotów. Ale powoli uczył się słuchać, wyłapywać najważniejsze słowa. Zarówno Ermanno, jak i Luigi często powtarzali, że zawsze będzie rozumieć znacznie więcej, niż zdoła powiedzieć.

Uratowało go jedzenie. Okazało się, że niezwykle istotna jest umiejętność rozróżniania między tortellini (małe uszka nadziewane wieprzowiną) i tortelloni (uszka większe, nadziewane serem ricotta). Dowiedziawszy się, że Marco jest Kanadyjczykiem, którego bardzo ciekawią bolońskie kulinaria, szef kuchni uparł się, żeby podać mu i to, i to. Luigi oczywiście podkreślił, że zarówno tortellini, jak i tortelloni są dziełem najslynniejszych bolońskich mistrzów.

Tymczasem on po prostu jadł, pochłaniał przepyszne jedzenie i w ogóle się nie odzywał, a już na pewno nie po włosku.

Po dwóch godzinach obżarstwa poprosił o przerwę. Dopił drugie espresso, pożegnał się i zostawiwszy ich w restauracji, wyszedł samotnie na ulicę. Od intensywnej nauki dzwoniło mu w uszach i kręciło się w głowie.

Zatoczył pętlę wokół Via Rizzoli, taką na dwie ulice. Potem zatoczył drugą, żeby upewnić się, czy nikt go nie śledzi. Długie, zadane portykami chodniki były doskonałym miejscem na szybkie manewry, na gwałtowny unik czy skok do ciemnej bramy. Gdy ponownie wypełnił je tłum studentów, przeciął Piazza Verdi, gdzie jeden z demonstrujących przeciwko wrogiej działalności Banku Światowego wygłaszał płomienne przemówienie, które sprawiło, że Marco po raz pierwszy ucieszył się, że nie rozumie po włosku. Przystanął przed gmachem na Via Zamboni 22, ponownie spojrzął na masywne, drewniane drzwi wydziału prawa, po czym wszedł do środka, jakby wchodził do siebie. Nigdzie nie zauważył tablicy informacyjnej, jednak na studenckiej tablicy ogłoszeń wisiały karteczki z informacjami na temat wolnych kwater, książek, ogłoszenia towarzyskie,

a nawet plan zajęć semestru letniego w Wake Forest Law School. Było tam dosłownie wszystko.

Hol wychodził na otwarty dziedziniec, gdzie kłębili się studenci, rozmawiając przez komórkę, paląc papierosy i czekając na zajęcia.

Jego uwagę przykuły schody po lewej stronie. Wszedł na drugie piętro i tam znalazł wreszcie konkretną wskazówkę: *uffici* - to słowo rozumiał. Minawszy dwie sale dydaktyczne, dotarł do dziekanatu. Większość drzwi miała tabliczki, kilka nie. Ostatnie prowadziły do gabinetu Rudolpha Viscovitcha. Rudolph Viscovitch -jak dotąd było to jedyne niewłoskie nazwisko, jakie tu widział. Zapukał, ale nikt mu nie odpowiedział. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Szybko wyjął z kieszeni kartkę papieru z Albergo Campeol w Treviso i napisał: *Drogi Rudolfie*

*Włócząc się po uniwerku, zobaczyłem Twój gabinet i wpadłem się przywitać. Może złapię Cię kiedyś w Fontanie. Mile wspomynam naszą wczorajszą pogawędkę. Dobrze jest pogadać czasem po angielsku. Twój Kanadyjczyk, Marco Lazzeri* Wsunął kartkę pod drzwi, zszedł za grupą studentów schodami na dół i znalazłszy się na Via Zamboni, ruszył bez celu przed siebie. Wstąpił na *gelato*, a potem powoli wrócił do hotelu. W ciemnym pokoiku było za zimno na drzemkę. Ponownie poprzysiągł sobie, że poskarży się Luigiemu. Lunch kosztował go więcej niż trzy doby w tej norze. Jego i jego przełożonych stać było na coś lepszego. Na pewno. Wyszedł i powlókł się na popołudniową nasiadówkę do kłitki Ermanna.

Luigi czekał cierpliwie na bezpośredni ekspres z Mediolanu. Na Bologna Centrale panował względny spokój – cisza przed godziną szczytu o siedemnastej. O piętnastej trzydzieści pięć, dokładnie o czasie, na stację wpadł pociąg, długi, lśniący i szybki jak pocisk. Wpadł i zatrzymał się na krótki postój. Wysiadł z niego Whitaker.

Ponieważ nigdy się nie uśmiechał, powiedzieli sobie zaledwie „Dzień dobry” i wymieniwszy krótki uścisk rąk, od razu ruszyli do samochodu.

–No i jak on? – spytał Whitaker, gdy tylko zatrzasnął drzwi.

–Dobrze. – Luigi odpalił silnik i ruszyli. – Dużo się uczy. Nie ma wyboru.

–Trzyma się ciebie?

–Tak. Lubi spacerować po mieście, ale boi się odejść za daleko. Poza tym nie ma pieniędzy.

–I dobrze, niech nie ma. Jak jego włoski?

Szybko się uczy. – Byli na Via deli' Indipendenza, szerokiej alei prowadzącej do centrum. – Ma dobrą motywację.

–Boi się?

–Chyba tak.

–Jest bystry i umie manipulować ludźmi, nigdy o tym nie zapominaj. A ponieważ jest bystry, jest też przerażony. Wie, co znaczy niebezpieczeństwo.

–Powiedziałem mu o Critzu.

–No i?

–Był wstrząśnięty.

–Przestraszył się?

–Tak, chyba tak. Kto go załatwił?

–Critza? Chyba my, ale nigdy nie wiadomo. Mieszkanie przygotowane?

–Tak.

–Dobrze. Obejrzyjmy sobie jego nowe lokum.

Via Fondazza była cichą uliczką w południowo-wschodniej części starego miasta, kilka ulic od dzielnicy uniwersyteckiej. Podobnie jak niemal w całej Bolonii, chodniki biegły tu pod łukowatymi portykami, tak że z domów i mieszkań wychodziło się prosto na zadaszoną ulicę. Pod przyciskami domofonu obok niemal wszystkich drzwi były mosiężne tabliczki z nazwiskami lokatorów, lecz przy drzwiach domu numer 112 tabliczki próżno by szukać. Nie chciano, żeby mieszkanie rzucało się w oczy i było tak, odkąd przed trzema laty wynajęto je tajemniczemu biznesmenowi z Mediolanu, który regularnie płacił czynsz, ale rzadko tam zaglądał. Whitaker nie był w nim od ponad roku; nie, żeby stanowiło jakąś atrakcję. Było to zwykłe mieszkanie o powierzchni około pięćdziesięciu czterech metrów kwadratowych; miało cztery skromnie umeblowane pokoje i kosztowało tysiąc dwieście euro miesięcznie. Ot, kryjówka na przeczekanie, nic więcej, jedna z trzech w północnej części Włoch.

Dwie sypialnie, mała kuchnia, salonik z sofą, biurkiem i dwoma skórzanymi fotelami. Brak telewizora. Luigi wskazał telefon i półsłówkami, niemal zakodowanym językiem, rozmawiali przez chwilę o niewykrywalnym urządzeniu podsłuchowym, które tam zainstalowano.

W każdym pokoju ukryto dwa mikrofony, dwa potężne kolektory potrafiące wychwycić każdy wydawany przez człowieka dźwięk. Zamontowano również dwie minikamery. Ta w szczelinie między starymi deskami w saloniku pokazywała frontowe drzwi. Ta w tanim kinkiecie na ścianie w kuchni pokazywała drzwi kuchenne.

W sypialniach kamer nie zainstalowano i Luigi przyjął to z ulgą. Gdyby Marco sprowadził tu jakąś kobietę, kamery by to zarejestrowały, i to by Luigiemu wystarczyło. A jeśli by się już naprawdę nudził, zawsze może pstryknąć przełącznikiem i trochę ich popodsłuchiwać, ot, tak, dla zabawy.

Za grubą, kamienną ścianą od południa było sąsiednie mieszkanie. Tam, w pięciopokojowym apartamencie, nieco większym od tego, mieszkał on, Luigi. Kuchenne drzwi wychodziły na ogródek, a ponieważ z tego mieszkania nie było go widać, miał pełną swobodę ruchów. Jego kuchnię przekształcono w skomputeryzowane centrum obserwacyjne, skąd – włączając kamerę – mógł w każdej chwili zobaczyć, co dzieje się u sąsiada.

–Tu się będą uczyć? – spytał Whitaker.

–Tak. To bezpieczny lokal. Poza tym tu zawsze będę miał ich na oku. Whitaker jeszcze raz obejrzał wszystkie pomieszczenia i naoglądawszy

się do bólu, spytał:

–A u ciebie? Wszystko przygotowane?

–Tak. Siedziałem tam dwie noce. Wszystko gotowe.

–Kiedy go przeprowadzasz?

–Dziś po południu.

–Dobrze. Chodźmy. Chcę go zobaczyć.

Doszli do końca Via Fondazza i skręcili w nieco szerszą Strada Maggiore. Miejscem spotkania była mała kafejka Lestre. Luigi wziął gazetę i usiadł przy stoliku. Whitaker wziął inną i udając, że się nie znają, usiadł przy sąsiednim. Punktualnie o szesnastej trzydzieści Marco i Ermanno wpadli na szybką kawę.

–Masz dość włoskiego? – spytał Luigi, gdy już się przywitali i zdjęli płaszcze.

–Wychodzi mi nosem – odparł z uśmiechem Marco.

**–Dobrze, porozmawiajmy po angielsku.**

**–Niech cię Bóg błogosławi.**

**Whitaker siedział zaledwie półtora metra dalej i częściowo przesłonięty gazetą, palił papierosa, jakby nic go nie interesowało. Oczywiście wiedział o Ermanno, ale nigdy dotąd go nie widział. Marco to zupełnie inna historia.**



Kiedyś, dawno temu, przed kilkunastu laty, kiedy Gracz był na samym szczycie, Langley oddelegowało go do Waszyngtonu na jakąś robotę. Back-man zapadł mu w pamięć jako zaangażowany politycznie macher, który na kultywowanie swojego rozbuchanego „ja” poświęcał tyle samo czasu co na reprezentowanie swoich ważnych klientów. Był uosobieniem pieniądza i władzy, tłustym kocurem, który zastraszał, nakłaniając i przekupując, kogo się dało, zdobywał to, co chciał.

To zdumiewające, co zrobiło z nim sześć lat więzienia. Był teraz szczuplutki i w okularach od Armaniego wyglądał bardzo europejsko. No i zapuszczał sobie siwą bródkę. Whitaker dawał głowę, że gdyby wpadł tu za chwilę ktoś z jego dawnych znajomych, na pewno by go nie poznał.

Marco zauważył siedzącego tuż obok mężczyznę, który trochę za często na niego zerkał, lecz ani trochę go to nie zaniepokoiło. Rozmawiali po angielsku i wśród gości mogło być sporo takich, którzy ten język znali. W każdej studenckiej kafejce rozbrzmiewało kilkanaście języków.

Ermanno wyszedł zaraz po kawie. Kilka minut później wyszedł i Whitaker. Kilka ulic dalej wstąpił do kawiarenki internetowej, z której usług korzystał już przedtem. Podłączył laptop do sieci i wysłał wiadomość do Julii Javier.

Mieszkanie przy Fondazza przygotowane; powinien przeprowadzić się jeszcze dzisiaj. Widziałem, jak pił kawę z przyjaciółmi. Nie rozpoznałbym go, gdybym nie wiedział, że to on. Szybko przystosowuje się do nowego życia. U mnie wszystko w porządku, żadnych problemów. O zmroku ze stojącego na środku ulicy fiata szybko wyładowali trochę klamotów. Było ich niewiele, bo Marco praktycznie nic nie miał. Dwie torby z ubraniami, kilka włoskich książek, i mógł ruszać w drogę. Gdy wszedł do nowego mieszkania, pierwszą rzeczą, jaką zauważył, było to, że jest ciepło, porządnie ogrzane.

–No, to już lepiej – powiedział.

–Przestawię samochód – rzucił Luigi. – Rozejrzyj się.

Marco rozejrzał się i naliczył cztery ładnie umeblowane pokoje. Nic ekstrawaganckiego, ale w porównaniu z jego ostatnią norą był to olbrzymi krok naprzód. Żył mu się coraz lepiej – przed dziesięcioma dniami siedział jeszcze w więzieniu.

**Luigi wrócił szybko.**

**–No i co?**

**–Może być, biorę. Dziękuję.**

**–Nie ma za co.**

**–I podziękuj ode mnie tym z Waszyngtonu.**

**–Widziałeś kuchnię? – Luigi zapalił światło.**

**–Tak, jest doskonała. Długo tu będę mieszkał?**

**–To nie ja o tym decyduję, przecież wiesz.**

**–Wiem.**

**Przeszli do saloniku.**

**–Dwie sprawy – powiedział Luigi. – Po pierwsze, będzie tu przychodził Ermanno. Nauka przede wszystkim: od ósmej do jedenastej i od drugiej do piątej albo i dłużej, jeśli zechcesz i wytrzymasz.**

**–Cudownie. Załatw mu ładniejsze mieszkanie, dobra? Ta nora to obraza dla amerykańskich podatników.**

**–Po drugie, Via Fondazza to bardzo cicha i spokojna uliczka. Wchodź i wychodź z domu jak najszybciej. Nie rozmawiaj z sąsiadami, z nikim się nie zaprzyjaźniaj. Pamiętaj, zostawiasz za sobą ślad. Jeśli będzie dość wyraźny, ktoś może cię tu znaleźć.**

**–Słyszałem to już dziesięć razy.**

**–To posłuchaj jedenasty.**

**–Spokojnie, Luigi. Sąsiedzi mnie nie zobaczą, obiecuję. Podoba mi się tu. To mieszkanko jest o wiele ładniejsze niż moja cela.**

## **Rozdział 14**

**abożeństwo żałobne za duszę Roberta Critza odbyło się w przypominającym podmiejski klub mauzoleum na wytwornych przedmieściach Filadelfii, gdzie**

nieboszczyk się urodził i gdzie nie był od trzydziestu lat. Umarł, nie sporządziwszy testamentu i nie pozostawiwszy żadnych wskazówek co do swojego pogrzebu, zwalając na barki żony nie tylko ciężar przewiezienia zwłok do kraju, ale i obowiązek odpowiedniego ich pogrzebania. Syn nalegał, żeby je skremować, a urnę wstawić do niszy w eleganckim, marmurowym grobowcu, koniecznie zamkniętym, żeby uchronić prochy przed deszczem i śniegiem. Pani Critz była już tak wykończona, że zgodziłaby się

na wszystko. Najbardziej dobił ją siedmiogodzinny lot przez Atlantyk, lot w klasie turystycznej, z doczesnymi szczątkami męża w surowej, metalowej trumnie do transportu zwłok gdzieś pod pokładem samolotu. No, a potem był jeszcze ten chaos na lotnisku, bo nikt nie wyszedł jej na spotkanie i nie wziął sprawy w swoje ręce. Co to był za bałagan!

W nabożeństwie wzięli udział tylko zaproszeni; zażądał tego prezydent Arthur Morgan, który, po zaledwie dwutygodniowym pobycie na Bermudach, nie miał ochoty wracać do kraju i wystawiać się na widok publiczny. Jeśli śmierć wieloletniego przyjaciela w ogóle go zasmuciła, niczym tego nie okazał. Wyklócał się o szczegóły nabożeństwa tak długo i namolnie, że rodzina zmarłego omal nie kazała mu się odczepić. Ze względu na niego przesunięto datę pogrzebu. Nie pasował mu porządek uroczystości. Niechętnie zgodził się wygłosić mowę pożegnalną, i to tylko pod warunkiem, że będzie krótka. Tak naprawdę chodziło o to, że nigdy nie lubił pani Critz, a ona nie lubiła jego.

Nielicznym przyjaciołom i rodzinie zmarłego wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, żeby Robert upił się w londyńskim pubie, pijany wtargnął na jezdnię i wpadł pod samochód. A gdy protokół z sekcji zwłok ujawnił wysoki poziom heroiny w jego krwi, pani Critz tak się zdenerwowała, że kazała go ukryć i utajnić. Nie powiedziała o tym dzieciom. Była absolutnie przekonana, że mąż nigdy nie brał narkotyków – trochę za dużo pił, lecz wiedziała o tym tylko garstka najbliższych znajomych -i postanowiła bronić jego dobrego imienia.

Londyńska policja chętnie zgodziła się zamknąć w sejfie protokół z sekcji zwłok i tym samym zamknąć sprawę. Owszem, mieli sporo wątpliwości, ale mieli też na głowie inne śledztwa oraz wdowę, która chciała jak najszybciej wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć.

Nabożeństwo rozpoczęło się o drugiej po południu – godzinę też wyznaczył Morgan, tak żeby mógł wsiąść do prywatnego odrzutowca i przylecieć do Filadelfii prosto z Barbados – i trwało dokładnie sześćdziesiąt minut. Zaproszono osiemdziesięciu dwóch żałobników. Przyszło pięćdziesięciu jeden, większość tylko po to, żeby zobaczyć prezydenta Morgana, a nie pożegnać starego Critza. Nabożeństwo prowadził na wpół protestancki pastor tej czy innej maści. Nie licząc ślubów i pogrzebów, Critz nie był w kościele od czterdziestu lat, dlatego przed kaznodzieją stało trudne zadanie przywołania do życia pamięci człowieka, którego nie znał, i chociaż bardzo się starał, zawiódł na całej linii. Przeczytał fragment

z Księgi Psalmów. Odmówił enigmatyczną modlitwę, którą można by odmówić za duszę zarówno diakona, jak i seryjnego mordercy. Kojącymi słowami próbował pocieszyć najbliższą rodzinę zmarłego, ale jej też zupełnie nie znał.

Zamiast ciepłego, radującego serce pożegnania, w kaplicy odbyło się coś, co było zimne jak jej szare, marmurowe ściany. Morgan – z idiotyczną jak na luty opalenizną – próbował rozbawić żałobników anegdotami z życia starego przyjaciela, ale wypadło to tak, jakby chciał odwalić swoje i jak najszybciej wrócić do samolotu.

Godziny spędzone na karaibskim słońcu utwierdziły go w przekonaniu, że całą winę za tę katastrofalną kampanię wyborczą ponosi wyłącznie nieboszczyk, czyli Robert Critz. Nikomu o swoich wnioskach nie wspomniał; zresztą nie bardzo miał komu, ponieważ nie licząc służby i tubylców, mieszkał teraz zupełnie sam. Ale miał do niego urazę i już zaczynał podważać prawdziwość łączącej ich kiedyś przyjaźni.

Gdy straciwszy parę, nabożeństwo dobiegło wreszcie końca, nie został ani chwili dłużej. Złożył wymuszone kondolencje żonie i rodzinie zmarłego, zamienił kilka słów z dawnymi znajomymi, obiecał spotkać się z nimi za kilka tygodni i szybko wybył w obowiązkowej obstawie agentów Secret Service. Za ogrodzeniem czyhały dziennikarskie kamery, ale on ukrył się na tylnym siedzeniu jednej z dwóch czarnych terenówek. Pięć godzin później leżał już nad basenem, podziwiając kolejny zachód słońca na Karaibach.

Chociaż na nabożeństwo przybyło niewielu, wielu uważnie je obserwowało. Zanim się na dobre rozpoczęło, Teddy Maynard dysponował już pełną listą obecnych, wszystkich pięćdziesięciu jeden. Nie było wśród nich nikogo podejrzanego. Nie zaskoczyło go ani jedno nazwisko.

Zabójstwo poszło czysto i gładko. Wyniki sekcji zwłok zostały utajnione, częściowo dzięki samej pani Critz, częściowo dlatego, że pociągnąwszy za odpowiednie sznurki, uruchomił swoje znajomości sięgające znacznie wyżej niż londyńska policja. Ciało zostało skremowane i świat szybko zapomni o Robercie Critzu. Jego idiotyczne śledztwo w sprawie zniknięcia Joela Backmana nie wyrządziło najmniejszych szkód.

FBI na próżno próbowało umieścić ukrytą kamerę w kaplicy. Jej właściciele się postavili i nie ugięli mimo silnych nacisków. Zgodzili się za to na zamontowanie kamer na zewnątrz i dzięki nim agenci zdobyli wyraźne zdjęcia wchodzących do kaplicy i wychodzących z niej żałobników. Ta-

Śma z zarejestrowanym na żywo przekazem została szybko zmontowana, lista pięćdziesięciu jeden gości skompilowana i już godzinę po zakończeniu nabożeństwa dyrektor FBI otrzymał szczegółowy meldunek z przebiegu akcji.

Dzień przed śmiercią Roberta Critza do FBI dotarła zdumiewająca informacja. Była zupełnie nieoczekiwana i niespodziewana, a dostarczył ją pewien zdesperowany aferzysta, któremu groziło czterdzieści lat w więzieniu federalnym. Był dyrektorem wielkiego funduszu powierniczego i przyłapano go na podbieraniu pieniędzy; ot, parę miliardów dolarów, kolejny skandal na Wall Street. Problem w tym, że fundusz należał do międzynarodowej korporacji bankowej i że z biegiem lat aferzysta ów zdołał przeniknąć do jej ścisłego kierownictwa. Fundusz przynosił tak wielkie zyski – w dużej mierze dzięki jego talentowi do podbierania – że nie sposób było ich ignorować. Przyjęto go zatem do rady nadzorczej i obdarowano luksusowym apartamentem na Bermudach, gdzie mieściła się kwatera główna tej supertajnej spółki.

Nie chcąc spędzić w więzieniu reszty życia, zrozpaczony i zdesperowany aferzysta był skłonny podzielić się swoimi tajemnicami. Tajemnicami bankowymi. Całym tym brudem. Twierdził, że może udowodnić, iż ostatniego dnia urzędowania prezydent Morgan sprzedał co najmniej jedno ułaskawienie za trzy miliony dolarów. Pieniądze przelano z banku na Wielkim Kajmanie do banku w Singapurze; obydwie banki były potajemnie kontrolowane przez spółkę, z której właśnie się wypisał. Spoczywały teraz na koncie założonym przez fasadową korporację, która tak naprawdę należała do jednego ze starych kumpli prezydenta Morgana, i – tak przynajmniej utrzymywał – były przeznaczone tylko dla niego.

Gdy potwierdzono fakt istnienia konta oraz to, że taki przelew naprawdę zrealizowano, FBI zaproponowało aferzyście układ, na mocy którego groziły mu już teraz tylko dwa lata aresztu domowego. Kasa za prezydenckie ułaskawienie była przestępstwem tak sensacyjnym, że momentalnie stała się sprawą priorytetową.

Informator, czyli aferzysta, nie znał nazwiska nadawcy przekazu, lecz wydawało się zupełnie oczywiste, że jedynie dwóch ułaskawionych przez Morgana ludzi byłoby w stanie wyłożyć tak duże pieniądze. Pierwszym i najbardziej prawdopodobnym kandydatem był książę Mongo, geriatryczny miliarder, absolutny rekordzista wśród oszustów podatkowych,

a przynajmniej wśród oszustów indywidualnych; w kategorii oszustów zbiorowych, czyli korporacyjnych, sprawa była otwarta i dyskusyjna. Jednak aferzysta uważał, że nie chodziło o księcia, bo książę od dawna się z tymi bankami użerał. Zdecydowanie bardziej wolał banki szwajcarskie, co FBI szybko zweryfikowało i potwierdziło.

Drugim podejrzanym był oczywiście Joel Backman. Łapówka? Od człowieka takiego jak on można się było tego spodziewać. Poza tym chociaż FBI przez wiele lat uważało, że Backman nie ukradł i nie zachomikował żadnej fortuny, zawsze istniały co do tego wątpliwości. Za starych, dobrych czasów prowadził ożywione interesy z bankami zarówno szwajcarskimi, jak i karaibskimi. Miał mnóstwo przyjaciół i sieć mętnych kontaktów w ważnych instytucjach. Łapówki, przekupstwa, dotacje na kampanie wyborcze, opłaty lobbystyczne – wszystko to doskonale znał.

Dyrektorem FBI był atakowany ze wszystkich stron nieszczęśnik nazwiskiem Anthony Price. Trzy lata wcześniej mianował go na to stanowisko prezydent Morgan, by już pół roku później próbować wyrzucić go z pracy. Price błagał o więcej czasu i czas ten dostał, ale od tamtej pory nieustannie darli ze sobą koty. Z powodów, których już sam nie pamiętał, postanowił również, że udowodni swoje męstwo, krzyżując miecze z Ted-dym Maynardem. W tajnej wojnie między CIA a FBI Teddy przegrał niewiele bitew, a już na pewno nie przestraszył się Anthony'ego Price'a, ostatniego na liście nieudolnych dyrektorów do ewentualnego odstrzału.

Sęk w tym, że nic nie wiedział o ułaskawieniu za pieniądze, o spisku, który całkowicie pochłaniał dyrektora FBI. Nowy prezydent obiecał się go pozbyć i całkowicie zreorganizować biuro. Obiecał również wysłać na emeryturę Teddy'ego Maynarda, lecz takie groźby słyszano w Waszyngtonie wiele razy.

I tak oto przed Price'em pojawiła się nagle cudowna szansa zachowania posady i jednoczesnego wyeliminowania Maynarda. Pojechał do Białego Domu i opowiedział wszystko doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, któremu przedstawił również dokumenty potwierdzające istnienie podejrzanego konta w Singapurze, jednoznacznie sugerując, że w spisek może być zamieszany były prezydent USA, Arthur Morgan. Uważał też, że trzeba natychmiast odnaleźć Joela Backmana, przywieźć go z powrotem do kraju, przesłuchać i ewentualnie oskarżyć. Gdyby wszystko to okazało się prawdą, Waszyngtonem wstrząsnąłby skandal, gigantyczny, niespotykany i prawdziwie historyczny.

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego wysłuchał go z wielką uwagą. Potem poszedł prosto do wiceprezydenta, wyprosił z gabinetu wszystkich urzędników i przedstawił mu to, co przed chwilą usłyszał. Razem udali się do prezydenta.

Nowy lokator Białego Domu i jego poprzednik jak zwykle nie darzyli się specjalnym uczuciem. Ich kampania wyborcza była złośliwa i brudna, co stało się już standardem w życiu politycznym Ameryki. Nawet po oszałamiającym zwycięstwie tak miażdżącą przewagą głosów nowy prezydent nie był skłonny wznieść się ponad całe to błoto. Myśl, że mógłby ponownie poniżyć Morgana, bardzo przypadła mu do gustu. Oczyma wyobraźni widział już, jak po sensacyjnym procesie i skazaniu w ostatniej chwili go ułaskawia, ratując obraz szlachetnej prezydentury.

Cóż to byłaby za chwila!

Nazajutrz o szóstej rano wiceprezydent wsiadł do limuzyny i w zbrojnym konwoju pojechał do kwatery głównej CIA w Langley. Teddy'ego Maynarda wezwano do Białego Domu, lecz ten, wietrząc jakiś podstęp, wymówił się od wizyty, twierdząc, że znowu cierpi na zawroty głowy i lekarze kazali mu zostać w biurze. Często tam spał i jadł, zwłaszcza, gdy choroba przybierała na sile. Zawroty głowy były jednym z jego wielu podręcznych wykrętów.

Spotkanie trwało krótko. Owinięty pledem Teddy siedział na wózku na końcu długiego stołu konferencyjnego, a tuż obok niego czuwał Hoby. Wiceprezydent przyjechał tylko z jednym doradcą i po trochę niezręcznej wymianie zdań na temat nowej administracji oświadczył:

–Panie dyrektorze, jestem tu z upoważnienia prezydenta.

–Naturalnie – odparł Teddy ze złośliwym uśmieszkiem. Myślał, że zaraz dostanie wymówienie, że o to chodzi, po osiemnastu latach i licznych groźbach. Prezydent odważny na tyle, żeby wyrzucić z pracy samego Teddy'ego Maynarda. Nareszcie. Zwierzył się Hoby'emu ze swoich obaw, gdy czekali na gościa.

Hoby jak zwykle notował, czekając na słowa, których bał się od tylu lat: „Panie dyrektorze, prezydent żąda pańskiej dymisji”.

Ale zamiast tego wiceprezydent powiedział coś zupełnie nieoczekiwanego:

–Panie dyrektorze, prezydent żąda informacji na temat Joela Backmana.

Słyszając te słowa, ktoś inny pewnie by drgnął. Ktoś inny, ale nie Teddy



**Maynard.**

**–To znaczy? odparł bez wahania.**

**–Chce wiedzieć, gdzie Backman jest i jak długo potrwa ściągnięcie go do kraju.**

**–Do kraju? Po co?**

**–Nie mogę powiedzieć.**

**–W takim razie ja też nie powiem.**

**–To dla niego bardzo ważne.**

**–Rozumiem, ale Joel Backman jest równie ważny dla prowadzonych przez nas operacji.**

**Wiceprezydent zamrugnął jako pierwszy. Zerknął na swojego doradcę, ale ten był zupełnie bezużyteczny, bo właśnie coś notował. A przecież za nic nie mogli zdradzić – nie CIA! – że FBI wie o ułaskawieniu za pieniądze. Teddy znalazłby jakiś sposób i od razu by to wykorzystał. Ukradłby ten złoty samorodek i przetrwał kolejny dzień. O nie, odpada. Albo zacznie z nimi współpracować, albo wyleci na bruk.**

**Wiceprezydent podparł się łokciami, pochylił do przodu i powiedział:**

**–Prezydent nie pójdzie na żaden kompromis, dyrektorze. Albo dostanie tę informację, i to szybko, albo poprosi o pańską rezygnację.**

**–Ale ja jej nie złożę.**

**–Czy muszę panu przypominać, kto tu komu podlega?**

**–Nie musi pan.**

**–Dobrze. W takim razie wszystko jest jasne. Przyjedzie pan do Białego Domu z aktami Backmana albo CIA będzie miała nowego dyrektora.**

**–Taka bezpośredniość jest w waszym klanie bardzo rzadka, panie prezydencie. Z całym szacunkiem, naturalnie.**

**–Przyjmuję to jako komplement.**

**Spotkanie dobiegło końca.**

**Przeciekając jak stara grobla, Gmach Hoovera praktycznie zalał plotkami cały**

**Waszyngton. Do grupy tych, którzy z tego skorzystali, należał Dan Sandberg z „Washington Post”. A ponieważ jego źródła były dużo lepsze niż źródła przeciętnego reportera, już wkrótce zwietrzył skandal z ułaskawieniem. Przeczucia te częściowo potwierdził pewien stary kret, informator z nowego otoczenia Białego Domu, którego Sandberg zdrowo przycisnął. Szkic artykułu już miał, lecz dobrze wiedział, że zdobycie szczegółów graniczy z cudem. Na własne oczy zobaczyć ten feralny przelew? Nie miał na to żadnych szans.**

Ale gdyby okazało się, że to jednak prawda – że z myślą o przyszłej emeryturze urzędujący prezydent sprzedawał ułaskawienia, i to za poważne kwoty – Sandberg nie wyobrażał sobie większej sensacji. Były prezydent oskarżony, postawiony przed sądem i być może skazany. Rzecz nie do pomyślenia.

Właśnie siedział na wysypisku śmieci, jakim było jego biurko, gdy zadzwonił do niego stary przyjaciel z Londynu, ostry twardziel, który pisał dla „Guardiana”. Przez kilka minut rozmawiali o nowej administracji, która w Waszyngtonie była oficjalnie tematem numer jeden. Bo o czym mieli rozmawiać na początku lutego, kiedy na ziemi leży śnieg, a Kongres grzęźnie w bloku dorocznych prac przeróżnych komisji i podkomisji? Życie toczyło się teraz wolniej i niewiele było ciekawych tematów.

–Jest coś nowego na temat śmierci Critza? – spytał kumpel.

–Nie, wczoraj był pogrzeb – odrzekł Sandberg. – Bo co?

–Są pewne wątpliwości co do tego, jak facet fiknął. No i za nic nie możemy zdobyć wyników sekcji zwłok.

–Wątpliwości? Jakie? Myślałem, że sprawa jest zamknięta.

–No właśnie, cholernie szybko ją zamknęli. Ale nie, nie mam nic konkretnego. Po prostu wężę, bo może coś przeoczyli.

–Dobra, podzwonię – obiecał Sandberg, którego naszły już pierwsze podejrzenia.

–Podzwoń. Pogadamy za parę dni.

Sandberg odłożył słuchawkę i wbił wzrok w czarny ekran komputerowego monitora. Kiedy Morgan rozdzielał ułaskawienia, musiał być przy tym Critz. Tak, na pewno. Biorąc pod uwagę, że obydwaj byli paranoika-mi, niewykluczone że Morgan podpisywał dokumenty tylko w jego obecności.

Może Critz za dużo wiedział.

Trzy godziny później Sandberg leciał już do Londynu.

## Rozdział 15

a długo przed świtem ponownie obudził się w obcym łóżku i obcym miejscu i długo trwało, zanim zdołał zebrać myśli, przypominając sobie, co robił, analizując tę dziwną sytuację, planując dzień, próbując zapomnieć

### 119

o przeszłości i przewidując, co zdarzy się w ciągu najbliższych dwunastu godzin. Spał w najlepszym razie niespokojnie. A właściwie zdrzemnął się na kilka godzin; na trzy, może cztery, chociaż nie był tego pewien, bo w pokoju było ciepło i zupełnie ciemno. Zdjął słuchawki; zasnął po północy, jak zwykle przy dźwiękach radosnego dialogu do wykucia.

Cieszył się, że w mieszkaniu jest ciepło. W Rudley omal nie umarł z zimna, a w poprzedniej norze było niewiele lepiej. To mieszkanie miało grube ściany, dobrze uszczelnione okna i grzejące pełną parą kaloryfery. Uznawszy, że dzień jest odpowiednio zorganizowany, powoli postawił stopy na ciepłutkiej podłodze i podziękował w duchu Luigiemu za nowe lokum.

Jak długo tu zostanie, tego nie wiedział, tak samo jak nie znał przyszłości, którą dla niego zaplanowali. Zapalił światło i spojrzął na zegarek: dochodziła piąta. W łazience zapalił kolejną lampę i przejrzał się w lustrze. Zarost, pod nosem, wzdłuż linii ust i na policzkach, siwiał szybciej, niż się spodziewał. Po tygodniu hodowania stało się oczywiste, że bródka będzie w dziewięćdziesięciu procentach siwa, ozdobiona kilkoma samotnymi ciemnobrązowymi plamkami. No cóż. Ostatecznie miał pięćdziesiąt dwa lata. Bródka była częścią przebrania i wyglądała dość dystyngowanie. Ze szczupłą, pociągłą twarzą, z zapadniętymi policzkami, krótkimi włosami i okularami w modnych, prostokątnych oprawkach mógł z powodzeniem uchodzić za Marca Lazzeriego na każdej bolońskiej ulicy. Na bolońskiej albo mediolańskiej czy florenckiej, wszędzie tam, dokąd chciałby pojechać.

Godzinę później wyszedł i przystanął pod zimnym, milczącym portykiem zbudowanym przez kamieniarzy nieżyjących już od trzystu lat. Wiał ostry, przenikliwy wiatr i znowu pomyślał, że musi poskarżyć się Luigiemu na brak ciepłych zimowych ubrań. Nie czytał gazet ani nie oglądał telewizji, dlatego nie wiedział, jaką zapowiadają pogodę. Ale na pewno robiło się coraz zimniej.

Pod niskimi portykami szybkim krokiem ruszył w kierunku uniwersytetu, jedyny przechodzień na Via Fondazza. W kieszeni miał plan Bolonii, lecz nie chciał z niego korzystać. Gdyby się zgubił, zawsze mógł go wyjąć, uznając swoją chwilową porażkę, ale postanowił nauczyć się miasta, chodząc i obserwując. Pół godziny później, gdy słońce wreszcie zaczęło zdradzać pierwsze oznaki życia, skręcił w Via

**Irnerio na północnym skraju dzielnicy uniwersyteckiej. Jeszcze tylko dwie ulice na wschód**

i zobaczył bladozielony neon baru Fontana. Za oknem straszył gąszcz czyichś siwych włosów. Rudolph był już na posterunku.

Z przyzwyczajenia Marco chwilę odczekał. Spojrzał za siebie, tam skąd przyszedł, sprawdzając, czy nikt nie wychynie ukradkiem z cienia niczym myśliwski pies. Nie, nie było nikogo. Wszedł do środka.

Mój przyjaciel Marco zagał z uśmiechem Rudolph, ściskając mu rękę. – Siadaj, proszę.

Kawiarnia była w połowie wypełniona: te same poranne gazety, te same pogrążone we własnym świetle akademickie typy. Zamówił cappuccino, a Rudolph nabił fajkę z pianki morskiej. Ich narożny kącik wypełnił się aromatycznym zapachem tytoniu.

–Znalazłem twój list – powiedział Rudolph, wypuszczając kłąb dymu ponad stołem. – Przepraszam, że mnie nie było. Więc gdzie to ostatnio bywałeś?

Marco oczywiście nigdzie nie bywał, ale jako wyluzowany kanadyjski turysta miał w zanadrzu fikcyjny plan podróży.

–Spędziłem kilka dni we Florencji.

–Ach, piękne miasto...

Przez chwilę rozmawiali o Florencji i Marco ze swadą opowiadał mu o zabytkach, gmachach i historii miasta, które znał jedynie z taniego przewodnika od Ermanna. Przewodnik był naturalnie po włosku, co oznaczało, że spędził kilka godzin ze słownikiem w ręku, no, ale dzięki temu mógł teraz sypać ciekawostkami jak z rękawa, jakby spędził tam co najmniej parę tygodni.

Wolnych stolików ubywało, przy barze robiło się coraz tłoczniej. Luigi mówił, że tu, w Europie, jeśli się już usiadło przy stoliku, można tak było siedzieć przez cały dzień. Że nikt tu nikogo nie wyrzuca, żeby zrobić miejsce dla innych. Filiżanka kawy, gazeta, fajka czy papieros – goście wchodzą i wychodzą, a ty siedzisz, ile dusza zapragnie.

Zamówili po jeszcze jednej kawie, Rudolph ponownie nabił fajkę i Marco pierwszy raz zauważył, że ma poźółkłe od nikotyny wąsy. Na stole leżały trzy gazety, włoskie, rzecz jasna.

–Można tu dostać jakąś dobrą amerykańską gazetę?

**-Czemu pytasz?**

**-Sam nie wiem. Czasem chciałoby się wiedzieć, co słyhać za oceanem.**



–Kupuję „Herald Tribune” – odparł Rudolph. – Rzadko, ale kupuję.

Dla samej radochy, że nie mieszkam tam, tylko tutaj. Z dala od tych wszystkich przestępstw, korków ulicznych, zatrutego powietrza, polityków i skandali. Amerykańskie społeczeństwo toczy zgnilizna. A rząd wznosi się na

szczyty hipokryzji. Najwspanialsza demokracja w świecie. Ha! Kongres jest do cna skorumpowany i broni interesów bogaczy.

Wyglądało na to, że zaraz splunie, lecz nagle pyknął z fajki i zaczął gwałtownie gryźć ustnik. Marco wstrzymał oddech, czekając na kolejny wściekły atak na Stany Zjednoczone. Minęło kilka sekund; wypili po łyku kawy.

–Nienawidzę amerykańskiego rządu – mruknął z goryczą Rudolph. Zuch chłopak, pomyślał Marco.

–A kanadyjskiego? – spytał.

–Stoi u mnie trochę wyżej. Ale tylko trochę.

Marco udał, że mu ulżyło, i postanowił zmienić temat. Powiedział, że zamierza pojechać do Wenecji. Oczywiście Rudolph był tam sto razy i udzielił mu wielu rad. Marco zaczął nawet notować, jakby chciał zaraz wskoczyć do pociągu. Potem przyszła kolej na Mediolan, chociaż Rudolph za tym miastem nie przepadał ze względu na „prawicowych faszystów”, którzy się tam przyczaili.

–To był główny ośrodek władzy Mussoliniego – szepnął, nachylając

się nad stolikiem, jakby pozostali komuniści z baru Fontana mogli wy

buchnąć niepohamowanym gniewem na samo brzmienie nazwiska kur-duplowatego dyktatora.

Gdy okazało się, że jest gotów przegadać całe przedpołudnie, Marco zaczął się zbierać do wyjścia. Umówili się na spotkanie w najbliższy poniedziałek, o tej samej porze i w tym samym miejscu.

Zaczął prószyć śnieg i na jezdni pojawiły się ślady opon furgonetek dostawczych. Idąc przed siebie Via Irnerio, po raz kolejny podziwiał zdolność przewidywania dawnych architektów Bolonii, dzięki którym tutejsza starówka miała około trzydziestu dwóch kilometrów krytych portykami chodników. Przeszedł kilka ulic na wschód i skręcił na południe, w Via deli' Indipendenza, szeroką, elegancką aleję

**zbudowaną w latach siedemdziesiątych XIX wieku, żeby mieszkająca w śródmieściu arystokracja miała bliżej do stacji kolejowej na północnym krańcu miasta. Przeciąwszy Via Marsala, wdepnął w stertę zgarniętego śniegu i aż drgnął, gdy lodowata papka dostała mu się do prawego buta.**

Przeklął Luigiego za braki w ubraniu – skoro miał padać śnieg, zdrowy rozsądek podpowiadał, że trzeba włożyć solidne, zimowe buty. To z kolei doprowadziło do długiej wewnętrznej tyrady na temat skąpych – tak uważał – funduszy, jakie przyznawali mu odpowiedzialni za jego życie, kimkolwiek tak naprawdę byli. Teraz z kolei przerwali go do Bolonii. Wydawali kupę szmalu na korepetycje, na te wszystkie tajne mieszkania, na pilnujących go ludzi, no i najedzenie. Uważał, że to strata cennego czasu i pieniędzy. Lepiej by było, gdyby przemycili go ukradkiem do Londynu czy Sydney, gdzie mieszkało mnóstwo Amerykanów i gdzie wszyscy mówili po angielsku. Tam mógłby łatwiej zniknąć w tłumie.

Zrównał się z nim jakiś mężczyzna.

–*Buon giorno*.

Marco przystanął, uśmiechnął się i uścisnął mu rękę.

–No, proszę. *Buon giorno, Luigi*. Znowu mnie śledzisz?

–Nie. Byłem na spacerze i zobaczyłem, jak przechodzisz przez ulicę. Lubię śnieg. A ty?

Leniwym krokiem ruszyli przed siebie. Marco bardzo chciał mu wierzyć, lecz wątpił, czy spotkanie jest przypadkowe.

–Tak sobie, może być. Tu wygląda ładniej niż podczas godziny szczytu w Waszyngtonie. Co ty właściwie robisz całymi dniami? Można spytać?

–Ależ można. Pytaj, o co chcesz.

–Tak myślałem. Posłuchaj, chcę złożyć dwa zażalenia. A właściwie trzy.

–Cóż za niespodzianka. Piłeś kawę?

–Tak, ale napiję się jeszcze.

–Ruchem głowy Luigi wskazał małą, narożną kawiarenkę kilka kroków dalej. Weszli do środka i ponieważ wszystkie stoliki były zajęte, stanęli przy zatłoczonym barze i zamówili espresso.

–No więc? – spytał cicho Luigi. – Jakie jest pierwsze?

Marco przysunął się bliżej, tak że rozmawiali teraz nos w nos.

**–Pierwsze dwa są ze sobą związane. Chodzi o pieniądze. Nie żądam dużo, ale chciałbym mieć coś w rodzaju uposażenia czy stypendium. Nikt nie lubi być bez grosza przy duszy. Czułbym się dużo lepiej, gdybym miał trochę gotówki i wiedział, że nie muszę ciuć.**

**Ile?**

**–Nie wiem. Od dawna nie negocjowałem wysokości kieszonkowego.**

**Na początek może tak... sto euro tygodniowo. Mógłbym kupować sobie**

gazety, książki, czasopisma, jedzenie, no wiesz, podstawowe rzeczy. Wuj Sam płaci za mnie czynsz i jestem mu za to bardzo wdzięczny; tak na dobrą sprawę, płaci już siódmy rok.

–Mogłeś siedzieć jeszcze w więzieniu.

–Och, dziękuję ci, Luigi, bardzo ci dziękuję. Jakoś o tym nie pomyślałem.

–Przepraszam, nie powinienem był...

–Posłuchaj. Mam kupę szczęścia, że w ogóle tu trafiłem, zgoda? Ale jednocześnie jestem teraz całkowicie ułaskawionym obywatelem jakiegoś kraju, nie wiem już sam jakiego, i mam prawo wymagać, żeby traktowano mnie z odrobiną godności. Nie lubię być splukany i nie lubię żebrać. Chcę sto euro tygodniowo.

–Zobaczę, co da się zrobić.

–Dziękuję.

–A drugie zażalenie?

–Chciałbym trochę pieniędzy na ubranie. Zimno mi w nogi, bo pada śnieg, a ja nie mam dobrych butów. Chciałbym też kupić grubszy płaszcz, może parę swetrów.

–Przyniosą ci buty i...

–Nie, nie. Kupię je sobie sam, ty daj mi tylko pieniądze. Nie proszę o dużo.

–Spróbuję to załatwić.

Odsunęli się od siebie i wypili po łyku kawy.

–A trzecia skarga?

–Chodzi o Ermanna. Szybko traci zainteresowanie lekcjami. Ślęczymy razem po sześć godzin dziennie i zaczyna mu się nudzić.

Luigi przewrócił oczami.

–Myślisz, że strzelę palcami, i proszę, masz tu nowego korepetytora?

–Ty mnie ucz. Lubię cię i dobrze nam się gada. Ermanno jest nudny. Nudny, młody i chce wracać na uniwersytet. A z ciebie byłby świetny nauczyciel.

**–Nie jestem nauczycielem.**

**–To mi jakiegoś znajdź. Ermanno ma dość, a ja robię coraz mniejsze postępy.**

**Luigi spojrział w bok, na dwóch starszych panów, którzy wszedłszy do kawiarni, minęli ich, powłócząc nogami.**

**–Ermanno i tak odchodzi – odparł. – Tak jak mówiłeś, wraca na studia.**

–Jak długo będę brał lekcje?

Luigi pokręcił głową, że nie ma pojęcia.

–To nie ode mnie zależy.

–Mam jeszcze czwarte zażalenie...

–Piąte, szóste, siódme. Wywal od razu wszystkie, żebyśmy mogli przeżyć choć tydzień bez skarg.

–Już ci o tym mówiłem, to mój standardowy zarzut...

–To taka choroba? Chorują na nią wszyscy prawnicy?

–Naoglądałeś się za dużo amerykańskich filmów. Naprawdę chcę, żeby przeniesiono mnie do Londynu. W Londynie mieszka dziesięć milionów ludzi i wszyscy mówią po angielsku. Nie będę tracił dziesięciu godzin dziennie na naukę języka. Nie zrozum mnie źle: uwielbiam włoski. Im więcej się uczę, tym jest dla mnie piękniejszy. Ale Jezus Maria. Jeśli już chcecie mnie ukryć, ukryjcie mnie gdzieś, gdzie będę miał szanse przeżyć.

–Już przekazałem to wyżej. To nie ja tu decyduję.

–Wiem, wiem. Ale proszę cię, przyciśnij ich.

–Chodźmy już.

Śnieg był coraz gęstszy, lecz chroniły ich portyki. Mijali ich elegancko ubrani biznesmeni w drodze do pracy. I ludzie spieszący na wczesne zakupy, głównie gospodynie domowe. Na jezdni panował coraz większy ruch: małe samochody i skutery lawirowały między autobusami, omijając skupiska śnieżno-błotnistej papki.

–Często pada tu śnieg? – spytał Marco.

–Kilka razy każdej zimy. Ale mały, poza tym są portyki.

–Bardzo praktyczne.

–Niektóre mają tysiąc lat. Wiesz, że jest ich tu najwięcej na świecie?

–Nie, nie wiedziałem. No widzisz? Prawie nie mam co czytać. Gdybym miał kieszonkowe, mógłbym kupować książki i dowiadywać się z nich mnóstwa ciekawych

**rzeczy.**

**–Jutro dostaniesz pieniądze. Przyniosę na lunch.**

**–Gdzie jemy?**

**–W restauracji Cesarina przy Via San Stefano, o pierwszej.**

**–Jak mógłbym odmówić?**

**Przyszedł pięć minut przed czasem, ale Luigi już tam był. Siedział przy drzwiach z jakąś kobietą i wyglądało na to, że Marco przerwał im poważną**



rozmową. Kobieta wstała, bez uśmiechu i niechętnie i podała mu na powitanie rękę. Signora Francesca Ferro. Miała czterdzieści, może czterdzieści pięć lat, była ładna, ale chyba trochę za stara dla Luigiego, który oglądał się za studentkami. Biła z niej wyrafinowana irytacja i Marco miał ochotę powiedzieć: „Bardzo przepraszam, ale zaproszono mnie tu na lunch”.

Gdy usiedli, zauważył dwa niedopałki w popielniczce. I prawie pustą szklankę Luigiego. Musieli tu siedzieć od co najmniej dwudziestu minut.

–Signora Ferro jest przewodniczką i nauczycielką włoskiego – zagał Luigi powoli i wyraźnie. Potem zrobił krótką przerwę i Marco wtrącił nieśmiało:

–*Si.*

Spojrzał na nią z uśmiechem i ona też się uśmiechnęła, choć sztucznie i z przymusem, jakby już jej się znudził.

–I twoją nową korepetytorką – kontynuował po włosku Luigi. – Ermanno będzie cię uczył rano, a signora po południu.

Marco wszystko zrozumiał. Posłał jej uśmiech i rzucił:

–*Va bene.*

–W przyszłym tygodniu Ermanno wraca na uniwersytet – mówił dalej Luigi.

–Tak myślałem – odparł po angielsku Marco.

Francesca wyjęła kolejnego papierosa i ścisnęła go swymi pełnymi, czerwonymi wargami. Wydmuchała wielką chmurę dymu i spytała:

–No i jak mówi się panu po włosku? – Miała głęboki, niemal chrapliwy głos, do czego przyczyniły się niewątpliwie lata palenia. Mówiła staranną angielszczyzną, powoli i bez akcentu.

–Strasznie – odparł Marco.

–Nie, nie, dobrze sobie radzi - zaprotestował Luigi.

Kelner przyniósł butelkę wody mineralnej i trzy karty dań. Signora zniknęła za swoją. Marco poszedł w jej ślady. Zapadła długa cisza. Wzajemnie siebie ignorując, wszyscy oddali się kulinarnym kontemplacjom.

–Chciałabym, żeby zamówił pan po włosku – rzuciła, gdy odłożyli karty.

–Nie ma sprawy – odparł Marco; znalazł już kilka dań, których nazwy mógł wymówić bez wzbudzania śmiechu. – *Si, allora* - zaczął, gdy podszedł do nich kelner. – *Yorrei un 'insalata di pomodori, e una mezza porzione di lasagna.* - Poproszę sałatkę z pomidorów i pół porcji lasagni.

Skończył i jeszcze raz podziękował Bogu za transatlantyckość pyszności, takich jak spaghetti, lasagne, ravioli czy pizza.

–*Non c'è male* – mruknęła. Nieźle.

Gdy przyniesiono sałatki, ona i Luigi przestali palić. Zaczęli jeść i nie musieli już prowadzić niezręcznej rozmowy. Wina nie zamówiono, chociaż bardzo by się przydało.

Ponieważ w grę nie wchodziła rozmowa ani o jego przeszłości, ani o jej teraźniejszości, ani o mętnym zawodzie Luigiego, przetrwali lunch, lawirując między niewygodnymi tematami i rozmawiając głównie o pogodzie, na szczęście po angielsku.

Gdy dopili kawę, Luigi chwycił rachunek i szybko wyszli. Na ulicy, kiedy Francesca patrzyła w drugą stronę, podał Marcowi kopertę i szepnął:

–Pieniądze.

–*Grazie*.

Śnieg przestał padać, znowu zaświeciło słońce. Luigi pożegnał się z nimi na Piazza Maggiore i zniknął jak duch. Przez jakiś czas szli w milczeniu, wreszcie Francesca spytała:

–*Che cosa vorrebbe vedere?* – Co chciałby pan zobaczyć?

Marco nie był jeszcze w głównej katedrze, w Basilica di San Petronio. Przystanęli u stóp jej szerokich schodów.

–Jest i piękna, i smutna – powiedziała Francesca po angielsku i po raz pierwszy usłyszał leciutki brytyjski akcent w jej głosie. – Zbuntowawszy się przeciwko papieżowi, władze Bolonii chciały, żeby była to świątynia miejska, nie katedra. Według pierwotnego projektu miała być większa od Bazyliki Świętego Piotra, ale z biegiem czasu skurczyła się i zmalała. Rzym, który protestował przeciwko budowie, zasilł dotacjami inne inwestycje i tak część pieniędzy poszła na budowę naszego uniwersytetu.

–Kiedy ją zbudowano? – spytał Marco.

–Niech pan powie to po włosku.

–Nie umiem.

**–Niech pan posłucha: *Quando e stata costruita?* Proszę powtórzyć.**

**Marco musiał powtórzyć cztery razy, zanim uznała, że może być.**

**–Nie wierzę w książki, taśmy, i cały ten kram. – Wciąż stali u stóp**

**schodów, zadzierając głowę i patrząc na olbrzymi gmach. – Wierzę tylko w rozmowę. W rozmowę i jeszcze raz rozmowę. Żeby nauczyć się języka, trzeba mówić, powtarzać, powtarzać i powtarzać, jak wtedy, gdy było się małym dzieckiem.**

–Gdzie nauczyła się pani angielskiego?

–Nie mogę powiedzieć. Zakazano mi mówić o mojej przeszłości. O pańskiej też.

Niewiele brakowało i Marco odwróciłby się i odszedł. Miał dość ludzi, którzy nie mogli z nim rozmawiać, którzy unikali jego pytań i zachowywali się tak, jakby na świecie roilo się od szpiegów. Ta gra, czy może zabawa, wychodziła mu już uszami.

Powtarzał sobie, że jest wolnym człowiekiem, że w każdej chwili może odejść, wrócić, zrobić to, co zechce. I skoro miał ich dość, Luigiego, Ermanna, a teraz signory Ferro, mógł im powiedzieć – po włosku, rzecz jasna – żeby się wypchali, żeby udławili się kawałkiem *panino*.

–Zaczęto ją budować w 1390 i przez pierwszych sto kilkadziesiąt lat wszystko szło dobrze. – Jedna trzecia fasady była pokryta pięknym, różowym marmurem; dwie trzecie, te od góry, straszyły brzydką, brązową cegłą. – Potem nastąpiły ciężkie czasy. Fasady, jak widać, nigdy nie ukończono.

–Ładna nie jest...

–Nie, ale jaka intrygująca. Chce pan wejść do środka?

Cóż miałby robić przez następne trzy godziny?

–*Certamente.*

Weszli schodami na górę i stanęli przed głównymi drzwiami. Francesca spojrzała na tablicę i spytała:

–*Mi dica.* O której ją zamykają?

Marco zmarszczył czoło i przecwiczyl w myśli odpowiedź.

–*La chiesa chiude alle sei.* - Kościół zamykają o szóstej.

–*Ripeta.*

Musiał powtórzyć jeszcze trzy razy, zanim mu odpuściła. Weszli do środka.

–Nazwano ją tak na cześć świętego Petronia, patrona Bolonii – powiedziała szeptem Francesca. Katedra była naprawdę wielka. W środkowej nawie zmieściłoby się lodowisko hokejowe z potężnymi trybunami po obu stronach.

**–Jest olbrzymia.**

**–Tak, a miała być trzy razy większa. Papież zaniepokoił się, zaczął wywierać presję, no i zmalała. Na jej budowę szły gigantyczne pieniądze z kasy miejskiej i w końcu ludzie mieli tego dość.**

**–I tak jest imponująca. – Marco uświadomił sobie, że rozmawiają po angielsku; bardzo mu to odpowiadało.**

Pozwiedzajmy. Woli pan dłuższą trasę czy krótszą? – Chociaż w środku było prawie tak zimno jak na zewnątrz, signora Ferro jakby trochę się rozgrzała i rozluźniła.

–To pani jest nauczycielką.

Skręcili w lewo i zaczekali, aż grupka japońskich turystów skończy oglądać dużą marmurową kryptę. Oprócz nich i Japończyków w katedrze nie było nikogo. Luty, w dodatku piątek – nie był to szczyt sezonu. Powiedziała mu później, że zimą rzadko kiedy pracuje, bo turystów jest dużo mniej. Żadnych innych bliższych szczegółów nie ujawniła.

Ponieważ pracy miała niewiele, nic jej nie gonilo i zwiedzali katedrę bardzo powoli. Obejrzelili wszystkie dwadzieścia dwie boczne kaplice oraz większość obrazów, rzeźb, witraży i fresków. Kaplice budowali zamożni bolończycy, którzy za zaklętą w kamieniu wieczność chętnie płacili olbrzymie pieniądze. Ponieważ powstawały na przestrzeni setek lat, ich historia była również historią miasta, a Francesca знаła ją doskonale. Pokazała mu dobrze zachowaną czaszkę samego Petronia, stojącą dumnie na ołtarzu, i astrologiczny zegar zbudowany w 1655 roku przez dwóch naukowców, którzy konstruując go, opierali się na wynikach badań astronomicznych Galileusza.

Choć przeciążony nazwami i datami, i trochę znudzony zawilóściami symboliki obrazów i rzeźb, Marco dzielnie trwał na posterunku. Szli niespiesznie, krok za krokiem. Urzekały go jej głęboki głos i sposób mówienia. Urzekała go jej powolna, perfekcyjnie dopracowana angielszczyzna.

Zatoczyli pełne koło i wrócili do drzwi długo po wyjściu Japończyków.

–Mą pan dość? – spytała.

–Tak.

Wyszli na dwór i natychmiast zapaliła papierosa.

–Ma pani ochotę na kawę? – spytał.

–Znam dobre miejsce.

Przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili w Via Clavature. Kilka kroków dalej była Rosa Rosę.

–Dają tu najlepsze cappuccino na placu – wyjaśniła, gdy stanęli przy

**barze; zamówiła dwa. Chciał wypytać ją o zakaz picia cappuccino po wpół do jedenastej, ale sobie odpuścił. Czekali. Powoli i metodycznie zdjęła skórzane rękawiczki, szalik i płaszcz. Może tym razem dane im będzie posiedzieć trochę dłużej.**



Usiedli przy oknie. Rozmieszała dwie kostki cukru, starannie, dokładnie, aż perfekcyjnie. Od trzech godzin ani razu się nie uśmiechnęła i nie oczekiwała, że zrobi to teraz.

–Mam kopie materiałów, z których korzysta pański korepetytor – powiedziała, sięgając po papierosy.

–Ermanno.

–Nie wiem, nie znam go. Proponuję, żeby nasze konwersacje opierać na materiale, który przerobicie rano.

W sprawach dydaktycznych nie miał nic do gadania.

–Świetnie – odparł, wzruszając ramionami. Przypaliła papierosa, wypła łyk kawy.

–Co mówił o mnie Luigi? – spytał.

–Niewiele. Jest pan Kanadyjczykiem. Podróżuje pan po Włoszech i chce pan nauczyć się języka. To prawda?

–Czyżby zaczęła pani zadawać osobiste pytania?

–Nie, spytałam tylko, czy to prawda.

–Tak, prawda.

–Zresztą, to nie moje zmartwienie.

–Nie prosiłem, żeby się pani martwiła.

Oczyrna wyobraźni ujrzał ją na sali rozpraw, jak siedzi arogancko na miejscu dla świadków, całkowicie przekonana, że nie ugnie się ani nie załamie bez względu na intensywność krzyżowego ognia pytań. Do perfekcji opanowała tę lekceważącą trochę odętą minę, tak popularną wśród Europejek. Trzymała papierosa blisko twarzy. Niewiającym wzrokiem obserwowała to, co działo się za oknem.

Rozmowa o niczym nie należała do jej specjalności.

–Jest pani mężatką? – spytał; pierwszy zwiastun przesłuchania. Odchrząknięcie, sztuczny uśmiech.

–Mam polecenia, panie Lazzeri...

**–Proszę mi mówić „Marco”. A pani? Jak pani na imię?**

**–Tymczasem... Signora Ferro.**

**–Jest pani dziesięć lat młodsza ode mnie.**

**–Niektóre sprawy traktuje się tutaj bardziej formalnie.**

**–Właśnie widzę.**

**Zgasiła papierosa, wypiła łyk kawy i przeszła do interesów.**

**–Dzisiaj ma pan wolne. Rozmawialiśmy po angielsku ostatni raz. Następna lekcja będzie tylko po włosku.**

–Świetnie, ale musimy coś sobie wyjaśnić. Nie robi mi pani przysługi, zgoda? Płacą pani. To pani zawód. Jestem kanadyjskim turystą, mam dużo czasu i jeśli nie będzie się między nami układało, znajdę inną korepetytorkę.

–Uraziłam pana?

–Mogłaby się pani częściej uśmiechać.

Lekko kiwnęła głową i zobaczył w jej oczach łzy. Uciekła wzrokiem w okno.

–Tak mało mam powodów do uśmiechu.

## Rozdział 16

sobotę sklepy przy Via Rizzoli otwierano o dziesiątej i Marco czekał na ulicy, oglądając wystawę. Miał w kieszeni pięćset euro w nowiutkich banknotach, więc głośno przełknął ślinę i powiedział sobie, że nie ma wyboru, że musi wejść do środka i przeżyć swoje pierwsze prawdziwe zakupy we Włoszech. Wykuł na pamięć wszystkie słówka i zwroty – wieczorem uczył się, aż zasnął – lecz gdy zamknęły się za nim drzwi sklepu, zaczął modlić się w duchu o młodą sprzedawczynię z doskonałą znajomością angielskiego.

Nic z tego. Powitał go ciepło uśmiechnięty starszy pan. Już niecały kwadrans później, jękając się i dukając, ale ogólnie nieźle sobie radząc, Marco wypytywał go o rozmiary i ceny. Wyszedł z parą niezbyt drogich butów turystycznych, takich bardziej młodzieżowych – widywał podobne w złą pogodę na uniwersytecie – i z nieprzemakalną kurtką z kapturem, który zwijał się w kołnierz. Wyszedł też z prawie trzystoma euro w kieszeni. Oszczędzanie było teraz najnowszym i najwyższym priorytetem.

Wrócił do domu, zmienił buty, włożył kurtkę i znowu wyszedł. Tak kluczył, tak lawirował, że zazwyczaj półgodzinny spacer na Bologna Centrale zajął mu prawie godzinę. Nie oglądając się za siebie, nagle skręcał, wchodził do kawiarni, obserwował stamtąd przechodniów, po czym szybko wychodził; raz przystanął przed witryną cukierni i podziwiając wystawione na niej pyszności, uważnie śledził wzrokiem wszystko, co odbijało się w szybie. Jeżeli za nim szli, nie chciał, żeby zorientowali się, że coś podejrzewa. Poza tym musiał nabrać wprawy. Luigi często

powtarzał, że niedługo odejdzie i że wówczas Marco Lazzeri zostanie na świecie sam.

Pytanie tylko, czy mógł mu zaufać. Ani Marco Lazzeri, ani Joel Back-man nie ufali nikomu.

Kilka chwil nerwowego niepokoju przeżył na dworcu kolejowym, gdy zobaczył tłum ludzi, gdy studiował rozkład jazdy, gdy rozpaczliwie szukał kasy biletowej i odruchowo rozglądał się za czymkolwiek z angielskimi napisami. Ale powoli uczył się już zapominać o zdenerwowaniu i twardo przeć naprzód. Stał w kolejce i gdy wreszcie dotarł do okienka, uśmiechnął się do drobnej kasjerki za szybą, powiedział grzecznie:

–*Buon giorno* - i natychmiast dodał: – *Vado a Milano*. Jadę do Mediolanu.

Kasjerka kiwnęła głową.

–*Alle tredici e venti* – dodał. Tym o trzynastej dwadzieścia.

–*Si, cinquanta euro*. – Pięćdziesiąt euro.

Dał jej setkę w banknocie, bo chciał mieć drobne, a potem odszedł od okienka z biletem w garści i poklepał się w duchu po plecach. Pociąg miał dopiero za godzinę, więc wyszedł na Via Boldrini i dwie ulice dalej znalazł małą kafejkę. Wziął panino i piwo i zaczął ze smakiem jeść, obserwując chodnik, chociaż nie spodziewał się zobaczyć nikogo godnego uwagi.

Eurostar nadjechał dokładnie o czasie i z tłumem pasażerów Marco pospieszył na peron. Była to jego pierwsza przejażdżka pociągiem w Europie i nie bardzo wiedział, jak się to wszystko odbywa. Dokładnie obejrzał bilet, ale nie znalazł tam numeru miejsca. Wyglądało na to, że każdy siada, gdzie chce, na chybił trafił, więc zajął pierwsze wolne miejsce przy oknie. Gdy punktualnie o trzynastej dwadzieścia pociąg ruszył, przedział był w połowie pusty.

Bolonia szybko została w tyle i za oknem zaczął przesuwać się otwarty krajobraz. Tory biegły wzdłuż M4, głównej autostrady łączącej Mediolan, Parmę, Bolonię, Anconę ze wschodnim wybrzeżem Włoch, i po trzydziestu minutach oglądania z rozczarowaniem stwierdził, że widoki zaczynają go nużyć. Trudno było docenić piękno scenerii z pociągu mknącego z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę; wszystko się rozmazywało, a to, co ciekawe i piękne, znikało w

okamgnieniu. Poza tym wzdłuż linii kolejowej, w pobliżu głównych dróg dojazdowych, były liczne – aż zbyt liczne – skupiska fabryk.

Szybko zauważył, że jest jedyną osobą w przedziale, która choć trochę interesuje się tym, co za oknem. Pasażerowie, ci powyżej trzydziestki, byli pochłonięci lekturą gazet i czasopism; odniósł wrażenie, że czują się zupełnie swobodnie i są nawet znudzeni. Ci młodsi mocno spali. Po jakimś czasie on też zasnął.

Obudził go konduktor mówiący coś kompletnie niezrozumiałego. Za drugim czy trzecim razem wyłowił z tego słowo: „*biglietto*” i szybko podał mu bilet. Konduktor zmarszczył brwi, jakby miał zamiar wyrzucić go z pociągu na najbliższym wiadukcie, lecz potem skasował bilet szybkim, gwałtownym ruchem i zwrócił mu go ze szczerbatym uśmiechem na ustach.

Godzinę później z niezrozumiałego bełkotu z głośnika wychwytał coś, co przypominało: „*Milano*” i sceneria za oknem zaczęła się gwałtownie zmieniać. Otoczyło ich ciągnące się kilometrami miasto; pociąg zwolnił, stanął i znowu ruszył. Mijali setki powojennych bloków mieszkalnych, kwartały zwartej zabudowy, od czasu do czasu poprzecinanej szerszymi alejami. Według przewodnika Ermanna, w Mediolanie mieszkały cztery miliony ludzi; była to ważna metropolia, nieoficjalna stolica północnych Włoch, główny ośrodek przemysłowy kraju, główny ośrodek mody, wielkie centrum finansowe i wydawnicze. Olbrzymie, zapracowane miasto przemysłowe z pięknym śródmieściem i wartą obejrzenia katedrą.

Tory się rozdzieliły, rozdwoiły, rozcapierzyły w szeroki wachlarz i wjechały na stację Milano Centrale. Zatrzymali się pod wielką kopułą dworca i gdy wysiadł, zaskoczył go ogrom tej budowli. Idąc peronem, naliczył co najmniej kilkanaście rzędów innych torów – idealnie równych, w idealnie równych odstępach – w większości zajętych przez pociągi cierpliwie czekające na pasażerów. Zatrzymał się na końcu peronu, wśród rozedrganego tłumu, i popatrzył na tablicę z rozkładem jazdy. Stuttgart, Rzym, Florencja, Madryt, Paryż, Berlin, Genewa...

Cała Europa w zasięgu ręki, zaledwie kilka godzin jazdy stąd.

Kierując się strzałkami i napisami, doszedł do wyjścia, znalazł postój taksówek, postać chwilę w kolejce, wreszcie wsiadł do małego, białego renaulta.

–*Aeroporto Malpensa* – powiedział do kierowcy.

Długo pełzli przez zatłoczone ulice, wreszcie dotarli na przedmieścia. Dwadzieścia minut później zjechali z autostrady i skręcili na lotnisko.

–*Quale compagnia aerea?* - rzucił przez ramię kierowca. Który terminal?

–Lufthansa – odparł Marco.

Przed terminalem numer 2 taksiarz wcisnął się w kawałek wolnego miejsca przy krawężniku i Marco stracił kolejne czterdzieści euro. Otworzyły się automatyczne drzwi, tłum wpadł do środka i Marco podziękował Bogu, że nie musi spieszyć się na żaden samolot. Spojrzał na tablicę odlotów i znalazł to, czego szukał: bezpośredni lot do Waszyngtonu. Obszedł salę i wypatrzył stanowisko Lufthansy. Stała przed nim długa kolejka do odprawy paszportowo-bagażowej, lecz posuwała się bardzo szybko, z typowo niemiecką wydajnością.

Pierwszą kandydatką była atrakcyjna rudowłosa kobieta w wieku dwudziestu, dwudziestu pięciu lat – wyglądało na to, że podróżuje sama, co bardzo mu odpowiadało; kogoś podróżującego z osobą towarzyszącą kusiłoby, żeby porozmawiać o dziwnym nieznanym i jego niecodziennej prośbie. Była druga w kolejce do stanowiska klasy biznesowej. Obserwując ją, zauważył też kandydata numer dwa, ubranego w niebieskie dżinsy nieogolonego studenta o długich włosach; podkoszulek uniwersytetu w Toledo, na plecach znoszony chlebak – kandydat wprost idealny. Stał dużo dalej, słuchając muzyki z żółtego walkmana.

Gdy rudowłosa odeszła od stanowiska z kartą pokładową i podręcznym bagażem, ruszył za nią. Do odlotu zostały jeszcze dwie godziny, więc przedarłszy się przez tłum, kobieta stanęła przed witryną sklepu wolnocłowego ze szwajcarskimi zegarkami. Nie widząc nic godnego uwagi, poszła do kiosku za rogiem i kupiła dwa żurnale. Gdy zawróciła w stronę bramki i pierwszego posterunku kontrolnego, wziął się w garść i wkroczył do akcji.

–Przepraszam panią...

Nie mogła się nie odwrócić, lecz była zbyt podejrzliwa, żeby od razu odpowiedzieć.

–Może leci pani do Waszyngtonu? – spytał z szerokim uśmiechem, udając zdyszanego, jakby za nią biegł.

–Tak – warknęła. Zero uśmiechu. Typowa Amerykanka.

–Ja też leciałem, ale właśnie ukradli mi paszport. Nie wiem, kiedy dotrę do domu, więc... – Już wyjmował kopertę z kieszeni. – To kartka urodzinowa dla mojego ojca. Mogłaby pani wrzucić ją na lotnisku? Ma urodziny w przyszły wtorek i boję się, że nie zdążę. Bardzo panią proszę.

Podejrzliwie popatrzyła na niego, potem na kopertę. Nie, to tylko zwykła kartka, żadna bomba czy pistolet.





Szybko wyjął z kieszeni coś jeszcze.

–Przepraszam, nie kupiłem znaczka. Proszę, tu jest jedno euro. Wrzuci ją pani?

Na jej twarzy wreszcie pojawiło się coś, co mogło uchodzić za uśmiech.

–Oczywiście. – Wzięła kopertę i pieniądze i schowała je do torebki.

–Bardzo pani dziękuję – powiedział ze łzami w oczach. – To jego dziewięćdziesiąte urodziny. Dziękuję.

–Nie ma za co.

Chłopak z walkmanem okazał się przypadkiem dużo bardziej skomplikowanym. On też był Amerykaninem i też kupił historyjkę o skradzionym paszporcie. Ale gdy Marco spróbował wcisnąć mu kopertę, chłopak rozejrzał się nerwowo, jakby właśnie łamali prawo.

–Nie, no nie wiem... – odparł, robiąc krok do tyłu. – Nie, chyba jednak nie.

Marco wiedział, kiedy się wycofać. Odszedł, pożegnawszy go sarkastycznym: „Miłego lotu”.

Pani Ruby Ausberry z Yorku w Pensylwanii stała w kolejce jako jedna z ostatnich. Przez czterdzieści lat uczyła w ogólniaku historii powszechnej, a teraz czerpała z życia pełnymi garściami, wydając pieniądze z funduszków emerytalnych i zwiedzając miejsca, które przedtem знаła jedynie z podręczników. Właśnie rozpoczynała ostatni etap trzytygodniowej podróży po Turcji; do Mediolanu przyleciała prosto z Istambułu i teraz czekała na samolot do Waszyngtonu. I właśnie wtedy podszedł do niej uroczy dżentelmen, który z rozpaczliwym uśmiechem na twarzy wyznał, że skradziono mu paszport i że nie zdąży na dziewięćdziesiąte urodziny ojca. Chętnie wzięła od niego list i schowała go do torebki. Przeszła przez posterunek kontrolny, pokonała kilkaset metrów do poczekalni, znalazła wolny fotel, usiadła i uwiła tam sobie wygodne gniazdko.

Siedząca cztery metry za nią rudowłosa podjęła decyzję. Tak, w liście mogła być bomba. Koperta była co prawda bardzo cienka i żaden dynamit by się w niej nie zmieścił, lecz z drugiej strony, co ona wiedziała o dynamicie? Pod oknem stał kosz na śmieci – mały, elegancki pojemnik z chromowaną pokrywką (ostatecznie byli w Mediolanie) – podeszła więc tam, swobodnie i od niechcienia, i wrzuciła do niego list.

**A jeśli zaraz wybuchnie? – pomyślała, siadając. Nie, już za późno. Nie zamierzała grzebać w śmieciach. Zresztą nawet gdyby go stamtąd wyjęła, co by z nim zrobiła? Poszukałaby kogoś w mundurze i wyjaśniłaby mu po**

angielsku, że trzyma w ręku list-bombę? No, nie. Chwyciła podręczną torbę i przeszła na drugi koniec sali, jak najdalej od kosza. Mimo to nie mogła od niego oderwać oczu.

Spisek gęstniał. Weszła na pokład jako jedna z pierwszych i odprężyła się dopiero przy kieliszku szampana. Postanowiła, że gdy dotrze wreszcie do domu, do Baltimore, od razu włączy CNN, żeby obejrzeć wiadomości. Była przekonana, że na lotnisku w Mediolanie dojdzie do masakry.

Powrót taksówką na dworzec kosztował go czterdzieści pięć euro, lecz nie zamierzał wyklócać się z kierowcą. Po co? Na bilet powrotny do Bolonii wydał tyle samo co przedtem, pięćdziesiąt euro. Jeden dzień zakupów i podróżowania i jego skromny majątek skurczył się do stu euro. Pieniądze płynęły szerokim strumieniem.

Gdy pociąg wreszcie zwolnił i stanął na stacji w Bolonii, było już prawie ciemno. Marco wysiadł i chociaż nie wyróżniał się niczym spośród innych znużonych podróżnych, w duchu pękał z dumy. Kupił kurtkę i buty, kupił bilety, przeżył podróż pociągiem i obłęd na lotnisku w Mediolanie, jechał dwiema taksówkami i przekazał listy. Dzień pełen wydarzeń, i pomyśleć, że nikt nie domyślił się nawet, kim był i gdzie bywał.

Nikt też nie zażądał od niego okazania paszportu czy jakiegokolwiek innego dokumentu.

Luigi wyruszył do Mediolanu innym pociągiem, ekspresem o jedenastej czterdzieści pięć. Wyruszył, lecz w Parmie wysiadł, wmieszał się w tłum, złapał taksówkę i pojechał na miejsce spotkania, do swojej ulubionej kawiarni. Musiał czekać prawie godzinę, bo Whitaker spóźnił się na pociąg w Mediolanie i złapał dopiero następny. Szef był jak zwykle w parszywym humorze, tym gorszym, że musiał spotkać się z nim w sobotę. Szybko złożyli zamówienie i gdy tylko kelner odszedł, Whitaker rzucił:

–Nie podoba mi się ta kobieta.

–Francesca?

–Tak, ta przewodniczka. Jeszcze dla nas nie pracowała, tak?

–Nie, ale spokojnie, wszystko będzie dobrze. Ona nie ma pojęcia, co jest grane.

–Jak wygląda?

–Jest dość ładna.

**-Dość ładna może znaczyć wszystko i nic. Ile ma lat?**

**-Nie pytałem. Czterdzieści, może czterdzieści pięć.**

–Mężatka?

–Tak, ale nie ma dzieci. Wyszła za starszego faceta, który ciężko choruje. Umiera.

Whitaker jak zwykle coś tam notował, myśląc już o kolejnym pytaniu.

–Umiera? Na co?

–Chyba na raka. Nie wypytywałem jej.

–Może powinieneś.

–A może ona nie chce o tym mówić? Ani o umierającym mężu, ani o swoim wieku.

–Jak ją znalazłeś?

–Łatwo nie było. Korepetytorzy nie stoją w kolejce jak taksówki na postoju. Znajomy mi ją polecił. Trochę o nią popytałem. Ma dobrą opinię. No i czas. Znalezienie korepetytora, który mógłby siedzieć z uczniem trzy godziny dziennie, jest prawie niemożliwe.

–Trzy godziny? Codziennie?

–Bez weekendów. Zgodziła się na miesiąc. Teraz jest mało turystów, martwy sezon dla przewodników. Raz, dwa razy w tygodniu może coś podłapać, ale postara się być na każde wezwanie. Spokojnie, Francesca jest w porządku.

–Ile bierze?

–Dwieście euro tygodniowo. Do wiosny, do początku sezonu.

Whitaker przewrócił oczami, jakby płacił jej z własnej kieszeni.

–Ten Marco za dużo nas kosztuje – powiedział ani do niego, ani do siebie.

–Marco ma świetny pomysł. Chciałby wyjechać do Australii, Nowej Zelandii czy gdziekolwiek indziej, gdzie nie będzie problemów z językiem.

–Chce się przenieść?

–Tak. Pomysł nie jest zły. Przerzucmy go gdzie indziej.

–To nie my tu decydujemy, prawda?

**–Chyba nie my.**

**Kelner podał sałatki i przez chwilę milczeli.**

**–Mimo to ona mi się nie podoba – powiedział po chwili Whitaker. – Poszukaj kogoś innego.**

**–Nie ma nikogo innego. Czego ty się boisz?**

**–Marco to babiarz. Może wdać się z nią w romans. To by wszystko skomplikowało.**

–Ostrzegłem ją. Poza tym ona potrzebuje pieniędzy.

–Jest splukana?

–Mam wrażenie, że krucho u niej z kasą. Jest martwy sezon, a mąż nie pracuje.

Świetna wiadomość – Whitaker prawie się uśmiechnął. Zapchał sobie usta wielkim kawałem pomidora i zaczął go żuć, rozglądając się na boki, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

–Pogadajmy o e-mailach – szepnął, przełknąwszy wreszcie. – Hakerem to on nie był i nie jest. W dniach chwały żył z telefonem w ręku; cztery czy pięć miał w gabinecie, dwa w samochodzie, jeden w kieszeni. Zawsze załatwiał po trzy rozmowy naraz i chwalił się, że za samo podniesienie słuchawki bierze od klienta pięć tysięcy dolarów. Ale nigdy nie używał komputera. Jego współpracownicy mówią, że czasem czytywał e-maile. Rzadko kiedy je pisał, a jeśli już, zawsze wysyłała je sekretarka. Gabinet miał nafaszerowany elektroniką, ale czarną robotę odwalali za niego inni. Za wielki był z niego pan.

–A w więzieniu?

–E-maile? Nic na to nie wskazuje. Miał laptopa, ale używał go tylko do pisania listów, nigdy e-maili. Wygląda na to, że kiedy wpadł i poszedł siedzieć, wszyscy się od niego odwrócili. Od czasu do czasu pisał do matki i syna, ale zawsze zwykłe listy.

–Kompletny analfabeta komputerowy.

–Na to wygląda, ale Langley boi się, że może skontaktować się z kimś z zewnątrz. Przez telefon nie da rady, przynajmniej nie teraz. Adresu zwrotnego nikomu nie poda, więc zwykła korespondencja nie wchodzi w rachubę.

–Byłby głupi, gdyby wysłał do kogoś list. Zdradziłby swoje zamiary.

–Właśnie. Tak samo z telefonem czy faksem, ze wszystkim oprócz e-maili.

–Nadawcę e-maila też da się wytropić.

–Tak, ale nie zawsze. Są sposoby na pełną anonimowość.

–On nie ma komputera. Ani komputera, ani pieniędzy na komputer.

–Wiem, ale teoretycznie rzecz biorąc, może pójść ukradkiem do kawiarenki internetowej, użyć zakodowanego adresu, wysłać e-mail, posprzątać po sobie,

**pokasować, zapłacić i wyjść.**

**–Tak, ale kto go tego nauczy?**

**–Sam może się nauczyć. Znajdzie jakiś podręcznik, i już. To mało prawdopodobne, ale możliwe.**



–Codziennie sprawdzam każdy centymetr kwadratowy jego mieszkania. Jeśli kupi podręcznik albo zostawi rachunek z księgarni, będę o tym wiedział.

–Sprawdź kafejki internetowe w sąsiedztwie. W Bolonii jest ich już kilkanaście.

–Tak, wiem.

–Gdzie on teraz jest?

–Nie mam pojęcia. Dziś sobota, ma wolny dzień. Pewnie łązi po mieście i cieszy się wolnością.

–Ciągle się boi?

–Jest przerażony.

Ruby Ausberry wzięła łagodny środek uspokajający i przespała całe sześć godzin lotu z Mediolanu na międzynarodowe lotnisko Dullesa w Waszyngtonie. Letnia kawa, którą podano pasażerom tuż przed lądowaniem, bynajmniej jej nie odświeżyła i gdy boeing 747 kołował do głównego terminalu, pani Ausberry ponownie zasnęła. O kartce urodzinowej od nieznanego z Mediolanu zapomniała. Nie pamiętała o niej, gdy pędzono ich do autobusów i wieziono do sali odpraw. Nie pamiętała o niej, gdy z tłumem innych czekała na bagaż ani gdy przechodziła przez kontrolę celną. A już na pewno nie przypomniała sobie o niej na widok ukochanej wnuczki, która czekała w sali przylotów.

Pamięć powróciła dopiero wtedy, gdy bezpiecznie dotarli do domu, do Yorku w stanie Pensylwania, pani Ausberry zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu upominków i podarunków.

–O mój Boże... – sapnęła, gdy koperta wypadła na kuchenny stół. –

Miałam wysłać ten list z lotniska. – I opowiedziała wnuczce o biednym

nieszczęśniku z Mediolanu, któremu skradziono paszport i który na pewno nie zdąży na dziewięćdziesiąte urodziny swojego ojca.

Wnuczka obejrzała kopertę.

–Nie wygląda na kartkę urodzinową – stwierdziła po przeczytaniu adresu: *Mecenas R.N. Backman, 412 Main Street, Culpeper, Wirginia, 22701.* – I nie ma adresu zwrotnego – dodała.

**–Wyślę ją jutro z samego rana – zdecydowała pani Ausberry. – Mam nadzieję, że nadejdzie przed jego urodzinami.**

## Rozdział 17

dziesiątej rano tajemnicze trzy miliony dolarów na rachunku firmy Old Stone Ltd w Singapurze rozpoczęło cichą, elektroniczną podróż na drugi koniec świata. Dziewięć godzin później, gdy na karaibskiej wyspie Saint Christopher otworzyły się drzwi Galleon Bank and Trust, cała kwota spoczywała już na bezimiennym koncie numerycznym. W normalnych okolicznościach byłaby to transakcja zupełnie anonimowa, podobnie jak kilka tysięcy innych transakcji przeprowadzonych tego poniedziałkowego poranka – problem w tym, że firmą Old Stone interesowało się już FBI. Singapur w pełni z nimi współpracował – w przeciwieństwie do Saint Christopher, lecz już wkrótce i ten bank miał im pójść na rękę.

Gdy dyrektor Anthony Price wszedł do swojego gabinetu w poniedziałek przed świtem, czekała na niego pilna wiadomość. Price natychmiast odwołał wszystkie poranne spotkania, zwołał swój zespół i zaczął czekać, aż pieniądze dotrą do banku na Saint Christopher.

Wtedy zadzwonił do wiceprezydenta.

Wydobycie informacji od kierownictwa banku, połączone z zupełnie niedyplomatycznym wykręcaniem rąk i łamaniem nóg, trwało cztery godziny. Bankierzy początkowo odmawiali, ale czy jakiegokolwiek pseudo-państewko oparłoby się jednemu mocarstwu na świecie, w dodatku mocarstwu nieźle wkurzonemu? Gdy wiceprezydent zagroził premierowi sankcjami gospodarczymi i bankowymi, które doprowadziłyby do ruiny tę już i tak słabowitą wysepkę, premier w końcu uległ i przycisnął bankierów.

Okazało się, że anonimowy rachunek należy do Artiego Morgana, trzydziestoletniego syna Arthura Morgana, byłego prezydenta USA, który w ostatnich godzinach urzędowania wielkiego taty często zaglądał do Gabinetu Ovalnego, pociągając heinekena i udzielając rad Critzowi, a także samemu prezydentowi.

Skandal rósł z godziny na godzinę.

Przelew i jego trasa – od Wielkiego Kajmana, poprzez Singapur, aż po Saint Christopher – wskazywały na to, że jest to robota amatora, który próbuje zatrzeć za sobą ślady. Zawodowiec podzieliłby pieniądze na osiem różnych sposobów, złożyłby je w kilku bankach, a przelewów dokonywałby co parę miesięcy. Ale ukryć trzy miliony dolarów potrafiłby nawet profan taki jak Artie: zagraniczne banki były mimo wszystko bankami

i gwarantowały klientowi pełną dyskrecję. Przełomem w sprawie było zeznanie zdesperowanego aferzysty, który nie chciał iść do więzienia.

Mimo to FBI wciąż nie wiedziało, kto te pieniądze wysłał. W ciągu ostatnich trzech dni prezydentury Arthur Morgan ułaskawił dwadzieścia dwie osoby, w tym dwie godne uwagi: Joela Backmana i księcia Mongo. Godne uwagi były tylko dwie, co bynajmniej nie oznaczało, że biuro nie próbowało znaleźć haka na pozostałych dwadzieścia. Kto mógł mieć trzy miliony dolarów? Kto mógł je zdobyć? Federalni prześwietlali ich przyjaciół, członków rodziny i współpracowników – prześwietlali dosłownie wszystkich.

Wstępna analiza potwierdziła to, co już wiedzieli. Księżę Mongo miał ciężkie miliardy i był zdemoralizowany na tyle, żeby bez wahania kogoś przekupić. Backman też. Trzecim kandydatem był eksposeł do zgromadzenia ustawodawczego stanu New Jersey, którego rodzina zbiła fortunę na rządowych kontraktach na budowę dróg. Przed dwunastoma laty spędził kilka miesięcy w „obozie pracy”, a teraz chciał, żeby przywrócono mu prawa obywatelskie.

Prezydent odbywał podróż zapoznawczą po Europie, która miała być pierwszym etapem triumfalnej podróży dookoła świata. Wracał dopiero za trzy dni i wiceprezydent postanowił zaczekać. Zaczekać, uważnie obserwować konto, dwa, a nawet trzy razy sprawdzić wszystkie fakty i szczegóły i po powrocie przedstawić mu sprawę nie do obalenia. Skandal z ułaskawieniem za pieniądze zelektryzuje cały kraj. Poniży partię opozycyjną i osłabi jej wpływy w Kongresie. Dzięki niemu Anthony Price pokieruje FBI kilka lat dłużej. Dzięki niemu stary Maynard wreszcie wyląduje w domu starców. Gwałtowny atak na nic nie podejrzewającego byłego prezydenta nie miał po prostu żadnych, ale to żadnych ujemnych stron.

Czekała w ostatniej ławce bazyliki di San Francesco. Tak jak ostatnim razem była w rękawiczkach i szczelnie opatulona, trzymała ręce w kieszeniach grubego palta. Znowu padał śnieg, a w wielkiej, pustej świątyni wcale nie było cieplej niż na dworze. Usiadł obok niej z cichym: „*Buon giorno*”.

Odpowiedziała mu uśmiechem, ale tylko po to, żeby nie być niegrzeczną.

–*Buon giorno* – szepnęła.

On też schował ręce do kieszeni i długo siedzieli bez ruchu jak dwoje przemarzniętych wędrowców, którzy szukają schronienia przed śnieżną

zawieją. Jak zwykle miała smutną twarz i na pewno nie myślała o nietaktownym kanadyjskim biznesmenie, który chciał nauczyć się jej języka. Była wyniosła i rozkojarzona, a on miał tego dość. Ermanno z dnia na dzień tracił zainteresowanie lekcjami. Francesca ledwo dawała się tolerować. Luigi krył się pewnie gdzieś w mroku i uważnie go obserwował, ale zdawało się, że i on zaczyna to wszystko olewać.

Czuł, że wkrótce coś się wydarzy, że już najwyższa pora. Że trzeba wreszcie przeciąć tę linię, odpłynąć lub pójść na dno. A więc dobrze, niech tak będzie. Od prawie miesiąca był wolnym człowiekiem. Nauczyli go włoskiego na tyle, że jakoś sobie poradzi. Reszty mógł nauczyć się sam.

–A ta? – rzucił, gdy stało się oczywiste, że Francesca nie odezwie się

pierwsza. – Ile ma lat?

Poprawiła się na ławce, odchrząknęła i wyjęła ręce z kieszeni, jakby wyrwał ją z głębokiego snu.

–Budowę rozpoczęli franciszkanie w 1236. Trzydzieści lat później ukończono główną świątynię.

–Błyskawicznie.

–Tak, bardzo szybko. Z upływem stuleci poprzyrastały do niej świątynie boczne. Zbudowano zakrystię, potem dzwonnice. Żołnierze Napoleona zeświecczyli ją w 1798 i urządzili tu komorę celną. W 1886 ponownie ją poświęcono, a w 1928 odrestaurowano. Podczas alianckich bombardowań mocno ucierpiała fasada. Ta bazylika ma burzliwą historię.

–Z zewnątrz wygląda dość nieciekawie.

–Jak to po bombardowaniu.

–Stanęliście nie po tej stronie barykady.

–Bolonia stanęła po dobrej.

Nie było sensu ponownie rozpętywać wojny. Zamilkli, bo echo ich głosów zaczęło odbijać się od kopuły. Gdy był dzieckiem, kilka razy w roku matka zabierała go do kościoła, lecz w szkole średniej to wymuszone poszukiwanie wiary zostało szybko zarzucone, a w ciągu czterdziestu kolejnych lat zupełnie zapomniane. W

**przeciwieństwie do kilku kolegów z więzienia, nie nawrócił się nawet tam. To zimne, bezduszne muzeum miejscem kultu? Człowiekowi bez przekonań religijnych trudno to było zrozumieć.**

**–Pusto tu – szepnął. – Odbywają się tu nabożeństwa?**

**–Tak, codziennie, i kilka razy w niedzielę. Brałam tu ślub.**

**–Miała pani nic o sobie nie mówić. Luigi się wścieknie.**

–Po włosku, Marco, koniec z angielskim. – I po włosku spytała: -O czym uczyłeś się rano?

–*La famiglia.*

–*La sua famiglia. Mi dica.* – Opowiedz mi o swojej rodzinie.

–Jest w stanie kompletnego rozkładu – odparł po angielsku.

–*Sua moglie?* – A twoja żona?

–Która? Mam trzy.

–Po włosku.

–*Quale? Ne ho tre.*

–*L'ultima.* - Ta ostatnia.

Dopiero wtedy się zreflektował. Przecież nie był Joelem Backmanem z trzema eksżonami i doszczętnie rozbitą rodziną. Był Markiem Lazzerim z Toronto, miał żonę, czworo dzieci i pięcioro wnucząt.

–Żartowałem – powiedział po angielsku. – Mam jedną żonę.

–*Mi dica, in italiano, di sua moglie?* - Opowiedz mi o niej.

Wolno, wolniutko opisał po włosku swoją fikcyjną żonę. Ma na imię

Laura. Ma pięćdziesiąt dwa lata. Mieszka w Toronto. Pracuje w małej firmie. Nie lubi podróżować. I tak dalej.

Każde zdanie powtarzał co najmniej trzy razy. Na każdy błąd wymowy reagowała skrzywieniem twarzy i szybkim: „*Ripeta*”. Tak więc powtarzał w kółko opowieść o żonie, która nie istniała. A gdy skończył, kazała mu opowiadać o najstarszym synu, kolejnej fikcyjnej postaci o imieniu Alex. Trzydzieści jeden lat, adwokat, rozwiedziony, dwoje dzieci, mieszka w Vancouver, i tak dalej, i tak dalej.

Na szczęście Luigi dał mu krótką biografię Marca Lazzeriego, dość dokładną, z datami, które próbował przypomnieć sobie w tym przeraźliwie zimnym kościele. Francesca dopingowała go, domagała się perfekcji, przestrzegając przed zbyt szybkim mówieniem, bo miał do tego naturalną skłonność.

**–Deveparlare lentamente – powtarzała. Musisz mówić wolno.**

**Była surowa i mało zabawna, za to skutecznie go motywowała. Gdyby**

**nauczył się mówić po włosku chociaż w połowie tak dobrze, jak ona mówiła po angielsku, byłby do przodu, i to jak. Skoro uważała, że najważniejsze jest powtarzanie, dobrze, będzie powtarzał w nieskończoność.**

**Gdy rozmawiali o jego matce, do kościoła wszedł starszy mężczyzna. Usiadł w ławce tuż przed nimi i pogrążył się w medytacji lub modlitwie. Po cichu wyszli. Wciąż prószył śnieg, więc wstąpili do najbliższej kafejki na kawę i papierosa.**



**–Adesso, possiamo parlare della sua famiglia? – spytał. Możemy teraz porozmawiać o twojej rodzinie?**

**Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby – prawdziwa rzadkość.**

**–Benissimo, Marco. - Bardzo dobrze, Marco. -Ma, non possiamo. Mi dispiace. – Ale przykro mi, nie możemy.**

**–Perche non? – Dlaczego?**

**–Abbiamo delle regole. - Obowiązują nas pewne zasady.**

**–Dov'è suo marito? - Gdzie jest twój mąż?**

**–Qui, a Bologna. - Tu, w Bolonii.**

**–Dov'è lavora? - Gdzie pracuje?**

**–Non lavora.**

**Po drugim papierosie wyszli na zaśnieżony chodnik i rozpoczęła się lekcja o śniegu. Francesca rzucała krótkie zdania po angielsku, a on musiał je tłumaczyć. Pada śnieg. Na Florydzie nigdy nie pada śnieg. Może jutro będzie padał śnieg. W zeszłym tygodniu padał dwa razy. Uwielbiam śnieg. Nie lubię śniegu.**

**Idąc pod portykami, obeszli cały plac. Na Via Rizzoli minęli sklep, gdzie kupił buty i kurtkę, i zastanawiał się, czy jej o tym nie opowiedzieć; po włosku, oczywiście – dałby radę. Ale nie, była tak pochłonięta pogodą, że szybko to sobie odpuścił. Na skrzyżowaniu przystanęli i oboje spojrzeli na Le Due Torri, dwie wieże, z których Bolonia była taka dumna.**

**Powiedziała, że kiedyś było ich ponad dwieście. I kazała mu to powtórzyć. Próbował, ale natychmiast schrzanił czas przeszły i liczebnik, więc kazała mu powtarzać całe zdanie dotąd, aż zrobił to poprawnie.**

**W średniowieczu, z przyczyn, których współcześni Włosi za nic nie potrafili wyjaśnić, ich przodków ogarnęło nieodparte pragnienie wznoszenia coraz to wyższych wież mieszkalnych. Ponieważ wojny plemienne i domowe były wówczas wprost zaraźliwe, wieże spełniały przede wszystkim funkcję obronną. Były znakomitymi punktami obserwacyjnymi i dobrymi fortecami, chociaż mieszkało się w nich dość niewygodnie. Żeby chronić zapasy żywności, kuchnie budowano często na samym szczycie schodów liczących dwieście pięćdziesiąt, a nawet trzysta stopni,**

**dlatego znalezienie dobrej, niezawodnej kucharki było trudne. Gdy dochodziło do bitwy, zwaśnieni sąsiedzi strzelali do siebie z łuków albo z wieży na wieżę ciskali w przeciwnika włóczniami. Mieliby walczyć na ulicy jak zwykle pospólstwo? Też coś.**

Wieże były również symbolem statusu społecznego. Żaden szanujący się arystokrata nie mógł pozwolić, żeby sąsiad czy rywal miał wyższą od niego, dlatego w XII i XIII wieku rozpętało się tu ostre współzawodnictwo, bo nikt nie chciał być gorszy od pozostałych. I tak Bolonia otrzymała przydomek *la turrita*, miasto wież. A pewien angielski podróżnik porównał ją do „grządki szparagów”.

W XIV wieku władzę zaczął sprawować zorganizowany rząd i ci z wizją wiedzieli, że zadziornych arystokratów trzeba jakoś poskromić. Dlatego – ilekroć dysponowali odpowiednią siłą roboczą – wieża po wieży, zburzyli prawie wszystkie. Wiek i grawitacja dokonały reszty, a z upływem stuleci skruszały nawet fundamenty.

Pod koniec XIX wieku rozpętano hałaśliwą kampanię, której celem było przepchnięcie projektu zburzenia absolutnie wszystkich. Projekt przeszedł niewielką liczbą głosów i z powszechnej rzezi budowlanej ocalały tylko dwie: Asinelli i Gaisenda, obie przy Piazza di Porto Ravegnana. Obie są trochę krzywe, przy czym Garisenda odchyła się na północ pod tak dużym kątem, że z powodzeniem mogłaby rywalizować z wieżą w Pizie. Z biegiem lat powstało na ich temat wiele barwnych opowieści. Pewien francuski poeta napisał, że przypominają dwóch pijanych marynarzy, którzy wracają chwiejnie do domu, próbując się wzajemnie podtrzymać. Przewodnik Ermanno nazywał je Flipem i Flapem średniowiecznej architektury.

La Torre degli Asinelli zbudowano na początku XII wieku. Ma dziewięćdziesiąt siedem metrów i dwadzieścia centymetrów wysokości i jest dwukrotnie wyższa od swojej sąsiadki. Trzynastowieczna Garisenda zaczęła odchyłać się od pionu, gdy tylko ją ukończono, i żeby zapobiec katastrofie, skrócono ją o połowę. Jej właściciele, członkowie rodziny Garisenda, natychmiast stracili zainteresowanie i w niesławie wyjechali z miasta.

Marco wyczytał to wszystko z książeczki Ermanna. Francesca o tym nie wiedziała, lecz jak na dobrą przewodniczkę przystało, na opis słynnych wież poświęciła cały kwadrans, w dodatku na mrozie. Układała proste zdanie, wypowiadała je powoli i idealnie, pomagała mu je powtórzyć, a potem niechętnie przechodziła do kolejnego.

–Schody w wieży Asinelli mają czterysta dziewięćdziesiąt osiem stopni – powiedziała.

–*Andiamo* - rzucił. Chodźmy.

Osadzonymi w grubych fundamentach wąskimi drzwiami weszli do środka i wspięli się piętnaście metrów nad poziom ulicy. Tam, w małej budce wciśniętej między ściany, kupił dwa bilety po trzy euro za sztukę i ruszyli dalej. Wieża była w środku pusta, a schody przytwierdzone do ścian zewnętrznych.

Francesca nie była tu co najmniej od dziesięciu lat i wyglądało na to, że Jest podekscytowana tą małą przygodą. Idąc wąskimi, mocnymi, dębowymi schodami, szybko go wyprzedziła, a on człapał niezdarnie za nią. Od czasu do czasu mijali małe okna, przez które wpadało światło i świeże powietrze.

–Niech pan idzie własnym tempem – rzuciła przez ramię, powoli zostawiając go w tyle. W ten śnieżny, lutowy dzień na szczyt miasta nie

wspinał się nikt poza nimi.

Tak więc szedł własnym tempem i niebawem stracił ją z oczu. W połowę drogi przystanął pod nieco większym oknem, żeby wiatr ochłodził ki trochę twarz. Złapał oddech i ruszył dalej, jeszcze wolniej niż przedtem. Kilka minut później przystanął ponownie: serce waliło mu jak młotem, dyszał jak miech kowalski i zaczynał mieć poważne wątpliwości, czy da radę wejść na górę. Pokonawszy czterysta dziewięćdziesiąt osiem stopni, w końcu dotarł na pudełkowaty strych i ze strychu wychynął na dach. Francesca paliła papierosa, spoglądając na swoje piękne miasto. Na jej twarzy nie dostrzegł ani jednej kropelki potu.

Widok był panoramiczny. Domy i czerwone dachy pokryte kilkucentymetrową warstwą śniegu. A dokładnie pod nimi zupełnie czysta, bladozielona kopuła San Bartolomeo, z której śnieg najwyraźniej się zsuwał.

–W bezchmurny dzień widać stąd Adriatyk i Alpy – powiedziała po angielsku. – Tak tu pięknie, nawet kiedy pada śnieg...

–Tak, rzeczywiście – wydyszał. Między wbudowanymi w ceglane słupki prętami gwizdał porywisty wiatr. Nad Bolonią było dużo zimniej niż w tej samej.

–Ta wieża jest piątą pod względem wysokości budowlą w starej Italii

powiedziała z dumą Francesca. Nie ulegało wątpliwości, że potrafiłaby

wymienić cztery pozostałe.

–Dlaczego ocalała? – spytał.

**–Myślę, że z dwóch powodów. Dobrze ją zaprojektowano i zbudowano. A rodzina Asinellich była bogata i bardzo wpływowa. Poza tym w XIV**

**wieku przez jakiś czas wykorzystywano ją jako więzienie, bo wielu in-**

nych wież już wtedy nie było. Tak naprawdę nikt nie wie, dlaczego przetrwała, dlaczego właśnie ona.

Dziewięćdziesiąt metrów w górę i Francesca była zupełnie inną kobietą. Miała żywe oczy i piękny głos.

–To mi zawsze przypomina, dlaczego tak kocham moje miasto. – I rzadki u niej uśmiech. Nie, nie uśmiechała się do niego, nie śmiała się też

z czegoś, co powiedział: uśmiechała się do domów, do dachów miasta.

Przeszli na drugą stronę i popatrzyli na południowy zachód. Na szczycie odległego wzgórza widać było sylwetkę Santuario di San Luca, anioła stróża Bolonii.

–Był pan tam? – spytała.

–Nie.

–Pójdziemy któregoś dnia, kiedy pogoda się poprawi. Dobrze?

–Chętnie.

–Tyle mamy do obejrzenia...

Może jednak jej nie wyrzuci. Tak bardzo brakowało mu towarzystwa, zwłaszcza płci przeciwnej, że gotów był tolerować jej wyniosłość, smutek i zmienne nastroje. I więcej się uczyć, żeby zdobyć jej aprobatę.

Wspinaczka na szczyt wieży podniosła ją na duchu, lecz gdy tylko znaleźli się na dole, wrócił dawny smutek. Wypili szybko kawę i się pożegnali. Żadnego, choćby leciutkiego uścisku, żadnego cmoknięcia w policzek, nie podała mu nawet ręki. Gdy odchodziła, postanowił dać jej jeszcze tydzień.

Potajemnie wystawił ją na próbę. Jeśli za siedem dni nie będzie miłsza, przestanie się z nią spotykać. Życie jest o wiele za krótkie.

Sęk w tym, że była ładna.

List otworzyła sekretarka wraz ze wszystkimi pozostałymi listami z ostatnich dwóch dni. Jednakże w pierwszej kopercie, zaadresowanej po prostu do Neala Backmana, tkwiła druga, a na obu stronach tej drugiej widniał ostrzegawczy napis: *Poufne i osobiste. Do rąk własnych Neala Backmana.*

**–Chyba powinien pan na to spojrzeć – powiedziała, gdy punktualnie**

**o dziewiątej rano przyniosła mu codzienną porcję korespondencji. – Nadany dwa dni temu z Yorku w Pensylwanii.**

**Gdy zamknęła za sobą drzwi, Neal uważnie obejrzał kopertę. Była brązowa, zwyczajna i nie dostrzegł na niej nic poza ostrzeżeniem nadawcy. Charakter pisma wydał mu się znajomy.**

Powoli rozciął ją nożem i wyjął złożoną na pół białą kartkę. List od ojca. Szok, ale tylko częściowo.

*21 lutego*

*Drogi Nealu*

*Na razie jestem bezpieczny, ale wątpię, czy długo będę. Potrzebuję Twojej pomocy. Nie mam ani adresu, ani telefonu, ani faksu, zresztą nie wiem, czy skorzystałbym z nich, nawet gdybym mógł. Muszę mieć dostęp do poczty elektronicznej, do czegoś, czego nikt nie wytropi. Nie znam się na tym, ale Ty na pewno się znasz. Nie mam komputera ani pieniędzy. Jest bardzo prawdopodobne, że Cię obserwują, dlatego bez względu na to, co zrobisz, nie zostawiaj za sobą żadnych śladów. Starannie je zacieraj. Zacieraj moje. Nikomu nie ufaj. Uważnie wszystko obserwuj. Ukryj ten list, a potem go zniszcz. Przyślij mi jak najwięcej pieniędzy. Wiesz, że Ci zwrócę. Nigdy nie używaj swojego prawdziwego nazwiska. Tu masz adres: Sr. Rudolph Viscovitch, Università degli Studi, Uniwersytet Boloński, Via Zamboni 22, 44041, Bolonia, Włochy. Weź dwie koperty. Pierwszą zaadresuj do Viscovitcha, drugą do mnie. W liście do Viscovitcha poproś go, żeby przekazał przesyłkę mnie, Marcowi Lazzeriemu.*

*Pospiesz się!*

*Z uściskami*

*Marco*

Neal położył list na biurku, zamknął drzwi na klucz, usiadł na skórzanej sofie i spróbował zebrać myśli. Domyślał się, że ojciec jest za granicą, bo gdyby nie był, skontaktowałby się z nim dużo wcześniej. Ale dlaczego akurat we Włoszech? I dlaczego list wysłano z Yorku w Pensylwanii?

Żona nie знаła teścia. Gdy poznali się i pobrali, od dwóch lat siedział w więzieniu. Neal wysłał mu zdjęcia ze ślubu, a później zdjęcie córki, jego drugiej wnuczki.

Nie lubił o nim rozmawiać. Ani myśleć. Joel był paskudnym ojcem. Olewał go prawie przez całe dzieciństwo, a jego niewiarygodny upadek wprowadził w zażenowanie wszystkich znajomych i bliskich. Pisywał do niego do więzienia, wysyłał mu kartki, ale robił to niechętnie i gdyby miał uczciwie przyznać – przynajmniej przed samym sobą i przed żoną – wcale za nim nie tęsknił. Ojciec rzadko kiedy był blisko.



A teraz nagle wrócił i prosił o pieniądze, których on nie miał, bez wahania zakładając, że syn zrobi dokładnie to, co mu każe, że bez oporu i świadomie narazi kogoś na niebezpieczeństwo.

Podszedł do biurka i przeczytał list drugi raz, a potem trzeci. Tak, ten sam ledwo czytelny charakter pisma – ojciec bazgrał jak kura pazurem -który widywał od dzieciństwa. I ten sam sposób działania czy to w domu, czy w pracy. Zrób tak, tak i tak, a wszystko wypali. Zrób, jak mówię, szybko! Pospiesz się! Zaryzykuj wszystko, bo cię potrzebuję.

A co by było, gdyby rzeczywiście wszystko poszło jak z płatka i gdyby któregoś dnia Gracz naprawdę wrócił? Na pewno nie miałyby czasu ani dla niego, ani dla swojej wnuczki. Dostawszy szansę, pięćdziesięciodwuletni Joel Backman ponownie wypłynąłby w blasku chwały na powierzchnię bagna waszyngtońskich kręgów władzy. Zaprzyjaźniłby się z odpowiednimi ludźmi, naraił sobie odpowiednich klientów, ożeniłby się z odpowiednią kobietą, znalazł odpowiednich wspólników i rok później panoszyłby się już w wielkim gabinecie, pobierając kosmiczne honoraria i tyranizując kongresmanów.

Życie było dużo prostsze, gdy nadal siedział w więzieniu.

No i co powie teraz Lisie, żonie? Kochanie, ktoś upomniał się właśnie o te dwa tysiące, które ostatnio zaoszczędziliśmy. I potrzebuję jeszcze kilkuset dolarów na takie coś z szyfrowaną pocztą elektroniczną. Poza tym nikomu nie otwieraj drzwi, bo życie stało się nagle dużo bardziej niebezpieczne.

Ponieważ dzień szlag trafił, zadzwonił do sekretarki i powiedział, żeby z nikim go nie łączyła. Potem wyciągnął się na sofie, zrzucił buty, zamknął oczy i zaczął masować sobie skronie.

## Rozdział 18

małej, wrednej wojnie między CIA a FBI obie strony wykorzystywały dziennikarzy. Robiły to ze względów taktycznych. Manipulując dziennikarzami, mogły przeprowadzać uderzenia wyprzedzające, odpierać kontrataki, torować sobie drogę ucieczki, a nawet likwidować szkody. Od dwudziestu lat Dan Sandberg miał swoje wtyczki po jednej i po drugiej stronie i chętnie dawał się im wykorzystywać, jeśli informacja była wiarygodna i na wyłączność. Chętnie też podejmował się roli kuriera, który

manewrując ostrożnie między zwaśnionymi armiami, przekazywał im najświeższe plotki i sprawdzał, ile ta czy druga strona wie. Żeby zweryfikować plotkę, że FBI prowadzi śledztwo w sprawie skandalu z ułaskawieniem za pieniądze, zadzwonił do swojego najbardziej wiarygodnego informatora w CIA. Jak zwykle natknął się na mur nie do przebiccia, lecz mur ten runął niecałe czterdzieści osiem godzin później.

Facet nazywał się Rusty Lowell i był zmordowanym pracą karierowiczem, co chwilę zmieniającym stopnie i tytuły. Ale bez względu na to, za co Langley mu płaciło, jego prawdziwym zadaniem było czytanie prasy i doradzanie staremu Maynardowi, jak ją wykorzystywać i jakiej nadużywać. Nie, nie był tanim szpiclem i nigdy nie sprzedał mu czegoś, co później okazało się gniotem. Po latach starannego pielęgnowania układu Sandberg był prawie całkowicie pewien, że to, co od niego kupuje, pochodzi od samego dyrektora CIA.

Spotkali się w Tyson's Corner Mail w Wirginii, w taniej pizzerii na piętrze kompleksu gastronomicznego tuż za obwodnicą. Kupili po kawałku pepperoni z serem i po puszcze coli i usiedli w boksie, żeby nikt ich nie widział. Obowiązywały te same co zwykle zasady: (1) rozmowa jest nieoficjalna, szczerza i szczegółowa; (2) zanim Sandberg cokolwiek opublikuje, Lowell musi dać mu zielone światło, a jeśli (3) okaże się, że jego informacje stoją w sprzeczności z informacjami z innego źródła, on, Lowell, wszystko sprawdzi, zweryfikuje i będzie miał ostatnie słowo.

Jako reporter Sandberg nienawidził tych zasad. Z drugiej jednak strony, Lowell nigdy się jeszcze nie pomylił, no i rozmawiał tylko z nim. Dlatego jeśli chciał nadal eksploatować tę przebogatą kopalnię, musiał grać według jego reguł.

–Znaleźli jakieś pieniądze – zaczął. – Podobno mają związek z ułaskawieniem, tak przynajmniej myślą.

Lowell nie umiał kłamać, bo zawsze zdradzały go oczy. Momentalnie się zwężyły, więc było oczywiste, że to dla niego nowina.

–CIA o tym wie?

–Nie – odparł bez ogródek Lowell; nigdy nie bał się prawdy. – Obserwujemy kilka zagranicznych kont, ale nic tam się nie dzieje. Dużo znaleźli?

–Ponoć od cholery. Nie wiem ile. Nie wiem nawet jak.

–Wiedzą, skąd się wzięły?

–Nie na sto procent, ale bardzo chcą je wetknąć Joelowi Backmanowi. Gadają z

**Białym Domem.**

–A z nami nie.

–Najwyraźniej. To śmierdzi polityką. Chętnie wrobiliby w to prezydenta Morgana, a Backman byłby idealnym pośrednikiem.

–Księżę Mongo też.

–Tak, ale on już praktycznie nie żyje. Ma za sobą długą, barwną karierę oszusta podatkowego, ale poszedł już na zieloną trawkę. A Backman zna różne tajemnice. Chcą go tu ściągnąć i wymaglować w Departamencie Sprawiedliwości, żeby cały Waszyngton dostał szału. No i żeby poniżyć Morgana.

–Gospodarka spada na łeb na szyję, więc zajmą ludzi czymś innym. Cudowny manewr.

–Tak jak mówiłem, tu chodzi o politykę.

Lowell odgryzł w końcu kawałek gumowatej pizzy i przeżuwał ją w zamyśleniu.

–To nie może być Backman. Spudłowali.

–Jesteś pewien?

–Stuprocentowo. Backman nie miał pojęcia, że chcą go ułaskawić. Wyciągnęliśmy go z celi w środku nocy, kazaliśmy podpisać papiery i jeszcze przed wschodem słońca wywieźliśmy z kraju.

–Ale dokąd?

–Nie wiem. A gdybym wiedział, też bym ci nie powiedział. Chodzi o to, że Backman nie miał czasu załatwić łapówki. Zagrzebali go w pierdłu tak głęboko, że nie mógł nawet marzyć o ułaskawieniu. To był pomysł Maynarda, nie jego. FBI się przejedzie.

–Chcą go znaleźć.

–Po co? Jest wolnym, w pełni ułaskawionym człowiekiem, a nie zbiegłym przestępcą. Nie mogą zażądać ekstradycji, chyba że go oficjalnie oskarżą.

–Mogą oskarżyć.

Lowell myślał przez chwilę, marszcząc czoło.

–Nie wiem jak. Nie mają dowodów. Zgoda, namierzili podejrzanego szmal na jakimś

**koncie, ale nie wiedzą, skąd się tam wziął. Gwarantuję, że nie są to pieniądze Backmana.**

**–Dadzą radę go znaleźć?**

**–Musieliby przycisnąć Maynarda, dlatego chciałem z tobą pogadać. – Lowell odsunął nadgryzioną pizzę i nachylił się w jego stronę. W Gabinetce Owalnym odbędzie się spotkanie, już niedługo. Przyjedzie Teddy i prezydent zażąda od niego tajnych materiałów ha Backmana. Teddy**

odmówi. Wtedy dojdzie do rozstrzygającego starcia. Czy prezydent będzie miał odwagę go wyrzucić?

–Będzie?

–Prawdopodobnie tak. Przynajmniej Teddy tak myśli. To jego czwarty prezydent, pobił rekord, a trzech poprzedni też chcieli wysłać go na emeryturę. Ale teraz Maynard jest stary i chce odejść.

–Zawsze był stary i zawsze chciał odejść.

–Fakt, ale był wymagającym szefem. Tym razem jest inaczej.

–Dlaczego po prostu nie zrezygnuje?

–Bo to stary pierdoła i stetryczały sukinsyn, przecież dobrze wiesz.

–Wszyscy wiedzą.

–Jeśli zechcą go wyrzucić, na pewno nie odejdzie spokojnie. Wyważony komentarz, chwytasz? Wyważone nagłośnienie sprawy. O to mu chodzi.

„Wyważone nagłośnienie sprawy” było ugruntowanym odpowiednikiem polecenia: „Napiszcie to tak, jak ja chcę”. Sandberg też odsunął pizzę i strzelił palcami.

–Ja widzę to tak – zaczął; była to część ustalonego rytuału. – Po osiemnastu latach rządów twardej ręki Teddy Maynard zostaje wyrzucony przez nowego prezydenta. Powód? Maynard nie chce zdradzić szczegółów tajnych operacji CIA. Z uporem twierdzi, że strzeże bezpieczeństwa narodowego i stanowczo odmawia prezydentowi, który potrzebuje tych informacji, żeby FBI mogło wszcząć śledztwo w sprawie ułaskawień podpisanych przez byłego prezydenta Morgana.

–Nie możesz wspomnieć o Backmanie.

–Żadnych nazwisk. Najpierw muszę to sprawdzić.

–Daję głowę, że to nie jest jego szmal. Jeśli wymienisz jego nazwisko, może to przypadkiem przeczytać i zrobić coś głupiego.

–Na przykład co?

–Na przykład uciec.

**–To byłoby głupie? Dlaczego?**

**–Bo nie chcemy, żeby uciekł.**

**–Chcecie, żeby go zabili?**

**–Oczywiście. Taki jest plan. Żeby zobaczyć, kto go skasuje.**

**Sandberg oparł się ciężko o plastikowy zagłówek i uciekł wzrokiem**

**w bok. Lowell zaczął wydłubywać ser z pizzy. Przez długi czas siedzieli w milczeniu i myśleli. Wreszcie Sandberg dopił colę i powiedział:**

–Teddy musiał jakoś namówić Morgana do ułaskawienia Backmana, żeby zrobić z niego przynętę.

Lowell nie patrzył na niego, ale kiwał głową.

–To zabójstwo ma pomóc wam w rozwiązaniu jakiejś sprawy?

–Może. Taki jest plan.

–Backman wie, dlaczego go ułaskawiono?

–My mu na pewno nie powiedzieliśmy, ale to bystry facet.

–Kto go chce skasować?

–Bardzo niebezpieczni ludzie, którzy coś do niego mają.

–Wiesz kto?

Kiwnięcie głową, wzruszenie ramionami. I tak, i nie.

–Kandydatów jest kilku. Będziemy uważnie obserwować i może się czegoś dowiemy. A może nie.

–Co ci ludzie do niego mają?

Idiotyczne pytanie; Lowell parsknął śmiechem.

–Dobra zagrywka, Dan. Próbujesz tego od sześciu lat. No, muszę lecieć. Popracuj nad tekstem, wyważ go i daj mi do przejrzenia.

–Kiedy będzie to spotkanie?

–Nie wiem. Pewnie jak tylko prezydent wróci.

–A jeśli go wyrzucą?

–Teddy'ego? Będziesz pierwszą osobą, do której zadzwonię.

Jako małomiasteczkowy adwokat z Culpeper w Wirginii, Neal Backman zarabiał o wiele mniej, niż marzyło mu się na studiach. Jego ojciec był wtedy taką potęgą, że gigantyczne zarobki zaledwie po kilku latach praktyki zawodowej wydawały się czymś zupełnie realnym. Świeżo upieczony adwokat z kancelarii Backman, Pratt



**Bolling zaczynał od stu tysięcy rocznie, a w wieku trzydziestu lat, jako młodszy wspólnik, zgarniał trzy razy więcej. Gdy Neal był na drugim roku studiów, jedno z czasopism zamieściło na okładce zdjęcie Wielkiego Gracza i opisało jego kosztowne zabawki; dochody ojca szacowano wtedy na dziesięć milionów dolarów rocznie. Artykuł wywołał duże poruszenie na uniwerku, co bynajmniej Neala nie speszyło. Perspektywa olbrzymich zarobków: jaka to cudowna przyszłość. Tak wtedy myślał.**

**Jednak po niecałym roku pracy, zaraz po tym, jak ojciec przyznał się do winy, wykopano go z pracy i dosłownie wyrzucono na ulicę.**

**Wkrótce przestał marzyć o wielkich pieniądzach i pełnym blichtru stylu życia. Był zupełnie zadowolony z pracy w małej, miłej kancelarii przy**

Main Street i z pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Gdy urodziła im się córka, Lisa rzuciła pracę. Zarządzała teraz domowymi finansami i pilnowała budżetu.

Po bezsennej nocy opracował prowizoryczny plan działania. Najboleśniejszą sprawą było to, czy powinien wtajemniczyć w niego żonę, czy nie. Gdy zdecydował, że jednak nie, plan zaczął przybierać konkretne kształty.

O ósmej rano jak zwykle przyszedł do pracy i przez półtorej godziny siedział w Internecie, czekając, aż otworzą bank. Potem wyszedł i idąc Main Street, zastanawiał się, czy to naprawdę możliwe, żeby gdzieś tam, w jakichś zakamarkach czaił się ktoś, kto go ukradkiem obserwuje. Trudno mu było w to uwierzyć, ale postanowił nie ryzykować.

Dyrektorem filii Piedmont National Bank był Richard Koley. Razem chodzili do kościoła, razem polowali na cietrzewie, razem grali w softball w klubie rotariańskim. Kancelaria Neala od lat miała w tym banku konto. O tak wczesnej porze w foyer było jeszcze pusto, ale Richard siedział już przy biurku z kubkiem kawy i z „Wall Street Journal” w ręku; najwyraźniej nie miał nic do roboty. Mile się zdziwił na jego widok i przez dwadzieścia minut rozmawiali o uniwersyteckiej lidze koszykarskiej. W końcu przeszli do interesów.

–No dobra – zaczął Richard. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Tak z ciekawości... – rzucił obojętnie Neal; ćwiczył tę kwestię przez cały ranek. – Ile mógłbym pożyczyć u was od ręki, na podpis?

–Drobne kłopoty, hę? – Richard już chwycił myszkę, już spoglądał na ekran komputerowego monitora, który znał odpowiedź na wszystkie pytania.

–Nie, nic z tych rzeczy. Odsetki są niskie, a wpadły mi w oko akcje pewnej firmy.

–Dobra strategia, chociaż oczywiście nie mogę jej nikomu polecać. Dow Jones znowu wszedł na dziesięć tysięcy, więc dziwię się, że ludzie nie biorą kredytu i nie pakują pieniędzy w akcje. Nasz stary bank na pewno nie miałby nic przeciwko. – Richard zachichotał. – Nie ma to jak bankierskie poczucie humoru. – Wielkość dochodów? – Spowaźniał i zastukał palcami w klawiaturę.

–Czyja wiem... Od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu tysięcy.

Richard jeszcze bardziej zmarszczył brwi, ale Neal nie wiedział, czy

dlatego, że jego przyjaciel Backman zarabiał tak mało, czy dlatego, że



zarabiał dużo więcej od niego. Z tym nigdy nie wiadomo. Małomiasteczkowe banki nie słynęły z przepłacania swoich pracowników.

–Suma długów, nie licząc hipoteki? – spytał, ponownie stukając w klawiaturę.

–Hm, zobaczmy... – Neal zamknął oczy i przeprowadził kilka obliczeń. Hipoteka: dwieście tysięcy dolarów w Piedmont Bank. Lisa była tak bardzo przeciwna zaciąganiu kredytów, że ich zestawienie bilansowe było zdumiewająco czyste. – Pożyczka na samochód, około dwudziestu tysięcy. 1 coś około tysiąca na kartach kredytowych. W sumie niewiele.

Richard pochwalił to skinieniem głowy, nie odrywając oczu od ekranu monitora. Potem przestał stukać, wzruszył ramionami i zmienił się w przyjaznego bankiera.

–Od ręki mogę dać ci trzy tysiące. Na sześć procent rocznie.

Ponieważ Neal nigdy nie pożyczał bez zabezpieczenia spłaty, nie wiedział, czego dokładnie oczekiwać. Nie miał pojęcia, ile może dostać na podpis, ale trzy tysiące brzmiało całkiem nieźle.

–Dałoby się zrobić z tego cztery? – spytał.

Znowu zmarszczone czoło, znowu rzut oka na ekran monitora, wreszcie odpowiedź:

–Jasne, czemu nie? Przecież wiem, gdzie cię szukać, prawda?

–Świetnie. Dam ci znać, co z tymi akcjami.

–Masz tam kogoś? Dostałeś cynk?

–Zaczekaj miesiąc. Jeśli ceny pójdą w górę, przyjdę się pochwalić.

–Dobra, w porządku.

Richard otworzył szufladę, żeby poszukać formularzy.

–Posłuchaj – powiedział Neal. – To układ między nami chłopakami, zgoda? Wiesz, o co chodzi. Lisa nie będzie niczego podpisywała.

–Nie ma sprawy – odparł Richard, uosobienie dyskrecji. – Moja żona nie wie połowy tego, co robię z kasą. Kobiety po prostu tego nie rozumieją.

–Otóż to. A propos. Mógłbym dostać to w gotówce?

**Lekkie wahanie, zaskoczony wyraz twarzy, ale cóż, w Piedmont Bank wszystko było możliwe.**

**–Oczywiście. Wpadnij za godzinkę.**

**–Muszę pędzić do biura i kogoś tam oskarżyć. Wpadnę koło dwunastej, wszystko podpiszę i odbiorę pieniądze.**

**Z nerwowo skurczonym żołądkiem szybko wrócił do kancelarii, dwie ulice dalej. Lisa by go zabiła, gdyby się dowiedziała, a w małym miasteczku**

trudno utrzymać coś w tajemnicy. Przez cztery lata szczęśliwego małżeństwa wszystkie decyzje zawsze podejmowali razem. Wyjaśnienia byłyby bardzo bolesne, ale gdyby wyznał całą prawdę, żona na pewno doszłaby do siebie.

Splata kredytu będzie poważnym wyzwaniem. Ojciec zawsze łatwo obiecywał. Czasem dotrzymywał słowa, czasem nie i mało się tym przejmował. Ale był wtedy starym Joelem Backmanem. Nowy Joel Backman był zrozpaczonym człowiekiem bez przyjaciół, bez nikogo, komu mógłby zaufać.

Zresztą co tam. Przecież to tylko cztery tysiące. Richard niczego nie wygada. A on martwić się będzie później. Ze zwrotem pożyczki na pewno sobie poradzi. Ostatecznie był prawnikiem. Tu i tam policzy trochę więcej, weźmie kilka nadliczbowek, i już.

W tej chwili najważniejszą sprawą było wysłanie przesyłki do Rudolpha Viscovitcha.

Z pękatą od pieniędzy kieszenią wymknął się podczas lunchu ukradkiem do oddalonej o półtorej godziny jazdy Alexandrii i w małym centrum handlowym przy Russell Road, niecałe dwa kilometry od Potomacu, odszukał sklep o nazwie Charter. Z Internetu dowiedział się, że jest to świetnie zaopatrzonej salon sprzedaży oferujący najnowocześniejsze urządzenia telekomunikacyjne i jedno z nielicznych w Stanach miejsc, gdzie można kupić komórki bez simlocka, które działają w Europie. Gdy oglądał towar, zdumiał go wybór telefonów, pagerów, komputerów i telefonów satelitarnych, dosłownie wszystkiego, co było potrzebne do nawiązania i utrzymania łączności. Nie mógł oglądać długo, ponieważ o czwartej odbierał zeznania w kancelarii i wiedział, że Lisa na pewno do niego zadzwoni. Zwykle dzwoniła kilka razy dziennie, żeby dowiedzieć się, co słyhać w mieście.

Poprosił, żeby sprzedawca pokazał mu Ankyo 850 PC Pocket Smart-phone, który od trzech miesięcy był przebojem rynku i uchodził za klejnot telefonii komórkowej. Sprzedawca wyjął aparat z gabloty, przeszedł na inny, zupełnie obcy język i zaczął go z entuzjazmem opisywać:

–Klawiaturka QWERTY, trzy zakresy na pięciu kontynentach, osiemdziesiąt megabajtów pamięci, szybkie połączenie z EGPRS-em, bezprzewodowy LAN, Bluetooth, Ipv4 i Ipv6, podwójne wsparcie stosu, podczerwień, interfejs Pop-Port, system operacyjny Symbian wersja 7.OS, platforma serii osiemdziesiąt.

–Automatyczne przełączanie między zakresami?

–Tak.

–Będzie działał w Europie? Oczywiście.

Smartphone był nieco większy od zwykłego telefonu, ale dobrze leżał w ręku. Miał gładki, metaliczny wierzch i szorstki, plastikowy spód, który zapobiegał wyślizgiwaniu się z dłoni.

–Jest duży – mówił sprzedawca – ale ma bardzo dużo funkcji: e-mail, multimedia, kamera, odtwarzacz wideo, edytor tekstów, przeglądarka, no i bezprzewodowy dostęp do Internetu niemal na całym świecie. Dokąd się pan wybiera?

–Do Włoch.

–Może pan jechać choćby zaraz. Trzeba tylko otworzyć konto u dostawcy.

Otwarcie konta to papierki, a papierki to ślad, którego Neal nie chciał zostawiać.

–Na kartę nie zadziała?

–Oczywiście, że zadziała. Na Włochy musi pan kupić TIM, Telecom Italia Mobile. To ich największy dostawca, ma w zasięgu dziewięćdziesiąt pięć procent powierzchni kraju.

–Dobrze, wezmę go.

Neal zsunął dolną część pokrywki, odsłaniając pełnowymiarową klawiaturę.

–Najlepiej trzymać go obiema rękami i pisać kciukami. Dziesięciu palców pan nie zmieści. O tak. – Sprzedawca wziął aparat i zademonstrował mu, jak się to robi.

–Rozumiem. Dobrze, biorę go.

Kosztował dziewięćset dwadzieścia pięć dolarów plus osiemdziesiąt dziewięć dolarów za kartę TIM. Neal zapłacił gotówką, odmawiając podpisania przedłużonej gwarancji, zniżki za rejestrację, indywidualnego programu użytkownika, słowem wszystkiego, co łączyło się z podpisywaniem dokumentów. Sprzedawca spytał go o nazwisko i adres i Neal ponownie odmówił odpowiedzi. Wreszcie zirytował się i warknął:

–Nie mógłbym po prostu zapłacić i wyjść?

–Cóż, chyba tak, oczywiście – odparł tamten.

**–W takim razie załatwmy to w końcu. Spieszę się.**

**Zaraz potem pojechał do dużego sklepu z artykułami biurowymi kilkaset metrów dalej. Szybko znalazł na półce bezprzewodowego Hewlett-Packarda**



Tablet PC. No i zainwestował kolejne czterysta czterdzieści dolarów w bezpieczeństwo ojca, chociaż ten nabytek postanowił ukryć w kancelarii. Korzystając z planu miasta, który ściągnął z Internetu, w sąsiednim centrum handlowym znalazł punkt pocztowy. Stał przy ladzie, spieszenie napisał dwie strony instrukcji obsługi dla ojca i włożył kartkę do koperty z listem zawierającym kolejne instrukcje i wskazówki, które spisał rano. Upewniwszy się, że nikt na niego nie patrzy, do bocznej kieszeni małego, czarnego futerału, w którym tkwił największy klejnot współczesnej technologii komórkowej, wepchnął dwadzieścia studolarowych banknotów. Potem wziął puste pudełko, włożył do niego aparat z listem, porządnie okleił pudełko taśmą i czarnym flamastrem napisał: *Dla pana Marca Lazerriego*. Potem włożył je do nieco większego kartonu i zaadresował przesyłkę do Rudolpha Viscovitcha w Bolonii. Adres zwrotny? Punkt pocztowy, 8851 Braddock Road, Alexandria, Wirginia 22302. Nie mając wyboru, zostawił w okienku swoje nazwisko, adres i numer telefonu na wypadek, gdyby paczkę zwrócono. Urzędnik zważył ją i spytał o ubezpieczenie. Ale Neal nie chciał nic ubezpieczać, bo nie chciał podpisywać żadnych papierków. Urzędnik nakleił znaczki i w końcu oznajmił:

–Osiemnaście dolarów i dwadzieścia centów.

Neal zapłacił, uzyskawszy zapewnienie, że paczka zostanie wysłana jeszcze tego dnia po południu.

## Rozdział 19

utynowe czynności w półmroku swojego nowego, małego mieszkania jak co rano wykonywał ze zwykłą sobie efektywnością. Nie licząc pobytu w więzieniu, gdzie nie miał ani wyboru, ani motywacji do szybkiego działania, zawsze wstawał zaraz po przebudzeniu. Miał za dużo do zrobienia, za dużo do zobaczenia. Często, zaledwie po trzech, czterech godzinach snu, przyjeżdżał do kancelarii już przed szóstą, zionąc ogniem i wypatrując okazji do pierwszej tego dnia awantury.

A teraz nawyki powracały. Nie, nie atakował już każdego nowego dnia jak łaknący krwi lew, ale miał inne wyzwania.

W niecałe trzy minuty wziął prysznic, co było kolejnym starym nawykiem, tym skuteczniej przestrzegany, że przy Via Fondazza zawsze bra-

kowało ciepłej wody. Ogolił się, uważnie omijając elegancki zarost, o który bardzo dbał. Wąsy prawie już wyrosły, a na podbródku wyhodował gęstą, siwą bródkę. Z wyglądu nie przypominał już Joela Backmana. Ani z wyglądu, ani ze sposobu mówienia. Uczył się mówić wolno i cicho. No i oczywiście po włosku.

Na poranną rutynę składały się również elementy skromnej działalności szpiegowskiej. Przy łóżku stała komoda, w której trzymał swoje rzeczy; cztery jednakowe szuflady, ostatnia piętnaście centymetrów nad podłogą. Używał cieniutkiej nitki, którą wypruł z prześcieradła, codziennie tej samej. Lizał ją na końcach, a właściwie obficie nawilżał śliną, po czym jeden koniec przyklejał do ostatniej szuflady – od spodu oczywiście – a drugi do bocznej prowadnicy, tak że przy każdym otwarciu szuflady nitka musiała zmienić położenie.

Ktoś – przypuszczał, że Luigi – codziennie odwiedzał jego pokój, podczas gdy on uczył się z Ermannem lub z Francescą. Odwiedzał i dokładnie przeszukiwał jego rzeczy.

Biurko stało w saloniku, pod jedynym oknem. Trzymał na nim gazety, notatniki i książki; przewodnik po Bolonii, kilka egzemplarzy „Herald Tribune”, smutną kolekcją darmowych przewodników po sklepach od Cyganów, którzy rozdawali je za darmo na ulicy, mocno już zużyty słownik włosko-angielski oraz stale powiększającą się stertę materiałów, którymi zarzucał go Ermanno. Biurko było uporządkowane, ale nie za dokładnie, co bardzo go irytowało. Jego stare biurko – w tym pokoju na pewno by się nie zmieściło -słynęło z porządku: każdego popołudnia trzęsła się nad nim sekretarka.

Lecz w tym bałaganie tkwił niewidzialny podstęp. Błat biurka był zrobiony z twardego drewna, porysowanego już i pomazanego. Wśród rys i plam była stara plama z atramentu, tak przynajmniej przypuszczał. Wielkości małego guzika, ulokowała się niemal dokładnie na środku blatu. Co rano przed wyjściem przykrywał ją rogiem kartki z notatnika – nie zauważyłby tego nawet najbystrzejszy szpieg.

I rzeczywiście nie zauważył. Ten, kto podczas jego nieobecności codziennie przeczesywał mieszkanie, ani razu nie ułożył jej dokładnie tak jak on. Ani kartki, ani książek.

Codziennie, siedem dni w tygodniu, nawet w weekendy, kiedy się nie uczył, Luigi i jego banda wchodzili tu i odwalali swoją brudną robotę. Marco rozważał nawet, czy nie obudzić się któregoś ranka z potwornym bólem głowy, nie zadzwonić do Luigiego, wciążyć jedynej osoby, z którą

rozmawiał przez komórkę, i nie poprosić go o przyniesienie aspiryny czy czegoś, co tu stosowali. Nie zapalałyby światła i leżałyby w łóżku, udając, że się kuruje, żeby po kilku dniach ponownie zadzwonić do Luigiego z wiadomością, że czuje się lepiej i że zgłodniał. Poszliby za róg coś przekąsić, a wówczas udałby nagle załabnięcie i wrócił do domu. Nie byłoby go niecałą godzinę.

**Czy i wtedy ktoś przeczesalby mieszkanie?**

**Plan zaczynał przybierać coraz konkretniej sze kształty. Trzeba sprawdzić, kto jeszcze go obserwuje. Jak dużą tworzą sieć? Skoro mieli go tylko ochraniać, po co przeprowadzali te codzienne rewizje? Czego się bali?**

**Bali się, że zniknie. Ale dlaczego tak ich to przerażało? Był wolnym człowiekiem i miał pełne prawo jeździć, gdzie chciał. Zmienił wygląd. Chociaż opanował jedynie podstawowe umiejętności językowe, mówił po włosku całkiem znośnie, z dnia na dzień coraz lepiej. Dlaczego więc tak bardzo się bali, że nagle wyparuje, że wsiądzie do pociągu i zwiedzając Włochy, już nigdy nie wróci? Przecież tylko ułatwiłby im życie.**

**I dlaczego trzymali go na tak krótkiej smyczy, bez paszportu i większej gotówki?**

**Tak, bali się, że zniknie.**

**Zgasił światło i otworzył drzwi. Pod arkadami przy Via Fondazza było jeszcze ciemno. Przekręcił klucz w zamku i wyruszył na poszukiwanie porannej kawy.**

**Śpiącego za grubą ścianą Luigiego obudził przytłumiony dźwięk dzwonka; budził go tak co rano, wciąż o tej samej pogańskiej godzinie.**

**–Co to? – spytała.**

**–Nic. – Odrzucił koc w jej stronę i wyszedł nago z pokoju. Szybko przeciął salonik, potem kuchnię, otworzył drzwi, wszedł do środka, trzasnął zasuwą i spojrzał na ekrany monitorów na składanym stole. Marco wychodził, jak zwykle. Była szósta dziesięć, dla niego normalka. Koszmarny zwyczaj. Niech szlag trafi tych Amerykanów.**

**Wcisnął guzik i brzęczenie ustało. Obowiązujące go procedury wymagały, żeby natychmiast się ubrał, wyszedł na ulicę, znalazł go i obserwował do chwili spotkania z Ermannem. Ale on miał dość procedur. Poza tym czekała na niego Simona.**

**Miała zaledwie dwadzieścia lat i była prześliczną studentką z Neapolu; poznał ją**

**tydzień wcześniej w nocnym klubie. To była ich pierwsza, lecz na pewno nie ostatnia noc. Gdy wrócił, już spała, więc przykrył się kocem.**

Na dworze było zimno. Miał Simone. Whitaker był w Mediolanie i pewnie spał teraz z jakąś Włoszką. Nikt, absolutnie nikt nie mógł sprawdzić, co on, Luigi, będzie robił przez cały dzień. A Marco na pewno poszedł na kawę. Tylko na kawę.

Przytulił Simone i zasnął.

Był początek marca, bezchmurny, słoneczny dzień, a on właśnie skończył dwugodzinną nasiadówkę z Ermannem. Jak zwykle gdy dopisywała pogoda, spacerowali ulicami Bolonii, rozmawiając tylko po włosku. Czasownikiem dnia było *fare*, czyli „robić”, „czynić”, „wytwarzać”, choć nie tylko – szybko stwierdził, że jest to najbardziej wszechstronny czasownik w tym języku. Robić zakupy? *Fare la spesa*, a w dosłownym tłumaczeniu: „ponosić koszty” lub „nabywać”. Zadawać pytanie? *Fare la domanda*, czyli „stawiać pytanie”. Jeść śniadanie? *Fare la colazione*, czyli „robić śniadanie”.

Ermanno skończył trochę wcześniej niż zwykle, bo miał na głowie studia. Bardzo często bywało tak, że gdy tylko kończyli lekcję, pojawiał się Luigi, a on błyskawicznie zniknął. Marco podejrzewał, że ta dokładna koordynacja miała przekonać go, iż jest pod nieustanną obserwacją.

Pożegnali się przed Feltrinellim, jedną z wielu księgarń w dzielnicy uniwersyteckiej. W tej samej chwili zza rogu wyszedł Luigi, jak zwykle z serdecznym:

–*Buon giorno. Pranziamo?* – Idziemy na lunch?

–*Certamente.*

Ponieważ Marco coraz częściej zamawiał i jadał sam, na lunchu spotykali się coraz rzadziej.

–*Ho trovato un nuovo ristorante.* - Odkryłem nową restaurację.

–*Andiamo.* ~ No to chodźmy.

Nie było jasne, co Luigi porabiał przez cały dzień, ale nie ulegało wątpliwości, że wiele godzin poświęcał na chodzenie po mieście i szukanie nowych kafejek, trattorii i restauracji. Nigdy nie jedli w tym samym miejscu dwa razy.

Przeszli kilkoma wąskimi uliczkami i znaleźli się na Via dell'Indipendenza. Luigi cały czas mówił, bardzo wolno i wyraźnie.

–Francesca nie może dzisiaj przyjść.

**-Dlaczego?**

**-Pracuje, ma grupę. Wczoraj zadzwonili do niej jacyś Australijczycy. O tej porze roku mało tu turystów. Lubisz ją?**

–Francescę? A mam ją lubić?

–Byłoby miło.

–Nie jest zbyt serdeczna i troskliwa.

–Jest dobrą nauczycielką?

Znakomitą. Jej doskonały angielski jest dla mnie inspiracją do intensywniejszej nauki.

–Mówi, że dużo pracujesz i jesteś miły.

–Lubi mnie?

–Tak, jako ucznia. Uważasz, że jest ładna?

–Większość Włozek jest ładna, ona też. Skręcili w Via Goito i Luigi wyciągnął rękę.

–To tutaj. – Przystanęli przed drzwiami Franco Rossi. – Nigdy tu nie byłem, ale podobno to świetna knajpka.

Szeroko uśmiechnięty Franco powitał ich z otwartymi ramionami. Był w eleganckim ciemnym garniturze, który ładnie kontrastował z jego gęstymi, siwymi włosami. Wziął od nich wierzchnie okrycia, gawędząc z Lu-igim, jakby byli starymi przyjaciółmi. Luigi rzucał nazwami, a on z aprobatą kiwał głową. Wybrali stolik przy oknie.

–Najlepszy – powiedział z zachwytem Franco; Marco rozejrzał się po sali, ale nigdzie nie dostrzegł gorszego.

–Mamy pyszne *antipasti* - zaczął skromnie Franco, jakby nie lubił się chwalić. – Ale polecałbym sałatkę z krojonych grzybków. Lino dodaje do niej trufle, parmezan, krojone jabłuszko... – Tu Franco umilkł, całując czubki swoich palców. – Jest przepyszna – dodał z zamkniętymi oczami, rozmarzony.

Zamówili sałatkę i Franco podszedł do kolejnego gościa.

–Kto to jest Lino? – spytał Marco.

–Jego brat, kucharz. – Luigi wziął kawałek tokańskiego chleba i umoczył go w oliwie. Podszedł do nich kelner z pytaniem, czy podać wino. – Oczywiście. Poprosimy czerwone, miejscowe.

**Kelner nie miał żadnych wątpliwości. Wskazał ołówkiem w karcie i odparł:**

**–Polecam Liano z Imoli. Jest fantastyczne. – Żeby to udowodnić, zadarł głowę i wciągnął nosem powietrze, jakby je z rozkoszą wachał.**

**–Dobrze, spróbujemy.**

**–Wracając do Franceski – powiedział Marco. – Ciągłe jest jakaś taka... zmartwiona i rozkojarzona. Ma kłopoty?**



Luigi znowu zanurzył w oliwie duży kawałek chleba i długo go żuł, zastanawiając się nad odpowiedzią.

–Jej mąż źle się czuje – odrzekł wreszcie.

–Mają dzieci?

–Chyba nie.

–Co jest jej mężowi?

–Ciężko choruje. Jest starszy od niej. Nie znam go.

Signore Rossi wrócił, żeby przeprowadzić ich przez zawiłości jadłospisu, co nie było raczej konieczne. Oświadczył, że mają najlepsze tortellini w mieście, a tego dnia było po prostu pierwszorzędne; Lino chętnie do nich wyjdzie, żeby osobiście to potwierdzić. Po tortellini zaś najlepszy byłby sznycel cielęcy z truflami.

Słuchali jego rad przez ponad dwie godziny i wyszli na Via del'Indi-pendenza napchani do granic wytrzymałości. W drodze do domu planowali sjęstę.

Spotkał ją przez przypadek na Piazza Maggiore. Po półgodzinnym spacerze pił kawę na świeżym powietrzu, dzielnie walcząc z zimnem w jasnym słońcu, gdy nagle zobaczył, jak z Palazzo Comunale, czyli z ratusza, wychodzi grupka jasnowłosych staruszków. Na czele szedł ktoś znajomy, szczupła, drobna kobieta o dumnie wyprostowanych ramionach i ciemnych włosach, które wysuwały się spod ciemnoczerwonego beretu. Położył na stoliku jedno euro i ruszył w tamtą stronę. Stanął za nimi przy fontannie Neptuna – było ich tylko dziesięcioro – i zaczął się przysłuchiwać. Francesca opowiadała, że ten olbrzymi posąg rzymskiego boga mórz i oceanów został wyrzeźbiony przez pewnego francuskiego rzeźbiarza w latach 1563-1566. Zamówił go jeden z miejscowych biskupów, żeby akcją upiększania miasta przypodobać się papieżowi. Legenda głosiła, że rzeźbiarza bardzo martwiła całkowita nagość Neptuna, dlatego przed rozpoczęciem prac wysłał projekt rzeźby do Rzymu, żeby zatwierdził go sam papież. Ten odpisał: „Dla Bolonii będzie w sam raz”.

W obecności prawdziwych turystów Francesca była bardziej ożywiona. Mówiła silniejszym głosem, częściej się uśmiechała. Była w bardzo eleganckich okularach, w których wyglądała dziesięć lat młodziej. Kryjąc się za Australijczykami, długo obserwował ją niezauważony.

Mówiła, że Fontana del Nettuno należy do najslawniejszych symboli miasta i stanowi chyba najpopularniejsze tło dla turystycznych zdjęć.



Z każdej kieszeni natychmiast wychynął aparat fotograficzny i Australijczycy poustawiali się pod Neptunem. Marco podszedł bliżej i nawiązał z nią kontakt wzrokowy. Zobaczyła go i odruchowo się uśmiechnęła.

–*Buon giorno* – rzuciła cicho.

–*Buon giorno*. Można się podłączyć?

–Tak. Przepraszam, że musiałam odwołać lekcję.

–Nie szkodzi. Zjemy razem kolację? Rozejrzała się, jakby zrobiła coś złego.

–Żeby się trochę pouczyć, oczywiście – dodał. Nic więcej.

–Nie, przykro mi... – Spojrzała ponad jego ramieniem w stronę bazyliki di San Petronio. – Ale tam jest taka kawiarenka. Tuż obok kościoła, na rogu. Spotkajmy się o piątej. Pouczymy się godzinę.

–*Va bene*.

Grupa poszła dalej, kilka kroków w kierunku zachodniej ściany Palazzo Comunale i Francesca zatrzymała ich przed trzema dużymi, oprawionymi w ramy kolekcjami czarno-białych zdjęć. Tu udzieliła lekcji historii. Podczas II wojny światowej głównym ośrodkiem włoskiego ruchu oporu była Bolonia i okolice. Bolończycy nienawidzili Mussoliniego, faszystów i hitlerowskich okupantów i wielu z nich ofiarnie działało w podziemiu. Naziści wzięli na nich krwawy odwet: ich słynna zasada głosiła, że za każdego zabitego przez ruch oporu Niemca rozstrzelają dziesięciu Włochów. W serii pięćdziesięciu pięciu egzekucji w Bolonii i w podbolońskich wioskach wymordowali tysiące młodych włoskich bojowników. I właśnie tu, na wieczną pamiątkę, umieszczono ich zdjęcia.

Była to ponura chwila i Australijczycy podeszli bliżej, żeby przyjrzeć się bohaterom. On też podszedł. Uderzyła go ich młodość, ich na zawsze stracone nadzieje. Zamordowani za dzielność i odwagę.

Poszli dalej, lecz on został, żeby popatrzeć na pokrywające ścianę twarze. Były ich setki, może nawet tysiące. Piękne dziewczyny. Bracia. Ojcowie i synowie. Całe rodziny.

Wieśniacy, którzy nie wahali się zginąć za ojczyznę i przekonania. Wierni patrioci, którzy nie mieli do ofiarowania nic oprócz własnego życia. A on? A Marco? O nie. Ilekroć musiał wybierać między lojalnością i pieniędzmi, robił to, co zawsze: wybierał

**pieniądze. Odwracał się od własnego kraju.**

**Wszystko dla mamony.**

Czekała w drzwiach kawiarni. Nic nie piła, ale oczywiście paliła. Doszedł do wniosku, że spotkała się z nim o tak późnej porze tylko dlatego, że potrzebowała pieniędzy, że to kolejny dowód na słuszność jego domysłów.

–Ma pan ochotę na spacer? – spytała bez powitania.

–Oczywiście. – Przed lunchem przeszedł kilka kilometrów z Ermannem, potem laził godzinami, czekając na nią. Nachodził się za wszystkie czasy, ale co innego miał do roboty? Po miesiącu kilkukilometrowych spacerów dziennie był w niezłej formie. – Dokąd?

–Daleko.

Wąskimi uliczkami ruszyli na południowy zachód. Rozmawiali wolno po włosku, wykorzystując słownictwo i gramatykę z porannego spotkania z Ermannem. Opowiadała mu o Australijczykach, turystach zawsze przyjaznych i nigdy nie sprawiających kłopotu. Na obrzeżach starego miasta, przed Porta Saragozza, domyślił się, dokąd idą.

–Do San Luca – powiedział.

–Tak. Jest ładna pogoda, wieczór będzie piękny. Da pan radę? Nogi bolały go jak wszyscy diabli, ale odmówić? Nigdy.

–*Andiamo* – rzucił.

Ulokowana na szczycie Colle della Guardia u stóp Apeninów, Santuario di San Luca od ośmiu wieków strzeże Bolonii – to jej wierny obrońca i opiekun. Żeby dostać się tam zarówno w deszczu, jak i w palącym słońcu, bolończycy postanowili zrobić to, w czym zawsze byli najlepsi: zbudować arkady, zadaszony chodnik. Pracę rozpoczęli w 1674 roku i kontynuując ją bez przerwy przez sześćdziesiąt pięć lat, budowali łuk za łukiem: sześćset sześćdziesiąt sześć łuków na trasie o długości trzech tysięcy sześciuset metrów. I tak powstał najdłuższy zadaszony chodnik w świecie.

Chociaż znał tę historię, szczegóły były o wiele ciekawsze, gdy słyszał je z ust Franceski. Chodnik piął się cały czas w górę, szli więc umiarkowanym tempem. Po stu łukach wysiadły mu łydki, i to zupełnie. Tymczasem ona sunęła przed siebie jak wytrawna alpinistka. Czekał, aż przystopują ją papierosy.

Żeby sfinansować tak olbrzymi projekt, władze Bolonii sięgnęły do kieszeni miejscowych bogaczy. Każdy łuk ufundowała inna grupa kupców, rzemieślników, studentów, księży i arystokratów, co stanowiło rzadki przejaw jedności wśród

**wiecznie zwaśnionych frakcji. Dla upamiętnienia tego niezwykłego osiągnięcia, i dla  
nieśmiertelności oczywiście, po przeciwnej**

stronie każdego łuku fundatorom pozwolono powiesić tabliczkę. Większość z czasem zaginęła.

Francesca zrobiła krótki odpoczynek przy łuku numer 170, gdzie wisiała jedna z nielicznie zachowanych tabliczek. Łuk ten znany był jako *la Madonna grassa*, „gruba madonna”. Na trasie było piętnaście kapliczek. Na drugi odpoczynek zatrzymali się między ósmą i dziewiątą, w miejscu, gdzie zbudowano most nad biegnącą poniżej drogą. Gdy weszli na najbardziej stromy odcinek szlaku, między portykami leżały już długie cienie.

–Nocą chodnik jest dobrze oświetlony – zapewniła go Francesca. –

Żeby można było wygodnie zejść.

Ale on nie myślał o drodze powrotnej. Cały czas spoglądał w górę, na kościół, który to się do nich przybliżał, to oddalał. Bolały go już nie tylko łydki, ale i uda; szedł coraz wolniej i ciężiej.

Gdy wreszcie dotarli na szczyt i wyszli spod sześćset sześćdziesiątego szóstego portyku, ujrzał wspaniałą bazylikę. Otaczające miasto wzgórze tonęły już w mroku i jej oświetlona kopuła lśniła wszystkimi odcieniami złota.

–Jest już zamknięta – powiedziała Francesca. – Będziemy musieli obejrzeć ją kiedy indziej.

Po drodze mignął mu zjeżdżający ze wzgórze autobus i postanowił, że jeśli kiedykolwiek ponownie odwiedzi San Luca tylko po to, żeby zajrzeć do katedry, na pewno wjedzie na górę autobusem.

–Tędy – szepnęła, przywołując go bliżej. – Znam tajne przejście.

Obeszli kościół wysypaną żwirem ścieżką i stanęli na skalnym występie, skąd roztaczał się widok na miasto.

–To moje ulubione miejsce – powiedziała, oddychając głęboko, jakby chciała wciągnąć do płuc całe piękno Bolonii.

–Często tu pani przychodzi?

–Kilka razy w roku, zwykle z turystami. Zawsze jedziemy autobusem. Ale czasem, w sobotnie popołudnie, lubię wejść tu na piechotę.

–Sama?

**–Tak, sama.**

**–Moglibyśmy gdzieś usiąść?**

**–Tak, tam jest ławeczka. Nikt o niej nie wie. – Zeszli kilka stopni niżej i wąską, skalną ścieżką dotarli na sąsiedni występ, skąd widok był nie mniej efektowny.**



–Jak tam nogi? – spytała. – Bolą?

–Ależ skąd – zełgał.

Zapaliła papierosa i rozkoszowała się nim tak, jak niewielu palaczy rozkoszować się potrafi. Długo siedzieli w milczeniu, odpoczywając, myśląc i patrząc na migotliwe światła Bolonii.

Odezwał się pierwszy.

–Luigi mówi, że pani mąż jest bardzo chory. Przykro mi. Spojrzała za niego zaskoczona i szybko odwróciła wzrok.

–Ostrzegał mnie, że nie wolno nam rozmawiać o sprawach osobistych.

–Luigi ciągle zmienia regulamin. Co mówił o mnie?

–O nic go nie pytałam. Pochodzi pan z Kanady, podróżuje, uczy się włoskiego.

–Wierzy pani w to?

–Nie do końca.

–Dlaczego?

–Ponieważ niby ma pan żonę i rodzinę, ale nie zabrał pan ich w długą podróż do Italii. A jeśli jest pan biznesmenem na miłej wycieczce, skąd się wziął ten Luigi? I Ermanno. Po co oni panu?

–Dobre pytanie. Nie mam żony.

–A więc to wszystko kłamstwo.

–Tak.

–A jaka jest prawda?

–Nie mogę powiedzieć.

–I dobrze. Wcale mnie to nie interesuje.

–Ma pani dość własnych problemów, prawda, Francesco?

–Moje problemy to moja sprawa. Zapaliła kolejnego papierosa.

**–Poczęstuje mnie pani? – poprosił.**

**–Pan pali?**

**–Paliłem, wiele lat temu. – Wziął papierosa i pstryknął zapalniczką. Światła Bolonii były coraz jaśniejsze, wieczór coraz ciemniejszy.**

**–Opowiada mu pani o wszystkim, co robimy?**

**–Luigiemu? Mówię mu bardzo mało.**

**–To dobrze.**

## Rozdział 20

ego ostatnią wizytę w Białym Domu zaplanowano na dziesiątą rano. Zamierzał się spóźnić. O siódmej spotkał się z nieoficjalną ekipą przejściową, wszystkimi czterema zastępcami i starszymi asystentami. W trakcie cichych, spokojnych rozmów poinformował tych, którym od ty lu lat najbardziej ufał, że jest na wylocie, że od dłuższego czasu to było nieuchronne, że agencja jest w dobrej kondycji i że życie będzie toczyło się dalej.

Ci, którzy dobrze go znali, wyczuli w tych słowach ulgę. Ostatecznie dobijał osiemdziesiątki i jego legendarne złe zdrowie coraz bardziej szwankowało.

Punktualnie o ósmej czterdzieści pięć, podczas spotkania z Williamem Lucatem, zastępcą do spraw operacyjnych, wezwał do siebie Julię Javier, żeby przedstawiła mu raport o Backmanie. Backman był ważny, chociaż jego nazwisko figurowało dopiero w połowie listy ogólnoswiatowych operacji wywiadowczych CIA.

Jakie to dziwne, że to właśnie on, ten pohańbiony lobbysta, miał być powodem jego upadku.

Julia usiadła obok jak zwykle czujnego Hoby'ego, który wciąż pilnie notował coś, czego nigdy nie miano przeczytać.

–Jest w punkcie docelowym – zaczęła rzeczowo – w Bolonii, więc gdybyśmy musieli zaczynać już teraz, dalibyśmy radę.

–Przecież mieliśmy przerzucić go na wieś, gdzieś, gdzie łatwiej by było go obserwować – zauważył Teddy.

–Tak, ale dopiero za kilka miesięcy.

–Nie mamy tyle czasu. – Maynard spojrzał na Lucata. – Co by było, gdybyśmy wystawili go już teraz?

–Nic. Dopadliby go w Bolonii. To miłe miasto o bardzo niskim wskaźniku przestępczości. O czymś takim jak morderstwo nikt tam chyba nie słyszał, więc gdyby ciało znaleziono w Bolonii, jego śmierć wywołałaby duże poruszenie. Włosi szybko zdaliby sobie sprawę, że to nie jest... jak mu tam... Julio, jak on się teraz nazywa?

–Marco – odparł Maynard, nie zaglądając do notatek. – Marco Lazzeri.

**–Właśnie. Więc zdaliby sobie sprawę, że to nie Lazzeri. Drapaliby się w głowę i zastanawiali, co to za jeden.**

**–Jego prawdziwego nazwiska nie odkryją – dodała Julia. – To niemożliwe. Znajdą tylko ciało i fałszywe dokumenty. Trup bez rodziny, bez**

przyjaciół, bez stałego adresu, bez pracy, bez niczego. Pochowają go jako bezdomnego. Śledztwo potrwa rok, potem je umorzą.

–To nie nasz problem – powiedział Teddy. – To nie my go zabijemy.

–Słusznie – odrzekł Lucat. – Zorganizowanie zabójstwa w mieście jest trochę bardziej skomplikowane, ale Lazzeri dużo spaceruje. Dopadną go. Może potrąci go samochód. Włosi jeżdżą jak wariaci.

–Nie będzie to chyba aż takie trudne, prawda?

–Nie, raczej nie.

–Jakie jest prawdopodobieństwo, że się o tym dowiemy? – spytał Maynard.

Lucat podrapał się w brodę i popatrzył na Julię, która obgryzając paznokiec, przypatrywała się, jak Hoby miesza zieloną herbatę plastikowym mieszadłem.

–Moim zdaniem pół na pół – odparł w końcu Lucat. – Będziemy go obserwować dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w tygodniu, ale ci, którzy go zdejmą, to najlepsi z najlepszych. Może nie być świadków.

–Uważam, że większe szanse będziemy mieli później, już po jego pogrzebie – wtrąciła Julia. – Mamy tam dobrych ludzi. Będziemy uważnie nasłuchiwać. I wtedy się dowiemy.

–Kiedy to nie my pociągamy za spust, nigdy nie ma całkowitej pewności – dodał Lucat.

–Nie możemy tego zepsuć, jasne? Miło będzie wiedzieć, że Backman nie żyje, Bóg świadkiem, że zasługuje na śmierć, ale celem operacji jest ustalenie, kto go zabije. – Teddy ujął kubek białymi, pomarszczonymi dłońmi, powoli podniósł go do ust i siorbnął, głośno i po prostaku.

Może rzeczywiście nadeszła już pora, żeby trafił do domu starców.

–Jestem dobrej myśli – powiedział Lucat. Hoby to zapisał.

–Gdyby wiadomość wyciekła już teraz, kiedy by go zabili? – spytał Maynard.

Lucat wzruszył ramionami i wbił wzrok w ścianę. Julia zaczęła obgryzać kolejny paznokieć.

**–To zależy – odparła ostrożnie. – Izraelczycy załatwiliby to w ciągu tygodnia. Chińczycy są zwykle wolniejsi. Saudyjczycy pewnie by kogoś wynajęli i zanim przeczuciliby go do Włoch, minąłby miesiąc.**

**–Rosjanie też uwinęliby się w tydzień – dodał Lucat.**

**–Mnie już tu wtedy nie będzie – odrzekł ze smutkiem Teddy. – Nie dowie się o tym nikt po tej stronie Atlantyku. Obiecacie, że do mnie zadzwonicie.**

–Czy to znaczy, że mamy zielone światło? – spytał Lucat.

–Tak. Tylko ostrożnie z tym przeciekiem. Wszyscy myśliwi muszą dostać jednakową szansę.

Pożegnali się z nim na dobre i wyszli. O wpół do dziesiątej Hoby wypchnął wózek do holu i skręcił do windy. Zjechali siedem pięter, do podziemnego garażu, gdzie białe, kuloodporne furgonetki czekały na swoją ostatnią wyprawę do Białego Domu.

Spotkanie było krótkie. Kilka minut po dziesiątej, gdy się rozpoczynało, Dan Sandberg siedział przy biurku w redakcji „Washington Post”. Siedział tam i dwadzieścia minut później, gdy zadzwonił do niego Rusty Lowell.

–Już po wszystkim – powiedział.

–No i jak poszło? – Palce Sandberga zatańczyły na klawiaturze komputera.

–Według scenariusza. Prezydent spytał Maynarda o Backmana. Maynard na to, że nic nie powie. Prezydent uświadomił mu wtedy, że ma prawo wiedzieć wszystko. Teddy się z tym zgodził i uświadomił jemu, że wie, iż informacje te zostaną wykorzystane do celów politycznych i uniemożliwią przeprowadzenie ważnej operacji wywiadowczej. Potem trochę się pospierali. No i Teddy wyleciał. Tak jak ci mówiłem.

–Jezu...

–Biały Dom ogłosi to za pięć minut. Obejrzyj sobie.

Konferencja rozpoczęła się jak zwykle bez żadnych wstępów. Posępno-licy sekretarz prasowy oznajmił, że prezydent postanowił „nadać operacjom wywiadowczym świeży kurs”. Pochwalił dyrektora Maynarda za jego legendarne przywództwo i wyraził smutek, że trzeba będzie poszukać kogoś nowego. Pierwsze pytanie – padło z pierwszego rzędu – dotyczyło kwestii zasadniczej: czy Maynard zrezygnował, czy został zwolniony?

–Pan dyrektor odszedł za porozumieniem stron.

–To znaczy?

–To znaczy, że obie strony się porozumiały.

I tak przez pół godziny.

Artykuł Sandberga, który opublikowano nazajutrz na pierwszej stronie „Posta”,

**zawierał dwie bomby. Rozpoczął się definitywnym potwierdzeniem tego, że  
Maynard wyleciał za odmowę ujawnienia ważnych informa-**



cji wywiadowczych, które – jego zdaniem – miały zostać wykorzystane do celów ściśle politycznych. Nie było żadnej rezygnacji, żadnego „porozumienia stron”. Maynard dostał po prostu kopa w starym, dobrym stylu.

Drugą bombą była informacja, że nieustępliwość, z jaką prezydent próbował uzyskać tajne dane wywiadowcze, jest bezpośrednio związana z prowadzonym przez FBI śledztwem w sprawie prezydenckich ułaskawień. Pomruki skandalu z ułaskawieniami za pieniądze pobrzmiwały już od dawna, ale gdy Sandberg uchylił drzwi, przerodziły się w grzmot. Artykuł doprowadził do tego, że na moście Arlington Memorial praktycznie zamarł ruch.

Sandberg kręcił się właśnie przed salą konferencyjną, napawając swoim sukcesem, gdy w jego kieszeni zadzwoniła komórka.

–Przekręć do mnie ze zwykłego. Szybko. – Rusty Lowell.

Sandberg wszedł do małej salki tuż obok i wybrał jego służbowy numer.

–Lucat wyleciał – zaczął Rusty. – O ósmej miał spotkanie z prezydentem w Białym Domu. Poprosili go, żeby został dyrektorem tymczasowym. Zgodził się. Gadali godzinę. Prezydent znowu zaczął o Backmanie. Lucat nie chciał nic powiedzieć i wyleciał, tak jak Teddy.

–Kurcze, siedział tam od stu lat.

–Dokładniej mówiąc, od trzydziestu ośmiu. To jeden z naszych najlepszych ludzi. Znakomity administrator.

–Kto będzie następny?

–Bardzo dobre pytanie. Wszyscy boimy się, że zaraz zapukają do drzwi.

–Przecież ktoś musi kierować firmą.

–Znasz Susan Penn?

–Nie. Wiem, kto to jest, ale nigdy z nią nie gadałem.

–To nasza zastępczyni do spraw naukowych i technicznych. Jest bardzo lojalna wobec Teddy'ego, tak jak my wszyscy, ale jest też cholernie odporna psychicznie i umie lawirować. Siedzi teraz w Białym Domu. Jeśli zaproponują jej tę fuchę w zamian za namiary Backmana, to je im da.

**–Rusty, prezydent jest prezydentem, ma prawo wiedzieć.**

**–Jasne. Poza tym to kwestia zasad. Ja mu się tam nie dziwię. Jest nowy, chce pokazać, kto tu rządzi. Wygląda na to, że wyrzuci nas wszystkich, chyba że dostanie to, co chce. Powiedziałem Susan, żeby przyjęła propozycję, bo wykrwawimy się tu na śmierć.**

**–A więc FBI lada chwila dowie się o Backmanie.**

–Pewnie jeszcze dzisiaj. Ale nie wiem, co zrobią, kiedy go namierzą. Zanim spiszą akt oskarżenia, minie kilka tygodni. Wszystko nam spieprzą.

–Gdzie on teraz jest?

–Backman? Nie wiem.

–Przestań, Rusty, sytuacja się zmieniła...

–Nie, i koniec dyskusji. Idę się wykrawać. Będę cię informował na bieżąco.

Godzinę później sekretarz prasowy Białego Domu zwołał konferencję i oznajmił, że tymczasowym dyrektorem CIA została Susan Penn. Długo rozwodził się nad tym, że jest pierwszą kobietą na tym stanowisku, co stanowi kolejny dowód na determinację, z jaką prezydent walczy o pełne równouprawnienie mężczyzn i kobiet.

Luigi siedział na brzegu łóżka ubrany i tym razem zupełnie sam, czekając na dzwonek. Dzwonek zadzwonił czternaście minut po szóstej – Marco stał się człowiekiem o żelaznych przyzwyczajeniach. Luigi wszedł do pokoju obserwacyjnego, wcisnął guzik i uciszył brzęczenie, które oznaczało, że jego przyjaciel już wyszedł. Komputer odnotował dokładną godzinę i w ciągu kilku sekund ktoś z Langley miał się dowiedzieć, że dokładnie o szóstej czternaście Marco Lazzeri opuścił kryjówkę przy Via Fondazza.

Nie śledził go od kilku dni; nocowała u niego Simona. Trochę odczekał, a potem wysliznął się na dwór tylnymi drzwiami, przeciął wąską alejkę i zlustrował cieniste arkady. Marco był po lewej. Szedł na południe prężnym, energicznym krokiem, który w miarę upływu czasu stawał się coraz szybszy. Był co najmniej dwadzieścia lat starszy od niego, ale ponieważ codziennie zaliczał po kilkanaście kilometrów, był też w lepszej formie. Poza tym nie palił, prawie nie pił, nie interesował się kobietami, nie bawiło go nocne życie, no i sześć lat przesiedział w pudle. Nic dziwnego, że mógł godzinami łązić po ulicach.

Codziennie chodził w tych nowych butach. Luigi nie mógł ich w żaden sposób dorwać. Były czyste, bez pluskiew, więc nie wysyłały sygnału. Martwił się tym Whitaker, ale on martwił się wszystkim. Luigi był przekonany, że Marco, owszem, odhacza codziennie po sto kilometrów, lecz nie zamierza uciekać z miasta. Co i raz zniknął, zwiedzał i oglądał widoki, ale zawsze można go było znaleźć.

Skręcił w Via Santo Stefano, główną aleję łączącą południowo-wschodni narożnik starówki z ruchliwym Piazza Maggiore. Luigi przeszedł na dru-

gą stroną ulicy i niemal biegnąc, wywołał przez telefon Zellmana. Zellman był nowy Whitaker przysłał go, żeby zagęścić sieć – i czekał teraz na Strada Maggiore, kolejnej ruchliwej alei między kryjówką przy Via Fondazza i uniwersytetem.

Jego przyjazd był znakiem, że tamci ruszyli z planem. Luigi znał już większość szczegółów i było mu trochę smutno, że dni Marca są policzone. Nie wiedział, kto ma go zdjąć, ale odniósł wrażenie, że nie wie tego nawet Whitaker.

Modlił się, żeby nie wyznaczono jego. Zabił już dwóch ludzi i wolałby uniknąć kolejnej jatki. Poza tym lubił Marca.

Ale zanim Zellman zdążył go przejąć, Marco zniknął. Luigi przystanął i wytężył słuch. Potem skrył się w ciemnej bramie na wypadek, gdyby Marco też się zatrzymał.

Słyszał go, i to bardzo dobrze. Luigi szedł trochę za ciężko, trochę za głośno sapał. Szybki skręt w wąziutką Via Castellata, pięćdziesięciometrowy sprint, skręt w Via de'Chiari, gwałtowna zmiana kierunku z północnego na zachodni i długi, intensywny marsz aż do malutkiego placu o nazwie Piazza Cavour. Starówkę znał już na pamięć, wszystkie aleje, alejki, zaułki, skrzyżowania, nieskończony labirynt krzywych uliczek, wszystkie place i placyki, nazwy wielu sklepów i sklepików. Wiedział, które sklepy z artykułami tytoniowymi otwierają o szóstej, a w których czekają z otwarciem do siódmej. Potrafił znaleźć pięć kafejek zatłoczonych już przed świtem, chociaż większość wpuszczała pierwszych gości dopiero o wschodzie słońca. Wiedział też, w której usiąść przy oknie i zasłoniwszy się gazetą, zaczekać, aż chodnikiem przejdzie Luigi.

Mógł go zgubić, kiedy tylko chciał, chociaż zwykle przestrzegał reguł gry i zostawiał za sobą wyraźny ślad. Jednak najczęściej mówiło mu to, że tak uważnie go obserwowali.

Nie chcą, żebym zniknął. A dlaczego? Bo jestem tu nie bez powodu.

Zatoczył szeroki łuk na zachód, jak najdalej od miejsc, gdzie mogli się go spodziewać. Po niemal godzinie lawirowania i przedzierania się przez splątany gąszcz uliczek i alejek wyszedł na Via Irnerio i zlustrował okolicę. Bar Fontana był dokładnie naprzeciwko. Nikt go nie obserwował.

Rudolph siedział na końcu sali z głową w porannej gazecie; z jego fajki snuła się leniwie smużka błękitnego dymu. Nie widzieli się od dziesięciu dni, więc po ciepłym powitaniu natychmiast spytał:

–Byłeś w Wenecji?

Tak, było cudownie. Marco zasypał go nazwami z przewodnika. Zachwycał się pięknem kanałów, zdumiewającą różnorodnością mostów i przytłaczającą liczbą turystów. Fantastyczne miasto. Nie mógł się już doczekać, żeby pojechać tam jeszcze raz. Rudolph dorzucił garść swoich wspomnień, a potem Marco opisał mu kościół San Marco tak dokładnie, jakby spędził w nim tydzień.

–Dokąd teraz? – dopytywał się Rudolph.

–Prawdopodobnie na południe, tam gdzie trochę cieplej. Może na Sycylię albo na Amalfi.

Rudolph oczywiście uwielbiał Sycylię i opowiedział mu o swoich sycylijskich wizytach. Po półgodzinie podróżniczych rozmów Marco przeszedł wreszcie do interesów.

–Tak dużo jeżdżę, że nie mam stałego adresu. Znajomy ze Stanów

chce mi coś przysłać. Podałem mu adres twojego wydziału. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Rudolph właśnie przypalał fajkę.

–To coś już przyszło – odparł, wypuszczając kłęb gęstego dymu. –

Wczoraj.

Marcowi mocniej zabiło serce.

–Pamiętasz skąd?

–Chyba z Wirginii.

–Świetnie. – Momentalnie zaschło mu w ustach. Żeby ukryć podniecenie, wypił łyk wody. – Mam nadzieję, że nie przysporzyłem ci kłopotów.

–Ależ skąd.

–Potem wpadnę i odbiorę.

–Jestem u siebie od jedenastej do wpół do pierwszej.

**–Dobra, dzięki. – Kolejny łyk wody. – Tak z ciekawości, to duża przesyłka czy mała?**

**Rudolph żuł przez chwilę ustnik fajki.**

**–Wielkości pudełka cygar.**

**Przed południem zaczął padać zimny deszcz, więc Marco i Ermanno, którzy szli akurat przez dzielnicę uniwersytecką, schronili się w małym barze. Lekcja dobiegła już końca, głównie dlatego, że tak chciał uczeń, a Ermanno zawsze się na to godził.**

Ponieważ nie umówili się z Luigim na lunch, Marco miał wolne i mógł chodzić po mieście, prawdopodobnie bez ogona. Mimo to zachował ostrożność. Znowu te wszystkie pętle, znowu te podchody – znowu poczuł się głupio. Głupio czy nie, mylące przeciwnika manewry stały się teraz rutyną. Na Via Zamboni wypatrzył grupę spacerujących bez celu studentów. Dołączył do nich i gdy mijali wydział prawa, dał nura do środka, pobiegł schodami na górę i kilka sekund później pukał już do uchylonych drzwi gabinetu Rudolpha.

Rudolph stukał na starodawnej maszynie do pisania, chyba jakiś list.

–Tam – rzucił, wskazując górę papierów na stole, z którego nie sprzątano chyba od stu lat. – To brązowe na samej górze.

Marco wziął przesyłkę z jak najmniejszym zainteresowaniem.

–Dzięki – powiedział, ale Rudolph stukał już dalej i wyraźnie nie miał nastroju na bawienie gościa rozmową. Marco mu chyba w czymś przeszkodził.

–Nie ma za co – mruknął, wypuszczając kłęb dymu z fajki.

–Jest tu gdzieś toaleta?

–W lewo, na końcu korytarza.

–Dzięki. Na razie.

W toalecie były trzy drewniane kabiny. Wszedł do ostatniej, trzasnął zasuwką, zamknął pokrywę muszli klozetowej i usiadł. Ostrożnie otworzył przesyłkę i rozłożył obydwie kartki. Pierwsza była zwykłą białą kartką bez żadnego stempla czy nagłówka. Gdy zobaczył słowa: „Drogi Marco”, omal się nie rozplakał.

*Drogi Marco*

*Nie muszę Ci chyba mówić, jak bardzo poruszył mnie Twój list. Dziękowałem Bogu, kiedy Cię zwolniono i modłę się teraz o Twoje bezpieczeństwo. Zrobię wszystko, żeby Ci pomóc. Masz tu inteligentny telefon najnowszej generacji. Europejczycy wyprzedzają nas w dziedzinie technologii komórkowej i bezprzewodowego dostępu do Internetu, więc powinien działać u Ciebie bez problemu. Na drugiej kartce spisałem najważniejsze instrukcje. Wiem, że będą dla Ciebie niezrozumiałe jak greka, ale to naprawdę nie takie skomplikowane. Nie dzwoń do mnie - każdy numer można łatwo namierzyć. Poza tym do otwarcia konta abonenckiego musiałbyś użyć jakiegoś nazwiska. Najlepszym rozwiązaniem jest poczta*





**elektroniczna i jeśli tylko będziesz korzystał z zaszyfrowanego KwyteMaila, nikt nie przechwyci naszej korespondencji. Sugeruję, żebyś pisał tylko do mnie. Ja przekażę list dalej. Mam nowy laptop, z którym się nie rozstaję. Wszystko wypali. Zaufaj mi. Kiedy tylko się zalogujesz, wyślij mi e-maila i pogadamy.**

**Powodzenia**

**Grinch.**

**(5 marca)**

**Grinch? Pewnie jakiś kryptonim. Ani razu nie użył ich nazwiska i jego prawdziwego imienia.**

**Marco przyjrzał się lśniącemu, opływowemu urządzeniu. Przerazało go, ale musiał, po prostu musiał to cholerstwo jakoś uruchomić. Poszperał w futerale, znalazł pieniądze i przeliczył je powoli, jakby były ze złota. Otworzyły się i zamknęły drzwi – ktoś wszedł do kabiny obok. Marco prawie nie oddychał. Spokojnie, powtarzał sobie w duchu. Spokojnie.**

**Drzwi otworzyły się i zamknęły ponownie i znowu został sam. Instrukcje były spisane ręcznie, najwyraźniej w chwili, gdy Neal nie miał za dużo czasu. Brzmiały tak:**

**Ankyo 850 PC Smartphone z akumulatorkiem – 6 godzin rozmowy bez konieczności doładowywania; ładowarka w komplecie.**

**Krok 1) Znajdź kawiarenkę internetową z bezprzewodowym dostępem do sieci – załączam listę.**

**Krok 2) Wejdź do środka albo stań w promieniu 60 metrów od niej.**

**Krok 3) Włącz aparat; włącznik w prawym górnym rogu.**

**Krok 4) Znajdź na ekranie: „Dostęp” i pytanie: „Połączyć się teraz?” Wciśnij: „Tak”. Czekaj.**

**Krok 5) Wciśnij guzik w prawym dolnym rogu i wysuń klawiaturę.**

**Krok 6) Wciśnij Wi-Fi.**

**Krok 7) Wciśnij: „Start”, żeby uruchomić przeglądarkę internetową.**

**Krok 8) Tam gdzie miga kursor, napisz: [www.kwytemail.com](http://www.kwytemail.com).**

**Krok 9) Wprowadź nick użytkownika: „Grinch456”. Krok**

**10) Wprowadź hasło użytkownika: „post hoc ergo propter  
hoc”.**

**Krok 11) Wybierz: „Napisz nową wiadomość”.**

**Krok 12) Wpisz mój adres: 123Grinch@kwytemail.com.**

**Krok 13) Napisz list.**

**Krok 14) Wciśnij: „Zaszyfruj wiadomość”.**

**Krok 15) Wciśnij: „Wyślij”.**

**Krok 16) No i już. Właśnie czytam Twój e-mail!**

Na drugiej stronie były dalsze wskazówki, ale Marco musiał ochłonać. Miał teraz jeszcze więcej wątpliwości niż przedtem i telefon coraz bardziej ciążył mu w rękę. Nigdy w życiu nie był w kawiarence internetowej, dlatego nie mieściło mu się w głowie, że można wejść do sieci, stojąc po drugiej stronie ulicy. Czy tam sześćdziesiąt metrów od niej.

Przed zalewem e-maili zawsze broniły go sekretarki. Był zbyt zajęty, żeby usiąść przed komputerem.

Na chybił trafił otworzył podręcznik obsługi. Przeczytał kilka linijek i niczego nie zrozumiał. Nie, trzeba zaufać Nealowi. Nie masz wyboru, Marco. Musisz nauczyć się to obsługiwać. Neal ściągnął z Internetu, wydrukował i załączył listę bezprzewodowych kawiarenek internetowych w Bolonii. Trzy kafejki, dwa hotele, biblioteka i księgarnia.

Marco złożył plik banknotów na pół, schował go do kieszeni i powoli włożył aparat do pudełka. Wstał, nie wiedząc czemu spuścił wodę i wyszedł. Telefon, mała ładowarka i kartki z instrukcjami Neala spoczywały głęboko w kieszeni kurtki.

Śnieg przeszedł w deszcz, lecz jego i tłum spieszących na lunch studentów chroniły portyki. Idąc, zastanawiał się, gdzie ukryć ten mały, cudowny aparacik. Postanowił, że zawsze będzie go miał przy sobie. Telefon i pieniądze. Ale co z resztą? Co z listem Neala i podręcznikiem obsługi? Gdzie to ukryć? W mieszkaniu nic się przed nimi nie uchowa. W oknie wystawowym jakiegoś sklepu zobaczył ładną torbę na ramię. Wszedł do środka. Był to granatowy futerał do laptopa – od Silvia – wodoodporny, zrobiony z syntetyku, którego nazwy nie potrafiła mu przetłumaczyć nawet sprzedawczyni. Kosztował sześćdziesiąt euro i Marco niechętnie położył pieniądze na ladzie. Gdy sprzedawczyni z trzaskiem zamknęła kasę, ostrożnie włożył do torby telefon, list i podręcznik obsługi. Na ulicy zarzucił ją sobie na ramię, wetknął pod pachę i poszedł dalej.

**Torba oznaczała wolność. Postanowił strzec jej nawet kosztem własnego życia.**

Na Via Ugo Bassi znalazł księgarnię. Dział czasopism był na piętrze. Przez pięć minut stał przed półką z tygodnikiem sportowym w ręku, obserwując drzwi i wypatrując kogoś podejrzanego. Co za głupota. Weszło mu to w krew. Kawiarenka internetowa była na drugim piętrze. Kupił ciastko i colę i usiadł w ciasnym boksie, skąd widział wszystkich wchodzących i wychodzących. Nie, nikt go tu nie znajdzie.

Obojętnym ruchem, z całą pewnością siebie, jaką tylko zdołał z siebie wykrzesać, wyjął z torby telefon, przejrzał podręcznik obsługi, jeszcze raz przeczytał instrukcje Neala i trzymając aparat tak, jak na zdjęciach w podręczniku, krok po kroku się do nich zastosował. Co chwilę podnosił wzrok i rozglądał się po sali.

Zadziałało. Ku swemu zdumieniu już wkrótce wszedł do sieci i gdy wprowadził hasło, na ekranie pojawiła się informacja, że może napisać wiadomość. Powoli, niezdarnie operując kciukami, spłodził swój pierwszy e-mail w życiu.

Grinch, dostałem twoją przesyłkę. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Dziękuję za pomoc. Jesteś pewien, że to całkowicie bezpieczny sposób? Jeśli tak, przy najbliższej okazji podam Ci więcej szczegółów. Boję się, że grozi mi niebezpieczeństwo. Jest teraz 8.30 twojego czasu. Wyślę tę wiadomość i zaloguję się ponownie za kilka godzin. Z uściskami, Marco.

Wyśłał wiadomość, wyłączył telefon i przez godzinę studiował podręcznik obsługi. Przed wyjściem na spotkanie z Francescą jeszcze raz połączył się z Internetem, uruchomił Google i wystukał: Washington Post. Jego uwagę przykuł artykuł Sandberga i pobieżnie go przejrzał.

Nie znał Maynarda, chociaż kilka razy rozmawiał z nim przez telefon. Były to rozmowy pełne napięcia. Już przed dziesięcioma laty facet praktycznie nie żył. W tamtym życiu Joel miał kilka starć z CIA, najczęściej z powodu sztuczek, które próbowali stosować jego klienci, dostawcy sprzętu wojskowego.

Stojąc przed księgarnią, ponownie zlustrował ulicę i nie zauważywszy niczego podejrzanego, poszedł na kolejny długi spacer.

Ułaskawienia za pieniądze? Prawdziwa sensacja, chociaż nie chciało mu się wierzyć, żeby ustępujący prezydent połakomił się na taką łapów-

kę. Podczas swojego spektakularnego upadku czytał o sobie wiele rzeczy, z których prawdziwa była najwyżej połowa. Z doświadczenia wiedział, że nie wolno wierzyć prasie.

## Rozdział 21

Efraim wszedł do nie mającego numeru i nie rzucającego się w oczy domu przy ulicy Pinsker w Tel Awiwie. Wszedł, minął windy i skręcił w ślepy korytarz z pojedynczymi drzwiami na końcu. Drzwi nie miały klamki, lecz Efraim sięgnął do kieszeni i wycelował w nie coś podobnego do telewizyjnego pilota. Gdzieś w środku podniosły się grabie zapadki, coś głośno kliknęło i drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze jednej z wielu kryjówek Mosadu, izraelskiej tajnej policji. Kryjówka składała się z czterech pomieszczeń: z dwóch sypialni z pryczami, na których spali on i jego trzech koledzy, małej kuchni, gdzie gotowali proste posiłki, i dużej, zagraconej pracowni, gdzie codziennie spędzali wiele godzin, planując operację, o której zapomniano na sześć lat i której kierownictwo Mosadu przyznało nagle najwyższy priorytet.

Cała czwórka należała do kidonu, małej, zwartej grupy świetnie wyszkolonych agentów specjalizujących się w zabójstwach. W szybkich, cichych, sprawnie zorganizowanych i wykonanych egzekucjach. Ich celem byli wrogowie Izraela, których państwo nie mogło postawić przed sądem. Najczęściej działali w krajach islamskich i arabskich, ale bywało, że wysyłano ich do krajów byłego bloku wschodniego, do Europy, Azji, a nawet do Korei Północnej i Stanów Zjednoczonych. Nie znali ani granic państwowych, ani żadnych ograniczeń, niczego, co powstrzymałoby ich przed zlikwidowaniem tych, którzy chcieli zniszczyć Izrael. Członkowie i członkinie kidonu mieli pełną licencję na zabijanie w imieniu ojczyzny. Gdy cel został zatwierdzony przez urzędującego premiera – zatwierdzony na piśmie – układano plan operacji, organizowano zespół i wróg był już praktycznie martwy. Uzyskanie zatwierdzenia rzadko kiedy było trudne.

Efraim rzucił torbę z zakupami na składany stolik, przy którym Rafi i Shaul przeglądali materiały operacyjne. Amos siedział w kącie przed komputerem, analizując plan Bolonii.

Większość materiałów operacyjnych była nieaktualna; zawierała dziesiątki stron informacji na temat Joela Backmana, które zebrano przed laty. Wiedzieli wszystko o jego nieuporządkowanym życiu osobistym, o trzech żonach, trojgu dzieciach, o współnikach, kochankach, klientach i starych znajomych z waszyngtońskich kręgów władzy. Gdy przed laty zatwierdzono na niego wyrok, pilnie zebrali wszystkie dostępne dane. Opracowano już dokładny plan działania – Backman miał zginąć w wypadku samochodowym w Waszyngtonie – gdy nagle ofiara przyznała się do winy i skryła w więzieniu. A tam, w dobrze strzeżonym Rudley, nie mógł jej dopaść nawet kidon.

Materiały były im teraz przydatne tylko ze względu na jego syna. Od chwili nieoczekiwanego ułaskawienia i zniknięcia Backmana przed siedmioma tygodniami dwóch agentów Mosadu nie odstępowało Neala na krok. Zmieniali się co trzy, cztery dni, żeby żaden mieszkaniec Culpeper w Wirginii nie nabrał jakichś podejrzeń; małe miasteczka ze swymi wścibskimi sąsiadami i znudzonymi policjantami były nie lada wyzwaniem. Jedno z nich, piękna kobieta z niemieckim akcentem, rozmawiała nawet z Nealem na ulicy. Przedstawiła się jako turystka i spytała o drogę do Montpelier, do domu prezydenta Jamesa Madisona. Flirtowała z nim, robiła, co mogła i była gotowa posunąć się znacznie dalej, ale nie połknął haczyka. Założyli podsłuch w jego domu i kancelarii, podsłuchiwali jego rozmowy telefoniczne. Laboratorium w Tel Awiwie przechwytywało i analizowało jego e-maile, te wysyłane z biura i te wysyłane z domu. Śledzili na bieżąco zmiany na jego koncie bankowym i wydatki z kart kredytowych. Wiedzieli, że przed sześcioma dniami wyskoczył na chwilę do Aleksandrii, lecz nie wiedzieli po co.

Obserwowali też jego matkę, ale biedna staruszka szybko gasła. Przez wiele lat zastanawiali się nad tym, czy nie podać jej jakiejś trucizny ze swojego zdumiewającego arsenału. Mogliby wciągnąć Backmana w pułapkę na jej pogrzebie. Jednak ich podręcznik zabijania zabraniał likwidowania członków rodziny ofiary, chyba że zagrażali bezpieczeństwu Izraela.

Mimo to wciąż ten pomysł rozważano, a jego najzagorzalszym zwolennikiem był Amos.

Chcieli Backmana zabić, ale nie od razu. Najpierw musieli z nim pogadać, zadać mu kilka pytań, a gdyby nie raczył odpowiedzieć, mieli sposoby, żeby go do tego zmusić. Jeśli Mosad chciał zdobyć jakieś informacje, nie było takiego, który by wszystkiego nie wyśpiewał.

–Znaleźliśmy sześciu z biegłą znajomością włoskiego – oznajmił Efraim. – Dwóch przyjdzie tu o trzeciej na spotkanie. – Żaden z nich nie znał

włoskiego, za to wszyscy mówili doskonale po angielsku i arabsku. Razem znali osiem języków obcych.

Każdy z nich miał rozległe doświadczenie bojowe, każdy znał się na komputerach, potrafił przekroczyć granicę bez paszportu, umiał fałszować dokumenty, prowadzić przesłuchanie i zmyślnie zmieniać swój wygląd. Wszyscy potrafili zabijać z zimną krwią i bez skrupułów. Średnia wieku całej czwórki wynosiła trzydzieści cztery lata, a każdy z nich miał na swoim koncie co najmniej pięć udanych egzekucji.

Pełny skład operacyjny kidonu liczył dwunastu agentów. Czterech dokonywało zabójstwa, a pozostałych ośmiu ubezpieczało ich, prowadziło obserwacje, zapewniało im wsparcie taktyczne i zacierało ślady.

–Mamy już ten adres? – spytał Amos.

–Jeszcze nie – odparł Efraim. – I nie wiem, czy w ogóle go dostaniemy. Wywiad go namierza.

–W Bolonii mieszka pół miliona ludzi – mruknął pod nosem Amos.

–Czterysta tysięcy – poprawił go Shaul. – W tym sto tysięcy studentów.

–Mają przysłać nam jego zdjęcie – powiedział Efraim. Pozostała trójka przestała robić to, co robiła, i podniosła wzrok. – Podobno zrobili mu je już po wyjściu z więzienia. Próbuje je zdobyć.

–To by na pewno pomogło – odparł Rafi.

Mieli setki jego zdjęć. Przeanalizowali każdy centymetr kwadratowy jego twarzy, każdą zmarszczką, każdą żyłkę w oczach, każde pasemko włosów na głowie. Przeliczyli jego zęby, mieli ich zdjęcia rentgenowskie. Specjaliści z Centralnego Instytutu do spraw Wywiadu i Zadań Specjalnych, lepiej znanego jako Mosad, przygotowali znakomite, komputerowo spreparowane podobizny Backmana po sześciu latach pobycie w więzieniu. Dysponowali serią zdjęć jego twarzy sprzed procesu, gdy ważył prawie sto dziewięć kilo. I serią cyfrowo przetworzonych zdjęć Backmana o dwadzieścia siedem kilo lżejszego, bo podobno aż tyle przez te lata schudł. Długo pracowali nad jego włosami, próbując przewidzieć, jaki mogą mieć teraz kolor; skończył już pięćdziesiąt dwa lata. Postawili na ciemnorudobrazowe. Skrócili je, a potem wydłużyli. Nałożyli mu na nos kilkanaście par okularów i dodali



**brodę, najpierw czarną, potem siwą.**

**Ale wszystko sprowadzało się do oczu. Musieli uważnie przyjrzeć się jego oczom.**

Chociaż dowódcą grupy był Efraim, Amos przebijał go stażem. Przydzielono go do sprawy Backmana w 1998 roku, gdy Mosad przechwycił pierwsze pogłoski o tym, że pewien potężny waszyngtoński lobbysta oferuje na sprzedaż oprogramowanie tajnego systemu satelitarnego. Za pośrednictwem swojego ambasadora w stolicy USA zawarli z nim układ i już myśleli, że się dogadali, gdy nagle i zupełnie niespodziewanie Backman i Jacy Hubbard zerwali umowę i poszli do kogoś innego.

Ceny nigdy nie ujawniono. Umowy nie zrealizowano. Pieniądze przeszły z ręki do ręki, ale Backman – z sobie tylko wiadomych powodów -nie dostarczył towaru, czyli oprogramowania.

Gdzie teraz było? Czy kiedykolwiek naprawdę istniało?

Prawdę znał tylko on.

Dzięki sześcioletniej przerwie w polowaniu na Joela Backmana Amos miał dużo czasu na uzupełnienie luk w materiałach operacyjnych. Podobnie jak jego przełożeni uważał, że twórcami systemu satelitarnego Neptun są Chińczycy; że na jego budowę poświęcili sporą część dochodu narodowego; że technologię ukradli od Amerykanów; że genialnie zakamuflowali start rakiet, które wyniosły satelity na orbitę, wyprowadzając w pole satelity amerykańskie, rosyjskie i izraelskie; i że Chińczycy nie dali rady przeprogramować systemu opanowanego przez „zakłócacza” Pakistańczyków. Bez „zakłócacza” Neptun był zupełnie bezużyteczny, dlatego Chiny chętnie oddałyby Wielki Mur, żeby tylko dopaść Backmana.

Amos, i Mosad, uważali też, że przed ośmioma miesiącami Chińczycy namierzyli i zamordowali Farooqa Khana, ostatniego z trzech pakistańskich informatyków i autora oprogramowania. W chwili gdy zniknął, Mosad był na jego tropie.

Uważali również, że Amerykanie wciąż nie są pewni, kto zbudował Neptuna i że działania ich wywiadu są niekończącym się pasmem żenujących wpadek. Amerykańskie satelity dominowały w przestrzeni kosmicznej od czterdziestu lat i były niezwykle skuteczne: widziały przez chmury, potrafiły wypatrzeć zamaskowane stanowisko karabinu maszynowego, przechwycić przelew narkotykowego dealera, podsłuchać rozmowę w budynku i znaleźć ropę naftową na pustyni. Pod każdym względem znacznie przewyższały każdego satelitę wystrzelonego przez Rosjan. Zbudowanie i wprowadzenie na orbitę kilku satelitów im dorównujących, a może nawet lepszych – w dodatku bez wiedzy CIA i Pentagonu – było rzeczą nie do pomyślenia.

Satelity izraelskie były dobre, ale nie tak dobre jak amerykańskie. A teraz wyglądało na to, że nad Ziemią krąży coś, co bije na łeb wszystko to, co Amerykanie kiedykolwiek stworzyli.

Ale były to jedynie domysły; niewiele z nich zweryfikowano i potwierdzono. Jedyna kopia oprogramowania „zakłócacza” przepadła jak kamień w wodę. Jego autorzy nie żyli.

Amos żył tą sprawą niemal od siedmiu lat, dlatego nie mógł się już doczekać, kiedy nowy kidon znajdzie się na miejscu akcji, i gorączkowo opracowywał plan działania. Czas uciekał. Chińczycy wysadziliby w powietrze pół Włoch, gdyby tylko mieli pewność, że Backman skończy pod gruzami. Niewykluczone że chcieli go dopaść i Amerykanie. Tam, w Stanach Zjednoczonych, bezpieczeństwo gwarantowała mu konstytucja. Ich prawo wymagało, żeby urządzić mu sprawiedliwy proces, skazać, wsadzić do więzienia i strzec go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale na drugim końcu świata był tylko zwierzyną łowną.

Kidon zlikwidował kilku zbłąkanych Izraelczyków, lecz ani razu tu, w domu. Amerykanie postąpiliby tak samo.

Neal Backman trzymał swój nowy laptop w starej, zniszczonej teczce, którą co wieczór zabierał do domu. Lisa nic nie zauważyła, bo nigdy go nie wyjmował. Teczka była zamknięta, zawsze w zasięgu ręki.

Zmienił swoje poranne zwyczaje. Wykupił kartę stałego klienta w Jer-ry's Java, nowej sieci z kawą i pączkami, która próbowała zwabić klientów wykwintną, egzotyczną kawą, darmowymi gazetami i czasopismami oraz bezprzewodowym dostępem do Internetu. Jeden z agentów przebudował opuszczoną restaurację Taco Hut na skraju miasta, ożywił ją odłotowym wystrojem wnętrza i już od dwóch miesięcy interes szedł jak złoto.

Stały przed nim dwa samochody. Laptop leżał na kolanach, tuż pod kierownicą. Zamówił w okienku podwójną mokrą bez bitej śmietanki i czekał teraz, aż tamci powoli ruszą do przodu. Czekał i palcami obu rąk przebierał po klawiaturze. Podłączył się do sieci, szybko wszedł na stronę KwyteMail, wprowadził nazwę użytkownika – Grinch 123 – a potem hasło *-post hoc ergopropter hoc*. Minęło kilka sekund i... Jest. Pierwszy e-mail od ojca.

Przeczytał go, prawie nie oddychając, głośno wypuścił powietrze i przesunął się w kolejce. Wypaliło! Stary wszystko rozgryzł!

**Szybko odpisał:**

**Marco, naszych listów nikt nie przechwyci. Możesz pisać, co chcesz, chociaż zawsze lepiej pisać jak najmniej. Cieszę się, że jesteś tam, gdzie jesteś, i że wyszedłeś z Rudley. Będę logował się codziennie o tej samej porze, dokładnie o 7.50 czasu wschodnioamerykańskiego. Muszę kończyć. Grinch**

**Położył laptop na fotelu pasażera, opuścił boczną szybę i zapłacił prawie cztery dolary za kubek kawy. Odjeżdżając, zerkał na komputer, żeby sprawdzić, kiedy znajdzie się poza zasięgiem sieci. Włączył się do ruchu, przejechał niecałe sześćdziesiąt metrów i sygnał zanikł.**

**Strategię ułaskawienia Backmana Teddy Maynard zaczął opracowywać już w listopadzie, po niewiarygodnej klęsce wyborczej Arthura Morgana. Z typową dla siebie metodycznością przygotowywał się do dnia, kiedy jego ludzie puszcza w świat wiadomość z dokładnymi zamiarami na Joela Backmana. Żeby dać cynk Chińczykom, i żeby zrobić to bez wzbudzania podejrzeń, zaczął szukać idealnego kreta.**

**Nazywała się Helen Wang, była Amerykanką chińskiego pochodzenia i od ośmiu lat pracowała w Langley jako analityk specjalista do spraw azjatyckich. Bardzo inteligentna, bardzo ładna i nieźle znała dialekt mandaryński. Teddy załatwił jej tymczasowe przeniesienie do Departamentu Stanu i tam zaczęła nawiązywać kontakty z chińskimi dyplomatami, z których część też była szpiegami, w zdecydowanej większości nieustannie polującymi na nowych informatorów.**

**Chińczycy słynęli ze swojej taktyki werbowania agentów. Na amerykańskie uniwersytety przyjmowano co roku dwadzieścia pięć tysięcy nowych studentów z Chińskiej Republiki Ludowej i tajna policja miała ich wszystkich na oku. Po powrocie do kraju chińscy biznesmeni musieli współpracować ze służbami wywiadowczymi. Służby te nieustannie monitorowały poczynania tysięcy amerykańskich firm. Ich szefowie byli dokładnie prześwietlani i obserwowani. Z najodpowiedniejszymi kandydatami czasem nawiązywano kontakt.**

**Gdy Helen Wang „chlapnęła”, że przez kilka lat pracowała w CIA i że ma nadzieję tam wkrótce wrócić, szybko zainteresowało się nią kierownictwo wywiadu w Pekinie. Przyjęła zaproszenie od nowego znajomego, najpierw na lunch w bajeranckiej restauracji w Waszyngtonie, a potem na**

kolację. Odgrywała swoją rolę wprost przepięknie: na wstępne sygnały zachęcające do rokowań reagowała powściągliwie, lecz doskonale je rozumiała i zawsze – choć niby niechętnie – mówiła: „Tak”. Po każdym spotkaniu jej szczegółowy raport trafiał do Teddy'ego.

Gdy Backmana nagle wypuszczono z więzienia i ukryto, i gdy stało się jasne, że nigdzie już nie wypłynie, Chińczycy niemiłosiernie ją przycisnęli. Zaproponowali sto tysięcy dolarów za jego adres. Helen udała przerażoną i na kilka dni zerwała z nimi kontakt. Wtedy, z idealnym wyczuciem chwili, Teddy odwołał ją z Departamentu Stanu i przeniósł z powrotem do Langley. Starzy przyjaciele, czyli tajni agenci z chińskiej ambasady w Waszyngtonie, na dwa tygodnie stracili ją z oczu.

A potem do nich zadzwoniła i oferta szybko podskoczyła do pół miliona dolarów. Helen zrobiła się nagle wredna i zażądała okrągłego miliona, twierdząc, że ryzykuje karierę i wolność, a kariera i wolność są warte znacznie więcej. Chińczycy się zgodzili.

Dzień po tym, jak Teddy wyleciał z pracy, zadzwoniła do przyjaciela z ambasady i poprosiła o tajne spotkanie. Na spotkaniu dała mu kartkę z numerem konta w Panamie, konta należącego oczywiście do CIA. Gdy Chińczycy przelali pieniądze, oznajmiła, że spotkają się ponownie i na spotkaniu tym poda im namiary na Joela Backmana. Obiecała im również jego aktualne zdjęcie.

Żeby nikt niczego nie zauważył, miała je przekazać metodą „na igno-ra”, bez kontaktu fizycznego między informatorem i prowadzącym. Po pracy wpadła do sklepu Krogera w Bethesda i przejściem numer 12 doszła do działu czasopism i książek. Jej prowadzący snuł się między półkami z egzemplarzem „Lacrosse Magazine” w rękę. Helen wzięła inny egzemplarz tego samego czasopisma, szybko wsunęła między kartki kopertę, znudzona przejrzała je i odłożyła na miejsce; prowadzący przebierał w tym czasie w tygodnikach sportowych. Helen wolno odeszła, ale dopiero wtedy, gdy zdjął z półki wiadomy egzemplarz „Lacrosse Magazine”.

Tym razem cała ta maskarada rodem z filmów płaszczka i szpady nie była wcale konieczna. Nikt ich nie obserwował, bo wszystko zaaranżowała sama CIA. Znali prowadzącego od lat.

Koperta zawierała pojedynczą kartkę: duże – dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów – kolorowe zdjęcie idącego ulicą Joela Backmana, zdjęcie, naturalnie, zeskanowane. Backman był dużo szczuplejszy, miał zaczątki siwej bródki, eleganckie okulary na nosie – takie w europejskim

stylu – i nie rzucał się w oczy. Na dole kartki widniały odręcznie napisane słowa: *Joel Backman, Via Fondazza, Bolonia, Włochy*. Prowadzący zajrzał do koperty, gdy tylko wsiadł do samochodu, a potem na złamanie karku popędził do ambasady Chińskiej Republiki Ludowej przy Wiscon-sin Avenue NW w Waszyngtonie.

Rosjanie nie wykazywali żadnego zainteresowania miejscem pobytu Joela Backmana, a przynajmniej tak to wyglądało. Langley próbowało rozszyfrować ich reakcję i jakoś ją zinterpretować. Ale nie zinterpretowało, ponieważ było to po prostu niemożliwe. Od lat Rosjanie potajemnie utrzymywali, że tak zwany Neptun jest ich dziełem, co skutecznie wprowadzało CIA w konsternację.

Ku zdumieniu całego świata wywiadu okazało się, że Rosja jest w stanie wysłać na orbitę sto sześćdziesiąt satelitów szpiegowskich rocznie, a więc mniej więcej tyle samo co były Związek Radziecki. Ich znacząca obecność w kosmosie wcale nie zmalała, wbrew przewidywaniom Pentagonu i CIA.

W 1999 roku dezenter z GRU, rosyjskiego wywiadu wojskowego, poinformował CIA, że Neptun nie należy do Rosjan i że jego pojawienie się na orbicie wstrząsnęło nimi tak samo jak Amerykanami. Podejrzenia padły więc na Chińczyków, którzy w satelitarnym wyścigu wlekli się na szarym końcu.

Ale czy aby na pewno na końcu?

Tak więc Rosjanie owszem, chcieliby rozgryźć zagadkę Neptuna, ale nie byli skłonni zapłacić za informację o Backmanie. Dlatego też gdy kompletnie zignorowali podchody CIA, do rąk szefów rosyjskich placówek wywiadowczych, operujących w Europie pod dyplomatyczną przykrywką, za pośrednictwem anonimowej poczty elektronicznej trafiło to samo kolorowe zdjęcie Joela.

Saudyjczykowi cynk sprzedał dyrektor amerykańskiej firmy naftowej z siedzibą w Rijadzie. Nazywał się Taggett i mieszkał tam od ponad dwudziestu lat. Mówił płynnie po arabsku i z łatwością poruszał się w tamtejszych kręgach towarzyskich. Był bardzo zaprzyjaźniony z urzędnikiem średniego szczebla z saudyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych i pewnego dnia, przy popołudniowej herbacie, wspomniał mimochodem, że jego firmę reprezentował kiedyś Joel Backman. Co więcej – i co ważniejsze – twierdził również, że wie, gdzie Backman się teraz ukrywa.

Pięć godzin później obudził go dzwonek do drzwi i do mieszkania wpadło trzech młodych dżentelmenów w służbowych garniturach. Powiedzieli, że zajmą mu tylko chwilę, przeprosili za najście, wyjaśnili, że są z tajnej policji i że chcą z nim porozmawiać. Potem lekko go przycisnęli i Taggett niechętnie zdradził im informację, którą Langley kazało mu zdradzić.

Joel Backman ukrywa się w Bolonii pod innym nazwiskiem. To wszystko, co wiedział.

Czy mógłby dowiedzieć się czegoś więcej?

Może.

Poprosili, żeby nazajutrz rano poleciał do Nowego Jorku, gdzie mieściło się kierownictwo firmy i żeby trochę powęszył. Sprawa była niezmiernie ważna dla saudyjskiego rządu i dla rodziny królewskiej.

Taggett się zgodził. Dla króla wszystko.

## Rozdział 22

o roku w maju, tuż przed Wniebowstąpieniem, bolończycy gromadzili się tłumnie przed bramą Saragozza i najdłuższym zadaszonym chodnikiem na świecie szli w procesji do Santuario di San Luca, zaliczając po drodze wszystkich sześćset sześćdziesiąt sześć łuków i wszystkich piętnaście kapliczek. Tam, w sanktuarium, zdejmowali z ołtarza świętą Madonnę, schodzili na dół, paradowali z nią przez zatłoczone ulice miasta, by wreszcie zanieść figurę do katedry San Piętro, gdzie stała przez osiem dni, dopóki kolejna procesja nie zaniosiła jej z powrotem na górę. Tę jedyną w swoim rodzaju uroczystość urządzano tu nieprzerwanie od 1476 roku.

Francesca i Marco byli właśnie w Santuario di San Luca i Francesca tłumaczyła mu, jak wielkie znaczenie dla bolończyków ma ten rytuał. Ale Marco uważał, że katedra, choć ładna, jest tylko kolejnym pustym kościołem.

Tym razem pojechali autobusem, unikając sześciuset sześćdziesięciu sześciu łuków i prawie czterokilometrowego spaceru pod górę. Byli tu zaledwie trzy dni wcześniej i wciąż bolały go łydki.

Francesca musiała myśleć o czymś innym, na pewno ważniejszym, bo zupełnie nieświadomie, często przechodziła na angielski. Nie miał nic przeciwko temu. Kiedy skończyła opowiadać o procesji, zaczęła wskazywać co

ciekawsze elementy wystroju wnętrza, wygłaszając wykład o architekturze i konstrukcji kopuły, o obrazach i freskach. Marco rozpaczliwie próbował się skupić. Wszystkie kopuły, wszystkie wypłowiałe freski, marmurowe krypty i martwi święci zlewali mu się w jedno i przyłapał się na tym, że coraz częściej myśli o ładniejszej pogodzie. Gdyby było cieplej, mogliby rozmawiać na dworze. Mogliby spacerować po uroczych parkach i gdyby tylko wspomniała o jakiejś katedrze, podniósłby bunt. Ale ona o tym nie myślała. Błądziła myślami gdzie indziej.

–To już było – mruknął, gdy zaczęła opowiadać o jakimś obrazie nad baptysterium.

–Przepraszam. Nudzę pana?

Chciał wypalić, że tak, ale nie wypalił.

–Nie, ale już się naoglądałem.

Wyszli na dwór, obeszlili kościół, skręcili w jej tajemną ścieżkę i zeszli kilka stopni w dół, na występ z najładniejszym widokiem na miasto. Na czerwonych dachach szybko topniały resztki śniegu. Był osiemnasty marca.

Zapaliła papierosa i przez chwilę wydawało się, że w zupełności odpowiada jej samo milczenie i podziwianie Bolonii. W końcu spytała:

–Podoba się panu moje miasto?

–Tak, bardzo.

–A co się panu tu podoba?

Po sześciu latach w pudle podobałaby mu się każda dziura. Zastanowił się przez chwilę i odparł:

–To prawdziwe miasto. Miasto, gdzie mieszkają i pracują prawdziwi ludzie. Jest bezpieczne, czyste i ponadczasowe. Od wieków nic się tu prawie nie zmieniło. Mieszkańcy lubią jego historię i są dumni ze swoich osiągnięć.

Lekko kiwnęła głową, pochwalając jego analizę.



**–Amerykanie mnie zaskakują – powiedziała. – Kiedy oprowadzam ich po Bolonii, zawsze się spieszą, zawsze chcą zobaczyć ten czy tamten widok, żeby szybko odhaczyć go na liście rzeczy do obejrzenia i pójść dalej. I zawsze pytają, co będziemy robić jutro i pojutrze. Dlaczego?**

**–Pyta pani niewłaściwą osobę.**

**–Dlaczego?**

**–Zapomniała pani? Jestem Kanadyjczykiem.**

**–Pan nie jest Kanadyjczykiem.**

–Nie. Pochodzę z Waszyngtonu.

–Byłam tam. Nigdy przedtem nie widziałam takiego mrowia pędzących donikąd ludzi. Zwariowane życie. Zupełnie tego nie rozumiem. Wszystko musi być na szybko, praca, jedzenie, seks...

–Nie uprawiałem seksu od sześciu lat.

Posłała mu spojrzenie, w którym kryło się wiele niemych pytań.

–Chyba nie chcę o tym mówić.

–Sama pani zaczęła.

Ledwo rozwiął się kłęb dymu, gdy zaciągnęła się ponownie.

–Dlaczego nie uprawiał pan seksu od sześciu lat?

–Bo siedziałem w więzieniu, w pojedynczej celi.

Lekko drgnęła i zesztyniała.

–Zabił pan kogoś?

–Nie, nic z tych rzeczy. Jestem zupełnie niegroźny. Pauza, znowu haust dymu.

–Dlaczego pan tu przyjechał?

–Naprawdę nie wiem.

–Długo pan zostanie?

–Może Luigi będzie mógł na to odpowiedzieć.

–Luigi. – Wypowiedziała jego imię tak, jakby chciała splunąć. Odwróciła się i ruszyła przed siebie. – Przed kim się pan ukrywa?

–To bardzo, bardzo długa historia i lepiej, żeby pani jej nie znała.

–Grozi panu jakieś niebezpieczeństwo?

–Tak myślę. Nie wiem, jak duże, ale powiedzmy, że boję się używać mojego prawdziwego nazwiska i wracać do domu.

**-To chyba jednak grozi. Co ma z tym wspólnego Luigi?**

**-Myślę, że mnie ochrania.**

**-I długo jeszcze będzie ochraniał?**

**-Nie mam pojęcia.**

**-Dlaczego pan po prostu nie zniknie?**

**-Właśnie to robię. Jestem w trakcie znikania. Tylko dokąd miałbym wyjechać? Nie mam pieniędzy, paszportu ani żadnych innych dokumentów. Oficjalnie nie istnieję.**

**-To bardzo zagmatwane.**

**-Tak. Lepiej zmieńmy temat.**

**Popatrzył w bok i nie zauważył, jak upadła. Była w czarnych, skórzanych butach na niskim obcasie i lewy musiał utknąć między kamieniami**

na wąskiej, skalistej ścieżce. Głośno sapnęła i runęła na ziemię, w ostatniej chwili podpierając się rękami. Przerazliwie krzyknęła, coś po włosku. Szybko ukląkł.

–Kostka – syknęła, zaciskając usta. Miała łzy w oczach i wykrzywioną z bólu twarz.

Ostrożnie wziął ją na ręce, zaniósł na pobliską ławkę i wrócił po torebkę.

–Chyba się potknęłam – powiedziała. – Przepraszam. – Próbowwała powstrzymać łzy, ale szybko zrezygnowała.

–Wszystko będzie dobrze, będzie dobrze... – Ukląkł przed nią. – Mogę dotknąć?

Chciała podnieść lewą nogę, ale za bardzo ją bolała.

–Lepiej go nie zdejmujemy – powiedział, delikatnie dotykając buta.

–Chyba złamałam nogę. – Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła łzy. Oddychała ciężko, przez zaciśnięte zęby. – Przepraszam.

–Przestań, nie szkodzi. – Rozejrzał się wokoło, byli zupełnie sami. Autobus na szczyt wzgórza był prawie pusty; od dziesięciu minut nikogo tu nie widzieli. – Wejdę tam i poszukam pomocy.

–Tak, proszę.

–Nie ruszaj się. Zaraz wracam. – Poklepał ją po kolanie i zdołała się nawet uśmiechnąć.

Szedł tak szybko, że sam omal nie upadł. Obiegł kościół, ale nikogo tam nie znalazł. Gdzie w takiej katedrze jest jakaś kancelaria? Gdzie kurator, administrator, przełożony księży czy kapłanów? Okrążył ją jeszcze dwa razy, zanim zobaczył dozorcę, który wychodził z częściowo ukrytych przed wejściem do ogrodu drzwi.

–*Mi pud aiutare?! -* zawołał. Może mi pan pomóc?

Dozorca popatrzył na niego bez słowa. Marco był pewien, że wymówił wszystko dobrze i wyraźnie. Podeszedł bliżej.

–*La mia amica si e fatta male.* – Moja przyjaciółka zrobiła sobie krzywdę.

–*Dov 'e?* - burknął tamten. Gdzie? Marco wyciągnął rękę.

–*Li, dietro alla chiesa.* - Tam, za kościołem.

**–Aspetti. - Niech pan zaczeka. Dozorca odwrócił się i otworzył drzwi.**

**–Si sbrighi, perfavora. – Proszę się pospieszyć.**

**Minuty wlokły się jak godziny, a on czekał zdenerwowany, chcąc jak najszybciej wrócić i sprawdzić, co z Francescą. Jeśli złamała nogę, mogła**

doznać szoku. Wreszcie otworzyły się duże drzwi pod baptysterium i wyszedł z nich szybko mężczyzna w garniturze. Dozorca truchtał za nim.

–*La mia amica e caduta* – powiedział Marco. Moja przyjaciółka upadła.

–Gdzie upadła? – spytał tamten płynną angielszczyzną; szli przez małe, wyłożone cegłą patio, omijając topniejący śnieg.

–Za kościołem, przy tym większym występie. Boli ją kostka u nogi. Chyba jest złamana. Trzeba będzie wezwać karetkę.

Mężczyzna rzucił przez ramię coś po włosku i dozorca zniknął.

Francesca siedziała na brzegu ławki, próbując zachować tyle godności, ile było to tylko możliwe. Chusteczkę trzymała przy ustach; już nie płakała. Mężczyzna w garniturze nie znał jej imienia, ale najwyraźniej musiał ją widywać w San Luca. Porozmawiali przez chwilę po włosku, ale Marco prawie nic z tego nie zrozumiał.

Buta nie zdjęła i uzgodnili, że tak będzie lepiej, bo inaczej kostka szybko by spuchła. Mężczyzna, pan Coletta, znał się na udzielaniu pierwszej pomocy. Obejrzał jej kolana i ręce. Były podrapane i obolałe, lecz nie krwawiły.

–To tylko bolesne zwichnięcie – powiedziała. – Chyba nic sobie nie złamałam.

–Karetką będzie jechała tu cały dzień – odparł. – Zawiozę panią do szpitala.

Zatrąbił klakson. Dozorca przyprowadził samochód i zaparkował najbliżej, jak się tylko dało.

–Dam radę dojść – powiedziała dzielnie Francesca, próbując wstać.

–Nie, nie, pomożemy ci – zaprotestował Marco. Chwycili ją za łokcie i powoli unieśli. Gdy tylko postawiła nogę na ziemi, skrzywiła się z bólu.

–Jest cała, to tylko zwichnięcie – powtórzyła. Uparła się, że pokuśtyka sama. Na wpół zanieśli ją do samochodu.

Coletta wziął sprawy w swoje ręce i usadził ich na tylnym siedzeniu w taki sposób, że opierając się plecami o drzwi, uniesione nogi trzymała na kolanach Marca. Gdy już siedzieli, wskoczył za kierownicę i wrzucił wsteczny. Powoli zjechał wysadzaną krzakami ścieżką, zawrócił i skręcił w wąską, utwardzoną drogę. Już niebawem byli na szosie do miasta.

**Francesca włożyła ciemne okulary. Marco zauważył strużkę krwi na jej kolanie. Wyjął jej z ręki chusteczkę i delikatnie zaczął je ocierać.**

**–Dziękuję – szepnęła. – Zepsułam ci dzień.**

–Przestań – odparł z uśmiechem.

Właściwie był to jego najlepszy dzień z Francescą. Upadek sprawił, że spokorniała, i wydawało się, że jest teraz dużo bardziej życzliwa. Spontanicznie wzbudził też naturalne uczucia, bez względu na to jak bardzo niechciane. Doprowadził do kontaktu fizycznego, zupełnie naturalnego w sytuacji, gdy człowiek szczerze próbuje pomóc drugiemu człowiekowi. Niemal przemocą wepchnął go w jej życie. Marco nie wiedział, co stanie się w szpitalu czy w jej domu, wiedział jednak, że chociaż przez chwilę będzie jego częścią. Miała wypadek i potrzebowała go, chociaż na pewno tego nie chciała.

Podtrzymując jej nogi i patrząc tępo w okno, uświadomił sobie z całą mocą, jak bardzo brakuje mu związku z drugim człowiekiem.

Jak bardzo brakuje mu przyjaciela.

–Chciałabym wrócić do domu – powiedziała u stóp wzgórza.

Coletta zerknął w lusterko.

–Powinna pani pójść do lekarza.

–Może później. Najpierw odpocznę, a potem zobaczymy. – Decyzja

została podjęta i dalsza dyskusja nie miała sensu.

Marco też chciał coś zasugerować, ale się powstrzymał. Ciekawiło go, dokąd pojedą.

–Cóż, dobrze – odparł Coletta.

–Mieszkam na Via Minzoni, koło dworca.

Marco uśmiechnął się do siebie, dumny, że wie, gdzie to jest. Via Minzoni. Wyobraził ją sobie na planie miasta, na północnym krańcu starówki; okolica ładna, choć niezbyt ekskluzywna. Przechodził tamtędy co najmniej raz. Ba! Pił nawet poranną kawę w kafejce u zbiegu Via Minzoni i Piazza dei Martiri. Jadąc, nieustannie wypatrywał tabliczek z nazwami ulic, przyglądał się każdemu skrzyżowaniu i zawsze wiedział, gdzie jest.

Nie padło już ani słowo. Wciąż podtrzymywał jej nogi, nie zważając na to, że jej mocno schodzone czarne buty brudzą mu spodnie. W tej chwili miał to gdzieś.



**–Za drugim skrzyżowaniem, po prawej stronie – powiedziała, gdy skręcili w Via Minzoni. Chwilą później dodała: – To tutaj. Za tym zielonym**

**bmw jest trochę miejsca.**

**Ostrożnie pomogli jej wysiąść. Stanąwszy na chodniku, spróbowała iść sama, lecz nadwerżona kostka nie wytrzymała i znowu musieli ją podtrzymać.**

–Mieszkam na pierwszym piętrze – powiedziała przez zaciśnięte zęby. Na tabliczce przy drzwiach było osiem guzików. Marco uważnie śledził ruch jej palca: nacisnęła ten obok nazwiska Giovanni Ferro. W głośniku zabrzmiał głos jakiejś kobiety.

–To ja – rzuciła Francescą i kliknął zamek. Weszli do ciemnego, zapuszczonego holu. Po prawej stronie była winda. Miała otwarte drzwi, jakby na nich czekała. Z trudem zmieścili się w kabinie. – Dam sobie już radę. – Wyraźnie chciała się ich pozbyć.

–Trzeba przyłożyć łód – odparł Marco, gdy winda powoli ruszyła do góry.

Coś trzasnęło, zgrzytnęło i wreszcie otworzyły się drzwi. Wysiedli, wciąż podtrzymując Francescę za łokcie. Drzwi do jej mieszkania były kilka kroków dalej i gdy tam doszli, Coletta pożegnał się z nimi.

–Bardzo mi przykro – powiedział. – Jeśli poniesie pani jakieś koszty medyczne, proszę dać mi znać.

–Nie, nie trzeba. Jest pan bardzo miły. Bardzo dziękuję.

–Dziękuję panu – powtórzył Marco, wciąż podtrzymując Francescę. Wcisnął guzik dzwonnka, tymczasem pan Coletta wsiadł do windy.

Francescą uwolniła rękę.

–Nie trzeba, Marco – powiedziała. – Jakoś sobie poradzę. Dzisiaj jest u mnie mama.

Miał nadzieję, że go zaprosi, ale nie nalegał. Epizod ze zwichniętą kostką dobiegł końca, przynajmniej dla niego, lecz przy okazji dowiedział się znacznie więcej, niż oczekiwał. Uśmiechnął się, cofnął rękę i już miał się pożegnać, gdy głośno zgrzytnęła zasuwa. Francescą odwróciła się i jeszcze bardziej nadwerżyła kostkę. Nogi się pod nią ugięły, Francescą boleśnie sapnęła i odruchowo wyciągnęła do niego rękę.

Gdy otworzyły się drzwi, zemdląca.

Jej matka, signora Altonelli, siedemdziesięcioletnia staruszka, nie mówiła ani słowa po angielsku i przez kilka gorączkowych chwil myślała, że Marco zrobił córce jakąś krzywdę. Jego łamany włoski okazał się niewystarczający, zwłaszcza w tak stresującej sytuacji. Wniósł Francescę do pokoju, położył ją na sofie i uniósł jej nogi.

**–*Ghiaccio, ghiaccio* – rzucił. Lód, niech pani przyniesie trochę lodu.**

**Staruszka niechętnie poszła do kuchni.**

**Zanim wróciła z wilgotną ściereczką i plastikowym woreczkiem lodu, Francesca poruszyła się i zaczęła powoli dochodzić do siebie.**

–Zemdlałaś – powiedział. Chwycił go za rękę i rozejrzała się nieprzytomnie.

–*Chi e?* – spytała podejrzliwie matka. Kto to?

–*Un amico.* – Przyjaciel.

Otarł jej twarz i szybko doszła do siebie. Opowiedziała matce, co się stało – nigdy dotąd nie słyszał, żeby ktoś mówił tak szybko – a ta zaczęła ją o coś wypytywać. Od tej błyskawicznej wymiany zdań i słów wypowiedzianych z szybkością karabinu maszynowego zakręciło mu się w głowie i chociaż początkowo próbował wychwycić z tego coś zrozumiałego, szybko zrezygnował. Signora Altonelli nagle uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu. Dobry chłopiec. Potem wyszła.

–Poszła zrobić kawę – wyjaśniła Francesca.

–Świetnie. – Przystawił sobie stółek i usiadł. – Trzeba przyłożyć lód.

–Tak, wiem.

Oboje popatrzyli na jej buty.

–Zdejmiesz? – poprosiła.

–Oczywiście. – Rozpiął prawy i zdjął go tak ostrożnie, jakby skręciła sobie i tę nogę. Jeszcze ostrożniej i wolniej rozpiął lewy. Bolało ją każde dotknięcie, więc spytał: – Może lepiej nie?

–Nie, nie, zdejmij. – Zatrząsk kończył się niemal dokładnie na kostce i opuchlizna bardzo utrudniała zadanie. Po kilku minutach delikatnego przekręcania, wykręcania i bolesnego zaciskania zębów, but wreszcie zszedł.

Była w czarnych pończochach. Marco przyjrzał się im i oznajmił:

–To też trzeba zdjąć.

–Tak, wiem. – Wróciła matka i rzuciła coś po włosku. – Zaczekasz w kuchni?

Kuchnia była mała, lecz nienagannie urządzona, cała w chromie i szkle. Nie dostrzegł tam ani centymetra kwadratowej niewykorzystanej powierzchni. Na blacie bulgotał nowoczesny ekspres. Ściany małej jadalni były pomalowane w jaskrawe, abstrakcyjne wzory. Stał tam i czekał, a one gadały jedna przez drugą.

Pończochy zdjęły w miarę bezboleśnie. Gdy wrócił do pokoju, signora Altonelli

przykładała lód do jej lewej kostki.

–Mama mówi, że nie jest złamana – powiedziała Francesca. – Przez wiele lat pracowała w szpitalu.

–Mieszka w Bolonii?

–W Imoli, kilka kilometrów stąd.

Dobrze wiedział, gdzie jest Imola, przynajmniej na mapie.

–Chyba już pójdę. – Nie chciał iść, lecz nagle poczuł się jak intruz.

–Kawa dobrze ci robi – odparła. Matka szybko wyszła do kuchni.

–Nie chciałbym przeszkadzać.

–Nie, nie, usiądź. Proszę. Po tym, co dziś dla mnie zrobiłeś, chociaż tak ci się odwdzięczę.

Matka wróciła ze szklanką wody i dwiema tabletkami. Francesca połknęła je, popiła i oparła głowę o poduszkę. Znowu wymieniła kilka krótkich zdań z matką i powiedziała:

–Mamy w lodówce ciasto czekoladowe. Zjesz?

–Tak, chętnie.

Signora Altonelli ponownie wyszła, teraz już nucąc coś pod nosem, zadowolona, że ma się o kogo zatroszczyć i kogo nakarmić. Marco usiadł.

–Boli? – spytał.

–Tak – odrzekła z uśmiechem. – Nie umiem kłamać. Boli.

Nie przychodził mu do głowy żaden stosowny komentarz, więc wrócił do ich przygody.

–To się zdarzyło tak szybko... – zaczął. Przez kilka minut wspominali,

potem umilkli. Francesca zamknęła oczy i chyba zasnęła. Marco założył

ręce na piersi i popatrzył na olbrzymi, bardzo dziwny obraz, który zajmował niemal całą ścianę.

Kamienica była stara, lecz wyglądało na to, że Francesca i jej mąż, zdecydowani moderniści, próbują odmłodzić ją od środka. Meble były niskie, błyszczące i minimalistyczne, czarna skóra i chrom. Na ścianach wisiały zbijające z tropu nowoczesne obrazy.

–Nie możemy powiedzieć o tym Luigiemu – szepnęła.

**–Dlaczego?**

**Lekko się zawahała.**

**–Płaci mi za ciebie dwieście euro tygodniowo i ciągle narzeka na cenę.**

**Posprzeczałam się. Zagroził, że znajdzie kogoś innego. Będę szczerą: potrzebuję tych pieniędzy. W tygodniu mam jedną, najwyżej dwie grupy; to martwy sezon. Za miesiąc, kiedy przyjadą turyści z południa, będzie trochę lepiej, ale teraz prawie nic nie zarabiam.**

**Stoicka maska zniknęła. Nie mógł uwierzyć, że tak bardzo się przed nim odsłoniła. Bała się i gotów był skrócić sobie kark, żeby jej pomóc.**

–Jeśli opuszczę kilka dni, zerwie umowę, jestem tego pewna.

–Opuścisz na pewno. – Zerknął na woreczek z lodem na jej nodze.

–Możemy zachować to w tajemnicy? Niedługo powinnam już normalnie chodzić, nie sądzisz?

–Możemy spróbować, ale Luigi zawsze o wszystkim wie. Cały czas mnie obserwuje. Jutro zadzwonię do niego i powiem, że jestem chory, a potem coś wymyślimy. Może moglibyśmy uczyć się tutaj.

–Nie. Mąż tu jest.

Marco odruchowo zerknął przez ramię.

–Tutaj?

–W sypialni. Jest ciężko chory.

–Co mu...

–Rak. Ostatnie stadium. Kiedy pracuję, siedzi przy nim mama. Po południu przychodzi pielęgniarka z hospicjum i podaje mu leki.

–Bardzo mi przykro.

–Mnie też.

–Luigim się nie martw. Powiem mu, że jestem zachwycony twoim stylem nauczania i że nie chcę nikogo innego.

–To byłoby kłamstwo, prawda?

–Tak jakby.

Signora Altonelli wróciła z kawą i ciastem. Postawiła tacę na jaskrawo-czerwonym stoliku pośrodku pokoju i zaczęła je kroić. Francesca wzięła kawę, ale nie chciała nic jeść. Marco jadł najwolniej, jak mógł i sączył kawę, jakby miało to być ostatnie espresso w jego życiu. Gdy signora Altonelli zaproponowała jeszcze jedną, przyjął tę propozycję niechętnie.

Siedział tam godzinę. Jadąc windą na dół, uświadomił sobie, że przez cały ten czas Giovanni Ferro nie wydał ani dźwięku.



## **Rozdział 23**

**odobnie jak Rosjanie, Izraelczycy, Brytyjczycy i Amerykanie, do wykonywania egzekucji na całym świecie Chińczycy – a konkretnie główna chińska agencja wywiadowcza, czyli ministerstwo bezpieczeństwa narodowego (MBN) – wykorzystywali małe zespoły świetnie wyszkolonych agentów.**

Jedyna godna uwagi różnica polegała na tym, że od pewnego czasu Chińczycy coraz częściej zlecali tego rodzaju zadania jednej, starannie wyselekcjonowanej grupie. Zamiast wzorem innych krajów przydzielić brudną robotę kilkunastu ludziom, zwracali się najpierw do pewnego młodego człowieka, którego CIA i Mosad obserwowały z podziwem już od wielu lat. Nazywał się Sammy Tin i był dzieckiem chińskich komunistów, dyplomatów, którym – takie krążyły plotki – MBN kazało pobrać się i rozmnażać. Tak więc, jeśli w ogóle istniał gdzieś sklonowany agent idealny, z pewnością był nim Sammy Tin. Urodził się w Nowym Jorku, wychował na przedmieściach Waszyngtonu i już jako niemowlę w pieluszce miał prywatnych korepetytorów, którzy nieustannie bombardowali go angielskim. W wieku szesnastu lat poszedł na uniwersytet stanowy w Marylandzie. Zrobił tam dwa dyplomy i jako dwudziestojednoletni chłopak wyjechał do Hamburga, żeby studiować inżynierię. Gdzieś po drodze zainteresował się bombami i ich konstruowanie stało się wkrótce jego ulubionym hobby. Do materiałów wybuchowych podchodził z prawdziwą pasją, zwłaszcza do materiałów, które dawało się umieścić w dziwnych opakowaniach: w kopertach na listy, papierowych kubkach, długopisach czy papierosach. Był znakomitym strzelcem, lecz broń szybko go znudziła. Blacharz – „Tin” znaczy „blacha” – uwielbiał bomby.

Potem, pod przybranym nazwiskiem, studiował chemię w Tokio i tam po mistrzowsku opanował sztukę zabijania za pomocą trucizn. Zanim skończył dwadzieścia cztery lata, używał już kilkunastu nazwisk, znał tyleż samo języków obcych i przekraczał granice z grubym plikiem paszportów, umiejętnie wykorzystując możliwości, jakie zapewnia dobre przebranie. Potrafił przekonać każdego celnika, że jest Japończykiem, Koreańczykiem albo obywatelem Tajwanu.

Żeby dopełnić edukacji, przez rok intensywnie ćwiczył w elitarniej jednostce chińskiej armii. Nauczył się tam, jak rozbijać obóz, jak gotować nad ogniskiem, jak przekraczać rzekę, jak przeżyć w dziczy i morskiej kipieli. Gdy skończył dwadzieścia sześć lat, MBN uznało, że chłopak dość się nastudiował. Nadeszła pora, żeby zaczął zabijać.

Według Langley pierwszą pozycję na zdumiewająco długiej liście jego ofiar zajmowało trzech chińskich naukowców, którzy zanadto zaprzyjaźnili się z Rosjanami. Dopadł ich w jednej z moskiewskich restauracji. Podczas gdy goryle jedzących kolację Chińczyków czekali na zewnątrz, on poderżnął jednemu z nich gardło, gdy ten kończył siusiać w toalecie;

jego wciśnięte do kosza na śmieci ciało znaleziono dopiero godziną później. Drugi Chińczyk popełnił poważny błąd, bo zainteresował się długą nieobecnością kolegi. Poszedł sprawdzić do toalety, gdzie Sammy czekał na niego przebrany za sprzątacza. Chińczyka znaleziono z głową w muszli klozetowej, zatkanej i po brzegi wypełnionej odchodami. Trzeci siedzący samotnie przy stole i martwiący się o kolegów zginął kilkanaście sekund później, gdy przechodzący obok niego mężczyzna przebrany za kelnera ugodził go w kark wystrzeloną z dmuchawki zatrutą strzałką.

Tego rodzaju zabójstwa miały jednak wiele wad. Za dużo krwi, za dużo świadków. W tym przypadku ucieczka też była dość ryzykowna, mimo to zdołał ich zgubić i prześliznąć się niezauważenie przez ruchliwą kuchnię. Wybiegł na dwór i zanim wezwano goryli, zniknął w ciemnym zaułku. Mroczne miasto, taksówka – dwadzieścia minut później był już w chińskiej ambasadzie, a nazajutrz w Pekinie, gdzie po cichu świętował swój pierwszy sukces.

Zuchwałość zamachu wstrząsnęła światkiem wywiadu. Konkurencja stawała na głowie, żeby dowiedzieć się, kto go dokonał. Był zupełnie niepodobny do dotychczasowych; Chińczycy robili to po prostu inaczej. Słyszeli z cierpliwością i dyscypliny wewnętrznej, z tego, że czekali w nieskończoność na odpowiednią chwilę. Ścigali ofiarę, aż ta rezygnowała z ucieczki. Albo zarzucali jeden plan i czekając na lepszą okazję, przygotowywali zupełnie inny.

Kilka miesięcy później w Berlinie doszło do powtórki i tak zrodziła się legenda o Sammym Tinie. Pewien francuski dyrektor wysokiego szczebla próbował sprzedać mu sfalszowane tajemnice budowy ruchomego radaru. Został wyrzucony z hotelu, konkretnie z balkonu na trzynastym piętrze, i lądując obok basenu, wywołał spore poruszenie wśród opalających się tam gości. I w tym przypadku zabójstwo było zbyt jawne, zbyt widoczne.

W Londynie urwał komuś głowę za pomocą telefonu komórkowego. Jakiś uciekinier z nowojorskiego Chinatown stracił prawie całą twarz od wybuchu papierosa. Już niebawem Sammy'emu Tinowi zaczęto przypisywać najbardziej widowiskowe zabójstwa w wywiadowczym półświatku. Legenda szybko rosła. Chociaż dowodził zespołem pięciu zaufanych towarzyszy, często pracował sam. W Singapurze stracił człowieka, gdy ich ofiara przybyła na spotkanie z uzbrojonymi po zęby kolegami. Ale singapurska porażka należała do nielicznych i nauczyła go, że zawsze trzeba dbać o formę, uderzać szybko i nie zatrudniać zbyt wielu ludzi.

W miarę upływu lat zamachy stały się mniej spektakularne, mniej gwałtowne i łatwiejsze do zakamuflowania. Skończył już trzydzieści trzy lata i nie ulegało wątpliwości, że nie ma na świecie agenta, który wzbudzałby większy postrach. CIA próbowała go wytropić i wydała na to fortunę. Amerykanie wiedzieli, że Sammy Tin mieszka w Pekinie, w luksusowym apartamencie. Gdy wyjechał, śledzili go aż do Hongkongu. Kiedy okazało się, że leci bezpośrednio do Londynu, zaalarmowano Interpol, ale Sammy zmienił paszport i w ostatniej chwili wsiadł na pokład samolotu Alitalii do Mediolanu. Interpol mógł go jedynie obserwować. Blacharz często podróżował pod dyplomatyczną przykrywką. Nie był przestępcą; był agentem, dyplomatą, biznesmenem, profesorem – był, kimkolwiek chciał.

Na lotnisku Malpensa w Mediolanie czekała na niego limuzyna i Sammy szybko zniknął w mieście. Według CIA minęło cztery i pół roku, odkąd odwiedził Italię po raz ostatni.

Pan Elya wyglądał jak zamożny saudyjski biznesmen, chociaż jego wełniany garnitur był niemal czarny, zbyt ciemny jak na Bolonię, a jodełka zbyt gęsta jak na materiał zaprojektowany i utkany we Włoszech. Poza tym był w różowej koszuli z błyszczącym białym kołnierzykiem – całkiem niezłe połączenie, no, ale cóż, róż to jednak róż. W kołnierzyku tkwiła złota szpila, też stanowczo za gruba, która przytrzymując węzeł krawata, podnosiła go niemal do gardła; wyglądało, jakby Saudyjczyk miał się zaraz udusić. Na obu końcach szpili błyszczał brylant. Pan Elya lubił brylanty i miał ich dużo: po wielkim brylancie na palcu każdej dłoni, kilkanaście małych brylantów na roleksie, po jednym brylancie w obydwu złotych spinkach do mankietów. Stefano uznał, że buty ma chyba włoskie, nowiutkie, brązowe, ale o wiele za lekkie do garnituru.

Tak więc w sumie rzucał się w oczy. Chociaż bardzo tego nie chciał. Stefano miał czas dobrze mu się przyjrzeć, gdy w całkowitej ciszy jechali z lotniska, gdzie pan Elya i jego asystent wylądowali prywatnym odrzutowcem. Siedzieli na tylnym siedzeniu czarnego mercedesa – markę samochodu i jego kolor wybrał oczywiście pan Elya – przednie zaś zajmowali milczący szofer i asystent Saudyjczyka, który najwyraźniej mówił tylko po arabsku. Angielski jego nowego klienta był całkiem do przyjęcia: pan Elya mówił szybkimi seriami słów, które wyrzucał z ust jak karabin maszynowy, i zwykle dodawał coś po arabsku, pewnie ze względu na

asystenta, który najwyraźniej czuł się w obowiązku zapisywać każdą wypowiedź swojego pana.

Po dziesięciu minutach jazdy Stefano miał dość i żywił coraz większą nadzieję, że skończą na długo przed lunchem.

Zaczęli od mieszkania niedaleko uniwersytetu, gdzie już niebawem miał studiować syn Saudyjczyka; wybierał się na medycynę. Stara, solidna kamienica bez windy, cztery pokoje na pierwszym piętrze. Pokoje ładnie umeblowane i jak dla studenta, na pewno luksusowe. Umowa na rok, tysiąc osiemset euro miesięcznie bez prądu, wody i gazu. Ale pan Elya nie powiedział ani słowa, tylko ciągle marszczył brwi, jakby jego zepsutemu synalkowi należało się coś znacznie lepszego. Asystent też marszczył brwi i marszczyli się tak przez całą drogę powrotną do samochodu, do chwili, gdy milczący szofer nie zawiózł ich szybko do kolejnego mieszkania.

Mieściło się przy Via Remorsella, ulicę na zachód od Via Fondazza. Trochę większe niż tamto i fatalnie umeblowane, miało paskudny widok z okien i kuchnię wielkości pakamery na szczotki. Dwadzieścia minut jazdy od uniwersytetu, dwa tysiące sześćset euro miesięcznie, dziwny za-paszek we wszystkich pokojach – pan Elya i jego asystent natychmiast przestali marszczyć czoło. Mieszkanie bardzo im się spodobało.

–To jest dobre – powiedział Saudyjczyk i Stefano odetchnął z ulgą. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiał zabawiać ich podczas lunchu. No i właśnie zgarnął pokazną prowizję.

Szybko wrócili do biura, gdzie w rekordowym tempie wypełniono wszystkie papierki. Pan Elya był człowiekiem bardzo zajęтым – leciał na pilne spotkanie do Rzymu – i gdyby nie zdążyli załatwić tego teraz, o późniejszych negocjacjach nie było mowy!

Czarny mercedes zawiózł ich szybko na lotnisko. Wstrząśnięty i wyczerpany Stefano podziękował im za odwiedzinę, pożegnał ich i jeszcze szybciej wrócił do miasta. Tymczasem pan Elya i jego asystent dostojnie weszli na pokład odrzutowca. Drzwi się za nimi zamknęły.

Ale odrzutowiec nie drgnął z miejsca. Pan Elya i asystent przebrali się w zwyczajne ubrania i odbyli naradę z trzema pozostałymi członkami zespołu. Odczekawszy godzinę, wysiedli, przenieśli ciężkie bagaże do prywatnej sali odpraw, a potem do parkujących przed terminalem furgonetek.

Luigi zaczynał podejrzewać, że z granatową torbą, której Marco nigdy nie zostawiał w mieszkaniu, jest coś nie tak. Marco nie spuszczał jej z oczu. Nigdy. Wszędzie ją ze sobą nosił, zawsze na ramieniu i pod pachą, jakby miał tam sztabki złota.

Co mógł w niej trzymać? Czego aż tak bardzo pilnował? Materiałów do nauki włoskiego? Rzadko kiedy wynosił je z domu. Z Ermannem uczył się u siebie. Z Francescą tylko rozmawiał, więc żadne materiały nie były mu potrzebne.

Whitaker też zaczynał coś podejrzewać, zwłaszcza odkąd Marca zauważono w kawiarence internetowej niedaleko uniwersytetu. Przysłał do Bolonii agenta Kratera, żeby łatwiej im było obserwować tę nieszczęsną torbę. Ponieważ pętla się zaciskała i lada dzień spodziewali się fajerwerków, Whitaker zażądał od Langley dodatkowej siły roboczej.

Ale w Langley panował chaos. Odejście Teddy'ego, choć spodziewane, wywróciło wszystko do góry nogami. Wciąż odczuwano skutki fali uderzeniowej po wyrzuceniu z pracy Lucata. Prezydent groził wielką czystką i zastępcy dyrektora oraz wyżsi urzędnicy więcej czasu poświęcali na chronienie swoich tyłków niż na kierowanie operacjami wywiadowczymi.

To właśnie Krater dostał przez radio wiadomość od Luigiego, że Marco idzie w kierunku Piazza Maggiore, najprawdopodobniej na poranną kawę. I tam go namierzył. Lazzeri miał pod pachą granatową walizeczkę i wyglądał jak bolończyk. Joel Backman. Krater długo studiował jego akta i ucieszył się, że wreszcie widzi go na własne oczy. Gdyby tylko biedaczyna wiedział...

Ale Marco nie odczuwał pragnienia, przynajmniej jeszcze nie teraz. Mijał kawiarenki i sklepy i nagle, rozejrzawszy się płochliwie na wszystkie strony, wszedł do Albergo Nettuno, pięćdziesięciopokojowego hoteliku kilka kroków od placu. Krater zameldował o tym Zellmanowi i Luigiemu – ten ostatni był szczególnie zaskoczony, bo Marco nie miał żadnego powodu łączyć po hotelach. Krater odczekał pięć minut, po czym wszedł do środka i ogarnął wzrokiem mały hol. Po prawej stronie stało kilka foteli i szeroki stolik do kawy z rozrzuconymi czasopismami podróżniczymi. Po lewej była mała, pusta kabina telefoniczna z uchylonymi drzwiami, a tuż obok druga. Ta nie była pusta. Siedział w niej samotnie Marco, pochylony nad stolikiem pod zamontowanym na ścianie telefonem, a na stoliku stała otwarta torba. Był zbyt zajęty, żeby zauważyć przechodzącego Kratera.

- Mogę w czymś pomóc? – spytał recepcjonista.**
- Tak – odparł po włosku agent. – Chciałbym wynająć pokój.**
- Na kiedy?**
- Na dzisiaj.**
- Przykro mi, ale nie mamy wolnych miejsc. Krater wziął broszurę z lady.**
- Zawsze u was pełno – rzucił z uśmiechem. – Popularny hotel.**
- Tak. Może innym razem.**
- Macie tu dostęp do Internetu?**
- Oczywiście.**
- Bezprzewodowy?**
- Tak, jako pierwszy hotel w mieście.**
- Dziękuję. Spróbuję kiedy indziej.**
- Serdecznie zapraszamy.**

**W drodze do wyjścia Krater ponownie minął kabinę. Marco nawet nie podniósł wzroku.**

**Pisał obydwoma kciukami z nadzieją, że recepcjonista go nie wyprosi. Owszem, hotel reklamował się bezprzewodowym dostępem do Internetu, ale wyłącznie dla gości. Oferowały go za darmo kawiarnie, biblioteki i jedna księgarnia, ale nie hotele. E-mail brzmiał następująco:**

**Grinch, robiłem kiedyś interesy z Mikelem van Thiessenem z Rhineland Bank na Bahnhofstrasse w śródmieściu Zurychu. Dowiedz się, czy jeszcze tam pracuje. Jeśli nie, kto go zastępuje? Nie zostawiaj śladów!**

**Marco wcisnął przycisk: „wyślij” i odmówił krótką modlitwę w nadziei, że niczego nie sknocił. Szybko wyłączył aparat i schował go do torby. Wychodząc, skinął głową recepcjoniście, który akurat rozmawiał przez telefon.**

**Wszedł dwie minuty po Kraterze i wtopił się w tłum wracających z pracy ludzi.**

**Obserwowali go z trzech różnych miejsc. Po dwudziestu minutach Zellman wszedł do Nettuno i usiadł w budce telefonicznej, gdzie wcześniej siedział Marco. Recepcjonista, bardzo już zaskoczony, udał, że jest czymś zajęty.**

**Godzinę później spotkali się w barze i wymienili spostrzeżeniami. Wniosek był oczywisty, choć trudny do przełknięcia: skoro Lazzeri nie korzy-**



stał z telefonu, na pewno korzystał z darmowego dostępu do Internetu. Bo niby po co miałby wchodzić do hotelu, siadać w budce telefonicznej i po niecałych dziesięciu minutach nagle wychodzić? Tylko jak to zrobił? Nie miał ani laptopa, ani komórki, nie licząc tej od Luigiiego, przestarzałego aparatu, który działał jedynie w obrębie miasta i którego w żaden sposób nie można było unowocześnić czy zmodyfikować. Czyżby wytrzasnął skądś coś lepszego, coś supernowoczesnego? Przecież nie miał pieniędzy.

**W grę wchodziła jeszcze kradzież.**

Rozważali różne scenariusze. Zellman wyszedł, żeby wysłać do Whitakera niepokojący meldunek. Kratera wysłano na zakupy. Miał znaleźć torbę. Identyczną granatową torbę od Silvia.

**Luigi został, żeby spokojnie pomyśleć.**

Rozmyślania przerwał mu telefon od Marca. Był w domu i źle się czuł; przez całe popołudnie dokuczał mu żołądek. Odwołał już lekcję z Francescą, a teraz odwoływał kolację z nim.

## Rozdział 24

eśli telefon dzwonił przed szóstą rano, wiadomości nigdy nie były dobre. Dan Sandberg należał do nocnych ptaszków, a raczej do nocnych stworów, które wstają dopiero na śniadanie połączone z lunchem. Ci, którzy go znali, dobrze wiedzieli, że nie ma sensu dzwonić do niego bladym świtem. Telefonował kumpel z „Posta”.

**–Wykołowali cię – zaczął poważnym głosem.**

**–Co? – warknął Sandberg.**

**–„Times” rąbnął ci temat.**

**–Ale jaki?**

**–O Backmanie.**

**–Co takiego?**

**–Sam zobacz.**

Sandberg wpadł do swojego zagraconego gabinetu, wściekle zaatakował komputer i znalazł artykuł napisany przez niejakiego Heatha Fricka, znenawidzonego rywala z

**„New York Timesa”. Nagłówek głosił:**

## **ŚLEDZTWO W SPRAWIE UŁASKAWIEŃ ZA PIENIĄDZE. FBI POSZUKUJE JOELA BACKMANA.**

**Cytując anonimowego informatora, Frick napisał, że prowadzone przez FBI nieoficjalne śledztwo w sprawie ułaskawień za pieniądze nabrało tempa i objęło już przestępców ułaskawionych przez prezydenta Arthura Morgana. Jedną z „zainteresowanych osób” – eufemizmu tego używano często, gdy władze chciały oczernić kogoś, kogo nie mogły postawić w stan oskarżenia – mógł być książę Mongo. Jednak Mongo przebywał w szpitalu i, jak głosiły pogłoski, ledwo dychał.**

**Dlatego śledztwo skoncentrowało się obecnie na Joelu Backmanie, którego ułaskawienie – na godzinę przed końcem kadencji prezydenta Morgana! – zaszokowało i rozwścieczyło bardzo wielu ludzi, przynajmniej według niedorzecznej analizy redaktora Fricka. Jego tajemnicze zniknięcie dołało oliwy do ognia, podsycając spekulacje, że Backman ułaskawienie kupił, a następnie uciekł, żeby uniknąć oczywistych pytań. Dawne pogłoski wciąż krążą – przypominał czytelnikom Frick. Przeróżne, oczywiście anonimowe, lecz jak najbardziej wiarygodne źródła wciąż podtrzymują teorię, że Backman ukradł i ukrył wielką fortunę.**

**–Co za bzdury! – prychnął Sandberg, przewijając ekran. Znał fakty**

**lepiej niż ktokolwiek inny. Tych wierutnych bredni nie można było udowodnić. Backman nie zapłacił za ułaskawienie.**

**Nikt z ekipy byłego prezydenta nie chciał powiedzieć na ten temat ani słowa. Dochodzenie było na razie nieoficjalne, ale władze szykowały się do wytoczenia ciężkiej artylerii. Pewien rzutki prokurator już podniósł krzyk. Wielkiej ławy przysięgłych co prawda jeszcze nie zwołał, lecz prokuratura czekała tylko na znak, na zielone światło z Departamentu Sprawiedliwości.**

**Frick podsumował artykuł dwoma akapitami o Backmanie, starymi, odgrzewanymi sensacyjkami, które „Times” już kiedyś publikował.**

**–To zwykły kit! – pinił się ze złości Sandberg. – Zapchajdziura, głupi**

**wypełniacz!**

**Prezydent też przeczytał artykuł, ale zareagował zupełnie inaczej. Zrobił kilka notatek i odłożył je do siódmej trzydzieści, gdy na spotkanie przybyła Susan Penn pełniąca funkcję tymczasowego dyrektora CIA. Na POP – poranną odprawę u prezydenta – przyjeżdżał kiedyś sam dyrektor. Odbywała się zawsze w Gabinetcie Ovalnym i zawsze była pierwszym punktem pre-**



zydenckiego porządku dnia. Ale Teddy Maynard – i jego wiecznie podupadające zdrowie – zmienił ten zwyczaj i przez ostatnich dziesięć lat odprawę zlecał komuś innemu. Teraz stare tradycje wracały do łask.

Punktualnie o siódmej rano na biurku w Gabinetcie Owalnym kładziono ośmio-, dziesięciostronicowe streszczenie najważniejszych spraw wywiadowczych. Prezydent czytał każde słowo – nabrał tego nawyku po zaledwie dwóch miesiącach zasiadania w Białym Domu. Szybko stwierdził, że to fascynująca lektura. Jego poprzednik pochwalił się kiedyś, że nie czyta niczego, ani książek, ani gazet, ani czasopism. Tym bardziej aktów prawnych, ekspertyz politycznych, traktatów czy codziennych sprawozdań. Często miał kłopoty z odczytaniem własnych przemówień. Teraz wszystko było inaczej.

Susan Penn mieszkała w Georgetown i punktualnie o siódmej piętnaście przyjeżdżała do Białego Domu opancerzoną limuzyną z szoferem. Po drodze przeglądała przygotowane przez analityków sprawozdanie. Tego ranka na czwartej stronie była wzmianka o Joelu Backmanie. Backman przyciągał uwagę bardzo niebezpiecznych osobników, może nawet samego Blacharza.

Prezydent powitał ją ciepło; na stoliku przy sofie czekała już kawa. Jak zwykle byli sami, więc od razu wzięli się do roboty.

–Czytała pani dzisiejszego „New York Timesa”? – spytał.

–Tak.

–Jakie jest prawdopodobieństwo, że Backman zapłacił za ułaskawienie?

–Bardzo małe, panie prezydencie. Jak już mówiłam, nie wiedział, że je przygotowujemy. Nie miałby czasu, żeby to załatwić. Poza tym jesteśmy pewni, że nie miał pieniędzy.

–W takim razie dlaczego go ułaskawiono?

Lojalność wobec Teddy'ego Maynarda szybko odchodziła do historii. Teddy'ego już nie było, a wkrótce miało go nie być na dobre, tymczasem czterdziestoczteroletnia Susan musiała dbać o karierę. Niewykluczone że długą karierę. Z prezydentem współpracowało się jej bardzo dobrze. Poza tym wyglądało na to, że nowy gospodarz Białego Domu nie spieszy się z wyborem stałego dyrektora CIA.

–Szczepnie? Teddy chciał, żeby go zabito.

**-Dlaczego? Wie pani dlaczego?**

**-To długa historia...**

**-Nieprawda.**

**–Nie wiemy wszystkiego...**

**–Wystarczy to, co wiecie. Proszę mi o tym opowiedzieć. Susan rzuciła sprawozdanie na sofę i wzięła głęboki oddech.**

**Backman i Jacy Hubbard przesadzili. Wystawili na sprzedaż oprogramowanie tajnego systemu satelitarnego, które ich klienci przywieźli do Stanów Zjednoczonych z głupią nadzieją zdobycia fortuny.**

**Klienci, czyli ci trzej młodzi Pakistańczycy, tak?**

**–Tak. Wszyscy trzej już nie żyją.**

**–Wie pani, kto ich zabił?**

**–Nie.**

**–Wie pani, kto zabił Jacy'ego Hubbarda?**

**–Nie.**

**Prezydent podszedł z kawą do biurka. Usiadł na brzeżku i popatrzył na nią z drugiego końca gabinetu.**

**–Trudno uwierzyć, że nie wiemy o takich rzeczach.**

**–Też się dziwię. I nie znaczy to wcale, że nie próbowaliśmy tego rozgryźć. Między innymi z tego powodu dyrektorowi Maynardowi tak bardzo zależało na ułaskawieniu Backmana. Tak, oczywiście, życzył mu śmierci choćby dla zasady: w przeszłości często dochodziło między nimi do spięć, poza tym zawsze uważał, że Backman jest zdrajcą. Ale uważał też, że jego śmierć może nam coś podpowiedzieć.**

**–Na przykład co?**

**–To zależy, kto go zabije. Jeśli Rosjanie, będzie wiadomo, że system satelitarny należał do Rosjan. Podobnie Chińczycy. Jeśli zabiją go Izraelczycy, oznaczać to będzie, że Backman i Hubbard próbowali sprzedać oprogramowanie Saudyjczykom. Jeśli dopadną go Saudyjczycy, będzie to dowód, że Backman ich oszukał. Jesteśmy niemal pewni, że dobili z nim targu, a przynajmniej tak myśleli.**

**–I Backman ich wykiwał?**

**–Niekoniecznie. Naszym zdaniem wszystko zmieniła śmierć Hubbarda. Backman**

**spakował manatki i zwiął do więzienia. Koniec targów, koniec układów.**

**Prezydent podszedł do stolika i dolał sobie kawy. Usiadł naprzeciwko Susan i pokręcił głową.**

**–Chce pani, żebym uwierzył, że trzech młodych pakistańskich hakerów włamało się do satelitarnego systemu komputerowego tak skomplikowanego i wyrafinowanego, że nie wiedzieliśmy o jego istnieniu?**



–Tak. Byli genialni, ale mieli też szczęście. Nie tylko włamali się do systemu, ale i zmienili oprogramowanie, dzięki czemu mogli nim sterować.

–I tak powstał ten... „zakłócacz”, tak?

–Tak go nazwali.

–Czy ktoś widział to oprogramowanie?

–Saudyjczycy. Stąd wiemy, że nie tylko istnieje, ale i działa.

–Gdzie teraz jest?

–Tego nie wie nikt oprócz Backmana.

Zapadło długie milczenie. Prezydent wypił łyk niezbyt ciepłej kawy. Nagle oparł łokieć o kolano i spytał:

–Jak pani myśli, co byłoby dla nas najlepsze? Co leżałoby w naszym najlepszym interesie?

Susan nie wahała się ani sekundy.

–Zrealizowanie planu dyrektora Maynarda. Backman zostanie zlikwidowany. Tego oprogramowania nie widziano od sześciu lat, więc prawdopodobnie już nie istnieje. Satelity wciąż krążą, ale ten, kto je zbudował,

nie jest w stanie ich kontrolować.

Znowu chwila ciszy i kolejny łyk kawy. Prezydent pokręcił głową.

–Cóż, zatem niech tak będzie.

Neal Backman nie czytał „Timesa”, ale codziennie zaglądał do Internetu w poszukiwaniu wiadomości o ojcu. Tego dnia, natknąwszy się na artykuł Fricka, dołączył go do e-maila, którego wysłał jak zwykle z Jerry's Java.

W kancelarii przeczytał artykuł jeszcze raz, wspominając stare plotki o fortunie ukrytej przez Gracza tuż przed upadkiem jego firmy. Nigdy nie spytał go o to wprost, ponieważ wiedział, że nie dostanie jednoznacznej odpowiedzi. Jednak z biegiem lat zaczął podzielać powszechne przekonanie, że jak większość przestępców, Joel Backman jest kompletnie splukany.

**W takim razie dlaczego nieustannie dręczyła go myśl, że mimo to mógł wykręcić numer z ułaskawieniem? Dlatego, że jeśli w ogóle można go było wykręcić, siedząc w więzieniu, jedynym zdolnym do tego człowiekiem był jego ojciec. Ale jakim cudem wylądował w Bolonii? I dlaczego? Kto deptał mu po piętach?**

**Pytań przybywało, odpowiedzi nie.**

Pijąc podwójną mokkę i patrząc na zamknięte na klucz drzwi gabinetu, ponownie zadał sobie pytanie w tej chwili najważniejsze: Jak znaleźć szwajcarskiego bankiera bez korzystania z telefonu, faksu, zwykłej poczty i poczty elektronicznej?

Nic to. Na pewno na coś wpadnie. Potrzebował tylko czasu.

Efraim przeczytał artykuł w „Timesie” w pociągu, w drodze z Florencji do Bolonii. Tel Awiw dał mu cynk, więc szybko wyszperał go w Internecie. Siedzący cztery miejsca dalej Amos też czytał go na laptopie.

Rafi i Shaul mieli przybyć nazajutrz rano – Rafi samolotem z Mediolanu, Shaul pociągiem z Rzymu. Czterej znający włoski członkowie kidonu byli już w Bolonii i przygotowywali kryjówkę niezbędną do realizacji zadania.

Plan wstępny zakładał, że przechwycą Backmana pod ciemnymi portykami na Via Fondazza albo na innej odpowiedniej uliczce, najlepiej o świcie lub po zmroku. Oszołomią go narkotykiem, wepchną do furgonetki, zawiozą do kryjówki i zaczekają, aż narkotyk przestanie działać. Wtedy przesłuchają go, wstrzykną mu truciznę, zawiozą zwłoki nad jezioro Garda, dwie godziny jazdy od Bolonii, i rzucają je rybom na pożarcie.

Był to tylko szkic planu, niedokładny, pełen pułapek i słabych punktów, ale zielone światło już mieli. Nie było odwrotu. Ponieważ Backman znowu zaczynał przykuwać uwagę, musieli działać szybko i sprawnie.

Wyścig był tym bardziej ekscytujący, że Mosad miał powody przypuszczać, iż w Bolonii albo gdzieś w pobliżu czyhał Sammy Tin.

Restauracją mieszczącą się najbliżej jej domu była stara, urocza trattoria Nino. Francesca dobrze ją знаła, od lat znała też dwóch synów właściciela. Wyjaśniła im, co jej się przytrafiło, i kiedy przyszła, tamci czekali już w drzwiach i praktycznie wnieśli ją do środka. Zabrali jej laskę, torebkę i płaszcz i zaprowadzili powolutku do jej ulubionego stolika, który przysunęli bliżej kominka. Podali kawę i wodę i zapewnili, że spełnią każde jej życzenie. Pora lunchu już minęła, więc sala świeciła pustkami. Mieli dla siebie całą restaurację.

Marco przyszedł kilka minut później i bracia powitali go jak członka rodziny.

–*La professoressa la sta aspettando* - powiedział jeden z nich. Nauczycielka już czeka.

Upadek na kamienistej ścieżce pod katedrą San Luca całkowicie ją odmienił. Lodowata obojętność zniknęła. Zniknął smutek, przynajmniej chwilowo. Uśmiechnęła się na jego widok, a nawet wzięła go za rękę, przyciągnęła bliżej i cmoknęła na powitanie w policzek. Znał ten zwyczaj już od dwóch miesięcy, ale jak dotąd nie miał okazji go wypraktykować; była to pierwsza rodowita Włoszka, z którą zawarł tak bliską znajomość. Wskazała mu krzesło dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie stołu. Natychmiast zakrzętnęli się wokół niego usłudźni bracia, zabierając mu kurtkę i proponując kawę. Byli ciekawi, jak wygląda lekcja włoskiego.

–Jak twoja noga? – spytał Marco i od razu popełnił błąd, bo odezwał się po angielsku.

Francesca przytknęła palce do ust i pokręciła głową.

–*Non inglese, Marco. Solamente italiano.* Nachmurzył czoło.

–Tego się obawiałem.

Noga bardzo ją bolała. Podczas oglądania telewizji czy czytania okładała kostkę lodem i opuchlizna już zniknęła. Do restauracji szła długo i powoli, ale najważniejsze, że w ogóle szła – musiała się ruszać. Matka kazała jej wziąć laskę. Laska okazała się pożyteczna, chociaż Francesca trochę się jej wstydziała.

Bracia podali więcej kawy i wody i upewniwszy się, że ich droga przyjaciółka i jej kanadyjski uczeń mają wszystko, co trzeba, niechętnie wycofali się pod drzwi.

–Jak mama? – spytał po włosku.

–Bardzo dobrze, jest bardzo zmęczona. Siedzi z Giovannim już od miesiąca i odciska to na niej swoje piętno.

Aha, a więc można już rozmawiać o Giovannim, skonstatował.

–A on? Jak się czuje?

–Ma nieoperowalnego raka. – Zanim zrozumiał, musiała powtórzyć to kilka razy. – Choruje prawie od roku i koniec jest bliski. Umiera. Jest nieprzytomny. Smutek i żal.

–Kim jest z zawodu, gdzie pracował?

–Przez wiele lat uczył historii średniowiecznej na uniwersytecie.

**Tam się poznali: ona była studentką, on jej profesorem. Był wtedy żonaty. Nie kochał żony. Miał z nią dwóch synów. Zakochali się w sobie i nawiązali romans, który trwał prawie dziesięć lat. Wtedy dostał rozwód i ożenił się z nią.**

–Dzieci? Nie, niestety – odparła ze smutkiem. Giovanni ma już dwoje i nie chciał więcej. Miała do niego o to żal, wielki żal.

Było oczywiste, że jej małżeństwo nie jest zbyt szczęśliwe. Zaczekaj tylko, aż opowiem ci o moim, pomyślał. Nie musiał czekać długo.

–Teraz ty opowiedz mi o sobie – rozkazała. – Mów wolno. Chcę, żebyś dobrze wszystko akcentował.

–Jestem kanadyjskim biznesmenem...

–Akurat. Jak ci na imię, ale tak naprawdę?

–Nie, nie powiem.

–Powiedz.

–Marco, przynajmniej na razie. Mam bogatą przeszłość i nie mogę o niej mówić.

–Dobrze. Masz dzieci?

No, tak... Długo o nich opowiadał. Jak mają na imię, ile mają lat, czym się zajmują gdzie mieszkają, mówił o ich żonach i dzieciach. Żeby ożywić wypowiedź, trochę zmyślał, ale dokonał niemałego cudu, żeby obraz jego rodziny był względnie normalny. Francesca słuchała z wytężoną uwagą, w każdej chwili gotowa wytknąć mu złą wymowę czy źle odmieniony czasownik. Jeden z braci przyniósł czekoladki. Krążył wokół stołu i krążył, wreszcie uśmiechnął się szeroko i powiedział:

–Bardzo dobrze mówi pan po włosku.

Po godzinie zaczęła się kręcić i było widać, że jest jej niewygodnie. W końcu przekonał ją, że powinna wrócić do domu, i z przyjemnością odprowadził ją na Via Minzoni. Szli pod rękę, najwolniej, jak się tylko dało. Ona nie chciała wracać, aby czuć przy umierającym mężu. On mógłby tak iść i iść, byle tylko móc jej dotykać, czuć, jak ona dotyka jego, byle tylko być z kimś, kto go potrzebuje.

Przed drzwiami mieszkania wymienili pożegnalne pocałunki i umówili się w Nino nazajutrz o tej samej godzinie, przy tym samym stoliku.

Jacy Hubbard spędził w Waszyngtonie prawie dwadzieścia pięć lat; ćwierć wieku rozrób na wysokim szczeblu w towarzystwie zdumiewająco długiego łańcuszka stale zmieniających się kochanek. Ostatnią była Mae Szun, absolutna piękność – metr

**osiemdziesiąt wzrostu, idealne rysy twarzy, śmiertelnie niebezpieczne czarne oczy i matowy głos, dzięki któremu bez najmniejszego trudu wyciągnęła go z baru i zaprowadziła do**

samochodu. Po godzinie ostrego seksu przekazała go Blacharzowi, który wykończył go i zostawił na grobie brata.

Ilekroć zachodziła konieczność wykorzystania seksu jako pułapki, Sam-my niemal zawsze zwracał się do niej. Byłaby świetną agentką i bez tej wspaniałej urody, lecz jej nogi i twarz przydawały jej smaczku, zabójczego co najmniej już trzykrotnie. Wezwał ją do Bolonii nie po to, żeby uwiodła ofiarę, ale po to, żeby trzymając się za rączkę z innym agentem, udawała szczęśliwą żonę turystkę. Co bynajmniej nie oznaczało, że uwiedzenie zupełnie nie wchodzi w grę. Zwłaszcza że mieli do czynienia z Backmanem. Ten biedaczyna przesiedział sześć lat w więzieniu, z dala od kobiet.

Mae zauważyła go w tłumie na Strada Maggiore; szedł w kierunku Via Fondazza. Z zadziwiającą zwinnością przyspieszyła kroku, wyjęła telefon komórkowy i wciąż udając znudzoną turystkę na zakupach, prawie zdołała go dogonić.

I nagle Backman zniknął. Skręcił w lewo, w wąską uliczkę Via Begatto, a zaraz potem w prawo, na północ, oddalając się od Via Fondazza. Zanim doszła do skrzyżowania, już go nie było.

## Rozdział 25

o Bolonii nareszcie zawitała wiosna. Przestał padać śnieg, ustały zamiecie. Poprzedniego dnia temperatura podskoczyła do dziesięciu stopni Celsjusza i gdy przed świtem wyszedł z domu, zastanowił się, czy zamiast kurtki nie włożyć czegoś lżejszego. Ale zrobiwszy kilka kroków pod portykami, uznał, że wciąż jest dość chłodno i postanowił się nie przebierać. Za dwie godziny i tak miał wrócić, więc w razie potrzeby mógł się przebrać wtedy. Schował ręce do kieszeni i poszedł na poranną przechadzkę.

Artykuł z „Timesa” – nie mógł myśleć o niczym innym. Jego nazwisko na pierwszej stronie gazety przywołało bolesne wspomnienia i już samo to wyprowadziłoby go z równowagi. Ale to, że zarzucili mu przekupienie prezydenta, aż prosiło się o zaskarżenie; w poprzednim życiu na pewno rozpoczęłyby dzień od wniesienia serii pozwów. I wkrótce przejąłby „New York Timesa”.



Ale pytania nie dawały mu spać. Zwrócił na siebie uwagę, jakie to będzie miało konsekwencje? Czy Luigi znowu wsadzi go do samochodu i gdzieś wywiezie?

I najważniejsze: czy dzisiaj groziło mu większe niebezpieczeństwo niż wczoraj?

Znakomicie dawał sobie radę w uroczym mieście, gdzie nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska. Gdzie nikt nie rozpoznawał jego twarzy. Gdzie nikogo nie obchodził. Bolończycy żyli własnym życiem, nie przeszkadzając innym.

Doszło do tego, że przestał rozpoznawać sam siebie. Co rano, po goleniu, wkładał okulary i czapkę z brązowego sztruksu, spoglądał w lustro i mówił „dzień dobry” Marcowi Lazzeriemu. Nalane policzki, podpuchnięte oczy i gęste, długie włosy już dawno odeszły w niepamięć. W niepamięć odeszły arogancja i złośliwy uśmiešek. Był teraz zwykłym, spokojnym przechodniem.

Żył z dnia na dzień i dni tych stale przybywało. Ci, którzy przeczytali artykuł w „Timesie”, nie wiedzieli, gdzie jest ani co robi.

Minąwszy mężczyznę w ciemnym garniturze, natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak. Garnitur rzucał się w oczy. Był zagraniczny, tani, kupiony w tanim sklepie, taki prosto z wieszaka, jeden z tych, jakie widywał codziennie dawno, dawno temu. I ta biała koszula – przez trzydzieści lat oglądał takie w Waszyngtonie. Chciał nawet wydać wewnętrzny zakaz ich noszenia, ale wyperswadował mu to Carl Pratt.

Nie wiedział, jakiego koloru jest krawat.

Takich garniturów nie widywało się pod portykami na Via Fondazza ani o świcie, ani o jakiegokolwiek innej porze. Zrobił jeszcze kilka kroków i zerknął przez ramię. Tamten szedł za nim. Biały, trzydzieści lat, krępy i atletycznie zbudowany. Nie miał z nim szans, nie pokonałby go w sprincie ani na pięści. Dlatego postanowił zastosować zupełnie inną taktykę. Zatrzymał się nagle, odwrócił i spytał:

–Życzy pan sobie czegoś? Na co ktoś inny odparł:

–Tutaj, Backman.

Backman. Aż go zmroziło. Na sekundę zmiękły mu nogi i opadły ramiona, i kilka razy musiał powtórzyć sobie w duchu, że to jednak nie sen. Mignęły mu przed oczyma wszystkie związane z tym słowem koszmary. Przerażało go własne nazwisko. Jakie to smutne.

Było ich dwóch. Ten drugi nadszedł z lewej, od Via Fondazza. Był w prawie identycznym garniturze, lecz w innej koszuli, też białej, ale takiej bez guzików na kołnierzyku. Poza tym był starszy, niższy i o wiele szczuplejszy od tamtego. Chudy i gruby. Flip i Flap.

–Czego chcecie?

Niespiesznie sięgnęli do kieszeni.

–FBI – odparł chudy. Amerykańszczyzna, najprawdopodobniej środkowy zachód.

–Akurat.

Jak nakazuje święty rytuał, machnęli mu przed oczami „blachami”, ale na ulicy było ciemno i nic nie mógł przeczytać; mdławne światło nad pobliskimi drzwiami pomagało tyle co nic.

–Nic nie widzę – powiedział.

–Chodźmy się przejść – rzucił ten gruby. Boston. Irlandczyk.

–Zabłądziliście? – Marco ani drgnął. Zresztą nie mógł, bo nogi miał jak z ołowiu.

–Nie, doskonale wiemy, gdzie jesteśmy.

–Wątpię. Macie nakaz?

–Nie potrzebujemy nakazu.

Gruby popełnił błąd: dotknął jego łokcia, jakby chciał pociągnąć go za sobą i Marco gwałtownie wyszarpnął rękę.

–Nie dotykaj mnie! Spadajcie, chłopcy. Nie możecie mnie tu aresztować. Możecie najwyżej pogadać.

–Świetnie, to pogadajmy – odparł ten chudy.

–Ale ja nie chcę gadać.

–Parę ulic dalej jest kawiarnia.

–No to bomba, idźcie na kawę. I na ciasteczko. Ale mnie zostawcie w spokoju.

**Flip i Flap popatrzyli na siebie i rozejrzeli się, nie wiedząc, co robić. Przejść do planu B? Tylko co ten plan zakładał?**

**Marco nie zamierzał nigdzie iść. Nie dlatego że pod portykami czuł się bezpiecznie, ale dlatego że niemal widział czekający za rogiem czarny samochód.**

**I gdzie, do diabła, był teraz Luigi? Czyżby on też należał do tej bandy?**

**Znaleźli go, zdemaskowali, wypowiedzieli na głos jego prawdziwe nazwisko. Tu, na Via Fondazza. Znowu będzie musiał wyjechać i zmienić kryjówkę.**

**Chudy postanowił przejąć inicjatywę.**

**–Dobrze, możemy załatwić to tutaj – powiedział. Chcą z panem pogadać. Tam, w Stanach.**

**–Może właśnie dlatego mnie tam nie ma.**

**–Prowadzimy śledztwo w sprawie ułaskawienia, które pan kupił.**

**–W takim razie marnujecie tylko czas i pieniądze. Ale kto by się temu dziwił.**

**–Chcemy spytać pana o szczegóły tej transakcji.**

**–Co za kretynizm – wypalił Marco, patrząc na chudego. Pierwszy raz od wielu lat znowu poczuł się jak Gracz łajający wyniosłego urzędasza czy niedorozwiniętego kongresmana. – FBI wydaje kupę forsy i wysyła do Włoch dwóch błaznów tylko po to, żeby zatrzymali mnie na ulicy i zarzucili pytaniami, na które nie odpowiedziałby nawet ostatni dureń. Wiecie co? Głupota z was bije, panowie. Wracajcie do domu i powiedzcie swojemu szefowi, że on też jest głupi. I jak już będziecie z nim rozmawiali, powtórzcie mu ode mnie, że proszę bardzo, niech dalej myśli, że kupiłem to ułaskawienie. Zmarnuje jeszcze więcej czasu i pieniędzy.**

**–A więc zaprzecza pan, że...**

**–Niczemu nie zaprzeczam. I niczego nie potwierdzam. W ogóle nic nie mówię z wyjątkiem tego, że mam przed sobą FBI w najgorszym wydaniu. Jesteście na głębokich wodach, chłopcy, i nie umiecie pływać.**

**W Stanach pewnie by go trochę przydusili, poszturchali, sklęli i po-obrażali. Ale tutaj, za granicą, na obcym terenie, nie wiedzieli, jak się zachować. Mieli go znaleźć i sprawdzić, czy rzeczywiście mieszka tam, gdzie mówili ci z CIA. Znaleźć, potrząsnąć nim trochę, nastraszyć i wypytać o przelewy i zagraniczne konta.**

**Wszystko mieli opracowane i wiele razy przećwiczone. Tymczasem pod ciemnymi portykami na Via Fondazza pan Lazzeri obracał ich plany w niwecz.**

**–Nie wyjedziemy z Bolonii, dopóki nie pogadamy – oświadczył ten gruby.**

**–Moje gratulacje, czekają was długie wakacje.**

**–Mamy rozkazy, panie Backman.**

**–Ja też.**

**–Chodzi tylko o kilka pytań...**

**–Z pytaniami idźcie do mojego adwokata. – Marco odwrócił się i ruszył w stronę domu.**

–Kto jest pana adwokatem?

–Carl Pratt.

Nie poszli za nim, ani drgnęli, więc przyspieszył kroku. Przeciął ulicę, zerknął na dom, ale nie zwolnił. Jeśli mimo wszystko zamierzali go śledzić, zwlekali trochę za długo. Skręciwszy w Via del Piombo, wiedział już, że go nie znajdą. To były teraz jego ulice, jego zaułki, ciemne bramy jego sklepików, które miały otworzyć się dopiero za trzy godziny.

Namierzyli go na Via Fondazza tylko dlatego, że znali jego adres.

Na południowo-zachodnim krańcu starówki, niedaleko Porto San Stefano, złapał autobus i pół godziny później wysiadł przed dworcem kolejowym w północnej części miasta. Tam złapał inny autobus i wrócił nim do śródmieścia. Pasażerów było coraz więcej; ranne ptaszki jechały już do pracy. Trzecim autobusem dotarł na drugi koniec Bolonii, aż do bramy Saragozza, i tam rozpoczął prawie czterokilometrową wspinaczkę na wzgórze San Luca. Przystanął dopiero pod czterechsetnym łukiem, żeby złapać oddech, obejrzeć się za siebie i sprawdzić, czy nikt się za nim nie czai. Ale nie, na ścieżce nie było nikogo, tak jak myślał.

Stopniowo zwolnił i po pięćdziesięciu pięciu minutach wędrówki znalazł się na szczycie. Wąską ścieżką obszedł katedrę i minąwszy miejsce, gdzie upadła Francesca, wreszcie usiadł na ławce, gdzie tamtego dnia na niego czekała. Poranny widok zapierał dech w piersi. Żeby ochłonać po wysiłku, zdjął kurtkę. Wzeszło już słońce, powietrze było lekkie, przejrzyste i najczystsze, jakim kiedykolwiek oddychał, więc długo siedział tam, patrząc na budzącą się do życia Bolonię.

Ta chwila samotności i bezpieczeństwa była dla niego bezcenna. Dlaczego nie mógł przychodzić tu codziennie i siedząc wysoko nad miastem, spokojnie pomyśleć czy poczytać gazetę? Albo zadzwonić do przyjaciela i zapytać go o najnowsze plotki.

Najpierw musiałby go znaleźć.

Było to marzenie, które nigdy się nie spełni.

Z prymitywnej komórki Luigiego zadzwonił do Ermanna i odwołał poranną lekcję. Potem zadzwonił do Luigiego i oznajmił, że nie ma ochoty na naukę.

–Coś się stało?

–Nie. Po prostu chcę odpocząć.

**-No dobrze, ale my mu płacimy. Musisz się uczyć.**

–Przestań, Luigi. Dziś się nie uczę.

–Nie podoba mi się to...

–A ja mam to gdzieś. Zawieś mnie w prawach ucznia. Wyrzuć mnie ze szkoły.

–Jesteś zdenerwowany?

–Nie, wcale. Jest piękny, wiosenny dzień i idę na długi spacer.

–Dokąd?

–Nie, nie, dzięki, wolę iść sam.

–A co z lunchem? Umawiamy się?

Z głodu ścisnęło go w żołądku. Lunch z Luigim był zawsze przepyszny, no i zawsze na jego koszt.

–Oczywiście.

–Dobrze. Pomyślę gdzie i oddzwonię.

–Czekam. *Ciao*.

Spotkali się o wpół do pierwszej w Caffè Atenę, starej, piwnicznej knajpce. Była tak mała, że stoliki prawie się ze sobą stykały. W przejściach uwijali się kelnerzy z tacami wysoko nad głową. Z kuchni krzyczał kucharz. W ciasnej, gwarnej i zadymionej salce roiło się od wygłodniałych gości, którzy jedząc, rozmawiali najgłośniej, jak się tylko dało. Luigi powiedział, że restauracja ma kilkaset lat, że zarezerwowanie stolika graniczy tu z cudem i że jedzenie jest oczywiście wspaniałe. Na przystawkę zaproponował półmisek *calamari*.

Po porannej pogawędce z samym sobą Marco postanowił nie mówić mu o spotkaniu z agentami FBI. A przynajmniej nie tego dnia, nie w trakcie lunchu. Nie wykluczał, że powie mu o tym nazajutrz albo za dwa dni, ale w tej chwili wciąż miał w głowie mętlik. Głównym powodem takiej, a nie innej decyzji było to, że nie chciał się znowu pakować i uciekać, nie na jego warunkach.

Jeśli już miałby uciekać, to sam.

Nie miał pojęcia, jakim cudem agenci FBI znaleźli się w Bolonii bez wiedzy Luigiego i jego szefów. Przypuszczał, że Luigi nic o tym nie wie. Sprawiał wrażenie, że bardziej



obchodzą go menu i karta win. Życie było w porządku. Nie działo się nic nadzwyczajnego.

I wtedy zgasło światło. W Caffè Atenę zapadła kompletna ciemność i w tym samym momencie kelner niosący tacę z czymś lunchem wpadł na ich stolik, krzycząc, klnąc i przygniatając ich swoim ciałem. Nogi wysłużonego stolika pękły i blat ciężko wylądował na kolanach Marca, któ-

ry w tej samej sekundzie oberwał w ramię od kogoś. Zewsząd buchnął wrzask. Z brzękiem posypało się szkło. Ktoś kogoś popchnął, z kuchni rozległ się krzyk:

–Pali się!

Wpadli na schody, a potem bez najmniejszych obrażeń, wybiegli na ulicę. Jako ostatni wybiegł Marco, który szukając swojej torby, ledwo uniknął stratowania. Jak zwykle powiesił ją na oparciu krzesła tak blisko, że czuł jej dotyk. Zniknęła w zamieszaniu.

Włosi stali na chodniku i z niedowierzaniem patrzyli na wejście do restauracji. Został tam ich niedojedzony lunch, który pewnie leżał teraz gdzieś na podłodze. Po kilku minutach zza otwartych drzwi wypłynęła smużka jasnego dymu. Zobaczyli kelnera, który szalał z gaśnicą między stolikami najbliższej wejścia. Po chwili dymu przybyło, ale niedużo.

–Zgubiłem torbę – powiedział Marco.

–Tę granatową? spytał Luigi.

A ile ja mam toreb, staruszkę?

–Tak. – Marco zaczynał już podejrzewać, że ją skradziono. Nadszedł wóz straży pożarnej, mały, za to z koszmarnie głośną syreną, która nie przestała wycić nawet wtedy, gdy strażacy wbiegli do restauracji. Mijały minuty i Włosi zaczęli się powoli rozchodzić. Ci najbardziej zdecydowani postanowili zjeść lunch gdzie indziej, dopóki mieli jeszcze czas. Pozostali po prostu gapili się, narzekając na tę potworną niesprawiedliwość.

Syrena w końcu umilkła. Pożar najwyraźniej ugaszono i nawet nie trzeba było zalewać wodą całej restauracji. Nikt się zanadto nie przestraszył i po godzinie rozmów i dyskusji sytuacja została opanowana.

–Fajczyło się coś w ubikacji! – krzyknął kelner do jednego z osłabionych, bo nie nakarmionych gości. Zapłonęło światło.

Pozwolono im wrócić po płaszcze. Wrócili też ci, którzy poszli zjeść gdzie indziej, ale zostawili tu swoje rzeczy. Marco i Luigi szukali torby. Luigi bardzo pomógł. Zamienił kilka słów z szefem sali i już po chwili do akcji poszukiwawczej włączył się cały personel. W gwarze podekscytowanych głosów Marco usłyszał, jak szef mówi coś o „bombie dymnej”.

**Torba zniknęła.**

**Zjedli *panino* i wypili piwo w słonecznym ogródku pobliskiej kafejki, skąd mogli obserwować przechodzące obok piękne dziewczyny. Marco**

cały czas myślał o kradzieży, lecz robił wszystko, żeby tego nie okazywać.

–Przykro mi – rzucił w pewnym momencie Luigi. – Szkoda torby.

–Nic się nie stało.

–Dam ci inną komórkę.

–Dzięki.

–Co jeszcze w niej miałeś?

–W torbie? Nic. Plan miasta, aspirynę, parę euro.

Zellman i Krater byli już w hotelu kilka ulic dalej. Otwarta torba leżała na łóżku, a tuż obok leżała jej starannie poukładana zawartość. Nie licząc telefonu marki Ankyo, były tam dwa plany miasta, obydwie mocno podniszczone i poznaczone – niestety, niewiele mogli się z nich dowiedzieć -aspiryna oraz podręcznik obsługi telefonu.

Zellman, spec od komputerów, podłączył Ankyo do sieci i zaczął przeglądać menu.

–Świetna rzecz - orzekł z podziwem. – Absolutnie najnowsza zabawka na rynku.

Nie zdziwił się, gdy zatrzymało go hasło. Będą musieli zawieźć to cacko do Langley i rozebrać je tam na czynniki pierwsze. Włączył laptop i napisał e-mail do Julii Javier, przekazując jej numer seryjny aparatu i garść innych informacji.

Dwie godziny po kradzieży, w samochodzie na parkingu w centrum handlowym przy Russell Road na przedmieściach Alexandrii siedział agent CIA. Czekał na otwarcie sklepu Charter, tego z telefonami.

## Rozdział 26

bserwował ją z oddali, gdy podpierając się laską, dzielnie kuśtykała chodnikiem na Via Minzoni. Poszedł za nią i już wkrótce dzieliło ich tylko siedem, osiem metrów. Była w botkach z brązowego zamszu i na pewno włożyła je, żeby usztywnić nogę w kostce. Botki miały niski obcas. Płaskie byłyby wygodniejsze, ale dla Włoszki liczyła się przede wszystkim moda. Jasnobrązowa spódnica do kolan, do tego obcisły sweter z jaskrawoczerwonej wełny: pierwszy raz widział ją w tak lekkim stroju. Nieokutaną płaszczem ukrywającym jej zgrabną figurę.

Szła ostrożnie, lekko kulejąc. Ostrożnie, lecz z determinacją, która podniosła go na duchu. Umówili się tylko na kawę, na kawę i parę godzin włoskiego. Ubrała się tak dla niego!

I dla pieniędzy.

Myślał o tym przez chwilę. Bez względu na brak pracy i tragiczną sytuację rodzinną, potrafiła elegancko się ubrać i utrzymać pięknie urządzone mieszkanie. Giovanni był profesorem. Może przez lata pilnie oszczędzał, a teraz wszystkie oszczędności pochłonęła choroba.

Nieważne. Miał swoje kłopoty. Właśnie stracił czterysta dolarów w gotówce, jedyny pomost łączący go ze światem zewnętrznym. Spotkał ludzi, którzy nie powinni byli wiedzieć, gdzie jest, nie powinni znać jego adresu. Dziewięć godzin temu ktoś wypowiedział na głos jego prawdziwe nazwisko na Via Fondazza.

Zwolnił kroku i zaczekał, aż Francesca wejdzie do Nino, gdzie bracia powitali ją jak ukochanego członka rodziny. Potem pokręcił się trochę po okolicy, żeby mogli ją posadzić, podać jej kawę i trochę poplotkować. Gdy dziesięć minut później stanął w drzwiach restauracji, najmłodszy syn Nina objął go na niedźwiedzia i serdecznie wyściskał. Przyjaciel Franceski był ich przyjacielem, i to na całe życie.

Jej nastrój zmieniał się tak często, że Marco nigdy nie wiedział, czego oczekiwać. Wciąż wruszało go ciepło, z jakim rozmawiała z nim poprzedniego dnia, lecz ciepło to mogło w każdej chwili ustąpić miejsca chłodnej obojętności. Gdy z uśmiechem chwyciła go za rękę i cmoknęła w policzek, wiedział już, że lekcja będzie największą atrakcją doszczętnie zepsutego dnia.

Kiedy zostali wreszcie sami, spytał ją o męża. Nic się nie zmieniło.

–To kwestia dni – odparła bez emocji, jakby pogodziwszy się z jego

śmiercią, była gotowa go oplakiwać.

Potem spytał o matkę, o signorę Altonelli, i złożyła mu pełny raport. Właśnie piekła ciasto z gruszkami, ulubione ciasto Giovanniego, na wypadek, gdyby poczuł zapach z kuchni.

–A ty? – spytała. – Co dzisiaj robiłeś?

Nie sposób było wymyślić gorszego ciągu wydarzeń, poczynając od wstrząsu, jakim było to, że ktoś wypowiedział na ulicy jego prawdziwe nazwisko, po starannie

zaplanowaną kradzież w restauracji. Gorszego dnia nie mógł sobie wyobrazić.

–Miałem ekscytujący lunch – odparł.

–Opowiedz.

Opisał jej wyprawę na wzgórze San Luca do miejsca, gdzie upadła i do jej ławki. Opisał widok, jaki roztaczał się ze szczytu, powiedział, że odwołał lekcję z Ermannem i że podczas lunchu z Luigim w Caffè Atene wybuchł pożar. O torbie nie wspomniał. Zauważyła jej brak, dopiero gdy skończył mówić.

–Bologna to spokojne miasto – odrzekła na wpół przepraszająco. –

Znam tę restaurację. Złodzieje tam nie przychodzą.

Chciał powiedzieć, że to raczej nie Włosi go okradli, ale tylko kiwnął głową. Do czego ten świat zmierza?

Gdy skończyli rozmawiać o niczym, przeszła do rzeczy i jak na surową panią profesor przystało, oznajmiła, że ma ochotę na czasowniki. On ochoty nie miał, ale to się nie liczyło. Najpierw wymagała go czasem przyszłym *abitare* (mieszkać) i *vedere* (widzieć). Potem kazała mu używać tych czasowników w zdaniach, w dziesiątkach niezwiązanych ze sobą zdań we wszystkich możliwych czasach. Skupiona jak nigdy dotąd, wytykała mu każdy źle położony akcent. Za każdy błąd gramatyczny dawała mu natychmiast reprimendę, jakby obraził całe Włochy.

Spędziła cały dzień w mieszkaniu z umierającym mężem i wiecznie krzątającą się matką. Lekcja była dla niej jedyną okazją do wyżycia się, do uwolnienia nadmiaru energii. Natomiast on leciał z nóg. Dopadł go stres, lecz dzięki jej wysokim wymaganiom szybko zapomniał o zmęczeniu i dręczących go od lunchu myślach. Godzina szybko minęła. Podła-dowali akumulatory kawą i Francesca zagłębiła się w mroczny i trudny świat trybu łączącego w czasie teraźniejszym, przeszłym niedokonanym i zaprzeszłym. Tu poległ. Próbowwała go pocieszyć, zapewniając, że na tym wyklada się prawie każdy uczeń. Ale on był już zbyt wyczerpany i zrezygnowany.

Poddał się po dwóch godzinach ostrego wycisku. Był kompletnie wypluty i miał ochotę na długi spacer. Pożegnanie z braćmi trwało dobry kwadrans, a potem z wielką chęcią odprowadził ją do domu. Objęli się, pocałowali w policzek i umówili na kolejną lekcję.

Gdyby szedł prosto do siebie, droga powrotna do domu zajęłaby mu dwadzieścia pięć minut. Ale on już od ponad miesiąca nigdy tak nie chodził.

Tego dnia też zaczął kluczyć.

O czwartej po południu w różnych punktach obserwacyjnych na Via Fondazza czuwało ośmiu członków kidonu: jeden pił kawę w kawiarnianym ogródku, trzech spacerowało, inny jeździł w tę i z powrotem skuterem, jeszcze inny wyglądał przez okno na drugim piętrze.

Kilkaset metrów dalej, na granicy starówki i śródmieścia, w mieszkaniu nad sklepikiem pewnego starego Żyda, czterech pozostałych grało w karty i nerwowo czekało. Jeden z nich, Ari, był jednym z najlepszych śledczych Mosadu, specjalistą od przesłuchań w języku angielskim.

Grali i prawie się do siebie nie odzywali. Czekala ich długa, nieprzyjemna noc.

Przez cały dzień dręczyła go niepewność: wracać na Via Fondazza czy nie? Mogli tam być ci z FBI, mogli znowu na niego czyhać. Był pewien, że tym razem nie dadzą się tak łatwo spławić. Że nie powiedzą: „To by było na tyle”. Nie wsiądą do samolotu i nie wrócą do Stanów. W Stanach czekali na nich przełożeni, a przełożeni żądali efektów.

Całkowitej pewności nie miał, miał za to silne przeczucie, że za kradzieżą torby stoi Luigi. Pożar w Caffè Atenę nie był tak naprawdę pożarem, tylko sposobem na odwrócenie uwagi i pretekstem do zgaszenia światła, żeby ktoś mógł zwinąć torbę.

Nie, nie ufał Luigiemu, bo nie ufał już nikomu.

A więc odebrali mu jego mały, śliczny telefonik... W elektronicznych wnętrznościach aparatu tkwiły kody Neala. Mogli je złamać? Mogli namierzyć jego syna? Nie miał zielonego pojęcia, jak to wszystko działa, co mogą, a czego nie.

Ogarnęła go przemożna chęć ucieczki. Dokąd uciec i jak, tego jeszcze nie rozpracował, ale wiedział, że uciec musi. Idąc, czuł się niemal bezbronny, jakby wystawiono go na odstrzał. Każdy zerkający na niego przechodzień był kimś, kto zna jego prawdziwe nazwisko. Na zatłoczonym przystanku wepchnął się bez kolejki do autobusu, nie wiedząc, dokąd chce jechać. Autobus był pełen ludzi wracających z pracy. Znużeni stali ramię przy ramieniu, podskakując na wybojach. On patrzył w okno. Obserwował przechodniów pod cudownie zatłoczonymi portykami śródmieścia.

Wysiadł tuż przed zamknięciem drzwi. Skręcił w Via San Vitale, przeszedł trzy ulice i zobaczył kolejny przystanek autobusowy. Krążył tak po mieście prawie godzinę, wreszcie wysiadł w pobliżu dworca kolejowego.



Wmieszał się w tłum i nagle przebiegł na drugą stronę Via deli'Indipendenza, na dworzec autobusowy. Znalazł tablicę z rozkładem jazdy i stwierdził, że za dziesięć minut odjeżdża autobus do Piacenzy; pięć przystanków, półtorej godziny jazdy. Kupił bilet za trzydzieści euro i aż do chwili odjazdu ukrywał się w toalecie. Autobus był prawie pełny. Szerokie siedzenia miały wysoki zagłówek i gdy jechali powoli przez zatłoczone ulice, omal nie zasnął. Nie, tylko nie to. Spanie nie wchodziło w rachubę.

No i proszę. Oto uciekał, robił coś, co chciał zrobić od pierwszego dnia w Bolonii. Wyraźnie czuł, że aby przeżyć, musi zniknąć, zostawić Luigiego i zacząć sobie radzić samemu. Często się zastanawiał, jak i kiedy ucieknie. Co będzie tego bezpośrednim powodem? Czyjaś twarz? Jakaś pogróżka? Ucieknie autobusem, pociągiem, taksówką czy samolotem? Dokąd pojedzie? Gdzie się ukryje? Czy poradzi sobie z podstawową znajomością włoskiego? Ile będzie miał wtedy pieniędzy?

No i teraz uciekał. Stało się. Nie było odwrotu.

Pierwszy przystanek, Bazzano, mała wioska piętnaście kilometrów na zachód od Bolonii. Wsiadł i już nie wsiadł. Znowu ukrył się w dworcowej toalecie, zaczekał, aż autobus odjedzie, wszedł do baru po drugiej stronie ulicy, zamówił piwo i spytał barmana o najbliższy hotel.

Przy drugim piwie spytał o dworzec kolejowy i dowiedział się, że w Bazzano takiego nie ma. Był tylko autobusowy.

Hotel Cantino stał w środku wioski, pięć, sześć ulic dalej. Było już ciemno, gdy wszedł do recepcji bez żadnego bagażu, co nie uszło uwagi siedzącej za ladą signory.

–Chciałbym wynająć pokój – powiedział po włosku.

–Na jak długo?

–Na jedną noc.

–Pokój kosztuje pięćdziesiąt pięć euro.

–Dobrze.

–Paszport proszę.

–Nie mam, zgubiłem.

Jej starannie wyskubane i poczernione brwi podejrzliwie podjechały do góry.

**Pokręciła głową.**

**–Przykro mi.**

**Położył na ladzie dwieście euro. Oczywista próba przekupstwa: weź kasę, daj klucz i nie każ mi wypełniać żadnych papierków. Brwi podjechały jeszcze wyżej.**

–Musiał pan mieć paszport. – Signora założyła ręce na piersiach i sztywno zadarła głowę, gotowa na dalszą wymianę zdań. Przegrać? Nigdy.

Długo włóczył się ulicami obcego miasta. Wszedł do jakiegoś baru i zamówił kawę; koniec z alkoholem, musiał zachować trzeźwy umysł.

–Gdzie tu jest postój taksówek? – spytał barmana.

–Na dworcu autobusowym.

Dziewiąta wieczorem. Luigi krążył po mieszkaniu, czekając na powrót Marca. Zadzwoił do Franceski, która zameldowała, że uczyli się po południu i że była to jedna z ich najmielszych lekcji. No to bomba, pomyślał.

Zniknięcie Marca było częścią planu, ale Whitaker i ci z Langley myśleli, że dojdzie do tego dopiero za kilka dni. Czyżby to już? Tak szybko? W pobliżu czekało pięciu agentów: Luigi, Zellman, Krater i dwóch z Mediolanu.

Zawsze twierdził, że plan jest do kitu. Że w mieście takim jak Bolonia nie sposób jest obserwować kogoś przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dowodził, częstokroć niemal krzykiem, że pian wypaliłby tylko wtedy, gdyby przerzucili Backmana do małej wioski, gdzie miałyby ograniczone ruchy, a tym samym ograniczone pole manewru, i gdzie jego ewentualni goście rzucaliby się w oczy. I tak miało być, ale ci z Waszyngtonu wszystko nagle pozmieniali.

Dwanaście po dziewiątej cicho zadzwonił dzwonek. Luigi wpadł do kuchni i spojrzał na monitor. Wrócił Marco. Właśnie otwierał frontowe drzwi. Luigi przeniósł wzrok na ekran monitora z obrazem z kamery zamontowanej w suficie saloniku.

Marco? Nie, to nie on. To dwóch obcych mężczyzn. Trzydzieści kilka lat, nie rzucające się w oczy ubranie. Ot, zwykli faceci. Drzwi zamknęły szybko i po cichu, jak zawodowcy, a potem zaczęli rozglądać się po mieszkaniu. Jeden z nich miał małą, czarną torbę.

Byli dobrzy, bardzo dobrzy. Musieli być dobrzy, inaczej nie otworzyliby tak szybko zamka.

Luigi uśmiechnął się. Był coraz bardziej podekscytowany. Przy odrobinie szczęścia kamery pokażą, jak tamci chwytają i obezwładniają Marca. Może nawet pokażą, jak zabijają go w saloniku. Może jednak plan wypali.

**Włączył mikrofony i podkreślił dźwięk. Najważniejszy był język. Skąd są ci faceci? Po jakimu mówią? Ale z mieszkania nie dochodził żaden**

odgłos. Tamci poruszali się bezszelestnie. Parę razy coś szepnęli, ale tak cicho, że prawie niesłyszalnie.

## Rozdział 27

aksówka zatrzymała się gwałtownie niedaleko dworca kolejowego przy Via Gramsci. Marco zapłacił, wysiadł, zanurkował między parkującymi samochodami i zniknął w ciemności. Ucieczka z Bolonii trwała bardzo krótko, ale jeszcze się nie skończyła. Odruchowo zaczął lawirować i zataczać kręgi, sprawdzając, czy nikt za nim nie idzie.

Na Via Minzoni szybko wszedł pod portyki i zatrzymał się dopiero przed drzwiami jej domu. Zastanowić się? Wahać? Przemyśleć to jeszcze raz? Nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Zadzwoił dwa razy z rozpaczliwą nadzieją, że odezwie się Francesca, a nie signora Altonelli.

–Kto tam? – Ten uroczy głos.

–To ja, Marco. Potrzebuję pomocy. Krótka pauza.

–Proszę, wejdź.

Otworzyła mu i zaprosiła do środka. Ku jego przerażeniu wciąż była tam jej matka – stała w kuchennych drzwiach ze ścierką w rękę i uważnie mu się przyglądała.

–Co się stało? – spytała po włosku Francesca.

–Możemy po angielsku? Proszę. – Posłał matce uśmiech.

–Tak, naturalnie.

–Szukam noclegu. Nie mogę wynająć pokoju, bo nie mam paszportu. Nie mogłem nawet przekupić recepcjonistki.

–W Europie przestrzega się prawa.

–Tak, teraz już wiem.

Wskazała mu sofę i poprosiła matkę, żeby zrobiła im kawy. Usiedli. Była boso i chodziła bez laski, chociaż wciąż utykała. Miała na sobie obcisłe dzinsy i luźny sweter i wyglądała prześlicznie, jak studentka.

–Co się tu dzieje? Dlaczego nie chcesz powiedzieć mi prawdy?

**–Nie mogę, to skomplikowana historia. Powiedzmy, że nie czuję się tu bezpiecznie, że muszę jak najszybciej wyjechać z Bolonii.**

**–Ale dokąd?**

–Nie wiem. Za granicę. Jak najdalej stąd, jak najdalej od Europy, gdzieś, gdzie będę mógł się ukryć.

–Na jak długo?

–Na długo. Nie wiem na ile.

Przeszywała go zimnym spojrzeniem, nawet nie mrugnęła. On patrzył na nią, bo nawet kiedy miała chłód w oczach, były to oczy przepiękne.

–Kim ty właściwie jesteś?

–Na pewno nie Markiem Lazzerim.

–Od czego uciekasz?

–Od przeszłości, ale ona szybko mnie dogania. Nie, nie jestem przestępcą, Francesco. Kiedyś byłem prawnikiem. Wpakowałem się w kłopoty. Siedziałem w więzieniu. Ułaskawiono mnie. Nie jestem złym człowiekiem.

–W takim razie dlaczego cię ścigają?

–Chodzi o pewien interes sprzed sześciu lat. Niektórzy nie są zadowoleni z jego wyniku. Uważają, że nie poszło im przeze mnie. Chcą mnie znaleźć...

–I zabić?

–Tak.

–To wszystko jest takie zagmatwane... Dlaczego tu przyjechałeś? Dlaczego Luigi ci pomógł? Dlaczego płaci Ermannowi i mnie? Nie rozumiem.

–Ja też nie. Dwa miesiące temu siedziałem w więzieniu i myślałem, że posiedzę tam jeszcze czternaście lat. I nagle mnie wypuścili. Dali mi nowe nazwisko, przywieźli do Włoch, ukryli najpierw w Trevis, a teraz tutaj, w Bolonii. Myślę, że chcą mnie tu wykończyć.

–Tutaj? W Bolonii?

Kiwnął głową i spojrzał na kuchenne drzwi, w których stanęła signora Altonelli z kawą i jeszcze nie pokrojonym ciastem gruszkowym. Gdy delikatnie położyła kawałek na talerzyku, uświadomił sobie, że od lunchu nic nie jadł.

**Lunch z Luigim. Lunch, fałszywy pożar i skradziony telefon. Znowu pomyślał o Nealu. Martwił się o jego bezpieczeństwo.**

**–Pyszne – powiedział po włosku.**

**Francesca nie jadła. Obserwowała każdy jego ruch, każdy wkładany do ust kęs, każdy łyk kawy.**

**–Dla kogo pracuje Luigi? – spytała, gdy matka wyszła do kuchni.**



**–Nie jestem pewien. Prawdopodobnie dla CIA. Wiesz, co to jest CIA?**

**–Tak. Czytuję powieści szpiegowskie. To oni cię tu ukryli?**

**–Myślę, że wyciągnęli mnie z więzienia, wywieźli z kraju, przywieźli tutaj i dali mieszkanie, a teraz główkują, co ze mną zrobić.**

**–Zabiją cię?**

**–Możliwe.**

**–Luigi?**

**–To niewykluczone.**

**Odstawiła filiżankę i przez chwilę bawiła się kosmykiem włosów.**

**–Chcesz wody? – spytała, wstając.**

**–Nie, dzięki.**

**–Muszę się trochę poruszać. – Przenosząc ciężar ciała na lewą nogę, powoli wyszła do kuchni, gdzie początkowo panowała cisza, a potem wybuchła awantura. Ona i matka zażarcie się o coś kłóciły, ale ze względu na niego musiały rozmawiać głośnym, spiętym szeptem.**

**Sprzeczka trwała przez kilka minut, potem ucichła, by już po chwili rozgorzeć na nowo; wyglądało na to, że żadna ze stron nie chce ustąpić. Wreszcie Francesca wróciła z butelką San Pellegrino.**

**–Co się stało? – spytał, gdy usiadła.**

**–Powiedziała mamie, że chcesz tu spać. Źle mnie zrozumiała.**

**–Daj spokój. Mogę przespać się w garderobie, wszystko mi jedno.**

**–Mama jest bardzo staromodna.**

**–Będzie tu nocowała?**

**–Teraz na pewno.**

**–Daj mi tylko poduszkę. Zdrzemnę się z głową na stole.**

**Signora Altonelli była zupełnie inną osobą, gdy przyszła zabrać tacę. Łypała spod łba na niego – jakby w tym czasie zdążył już dobrać się do jej córki, a na córkę – jakby zamierzała ją spoliczkować. Przez kilka minut głośno pofukiwała w kuchni, wreszcie zniknęła w głębi mieszkania.**

**–Chce ci się spać? – spytała Francesca.**

**–Nie. A tobie?**

**–Też nie. Porozmawiajmy.**

**–Dobrze.**

**–Opowiadaj. Wszystko.**

**Spał tylko parę godzin – na sofie – bo potrząsnęła go za ramię i obudziła.**

**–Mam pomysł – szepnęła. – Chodź.**

Kuchenny zegar wskazywał kwadrans po czwartej. Na blacie przy zlewie zobaczył jednorazową maszynkę do golenia, piankę, okulary i butelkę czegoś do włosów; nie wiedział czego, bo nie umiał tego przetłumaczyć. Podała mu książeczkę oprawioną w ciemnoczerwoną skórę.

–Paszport Giovanniego – powiedziała. Omal go nie upuścił.

–Nie, przestań, nie mogę...

–Możesz. Jemu nie będzie już potrzebny. Nalegam.

Powoli otworzył paszport i spojrzał na dystygowaną twarz człowieka, którego nie dane mu było poznać. Data ważności mijała za siedem miesięcy, więc zdjęcie zrobiono prawie przed pięcioma laty. Odszukał datę urodzenia – Giovanni miał sześćdziesiąt osiem lat. Był co najmniej dwadzieścia lat starszy od swojej żony.

W drodze powrotnej z Bazzano cały czas myślał o paszporcie. Ukraść go jakiemuś niczego nie podejrzewającemu turyście? Kupić na czarnym rynku? Tylko jak ten rynek znaleźć? Zastanawiał się też nad paszportem Giovanniego, który, co smutne, miał wkrótce stać się bezużyteczny. Ostatecznie i nieodwracalnie.

Ale szybko odpędził tę myśl, nie chcąc narażać Franceski. Bo co by było, gdyby go złapano? Co by było, gdyby jakiś urzędnik na lotnisku nabrał podejrzeń i wezwał przełożonych? Ale najbardziej bał się tego, że dopadną go ci, którzy go ścigali. Paszport Giovanniego mógł ją w to wmieszać, a tego nie chciał.

–Jesteś tego pewna? – Teraz, gdy miał już paszport w ręku, bardzo chciał go zatrzymać.

–Marco, proszę, chcę ci pomóc. Giovanni też by chciał.

–Nie wiem, co powiedzieć.

–Czeka nas dużo roboty. Za dwie godziny odjeżdża autobus do Parmy. Autobusem będzie najbezpieczniej.

–Chcę się dostać do Mediolanu.

–Dobry pomysł.

Otworzyła paszport i przyjrzeni się zdjęciu.

–Zacznijmy od tego czegoś wokół ust – zaproponowała.

**Dziesięć minut później, po starannym ogoleniu, nie miał już ani wąsów, ani bródki. Podsunęła mu lusterko. Sześćdziesięcioośmioletni Giovanni miał włosy mniej przyprószone siwizną niż pięćdziesięciodwuletni Marco, no, ale on nie przesiedział sześciu lat w więzieniu federalnym.**

Przypuszczał, że w butelce była farba do włosów, ale nie zamierzał o to pytać. Tak czy inaczej, napis na etykietce obiecywał trwały efekt po godzinie od nałożenia. Siedział na krześle twarzą do stołu z ręcznikiem na ramionach, a ona delikatnie wcierała mu to coś we włosy. Prawie nie rozmawiali. Jej matka spała. Nafaszerowany lekarami mąż leżał cicho i bez ruchu.

Jeszcze nie tak dawno nosił okrągłe okulary w szylkretowych oprawkach, jasnobrązowych, takich profesorskich, i gdy Marco je włożył, zdumiało go, jak bardzo odmieniły mu twarz. Włosy miał teraz o wiele ciemniejsze, oczy zupełnie inne. Z trudem rozpoznał sam siebie.

–Nieźle – oceniła Francesca. - Na jakiś czas wystarczy.

Przyniosła granatową marynarkę z łatkami na łokciach.

–Giovanni jest pięć centymetrów niższy – powiedziała. Marynarka miała przykrótkie rękawy i powinna go opinać, ale Marco tak bardzo schudł, że wszedłby w każdą.

–Jak ci na imię? – spytała, obciągając mu rękawy i poprawiając kołnierzyk. – Ale tak naprawdę.

–Joel.

–Powinieneś mieć teczkę. Będzie lepiej wyglądało.

Nie mógł się z tym nie zgodzić. Jej hojność przytłaczała go i oszałamiała, lecz była mu piekielnie potrzebna. Francesca wyszła i wróciła z piękną, starą teczką z brązowej skóry, taką ze srebrzystą klamrą.

–Nie wiem, co powiedzieć – wymamrotał.

–Jego ulubiona. Podarowałam mu ją dwadzieścia lat temu. To włoska skóra.

–Tak, widzę.

–Jeśli złapią cię z tym paszportem, co im powiesz?

–Że go ukradłem. Jesteś moją korepetytorką. Byłem u ciebie w domu. Znalazłem szufladę z dokumentami i ukradłem.

–Umiesz kłamać.

–Kiedyś byłem w tym nie do pobicia. Francesco, jeśli mnie złapią, będę cię chronił

**za wszelką cenę. Przyrzekam. Nawtykam im takich kłamstw, że zgłupieją.**

**–Nikt cię nie złapie. Ale staraj się jak najmniej korzystać z paszportu.**

**–Nie martw się. Zniszczę go, gdy tylko będę mógł.**

**–Potrzebujesz pieniędzy?**

**–Nie.**

**–Na pewno? Mam tysiąc euro.**

–Nie, nie, ale wielkie dzięki.

–Lepiej się pospiesz.

Odprowadziła go do drzwi. Tam przystanęli i popatrzyli na siebie.

–Często zaglądasz do Internetu?

–Codziennie, chociaż na chwilę.

–Joel Backman. Poszukaj tego nazwiska. Zaczynij od „Washington Post”. Znajdziesz tam mnóstwo rzeczy, ale nie wierz we wszystko, co przeczytasz. Zrobili ze mnie potwora.

–Ty nie jesteś potworem, Joel.

–Nie wiem, jak ci dziękować.

Ścisnęła go za rękę.

–Wrócisz kiedyś do Bolonii? – Zabrzmiało to jak zaproszenie, nie jak pytanie.

–Nie wiem, Francesco. Naprawdę nie wiem, co mnie czeka. Ale gdybym wrócił, mogę zapukać do twoich drzwi?

–Koniecznie. Uważaj na siebie.

Przez kilka minut stał na pogrążonej w mroku Via Minzoni, nie chcąc odchodzić, nie wiedząc, czy jest gotowy do długiej podróży.

Nagle pod ciemnym portykiem ktoś cicho zakaszlał i Giovanni Ferro rozpoczął ucieczkę.

## Rozdział 28

zas płynął nieznośnie wolno i niepokój zaczynał stopniowo przechodzić w panikę. Zdarzyła się jedna z dwóch rzeczy: Marco albo już nie żył, albo zwierzył coś i zwiął. Martwiła go ta skradziona torba. Czyżby przesadzili? Wystraszyli go do tego stopnia, że postanowił dać nogę?

No i ten telefon. Przeżyli wstrząs. Ich podopieczny nie tylko uczył się włoskiego i spacerował, zaliczając wszystkie kawiarnie i bary w mieście. Ich podopieczny coś

**planował i utrzymywał z kimś kontakt.**

**Telefon był teraz w podziemiach ambasady amerykańskiej w Mediolanie i według Whitakera, z którym rozmawiał mniej więcej co kwadrans, technicy rozkładali ręce. Kody były nie do złamania.**

**Kilka minut po północy intruzi zmęczeni się czekaniem. Wychodząc, zamienili kilka słów na tyle głośno, że zdołał je nagrać. Rozmawiali po**



angielsku, po angielsku ze śladem obcego akcentu. Natychmiast zadzwonił do Whitakera i zameldował, że są najprawdopodobniej z Izraela.

I miał rację. Na rozkaz Efraima agenci opuścili mieszkanie i zajęli umówione pozycje.

Po ich wyjściu Luigi postanowił wysłać Kratera na dworzec autobusowy, a Zellmana na kolejowy. Bez paszportu Marco nie mógł kupić biletu na samolot, tak więc lotnisko mogli sobie odpuścić. Z drugiej strony, jak sam przekonywał Whitakera, jeśli potrafił kupić supernowoczesny telefon, który kosztował pewnie z tysiąc dolarów, niewykluczone że załatwił sobie i paszport.

O trzeciej nad ranem Whitaker zaczął wrzeszczeć na niego z Mediolanu, a ponieważ ze względów bezpieczeństwa on wrzeszczeć nie mógł, w odpowiedzi klął to po angielsku, to po włosku.

–Cholera jasna, zgubiliście go!

–Jeszcze nie!

–Już po nim!

Po raz trzeci tej nocy Luigi trzasnął słuchawką. Członkowie kidonu wycofali się o trzeciej. Zamierzali się przespać, a potem zaplanować dzień.

Siedział z jakimś włóczęgą na ławce w parku niedaleko dworca autobusowego na Via deli' Indipendenza. Przez całą noc włóczęga czule tulił do siebie słoik z różową cieczą i co kilka minut z trudem podnosił głowę, żeby wybełkotać coś do oddalonego o półtora metra Marca. W odpowiedzi Marco bełkotał coś do niego i chyba sprawiał mu tym przyjemność. Jego dwaj zalani w trupa koledzy – leżeli za ławką – wyglądali jak w śpiączce albo jak martwi żołnierze w okopie. Marco nie czuł się wśród nich bezpiecznie, ale miał na głowie ważniejsze sprawy.

Przed dworcem snuła się garstka ludzi. O wpół do szóstej trochę ich przybyło, bo z dworca wyszła duża grupa gadających jeden przez drugiego Cyganów, którzy właśnie skądś przyjechali i cieszyli się, że ich długa podróż wreszcie się skończyła. Przybywało też odjeżdżających i doszedł do wniosku, że pora pożegnać się z włóczęgą. Wszedł na dworzec tuż za młodym małżeństwem z dzieckiem, podszedł za nimi do okienka i okazało się, że jadą do Parmy. Kupił bilet, też do Parmy, uciekł do toalety i zamknął się w kabinie.

Krater siedział w całodobowym barze dworcowym, pijąc paskudną kawę i obserwując zza gazety wchodzących i wychodzących. Dostrzegł też Mar-



ca. Odnosił w pamięci jego wzrost, budowę ciała i wiek. Sposób chodzenia jakby skądś znał, chociaż ten mężczyzna chodził dość wolno. Idąc spacerowym kroczkiem, Marco Lazzeri – którego śledzili od kilku tygodni – prześcignąłby niejednego biegacza. Ten zaś szedł znacznie wolniej, z drugiej strony, nie było tu dokąd pójść. Po co miał się spieszyć? Na ulicy Lazzeri zawsze próbował ich zgubić i czasami mu się udawało.

Poza tym ten miał zupełnie inną twarz. I o wiele ciemniejsze włosy. I nie miał czapki, ale czapka to tylko dodatek; mógł ją po prostu wyrzucić. Jego uwagę przykuły okulary w sztykretowej oprawie. Okulary to świetna zmyłka, ale często z nimi przesadzano. W eleganckich szklach od Armaniego było mu doskonale, bo dyskretnie zmieniały wygląd jego twarzy. Tymczasem te okrągłe rzucały się w oczy.

Nie miał ani wąsów, ani brody; robota na pięć minut, ogolić się każdy umie. I był w innej koszuli, a przynajmniej on, Krater, tej koszuli nie znał, chociaż przeczesując z Luigim mieszkanie Lazzeriego, dokładnie obejrzał jego wszystkie ubrania. Wypłowiałe dżinsy były zwyczajnymi dżinsami i Marco też takie sobie kupił. Jego uwagę zwróciły granatowa marynarka z łatkami na łokciach i elegancka teczka. Marynarka miała za sobą długą przeszłość i Lazzeri nigdzie by takiej nie dostał. Miała też za krótkie rękawy, ale często takie widywał. Teczka była z pięknej skóry. Owszem, Marco mógł wydać górę pieniędzy na nowoczesny telefon, ale po co miałby kupować tak kosztowną teczkę? Granatowa torba od Silvia, którą stracił przed kilkunastoma godzinami, a którą on świsnął podczas zamieszania w Caffè Atene, kosztowała tylko sześćdziesiąt euro.

Obserwował go, dopóki tamten nie zniknął za rogiem. Cóż, możliwe, ale tylko możliwe, nic więcej. Dopił kawę i przez kilka minut analizował jego wygląd.

Marco stał w kabinie z opuszczonymi do kostek dżinsami. Czuł się jak idiota, ale w tej chwili o wiele bardziej zależało mu na dobrej kryjówce i kamuflażu. Otworzyły się drzwi. Na ścianie na lewo od nich było sześć pisuarów, naprzeciwko sześć umywalek i cztery kabiny. Pozostałe trzy były puste. Jak dotąd mało kto tu wchodził. Wytężył słuch, czekając na znajome odgłosy: suwak, brzęk klamry u pasa, głębokie westchnienie, strumień moczu.

Nic. Cisza. Od strony umywalek nie dochodził żaden dźwięk i na pewno nikt nie mył tam teraz rąk. I nikt nie otworzył drzwi do żadnej z sąsiednich kabin. Może to tylko cięć? Może zajrzał tu na cichy obchód?

Stanąwszy przed umywalkami, Krater schylił się i w ostatniej kabinie zobaczył opuszczone do kostek dżinsy. I skórzaną teczkę tuż obok. Klient załatwiał, co trzeba i chyba się mu nie spieszyło.

Najbliższy autobus – do Parmy – odjeżdżał o szóstej. Następny, dwadzieścia minut później, jechał do Florencji. Krater szybko wyszedł i kupił bilet na obydwie. Kasjerka spojrzała na niego dziwnie, ale on miał to gdzieś. Wrócił do toalety. Dżinsy i teczka wciąż tam były.

Ponownie wyszedł i zadzwonił do Luigiego. Opisał klienta i dodał, że siedzi teraz w kabinie i że mu się nie spieszy.

–To najlepsza kryjówka – odparł Luigi.

–Wiele razy z takich korzystałem.

–Myślisz, że to on?

–Nie wiem. Jeśli tak, bardzo dobrze się przebrał.

Wstrząśnięty odkryciem telefonu, czterystu dolarów w gotówce i poruszony zniknięciem Lazzeriego, Luigi nie zamierzał ryzykować.

–Dobra, idź za nim – rozkazał.

Za pięć szóstą Marco podciągnął spodnie, spuścił wodę, wziął teczkę i wyszedł na peron. Na peronie czekał już Krater, jedną ręką nonszalancko jedząc jabłko, w drugiej trzymając gazetę. Gdy Marco ruszył w stronę autobusu do Parmy, Krater poszedł za nim.

Jedna trzecia miejsc była wolna. Marco usiadł po lewej, przy oknie, mniej więcej w połowie autobusu. Mijając go, Krater odwrócił głowę i usiadł cztery miejsca dalej.

Modena, pierwszy przystanek pół godziny później. Gdy wjeżdżali do miasta, Marco postanowił przyjrzeć się współpasażerom. Wstał i w drodze do toalety na końcu autobusu obojętnym spojrzeniem obrzucił każdego siedzącego za nim mężczyznę.

Zatrzasnąwszy drzwi do kabiny, zamknął oczy i pomyślał: Tak, już tę twarz gdzieś widziałem.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, w Caffè Atenę, na chwilę przed zgaśnięciem świateł. W długim lustrze nad starym wieszakiem na ścianie. Facet siedział bardzo blisko, tuż za nim, z jakimś mężczyzną.

**Tak, na pewno znał tę twarz. Niewykluczone że widział ją wcześniej, gdzieś w Bolonii.**

**Wrócił na miejsce, gdy autobus zwolnił, dojeżdżając do dworca. Myśl, człowieku, powtarzał sobie w duchu. Myśl i zachowaj spokój. Nie pani-**

kuj. Siedzą ci na ogonie, ale nie mogą odkryć, że chcesz zwiać za granicę.

Autobus stanął i kierowca ogłosił krótki postój. Odjazd za piętnaście minut. Czterech pasażerów wysiadło. Pozostali nie ruszyli się z miejsca; większość i tak spała. Marco zamknął oczy i udając, że też zasypia, zaczął wolno przekrzywiać głowę w lewo, aż oparł ją o szybę. Minęła minuta. Wsiadło dwóch wieśniaków. Mieli rozbiegane oczy i ściskali w rękach ciężkie, płócienne torby.

Wrócił kierowca. Gdy sadowił się na fotelu, Marco nagle zerwał się, szybko dobiegł do drzwi i zanim zdążyły się zamknąć, wyskoczył z autobusu.

W pierwszym odruchu Krater też chciał dopaść drzwi i wysiąść, być może wyklócając się przy tym z kierowcą, choć z drugiej strony, żaden kierowca nie będzie bił się z pasażerem, żeby go siłą zatrzymać w autobusie. Chciał, ale się powstrzymał, gdyż Lazzeri najwyraźniej odkrył, że jest śledzony. To, że w ostatniej chwili wysiadł, potwierdziło jego podejrzenia. Tak, to był on, bez dwóch zdań. Marco uciekający jak ranne zwierzę.

Sęk w tym, że Marco był już na ulicach Modeny, a on nie. Autobus skręcił i zatrzymał się na czerwonym świetle. Krater podbiegł do kierowcy i trzymając się za brzuch, poprosił o otwarcie drzwi, bo zaraz zwymiotuje. Drzwi się otworzyły, Krater wyskoczył i pędem wrócił na dworzec.

Tymczasem Marco nie tracił czasu. Gdy autobus zniknął za zakrętem, podszedł do krawężnika, gdzie czekał rząd taksówek. Wsiadł do pierwszej i spytał:

–Zawiezie mnie pan do Mediolanu? – Powiedział to po włosku i świetnie mu wyszło.

–Do Mediolanu?

–*Si, Milano.*

–*E molto caro?* – Dużo pan zapłaci.

–*Quanto?*

–*Duecento euro.* – Dwieście euro.

–*Andiamo.*

Po godzinie przeczesywania modeńskiego dworca i okolicznych ulic Krater zadzwonił do Luigiego z wiadomością niezbyt dobrą, ale też nie całkiem złą. Zgubił klienta, jednak jego oszalały pęd do wolności całkowicie potwierdzał, że mają do

czynienia z Lazzerim.

Luigi miał mieszane uczucia. Był sfrustrowany, że Krater dał się wywieść w pole amatorowi. Był pod wrażeniem, że Marco tak skutecznie zmienił wygląd i że wymknął się armii zamachowców. I był zły na Whitakera oraz głupców z Waszyngtonu, którzy ciągle zmieniając plany, doprowadzili do katastrofy, za którą bez wątpienia odpowie on, Luigi.

Zadzwoił do Whitakera, nawrzeszczał na niego, sklął go, a potem z Zellmanem i dwoma pozostałymi poszedł na dworzec. Mieli spotkać się z Kraterem w Mediolanie; Whitaker obiecał im krótkie krycie i wszystkich dostępnych zawodników.

Gdy bezpośrednim ekspresem Eurostar wyjeżdżali z Bolonii, wpadł na cudowny pomysł, którym niestety nie mógł się z nikim podzielić. Dlaczego nie mieliby po prostu zadzwonić do Izraelczyków i Chińczyków i powiedzieć im, że Backmana widziano ostatnio w Modenie i że jedzie na zachód, najprawdopodobniej do Parmy albo Mediolanu? Izraelczycy i Chińczycy chcieli go dopaść o wiele bardziej niż Langley. I na pewno znaleźliby go szybciej niż CIA.

Ale rozkazy były rozkazami, nawet jeśli nieustannie je zmieniano.

Wszystkie drogi prowadziły do Mediolanu.

## Rozdział 29

atrzymali się ulicę przed dworcem centralnym. Marco zapłacił taksówkarzowi, kilka razy mu podziękował, życzył szczęśliwej drogi powrotnej do Modeny, wysiadł i minął rząd taksówek, które cierpliwie czekały na przyjeżdżających do Mediolanu podróżnych. W gigantycznej hali dworcowej wraz z tłumem pasażerów wszedł na ruchome schody i parę minut później znalazł się w strefie kontrolowanego obłędu, czyli w hali peronów. Odszukał tablicę z rozkładem odjazdów i sprawdził, jaki ma wybór. Cztery razy dziennie odchodził stąd pociąg do Stuttgartu i jego siódmym przystankiem był Zurych. Wziął rozkład jazdy, kupił tani przewodnik z mapą i usiadł przy stoliku w kawiarence wciśniętej w rząd sklepów. Nie mógł tracić czasu, ale musiał zorientować się, na czym stoi. Obserwując tłum, wypił dwie kawy i zjadł ciastko. Uwielbiał tłum, tabuny wchodzących i wychodzących ludzi. Tłum to bezpieczeństwo.



Plan A zakładał, że zrobi półgodzinny spacer do śródmieścia i gdzieś po drodze znajdzie tani sklep z ubraniami, gdzie zmieni absolutnie wszystko, marynarkę, koszulę, spodnie i buty. W Bolonii go wypatrzyli. Nic mógł ponownie ryzykować.

W centrum, gdzieś w pobliżu Piazza del Duomo, musiała też być kawiarenka internetowa, gdzie mógłby na kwadrans wynająć komputer. Nie bardzo wierzył, że da radę włączyć to cholerstwo, przedrzeć się przez dżunglę Internetu i nie tylko w niej przeżyć, ale i wysłać wiadomość do syna. W Mediolanie było teraz piętnaście po dziesiątej, a w Culpeper w Wirginii czwarta piętnaście rano. Neal miał się zalogować o szóstej pięćdziesiąt.

Tak, musiał wysłać mu e-mail. Nie miał innego wyboru.

Obserwując setki ludzi wsiadających beztrąsko do pociągów rozjeżdżających się po całej Europie, doszedł do wniosku, że lepszy będzie plan B, plan, który zakładał natychmiastową ucieczkę. Tak, kupić bilet i jak najszybciej zwać, i z Mediolanu, i w ogóle z Włoch. Farbowane włosy, okulary i stara, profesorska marynarka Giovanniego nie zmyliły ich, przynajmniej nie w Bolonii. Jeśli byli aż tak dobrzy, istniało duże prawdopodobieństwo, że znajdą go wszędzie.

Poszedł na spacer – nie ma to jak kompromis. Świeże powietrze zawsze mu pomagało i już kilka ulic dalej poczuł, że krew krąży mu w żyłach trochę żywiej. Podobnie jak w Bolonii, ulice w Mediolanie rozchodziły się we wszystkie strony, jak pajęczyna. Często się korkowały, bo ruch był duży. Uwielbiał ruch, a zwłaszcza zatłoczone chodniki, które zapewniały dobre schronienie.

Sklepek z galanterią męską U Roberta z trudem mieścił się między sklepem jubilerskim i piekarnią. Obydwa okna wystawowe były zawałone ubraniami, które, w zależności od pogody, wystarczyłyby mu mniej więcej na tydzień, co pasowało do jego harmonogramu. Arabski sprzedawca mówił po włosku gorzej od niego, za to płynnie chrząkał i demonstrował towar, bardzo chcąc całkowicie odmienić jego wygląd. Granatowa marynarka ustąpiła miejsca ciemnobrązowej. Koszula białemu pulowerowi. Dżinsy luźnym, ciemnogrnatowym spodniom z taniej wełny. Poprawki krawieckie zajęłyby tydzień, więc Marco poprosił go o nożyce. W cuchnącej pleśnią przymierzami wymierzył spodnie najlepiej, jak umiał i przyciął nogawki sam. Gdy wyszedł w nowym stroju, sprzedawca spojrzął na wystrzępione resztki mankietów i omal się nie rozplakał.

Buty, które przymierzył, okaleczyłyby go trwale, zanim doszedłby na dworzec, dlatego postanowił, że na razie zostanie w traperach. Najlepszym zakupem był słomkowy kapelusz, a kupił go tylko dlatego, że widział taki sam na wystawie.

**Moda? Co go teraz obchodziła moda?**

Wszystko razem kosztowało prawie czterysta euro, kupę pieniędzy, z którymi rozstał się bardzo niechętnie. Ale cóż, nie miał wyboru. Próbował wymienić na coś teczkę Giovanniego, wartą znacznie więcej niż wszystko, co miał na sobie, ale sprzedawca był zbyt przybity widokiem zniszczonych spodni; ledwo zdołał wybąkać „dziękuję” i „do widzenia”. Starą marynarkę, wypłowiła dżinsy i koszulę zwinął w kłębek i wpakował do czerwonej reklamówki – zawsze to coś nowego do noszenia.

Wyszedł i kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył sklep z obuwem. Kupił coś, co wyglądało na zmodyfikowane buty do gry w kręgle, bez wątpienia najbrzydsze w ładnym skądinąd sklepie. Czarne w ciemnoczerwone paski, zostały uszyte nie dla urody, ale dla wygody. Zapłacił sto pięćdziesiąt euro tylko dlatego, że były już rozchodzone. Dopiero dwie ulice dalej zebrał się na odwagę, żeby na nie spojrzeć.

Luigi dał się namierzyć. Właśnie wychodził z domu, z mieszkania obok kryjówki Backmana, gdy zobaczył go chłopak na skuterze. Jego uwagę zwróciło to, jak Luigi szedł. Bo Luigi nie szedł, tylko biegł, z każdym krokiem szybciej. A pod portykami na Via Fondazza nikt przecież nie biegał. Chłopak przyhamował i zczekał, aż Luigi wsiądzie do czerwonego fiata. Fiat ruszył i kilka ulic dalej zwolnił na tyle, że zdążył do niego wskoczyć drugi mężczyzna. Potem popędzili przed siebie najszybciej jak się dało, ale na zatłoczonej ulicy skuter bez trudu za nimi nadążył. Gdy zaparkowali nieprzepisowo przed dworcem kolejowym, chłopak ponownie wywołał przez radio Efraima.

Niecałe piętnaście minut później do mieszkania Luigi ego weszło dwóch agentów przebranych za policjantów z drogowki, uruchamiając wszelkiego rodzaju alarmy, te ledwo słyszalne i te zupełnie niesłyszalne. Podczas gdy trzech innych agentów osłaniało ich z ulicy, „policjanci” wyważyli drzwi do kuchni i znaleźli tam zdumiewającą kolekcję elektronicznych urządzeń szpiegowskich.

Gdy Luigi, Zellman i jeden z ich kolegów wsiadali do ekspresu do Mediolanu, Paul, kierowca skutera, miał już w ręku bilet. Był najmłodszym

członkiem kidonu i mówił po włosku najlepiej z nich wszystkich; chłopięca grzywka i dziecinna twarz znakomicie maskowały jego prawdziwy wiek: miał dwadzieścia sześć lat i sześć egzekucji na koncie. Gdy zameldował, że jest w pociągu i że pociąg właśnie rusza, do mieszkania Luigiego weszło też dwóch agentów z ulicy, żeby pomóc kolegom wyłączyć alarmy. Ale jednego wyłączyć się nie dało. Jego natarczywe dzwonienie, które słychać było przez wszystkie ściany, zwróciło uwagę sąsiadów.

Po dziesięciu minutach Efraim kazał przerwać akcję. Agenci rozdzielili się i spotkali w jednej z bolońskich kryjówek. Nie zdołali ustalić, kim Luigi jest ani dla kogo pracuje, lecz było oczywiste, że przez dwadzieścia cztery godziny na dobę szpiegował Backmana.

A ponieważ Backman przepadł jak kamień w wodę i wciąż nic o nim nie wiedzieli, uznali, że prawdopodobnie uciekł. Czy Luigi mógł ich do niego zaprowadzić?

Stojąc na Piazza del Duomo w centrum miasta, Marco pogapił się przez chwilę na gigantyczną gotycką katedrę, której budowa trwała tylko trzysta lat. Potem poszedł dalej, w kierunku Galleria Vittorio Emanuele, wspaniałej galerii ze szklaną kopułą, z której słynie Mediolan. Pełna kawiarenek i księgarni, Vittorio Emanuele jest głównym ośrodkiem miejskiego życia towarzyskiego i najpopularniejszym miejscem spotkań. Ponieważ było prawie szesnaście stopni powyżej zera, zjadł kanapkę i wypił colę na dworze, patrząc na chmury gołębi walczących o każdy okruszek chleba. Jadł, pił i obserwował przechodzących przez galerię ludzi, spacerujące pod rękę kobiety i mężczyźni, którzy przystawali na pogawędkę, jakby czas nie miał dla nich żadnego znaczenia. Szczęściarze, pomyślał.

Natychmiast wyjechać czy parę dni odczekać? Oto pytanie, nowe i jakże palące. W zatłoczonym, czteromilionowym mieście mógłby łatwo zniknąć. Kupiłby lepszy plan, poznałby ulice, siedziałby godzinami w jakimś mieszkaniu i godzinami spacerował.

Sęk w tym, że ścigające go psy miałyby czas na przegrupowanie.

Wyjechać już teraz, gdy zdezorientowane drapią się po łbach?

Tak, i to jak najszybciej. Zapłacił kelnerowi i zerknął na swoje buty. Były bardzo wygodne, ale nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie je spali. Na przejeżdżającym autobusie zobaczył reklamę kawiarenki internetowej na Via Verri. Dotarł tam dziesięć minut później. Rzucił okiem na stawki – dziesięć euro za godzinę, minimum pół godziny użytkowania –

zamówił sok pomarańczowy, zapłacił za trzydzieści minut i barman ruchem głowy wskazał mu stół, na którym stało osiem komputerów. Trzy były zajęte przez ludzi, którzy najwyraźniej wiedzieli, co robią. Tymczasem on pogubił się już na starcie.

Mimo to dzielnie trzymał twarz. Usiadł, przysunął bliżej klawiaturę, popatrzył na monitor, jakby chciał się pomodlić, i zaatakował maszynę z miną starego hakera. Okazało się, że to bardzo łatwe. Wszedł na stronę KwyteMail, wprowadził nazwę użytkownika – Grinch456, hasło – *post hoc ergo propter hoc* - i dziesięć sekund później na ekranie pojawiła się wiadomość od Neala.

Marco, Mikel van Thiessen wciąż pracuje w Rhineland Bank i jest teraz zastępcą dyrektora do spraw obsługi klientów. Coś jeszcze? Grinch.

Punktualnie o siódmej pięćdziesiąt czasu wschodnioamerykańskiego Marco napisał:

Grinch, tu Marco online. Jesteś tam?

Nie odrywając wzroku od ekranu, wypił łyk soku. No, dziecinko, szybciej, zrób coś. Kolejny łyk. Po drugiej stronie stołu jakaś kobieta gadała do monitora. I nagle...

Jestem. Wszystko działa jak trzeba. Co się dzieje? Marco: Ukradli mi telefon, najprawdopodobniej ci, którzy mnie ścigają, i pewnie rozkładają go teraz na czynniki pierwsze. Mogą do ciebie trafić?

Neal: Tylko gdyby znali nazwę użytkownika i hasło. Znają? Marco: Nie, zniszczyłem list. Nie złamię hasła?

Neal: Nie na KwyteMailu. KwyteMail to zaszyfrowana i stuprocentowo bezpieczna strona. Jeśli ukradli sam telefon, mają pecha.

Marco: A teraz? Nie namierzają nas?

Neal: Wykluczone. Skąd klikasz?

Marco: Z kawiarenki internetowej, jak prawdziwy haker.

Neal: Przysłać ci nowe Ankyo?

Marco: Nie, nie teraz, może później. Zrobisz tak. Pójdiesz do Carla Pratta. Wiem, że go nie lubisz, ale potrzebuję jego pomocy. Pratt znał Irę Claybur-

na, byłego senatora z Karoliny Północnej. Clayburn był przez wiele lat szefem senackiej komisji do spraw wywiadu. Musi mi pomóc. Skontaktuj się z nim przez Pratta.

**Neal:** Gdzie ten Clayburn teraz jest?

**Marco:** Nie wiem. Mam nadzieję, że jeszcze żyje. Pochodzi z jakiejś dziury w Karolinie Północnej. Przeszedł na emeryturę rok po tym, jak mnie wsadzili. Pratt go znajdzie.

**Neal:** Dobra, muszę tylko jakoś się stąd wyśliznąć.

**Marco:** Bądź ostrożny. Miej oczy z tyłu głowy.

**Neal:** Co u ciebie?

**Marco:** Uciekam. Dziś rano zwałem z Bolonii. Spróbuję złapać cię jutro o tej samej porze. Dobra?

**Neal:** Będę czekał. Uważaj na siebie.

Z miną starego wyjadacza wylogował się. Misja ukończona. Betka. Witamy w świecie elektronicznych czarów i supernowoczesnych gadżetów. Sprawdził, czy ekran na pewno jest czysty, dopił sok i wyszedł. W drodze na dworzec wstąpił najpierw do sklepu z galanterią skórzaną, gdzie wymienił teczką Giovanniego na czarną walizeczką ewidentnie gorszej jakości, a potem do taniego sklepu jubilerskiego, gdzie za osiemnaście euro kupił okrągły zegarek z jaskrawoczerwonym plastikowym paskiem – wszystko po to, żeby zmylić ścigających Marca Lazzeriego z Bolonii. Jeszcze potem wpadł do antykwariatu i wydał dwa euro na podniszczony tomik poezji Czesława Miłosza, oczywiście po polsku – kolejna zmyłka dla tropiących go psów – a tuż przed dworcem wstąpił na chwilę do sklepu z dodatkami, gdzie nabył okulary przeciwsłoneczne i drewnianą laskę, z której natychmiast zrobił użytek.

Przypomniała mu się Francesca. Podobnie jak ją, laska spowalniała go i zmieniała sposób chodzenia. Miał sporo czasu, więc pokuśtykał wolno na dworzec i kupił bilet do Stuttgartu.

Whitaker dostał pilną wiadomość z Langley, że ktoś włamał się do domu Luigiego, ale nic nie mógł na to poradzić. Wszyscy bolońscy agenci byli teraz w Mediolanie, gdzie uwijali się jak w ukropie. Dwóch przeczesywało dworzec kolejowy, szukając igły w stogu siana. Dwóch innych krążyło

po lotnisku Malpensa pięćdziesiąt trzy kilometry od centrum miasta. Dwóch kolejnych patroloowało lotnisko Linate, które było znacznie bliżej i obsługiwało głównie loty europejskie. Luigi obstawiał dworzec autobusowy i rozmawiając z Whitakerem przez komórkę, uparcie twierdził, że Marca może nie być w Mediolanie. To, że pojechał autobusem do Modeny i zmierzał na północny zachód, wcale nie musiało znaczyć, iż jedzie akurat tutaj. Jednak Luigi stracił trochę na wiarygodności, przynajmniej zdaniem wpływowego Whitakera, dlatego przerzucono go na dworzec autobusowy, gdzie musiał obserwować dziesięć tysięcy ludzi wchodzących i wychodzących z hali.

Najbliżej igły znalazł się Krater.

Marco wydał sześćdziesiąt euro na bilet pierwszej klasy, bojąc się, że w drugiej groziłaby mu dekonspiracja. Wsiadł o wpół do szóstej, czterdzieści pięć minut przed odjazdem pociągu; wagon pierwszej klasy był ostatni w składzie. Usiadł, poprawił ciemne okulary, naciągnął na czoło kapelusz, otworzył tomik wierszy Miłosza i spojrzał na przechodzących peronem ludzi. Niektórzy byli tuż-tuż, zaledwie półtora metra od niego, i wszyscy się spieszyli.

Wszyscy oprócz jednego. Wrócił facet z autobusu. Facet z Caffè Atene, bandzior o lepkich paluchach, złodziej, który ukradł mu torbę, pies, który jedenaście godzin wcześniej nie zdążył wyskoczyć za nim z autobusu w Modenie. Niby gdzieś siedł, a nie siedł. Ciągle mrużył oczy i niespokojnie marszczył czoło. Jak na zawodowca, za bardzo rzuca się w oczy, pomyślał Giovanni Ferro, który o ukrywaniu się, kamuflowaniu i zacieraniu śladów wiedział teraz dużo więcej, niżby chciał. Niestety.

Kraterowi powiedziano, że Lazzeri pojedzie albo na południe, czyli najpewniej do Rzymu, gdzie miałby więcej możliwości, albo na północ, czyli do Szwajcarii, Francji, Niemiec... Mógł jechać dosłownie wszędzie, miał do wyboru wszystkie kraje Europy. Już od pięciu godzin Krater chodził po dwunastu peronach, obserwując przyjeżdżające i odjeżdżające pociągi. Na peronach panował ścisk, lecz on na to nie zważał, podobnie jak nie zważał na pasażerów, którzy wysiadali: całą uwagę rozpaczliwie skupiał jedynie na wsiadających. Momentalnie wyławiał z tłumu każdą granatową marynarkę bez względu na jej odcień czy krój, lecz dotąd nie dostrzegł jeszcze granatowej z wytartymi łatkami na łokciach.

Tymczasem marynarka ta spoczywała w taniej, czarnej walizeczce u stóp Marca, który siedział na miejscu numer 70 w pierwszej klasie pociągu do

Stuttgartu. Marco widział spacerującego po peronie Kratera, widział też, że Krater uważnie obserwuje jego wagon. W rękę trzymał coś, co wyglądało na bilet i gdy zniknął mu z oczu, Marco mógłby przysiąc, że wsiadł -do jego pociągu.

Ogarnięty paniką chciał natychmiast wysiąść. I właśnie wtedy otworzyły się drzwi i weszła Madame.

## Rozdział 30

reszcie ustalono, że Joel Backman wciąż żyje, że zamiast wpaść w łapy agentów obcego wywiadu, po prostu wyparował, lecz upłynęło jeszcze pięć godzin, zanim Julia Javier znalazła informację, która przez cały czas była dosłownie na wyciągnięcie ręki, a konkretnie w gabinecie dyrektora, w aktach, których pilnie strzegł sam Teddy Maynard. Jeżeli Julia kiedykolwiek tę informację widziała, za nic nie mogła sobie tego przypomnieć. A w panującym w Agencji bałaganie nie zamierzała się do tego przyznawać.

Informację tę niechętnie przekazało im FBI, gdy trwało jeszcze śledztwo przeciwko Backmanowi, a więc przed wieloma laty. Dokładnej analizie poddano wówczas jego operacje finansowe, ponieważ krążyły plotki, że oskubawszy klienta, ukrył gdzieś wielką fortunę. Skoro tak, gdzie te pieniądze były? Żeby je odnaleźć, agenci FBI zaczęli sprawdzać, dokąd Backman jeździł, i wszystko szło dobrze, gdy wtem Backman przyznał się do winy i prysnął do więzienia. To, że go skazano, wcale nie oznaczało, że śledztwo zostało umorzone, jednak przestało być śledztwem priorytetowym. Prace nad rozkładem jazdy Backmana z czasem ukończono i materiały przesłano do Langley.

Okazało się, że miesiąc przed tym, jak postawiono go w stan oskarżenia, aresztowano i zwolniono za obwarowaną surowymi restrykcjami kaucją, zrobił dwa krótkie wypadki do Europy. Najpierw poleciał do Paryża ze swoją ulubioną sekretarką – Air France, klasa biznesowa – gdzie przez kilka dni baraszkowali i zwiedzali miasto. Sekretarka zeznała potem, że Backman wyjechał w interesach na dzień do Berlina, lecz zdążył wrócić na kolację w Alain Ducasse. Do Berlina mu nie towarzyszyła.

Nie znaleziono żadnych dowodów na to, że tamtego tygodnia Backman poleciał do Niemiec czy do jakiegokolwiek innego europejskiego kraju.

Musiałby okazać paszport, a FBI było pewne, że na żadnej granicy go nie okazywał. Ale po paszport nie musiałby sięgać, podróżując pociągiem. A Genewę, Berno, Lozannę i Zurych dzielą od Paryża zaledwie cztery godziny jazdy.

Drugim wypadem była krótka, siedemdziesięciodwugodzinna podróż Lufthansa do Frankfurtu, też w interesach, chociaż nie stwierdzono, żeby utrzymywał tam z kimś kontakty zawodowe. Zapłacił za dwie noce w luksusowym hotelu i nic nie wskazywało na to, że spał gdzie indziej. Podobnie jak od Paryża, szwajcarskie centra finansowe dzieli od Frankfurtu tylko kilka godzin jazdy pociągiem.

Gdy Julia Javier znalazła w końcu akta i przejrzała materiały z FBI, natychmiast zadzwoniła do Whitakera i powiedziała:

–Backman jedzie do Szwajcarii.

Madame miała tyle bagażu, że mogłaby nim obdzielić zamożną pięcioosobową rodzinę. Wniósł go zagoniony tragarz i gdy wyszedł, Madame wypełniła cały przedział sobą, swoimi rzeczami oraz perfumami: było w nim sześć miejsc, z których zajęła co najmniej cztery. Pokręciła obfitym zadkiem, jakby chciała rozepchać fotel, usiadła naprzeciwko skulonego przy oknie Marca, zerknęła na niego i rzuciła zalotne: „*Bonsoir*”.

Francuzka, pomyślał i uznawszy, że nie wypada odpowiadać po włosku, zdał się na stare, wierne: „*Hello*”.

–Aaa, Amerykanin...

Ponieważ mieszały mu się już języki, nazwiska, przeszłość, kultury, wszystkie kłamstwa i łgarstwa, bez większego przekonania odparł:

–Nie, Kanadyjczyk.

–Aaa, tak – mruknęła, wciąż się sadowiąc. Widać, chętniej widziałaby tu Amerykanina, ale cóż. Krzepka, zażywna, koło sześćdziesiątki, była w obcisłej, czerwonej sukience i czółenkach o przebiegu miliona kilometrów. Miała grube łydki i mocno umalowane oczy. Oczy były podpuchnięte z powodu, który wkrótce stał się aż nadto oczywisty. Pociąg nie zdążył jeszcze ruszyć, gdy Madame wyjęła wielki termos, otworzyła go i wychyliła kubeczek czegoś mocniejszego. Głośno przełknęła, uśmiechnęła się i spytała:

Ma pan ochotę?



**-Nie, dziękuję.**

**-To bardzo dobra brandy.**

–Nie, dziękuję.

–Cóż. – Nalała sobie jeszcze jeden kubeczek, wypła i odstawiła termos.

Długa podróż znacznie się wydłużyła.

–Dokąd pan jedzie? – spytała bardzo dobrą angielszczyzną.

–Do Stuttgartu. A pani?

–Do Stuttgartu, a potem dalej, do Strasburga. Wie pan, w Stuttgarcie nie da się długo wytrzymać. – Zmarszczyła nos, jakby cały Stuttgart tonął w cuchnących ściekach.

–Bardzo lubię Stuttgart – odparł Marco, żeby popatrzeć, jak nos wraca do stanu wyjściowego.

–Cóż. – Uwagę Madame przykuły jej własne buty. Dwa wierzgnięcia i zrzuciła je, nie troszcząc się o to, gdzie wylądują. Marco przygotował się na uderzenie fali zapaszku od dawna niemytych nóg, lecz zdał sobie sprawę, że zapaszek ten nie miałby szans z wonią jej tanich perfum.

W odruchu samoobrony udał, że zasypia. Madame ignorowała go przez kilka minut, wreszcie nie wytrzymała.

–Mówi pan po polsku? – Patrzyła na tomik wierszy.

Gwałtownie poderwał głowę, jakby go obudziła.

–Niezupełnie – odrzekł. – Ale próbuję się nauczyć. Moja rodzina po

chodzi z Polski. – Wstrzymał oddech, podświadomie oczekując, że Madame zaleje go potokiem polszczyzny i że go w nim utopi.

–Rozumiem – mruknęła, jakby nie do końca to pochwałała.

Punktualnie o szóstej piętnaście konduktor zagwizdał i pociąg ruszył.

Na szczęście w ich, a właściwie w jej przedziale, nie siedział nikt inny. Kilku pasażerów przystanęło w przejściu, lecz widząc panujące tu zagęszczenie, poszło poszukać miejsca gdzieś, gdzie było więcej przestrzeni.

Marco uważnie obserwował uciekający do tyłu peron. Mężczyzna z autobusu

zniknął.

**Madame pociągała brandy, dopóki nie zaczęła chrapać. Obudził ją konduktor, który przyszedł sprawdzić bilety. Potem nadszedł chłopak z wózkiem wyładowanym napojami. Marco kupił piwo i chciał poczęstować Madame. Powitała tę propozycję kolejnym zmarszczeniem nosa, jakby wołała już wypić własny mocz.**

**Pierwszy przystanek, Como-San Giovanni. Dwuminutowy postój, podczas którego nikt nie wsiadł. Pięć minut później stanęli w Chiasso. Było**

już prawie ciemno i Marco zastanawiał się, czy nie wysiąść. Jeszcze raz przeanalizował całą trasę: do Zurychu miał cztery przystanki, jeden we Włoszech, trzy w Szwajcarii. Który kraj byłby lepszy?

Nie mógł ryzykować, nie teraz. Jeśli tamci byli w pociągu, oznaczało to, że przykleili się do niego już w Bolonii, że w przebraniu śledzili go i tam, i w Modenie, i w Mediolanie. Byli zawodowcami i nie mógł się z nimi równać. Sącząc piwo, czuł się jak nędzny amator.

Madame gapiła się na jego wystrzępione nogawki. Najpierw na nogawki, potem na buty, czemu zupełnie się nie dziwił. Jeszcze potem zauważyła czerwony pasek od zegarka. Jej twarz mówiła wszystko: kompletne bezguście. Typowy Amerykanin, Kanadyjczyk czy ktoś tam.

Za oknem dostrzegł światła migoczące w Lugano. Jechali przez krainę jezior, nabierając wysokości. Szwajcaria była coraz bliżej.

Od czasu do czasu ktoś przechodził ciemnym korytarzem. Zerkał przez przeszklone drzwi i szedł dalej, pewnie do ubikacji na końcu wagonu. Madame oparła swoje wielkie stopy na fotelu, kilka centymetrów od kolan Marca. Od odjazdu minęła ledwie godzina, a ona już zdążyła porozkładać swoje pudełka, żurnale i ubranie dosłownie po całym przedziale. Marco bał się wstać.

Ale zmęczenie wzięło w końcu górę i zasnął. Obudził go zgiełk na peronie w Bellinzonie, pierwszym przystanku na terenie Szwajcarii. Pasażer, który wsiadł do wagonu pierwszej klasy, nie mógł znaleźć wolnego miejsca. Otworzył drzwi, rozejrzał się, ale chyba mu się u nich nie spodobało, bo poszedł nawrzeszczyć na konduktora. Posadzili go gdzie indziej. Madame, która właśnie przeglądała kolejny żurnal, nie raczyła nawet podnieść wzroku.

Do następnego przystanku mieli godzinę i czterdzieści minut, więc gdy znowu sięgnęła po termos, powiedział:

–Chętnie bym się napił.

Uśmiechnęła się, pierwszy raz od wielu godzin. Chociaż nie miała nic przeciwko picciu w samotności, w towarzystwie zawsze przyjemniej. Ale po dwóch kubeczkach Marco znowu zasnął.

Pociąg szarpnął i zaczął zwalniać. Przystanek, Arth-Goldau. Marco gwałtownie podniósł głowę, tak że spadł mu kapelusz. Madame uważnie mu się przyglądała.

–Przypatrywał się panu jakiś dziwny człowiek – powiedziała, gdy na dobre otworzył oczy.

–Gdzie?

–Jak to gdzie? Tutaj, w pociągu. Był tu co najmniej trzy razy. Stawał za drzwiami, patrzył i ukradkiem odchodził.

Może gapił się na moje buty, pomyślał Marco. Albo na nogawki. Na pasek od zegarka? Przetarł oczy i spróbował zachowywać się tak, jakby gapili się na niego zawsze i wszędzie.

–Jak wyglądał?

–Blondyn, trzydzieści pięć lat, ładniutki taki, w brązowej marynarce. Zna go pan?

–Nie, nie mam pojęcia, kto to jest. – Facet z autobusu w Modenie wyglądał zupełnie inaczej, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Marco tak się przestraszył, że gotów był zmienić plany.

Za dwadzieścia minut mieli dojechać do Zugu, ostatniego przystanku przed Zurychem. Nie mógł doprowadzić ich do Zurychu, nie mógł ryzykować. Dziesięć minut później oznajmił, że musi do toalety. W przejściu do drzwi wyrósł tor przeszkód. Zanim zaczął go pokonywać, położył na fotelu walizeczkę i laskę.

Minął cztery przedziały; w każdym siedziało co najmniej trzech pasażerów, ale żaden nie wyglądał podejrzanie. Wszedł do ubikacji, trzasnął zasuwką i zaczekał, aż zaczną zwalniać. Zwolnili i się zatrzymali. Zug, tylko dwie minuty postoju; to absurdalne, ale jak dotąd nie mieli ani sekundy spóźnienia. Odczekał minutę, szybko wrócił do przedziału, otworzył drzwi, bez słowa chwycił walizeczkę i laskę, której gotów był w każdej chwili użyć jako broni, popędził na koniec wagonu i wyskoczył z pociągu.

Stacja była mała; sam dworzec stał na wzniesieniu, a w dole biegła ulica. Zbiegł schodami na dół i zobaczył jedyną taksówkę z drzemiącym za kierownicą taksjarem.

–Do hotelu - rzucił.

Wystraszony kierowca odruchowo przekręcił kluczyk w stacyjce. Spytał o coś po niemiecku, na co Marco odpowiedział po włosku.

–Szukam małego hotelu. Nie mam rezerwacji.

**–Już się robi. – Gdy odjeżdżali, Marco zerknął w górę i zobaczył, że pociąg właśnie rusza. Zerknął za siebie i nie dostrzegł nikogo.**

Zatrzymali się cztery ulice dalej, przed jakimś domem w cichym zaułku.

–To tutaj – powiedział kierowca. – Dobry hotel.

–Ładnie wygląda. Dziękuję. Jak długo jedzie się samochodem do Zurychu?

–Stąd? Ze dwie godziny. Zależy od ruchu.

–Jutro o dziewiątej rano muszę być w śródmieściu. Zawiezie mnie pan?

Kierowca zawahał się, przeliczając w myśli szeleszczące banknoty.

–No, mógłbym – odparł.

–Za ile?

Taksiarz poskrobał się w podbródek i wzruszył ramionami.

–Za dwieście euro.

–Dobrze. Wyjedziemy o szóstej.

–Tak, o szóstej. Będę.

Marco podziękował mu raz jeszcze i zaczekał, aż taksówka odjedzie. Gdy wszedł do hotelu, zadzwonił dzwonek u drzwi. Za ladą w recepcji nie było nikogo, ale gdzieś w pobliżu grał telewizor. Wreszcie ukazał się zaspany nastolatek.

–*Guten Abend* - rzucił z uśmiechem.

–*Parla inglese?* - spytał Marco. Nastolatek pokręcił głową. Nie.

–*Italiano?*

–Trochę.

–Ja też trochę. Chciałbym wynająć pokój.

Tamten podsunął mu formularz i Marco wypełnił go z pamięci, wpisując imię, nazwisko, numer paszportu, zmyślony adres w Bolonii i zmyślony numer telefonu. Paszport miał w kieszeni na piersi i w razie czego mógł go niechętnie wyjąć.

Ale było już późno, a nastolatek chciał jak najszybciej wrócić przed telewizor.

**–Czterdzieści dwa euro – powiedział z nietypową dla Szwajcarów indolencją, nie zwracając sobie głowy paszportem.**

**Giovanni położył pieniądze na ladzie i wziął klucz: pokój numer 26. Zaskakująco poprawnym włoskim zamówił budzenie na piątą rano, a potem, jakby nagle o czymś sobie przypomniał, dodał:**

**–Zostawiłem gdzieś szczoteczkę do zębów. Macie tu jakieś?**



Recepcjonista otworzył szufladę i wyjął z niej pudełko pełne najprzeróżniejszych akcesoriów, szczoteczek, past, jednorazowych maszynek do golenia, kremów, aspiryn, tamponów, kremów do rąk, grzebieni, a nawet prezerwatyw. Giovanni wybrał kilka rzeczy i dał mu dziesięć euro.

Pobył w najbardziej luksusowym apartamencie w Ritzu nie sprawiłby mu większej przyjemności niż noc w pokoju 26. Małym, czyściutkim, ciepłym pokoiku z twardym łóżkiem i podwójną zasuwą na drzwiach, za którymi zniknęły twarze ścigających go od świtu ludzi. Wziął długi, gorący prysznic, ogolił się i umył zęby.

Ku jego wielkiej uldze, w szafce pod telewizorem odkrył minibarek. Zjadł paczkę herbatników, popił je dwiema szklaneczkami whisky i zmęczony, wykończony psychicznie wczuł się pod kołdrę. Laskę położył na łóżku, w zasięgu ręki. To głupie, ale nie mógł nic na to poradzić.

## Rozdział 31

Wędrując w więzieniu, często marzył o Zurychu z jego błękitnymi rzekami, czyściutkimi, cieniastymi ulicami, nowoczesnymi sklepami i eleganckimi mieszkańcami, dumnymi, sympatycznie poważnymi Szwajcarami. Kiedyś jeździł z nimi cichymi, elektrycznymi tramwajami, głównie do centrum finansowego w śródmieściu. Był wtedy zbyt zajęty, żeby dużo podróżować, zbyt ważny, żeby chociaż na chwilę zapomnieć o delikatnych układach w Waszyngtonie, ale Zurych należał do nielicznych miejsc, które odwiedził. To było jego miasto, miasto bez turystów i korków ulicznych, miasto, które nie traciło czasu na podziwianie katedr i muzeów i czczenie dwóch tysięcy lat historii. O nie. Zurych żył pieniędzmi i w wyrafinowany sposób umiał nimi zarządzać, w przeciwieństwie do Joela Backmana, który zgarniał szmal niczym prymitywny sychacz.

I znowu jechał tramwajem, tramwajem, do którego wsiadł przed dworcem i który sunął teraz wolno Bahnhofstrasse, główną ulicą centrum, jeśli Zurych takowe centrum w ogóle miał. Dochodziła dziewiąta rano i dołączył do ostatniej fali młodych, elegancko ubranych bankowców zmierzających do UBS, Credit Suisse i tysięcy innych, mniej znanych, lecz równie bogatych instytucji. Ciemne garnitury, kolorowe koszule – białych dostrzegł jedynie kilka – kosztowne, dyskretnie stonowane krawaty

z grubymi wężłami i ciemnobrązowe buty na sznurówki bez kitek na końcu. W ciągu tych sześciu lat moda prawie się nie zmieniła. Mieszkańcy Zurychu byli jak dawniej konserwatywni, lecz konserwatywni ze szczyptą ekstrawagancji. Może nie tak eleganccy jak młodzi profesjonaliści z jego rodzinnej Bolonii, mimo to całkiem mili dla oka.

Jadąc, wszyscy coś czytali. Mijały ich nadjeżdżające ze wszystkich stron tramwaje. Udawał, że pochłania go lektura „Newsweeka”, lecz tak naprawdę uważnie ich obserwował.

Ale nikt nie obserwował jego. Nikomu nie przeszkadzały jego koszmarne buty. Co więcej, przed dworcem widział ubranego na sportowo młodego człowieka w prawie identycznych. Słomkowy kapelusz też nie przykuwał uwagi. Mankiety spodni trochę poprawił: kupił u recepcjonisty tani przybornik i spędził pół godziny, próbując je podszyć bez rozlewu krwi. W porównaniu z tym, co mieli na sobie, jego ubranie kosztowało tyle co nic, ale co go to obchodziło? Wykołował Luigiego, wykołował pozostałych, dojechał do Zurychu i przy odrobinie szczęścia uda mu się z niego wyjechać.

Na Paradeplatz nadjeżdżające ze wschodu i zachodu tramwaje zwalniały, zatrzymywały się i szybko wypluwały na ulicę bankowców, którzy rozchodzili się, zbijali w grupki i żwawym krokiem szli do pracy. Zostawiwszy kapelusz pod siedzeniem, Marco ruszył za nimi.

Przez tych sześć czy siedem lat nic się tu nie zmieniło. Paradeplatz był wciąż tym samym placem pełnym sklepików i kawiarenek. Otaczające go banki stały w tym miejscu od stu lat; nazwę niektórych zdradzały neony, inne były dobrze ukryte, żeby nikt nie mógł ich znaleźć. Idąc za trzema młodymi mężczyznami ze sportowymi torbami na ramieniu, Marco lustrował okolicę zza ciemnych okularów. Mężczyźni zmierzali w stronę Rhineland Bank. Wszedł za nimi do holu i zaczęła się zabawa.

Informacja była tam, gdzie kiedyś, przed siedmioma laty; jak przez mgłę pamiętał nawet pracującą tam urzędniczkę.

–Chciałbym rozmawiać z panem Mikelem van Thiessenem – powiedział jak najciszej i najłagodniej.

–Pańskie nazwisko?

–Marco Lazzeri. – Swego prawdziwego nazwiska zamierzał użyć dopiero na górze, tutaj trochę się bał. Miał nadzieję, że Neal uprzedził van Thiessena o tej nieprzewidzianej zmianie. Na jego prośbę dyrektor miał przez tydzień nigdzie nie

**wyjeżdżać.**

Nie przerywając stukania w klawiaturę komputera, urzędniczka zamieniła z kimś kilka słów przez telefon.

–Za chwileczkę – powiedziała. – Zechce pan zaczekać?

–Oczywiście – odrzekł. Zaczekać? Marzył o tej chwili od lat. Usiadł, założył nogę na nogę, zobaczył swoje buty i schował nogi pod krzesło. Był pewien, że obserwuje go kilka kamer, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Może go rozpoznają, a może nie. Niemal widział, jak siedzą tam, gapią się w ekran monitora, skrobią po głowie i mówią: „Sam nie wiem... Jest jakby szczuplejszy, nawet chudy. I te włosy. Fatalnie nałożona farba”.

Żeby im pomóc, zdjął okulary.

Pięć minut później jak spod ziemi wyrósł przed nim jakiś mężczyzna. Miał surową twarz i chociaż był w garniturze, wyglądał znacznie mniej elegancko niż panienka z informacji.

–Pan Lazzeri? Proszę za mną.

Prywatną windą wjechali na drugie piętro i weszli do małego pokoju o grubych ścianach; w Rhineland Bank wszystkie ściany były grube. Czekają na niego dwóch agentów ochrony wewnętrznej. Jeden się uśmiechał, drugi nie. Poprosili go o położenie obu dłoni na czytniku biometrycznego skanera. Skaner porównał jego odciski palców z tymi, które zostawił tu przed prawie siedmioma laty, i gdy okazało się, że idealnie do siebie pasują, w pokoju pojaśniało od uśmiechów. Natychmiast przeszli do sąsiedniego saloniku, bardzo ładnego i przytulnego, zaproponowali sok i kawę. Czego tylko szanowny pan Backman sobie zażyczy.

Wybrał sok, bo nie jadł śniadania. Agenci wrócili do swojej jaskini. Pana Backmana obsługiwała teraz Elke, jedna z kształtnych sekretarek dyrektora van Thiessena.

–Za minutkę przyjdzie – powiedziała. – Nie spodziewał się pana tak wcześnie.

Cóż, trudno jest umówić się na spotkanie z dworcowego kibla. Joel odpowiedział jej uśmiechem. Stary Marco należał już do przeszłości. Po dwóch miesiącach ucieczki odszedł na odpoczynek. Dobrze mu służył. Utrzymał go przy życiu, nauczył podstaw włoskiego, pokazał mu Treviso i Bolonię, przedstawił Francescę, kobiecie, której on, Joel, prędko nie zapomni.

**Ale Marco mógł go również zabić, dlatego rozstał się z nim na drugim piętrze Rhineland Banku, patrząc na czarne szpilki panny Elke i czekając na jej szefa. Marco odszedł i miał już nigdy nie wrócić.**

Gabinet Mikela van Thiessena urządzone tak, żeby każdy wchodzący tam klient z miejsca obrywał potężnym hakiem w twarz. Moc i potęga była z wielkiego, grubego perskiego dywanu. Ze skórzanej sofy i skórzanych foteli. Ze starego, mahoniowego biurka, które nie zmieściłoby się w jego więziennej celi. Z baterii elektronicznych gadżetów do dyspozycji dyrektora. Van Thiessen powitał go w potężnych, dębowych drzwiach -uścisnęli sobie ręce, mocno, choć nie jak starzy przyjaciele. Widzieli się dopiero drugi raz.

Jeśli od swojej ostatniej wizyty Joel zgubił dwadzieścia siedem kilo, van Thiessen na pewno je znalazł. Zdążył przez ten czas jeszcze bardziej posiwieć i nie był tak rześki jak młodzi bankowcy z tramwaju. Wskazał mu fotel, a panna Elke z asystentką podały kawę i ciasteczka.

–Ostatnio dużo o panu czytałem – zagał van Thiessen, gdy zamknęły się drzwi i zostali sami.

–Doprawdy? Ciekawe co?

–Przekupił pan prezydenta, żeby dostać ułaskawienie? Panie Back-man, czy naprawdę tak łatwo można to u was załatwić?

Joel nie wiedział, czy van Thiessen żartuje, czy nie. Był w dobrym nastroju, ale nie miał ochoty na wymianę dowcipnych ripost.

–Pomyłka, nikogo nie przekupiłem.

–Cóż, w gazetach roi się od różnych spekulacji... – Oskarżycielska nutka w jego głosie zagłuszała nutkę wesołej jowialności i Joel postanowił nie tracić czasu.

–Wierzy pan we wszystko, co przeczyta w gazetach?

–Ależ oczywiście, że nie.

–Przyjechałem, żeby załatwić trzy sprawy. Chcę zajrzeć do mojej skrytki. Chcę sprawdzić stan konta. I podjąć dziesięć tysięcy dolarów w gotówce. Potem będę miał do pana jeszcze kilka próśb.

Van Thiessen włożył sobie do ust ciasteczko i zaczął je szybko żuć.

–Tak, oczywiście. Nie sądzę, żeby były z tym jakieś problemy.

–Niby dlaczego miałyby być?

**–Właśnie. Potrzebuję tylko kilku minut...**

**–Na co?**

**–Na konsultacje z kolegą.**

**–Mógłby pan się pospieszyć?**

**Van Thiessen wybiegł z gabinetu, zatrzaskując za sobą drzwi.**

A jego rozboleł brzuch. Ale bynajmniej nie z głodu. Gdyby coś teraz nie wypaliło, nie miał żadnego planu awaryjnego. Wyszedłby z banku z niczym i może dotarł na drugą stronę placu, żeby wsiąść do tramwaju. Tylko co dalej? Nie miałby dokąd jechać. Ucieczka dobiegła końca. Wróciłby Marco, a Marco w końcu by go zabił.

Czas stanął w miejscu, a on myślał tylko o tym nieszczęsnym ułaskawieniu. Jako w pełni ułaskawiony przestępca był zupełnie czysty. A ponieważ był czysty, amerykański rząd nie mógł – pod żadnym pretekstem -nalegać, żeby Szwajcarzy zablokowali mu konto. Szwajcarzy nie blokowali kont! Nikomu! Szwajcarzy byli odporni na perswazję i naciski! Dlatego ich banki były pełne łupów z całego świata.

**Szwajcarzy byli Szwajcarami!**

Panna Elke poprosiła go na dół. Kiedyś poszedłby za nią wszędzie, ale teraz, cóż, mógł tylko na dół.

Był już tam podczas pierwszej wizyty. Skarbiec mieścił się w podziemiach, kilka pięter poniżej poziomu ulicy, chociaż żaden klient nie wiedział, ile tych pięter dokładnie jest i jak głęboko sięgają. Każde drzwi miały ze trzydzieści centymetrów grubości, każda ściana wyglądała tak, jakby zrobiono ją z ołowiu, na każdym suficie czuwały kamery systemu bezpieczeństwa wewnętrznego. Panna Elke ponownie przekazała go van Thiessenowi.

Zeskanowano mu oba kciuki. Innym skanerem, optycznym, zrobiono zdjęcie.

–Numer 7 – powiedział van Thiessen. – Tam się spotkamy. – I wyszedł.

Krótki korytarz, sześćcioro stalowych drzwi bez choćby malutkiego okienka, wreszcie drzwi numer 7. Joel wcisnął guzik. Coś kliknęło, coś się obróciło i drzwi wreszcie się otworzyły. W środku czekał van Thiessen.

Pomieszczenie miało nieco ponad metr kwadratowy powierzchni i trzy ściany wypełnione kasetkami wielkości dużego pudełka od butów.

–Numer pańskiej skrytki?

–L2270

–Zgadza się.

Van Thiessen zrobił krok w prawo, lekko się pochylił, wystukał coś na klawiaturze i się wyprostował.



**-Proszę.**

Pod jego czujnym okiem Joel podszedł bliżej i musnął palcami klawisze. Wprowadzając kod, cichutko szeptał:

–Osiemdziesiąt jeden, pięćdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt trzy, dwadzieścia trzy. – Liczby te wryły mu się w pamięć powsze czasy.

Nad klawiaturą zamigało zielone światełko.

–Zaczekam na korytarzu powiedział z uśmiechem van Thiessen. –

Kiedy pan skończy, wystarczy zadzwonić.

Zostawszy sam, Joel wyjął ze ściany stalową kasetkę i otworzył wieko. W środku była duża, żółta, sztywna koperta, a w niej cztery dwugigabajtowe płytki warte miliard dolarów.

Pozwolił sobie na chwilę zwłoki, chwilę nie dłuższą niż sześćdziesiąt sekund. Ostatecznie był teraz bezpieczny, skoro więc chciał pomyśleć, co stało na przeszkodzie?

Pomyślał o Safim Mirzie, Fazalu Sharifie i Farooqu Khanie, trzech młodych, genialnych informatykach, którzy odkryli Neptuna i stworzyli oprogramowanie, dzięki któremu można nim było sterować. Żaden z nich już nie żył. Zabiła ich chciwość i zły prawnik. Pomyślał o Jacym Hubbardzie, obcesowym, towarzyskim i charyzmatycznym kanciarzu, który przez całe życie czarował wyborców i którego w końcu zgubiła zachłanność. Pomyślał o Carlu Pracie, Kimie Bollingu i kilkunastu innych wspólnikach, których ściągnął do dobrze prosperującej firmy i których zniszczyło to, co właśnie trzymał w ręku. Pomyślał o Nealu i poniżeniu, na jakie go naraził, gdy w Waszyngtonie wybuchł skandal i gdy jedynym schronieniem stało się więzienie.

Pomyślał też o Joelu Backmanie, ale nie, bez użalania się nad sobą, bez współczucia czy zrzucania winy na kogoś innego. Jak nędzne życie prowadził, przynajmniej do tej pory. Ale chociaż dużo by dał, żeby przeżyć je jeszcze raz, tym razem zupełnie inaczej, nie miał czasu na takie myśli. Zostało ci tylko kilka lat, Joelu, Marcu, Giovanni czy jak ci tam na imię. Dlaczego chociaż raz w swoim podłym, wrednym życiu nie zrobisz czegoś, co jest dobre, zamiast czegoś, na czym mógłbyś zarobić?

Schował płytki do koperty, kopertę do teczki i wsunął kasetkę do przegródki w ścianie. Potem zadzwonił po van Thiessena.

**Gdy wrócili do gabinetu władzy i mocy, van Thiessen podał mu teczkę z pojedynczą kartką w środku.**

–Zestawienie pańskiego rachunku – powiedział. – Proste i krótkie. Jak pan wie, nie było żadnych operacji.

–Płacicie tylko jeden procent – zauważył Joel.

–Znał pan nasze stawki, gdy otwierał pan konto. Tak, wiem.

–Chronimy pańskie pieniądze w inny sposób.

–Oczywiście. – Joel zamknął i zwrócił mu teczkę. – To mi niepotrzebne. Przygotował pan pieniądze?

–Tak, już je niosą.

–Świetnie. Mam jeszcze kilka próśb.

Van Thiessen przysunął bliżej notatnik i wziął pióro.

–Tak?

–Chciałbym zrobić przelew do jakiegoś banku w Waszyngtonie. Może mi pan któryś polecić?

–Naturalnie. Od lat współpracujemy z Maryland Trust...

–Doskonale. Proszę przelać tam sto tysięcy dolarów. Niech otworzą zwykły rachunek oszczędnościowy. Nie będę wypisywał czeków. Będę pobierał gotówkę.

–Rachunek na jakie nazwisko?

–Joel Backman i Neal Backman. – Na nowo przyzwyczajał się do swojego nazwiska. Słyszając je, już się nie wzdrygał. Nie kulił się ze strachu, czekając na huk wystrzału. Joel Backman. Nawet mu się podobało.

–Zapisałem – powiedział van Thiessen. Teraz wszystko było możliwe.

–Chcę wrócić do Stanów i potrzebuję pomocy. Czy pańska sekretarka mogłaby przedzwonić do Lufthansy i sprawdzić, kiedy latają do Filadelfii i Nowego Jorku?

–Oczywiście. Kiedy chce pan lecieć i skąd?

–Dzisiaj, jak najszybciej. Ale nie z Zurychu. Jak długo jedzie się stąd do Monachium?

**–Samochodem trzy, cztery godziny.**

**–Może mi pan załatwić samochód?**

**–Naturalnie.**

**–Wolałbym wyjechać bezpośrednio z garażu, z kimś, kto nie wygląda jak szofer. Żadnych czarnych limuzyn. Nie chcę się rzucać w oczy.**

**Zaskoczony van Thiessen przestał notować.**

**–Grozi panu jakieś niebezpieczeństwo?**

**–Możliwe. Nie jestem pewien, ale wolę nie ryzykować.**

Van Thiessen myślał przez chwilę.

–Chciałby pan, żebyśmy zarezerwowali panu bilet?

–Tak.

–W takim razie poproszę o paszport.

Joel podał mu paszport Giovanniego.

Van Thiessen oglądał go i oglądał – zdradziła go twarz. Nie była już twarzą stoickiego bankiera – malowały się na niej konsternacja i niepokój.

–Panie Backman – wykrztusił w końcu. – Podróżuje pan z cudzym paszportem.

–Zgadza się.

–Czy jest ważny?

–Tak.

–Rozumiem, że swojego pan nie ma.

–Odebrano mi go dawno temu.

–Nasz bank nie może uczestniczyć w przestępstwie. Jeśli ten dokument jest kradziony...

–Zapewniam pana, że nie jest.

–W takim razie, skąd...

–Powiedzmy, że ktoś mi go pożyczył. Wystarczy?

–Ale posługiwanie się czyimś paszportem jest naruszeniem prawa.

–Panie dyrektorze, zostawmy w spokoju amerykańską politykę imigracyjną. Proszę mi tylko załatwić rozkład lotów; godzinę wybiorę sam. Pańska sekretarka zarezerwuje mi bilet i zapłaci przelewem z waszego konta. Niech pan potrąci tę kwotę z mojego rachunku. Załatwi mi pan samochód z szoferem. Jeśli pan chce, proszę mnie obciążyć i za to. Sprawa jest bardzo prosta.

A co tam. Przecież to tylko zwykły paszport. Niektórzy klienci mieli po trzy, a nawet

po cztery.

–Dobrze – zdecydował van Thiessen. – Coś jeszcze?

–Tak, muszę skorzystać z Internetu. Jestem pewien, że wasze komputery są bezpieczne.

–Absolutnie.

E-mail brzmiał tak:

Grinch, przy odrobinie szczęścia powinienem przylecieć do Stanów dziś wieczorem.  
Kup nową komórkę.

Nie spuszcza jej z oczu. Jutro rano zadzwoń do Hiltona, Marriotta i Sheratona w Waszyngtonie. Pytaj o Giovanniego Ferra. To ja. Z samego rana zadzwoń do Carla Pratta, koniecznie z nowego telefonu. Niech ściągnie do Waszyngtonu senatora Clayburna. Pokryjemy wszystkie koszty. Powiedz mu, że to pilne. Że to przysługa dla starego przyjaciela. Nie ustępuj, zmusz go do tego. Kolejny e-mail dopiero po powrocie do domu. Marco

Po szybkiej kanapce i coli w gabinecie van Thiessena Joel opuścił bank na przednim siedzeniu lśniącego, zielonego bmw. Na wszelki wypadek zasłaniał twarz gazetą, dopóki nie znaleźli się na autostradzie. Szofer miał na imię Franz. Franz chciał startować w Formule 1 i dowiedziawszy się, że Joel się spieszy, wcisnął pedał gazu, zjechał na lewy pas i popędzili przed siebie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

## Rozdział 32

pierwszej pięćdziesiąt pięć siedział już w rozpustnie wielkim fotelu w pierwszej klasie boeinga 747 Lufthansy. Samolot właśnie ruszył, powoli odbijając od rękawa i dopiero wtedy Joel sięgnął po kieliszek szampana, na który gapił się od dobrych dziesięciu minut. Zanim maszyna wyhamowała na końcu pasa, czekając na pozwolenie na start, kieliszek był już pusty. Gdy samolot oderwał się od ziemi, Joel zamknął oczy i pozwolił sobie na luksus kilku godzin snu.

Dokładnie o tej samej godzinie – w Culpeper była siódma pięćdziesiąt pięć czasu wschodnioamerykańskiego -jego syn przeżywał tak silny stres, że gotów był rzucić czymś w ścianę. Jak, u diabła, miał kupić nowy telefon, ponownie zadzwonić do Carla Pratta, namówić go do spłacenia nieistniejącego długu i przekonać starego, zręczliwego senatora z Ocracoke w Karolinie Północnej, że warto jest wszystko natychmiast rzucić i przyjechać do miasta, którego najwyraźniej nie znosił? Nie wspominając już o tym, że tego dnia miał prawdziwe urwanie głowy w kancelarii.

Ratowanie



zbląkanego ojca było oczywiście ważniejsze, ale co miał zrobić z tłumem klientów i innymi ważnymi sprawami?

Po kawie w Jerry's Java zamiast pojechać do pracy, wrócił do domu. Lisa właśnie kąpała córeczkę.

–Co się stało? – spytała zaskoczona.

–Musimy porozmawiać. Natychmiast.

Zaczął od tajemniczego listu z Yorku w Pensylwanii. Potem, choć bardzo go to bolało, powiedział jej o pożyczce, o telefonie i o zaszyfrowanych e-mailach, czyli praktycznie o wszystkim. Ku jego wielkiej uldze, przyjęła to spokojnie.

–Powinieneś był mi powiedzieć.

–Wiem, przepraszam.

Nie pokłócili się ani się nawet nie posprzeczczeni. Lojalność była jedną z najwspanialszych cech jej charakteru, więc gdy powiedziała: „Musimy mu pomóc”, objął ją i przytulił.

–Odda wszystko co do centa.

–O pieniądze będziemy martwić się później. Grozi mu niebezpieczeństwo?

–Chyba tak.

–Dobrze, od czego zaczniemy?

–Od tego, że zadzwonisz do kancelarii i powiesz im, że mam gripę.

Ponieważ siedzieli pod żyrandolem, w którym Mosad zainstalował maleńki mikrofon, całą rozmowę nagrano dokładnie ze szczegółami. Każde słowo wędrowało drogą radiową do ukrytego na strychu przekaźnika, a stamtąd do odbiornika wysokiej częstotliwości zainstalowanego kilkaset metrów dalej, w biurze wynajętym na pół roku przez kogoś ze stolicy. Technik przesłuchał nagranie dwa razy, a potem szybko wysłał e-mail do agenta terenowego w ambasadzie Izraela w Waszyngtonie.

Od chwili zniknięcia Joela Backmana w Bolonii przed ponad dwudziestoma czterema godzinami ze wzmożoną czujnością rejestrowano wszystko, co działo się w domu jego syna.

**E-mail kończył się oczywistym wnioskiem: JB wraca do domu.**

**Podczas rozmowy z Lisą Neal nie wymienił na szczęście nazwiska „Giovanni Ferro”.  
Lecz na nieszczęście wymienił nazwy dwóch z trzech hoteli, Marriotta i Sheratona.**

Powrotowi Backmana przyznano najwyższy priorytet. Na wschodnim wybrzeżu działało jedenastu agentów Mosadu. Wszystkich natychmiast przeniesiono do Waszyngtonu.

Lisa podrzuciła córeczką matce i pojechała z Nealem do odległego o pół godziny jazdy Charlottesville. W centrum handlowym znaleźli salon U.S. Cellular. Kupili telefon, aktywowali go i trzydzieści minut później siedzieli już w samochodzie. Lisa prowadziła, a Neal próbował złapać Carla Pratta.

Dzięki solidnej dawce szampana i wina Joel przespał prawie całą podróż przez Atlantyk. Gdy o wpół do piątej po południu wylądowali na lotnisku Kennedy'ego, odprężenie ustąpiło miejsca niepewności i przymusowi zerkania przez ramię.

Na odprawie paszportowej początkowo stanął w krótszej kolejce powracających do kraju Amerykanów; klębiący się tuż obok tłum obcokrajowców wzbudzał zażenowanie. Stanął, odkrył swój błąd, rozejrzał się, zaklął pod nosem i przeszedł do sąsiedniej kolejki.

Dureń. Co za dureń z niego!

Młody chłopak z Bronksu gruby kark, mundur i te rzeczy – pokrzykiwał na ludzi, żeby się porządnie ustawili. Tak, tutaj, nie tam, i szybciej proszę! Witajcie w Ameryce. Za niektórymi rzeczami nigdy się nie tęskni.

Ten w budce wziął paszport i natychmiast zmarszczył czoło, lecz tak się składało, że marszczył czoło na widok każdego paszportu; Joel obserwował go uważnie przez ciemne okulary.

–Proszę to zdjąć.

–*Certamente* odrzekł głośno Joel, żeby pochwalić się swoim włoskim. Zdjął okulary, zatrzepotał powiekami, jakby miał zaraz oślepnąć i przetarł oczy. Urzędnik przyjrzał się jego twarzy, niechętnie przybił stempel i bez słowa zwrócił paszport. Ponieważ Joel nie miał nic do oclenia, ci z odprawy celnej ledwo na niego spojrzeli. Przebił się przez tłum w sali przylotów, wyszedł przed terminal i stanął w kolejce do taksówek.

Penn Station – rzucił do kierowcy. Taksiarz, młody, drobny wyrostek, był podobny do Farooqa Khana, najmłodszego z trójki Pakistańczyków, i przypatrując się mu z tylnego siedzenia, Joel przysunął bliżej swoją walizeczkę.

Była godzina szczytu, więc dotarł na miejsce po czterdziestu pięciu minutach. Kupił bilet do Waszyngtonu i o siódmej wyjechał z Nowego Jorku.

Zatrzymali się na Brandywine Street w północno-zachodniej części miasta. Dochodziła jedenasta w nocy i w oknach niemal wszystkich domów było ciemno. Joel zamienił kilka słów z kierowcą, który już wyciągał nogi, gotów do drzemki.

Pani Pratt nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok, gdy nagle usłyszała dzwonek u drzwi. Chwyciła szlafrok i zbiegła po schodach. Mąż sypiał ostatnio na dole, głównie dlatego, że chrapał, za dużo pił i cierpiał na bezsenność. Pani Pratt założyła, że tak było i teraz.

–Kto to? – spytała przez domofon.

–Joel Backman.

Pomyślała, że to głupi żart.

–Kto?

–Donna, to ja, Joel. Przysięgam, że to ja. Otwórz. Przytknęła oko do judasza i go nie poznała.

–Chwileczkę. – Pobiegnęła do salonu, gdzie Carl oglądał wiadomości. Chwilę później mąż stanął pod drzwiami w uniwersyteckim swetrze. W rękę trzymał pistolet.

–Kto tam? – rzucił.

–Carl, to ja, Joel. Odłóż spluwę i otwórz drzwi.

Głos Backmana, na sto procent. Pratt otworzył i w jego życie ponownie wkroczył Joel, koszmar z przeszłości, zmora, która wróciła, żeby go dobić. Nie objęli się na powitanie, nie uścisnęli sobie rąk, ledwo się uśmiechnęli. Prattowie długo gapili się na niego bez słowa, bo wyglądał zupełnie inaczej: znacznie szczuplejszy, miał krótsze włosy, w dodatku ciemne, i był dziwnie ubrany.

–Co ty tu robisz? – spytała wreszcie Donna.

–Dobre pytanie – odparł zimno Joel; miał nad nimi przewagę, bo wszystko sobie zaplanował, kompletnie ich zaskakując. – Odłóżysz ten pistolet?

Pratt położył pistolet na stoliku.

**-Rozmawiałeś z Nealem? – spytał Joel.**

**-Przez cały dzień.**

**-Co się dzieje, Carl? – denerwowała się Donna.**

–Naprawdę nie wiem.

–Możemy pogadać? Po to przyjechałem. Przestałem ufać telefonom.

–Ale o czym chcesz gadać? – drążyła Donna.

–Zrobisz nam kawy? poprosił grzecznie Joel.

–Ani mi się śni.

Dobra, skreślmy kawę.

Carl tarł policzek, ważąc wszystkie za i przeciw.

–Donna, musimy porozmawiać w cztery oczy. O firmie, o starych sprawach. Potem ci wszystko opowiem.

Przeszyła ich spojrzeniem, które mówiło: idźcie do diabła, i pomaszerowała do kuchni. Przeszli do gabinetu.

–Napijesz się czegoś? – spytał Carl.

–Tak, czegoś mocniejszego.

Pratt podszedł do barku w kącie pokoju i nalał dwie podwójne whisky. Podał mu szklaneczkę i nie próbując się nawet uśmiechnąć, rzucił:

–Twoje.

–Twoje. Miło cię widzieć, Carl.

–Wierzę. Miałeś mnie zobaczyć dopiero za czternaście lat.

–Liczyło się dni, co?

–Joel, wciąż jeszcze po tobie sprzątam. Wielu przez ciebie oberwało. Przepraszam za Donnę, ale jak sam widzisz, ja też nie skaczę z radości na twój widok. Nie wiem, czy ktoś w tym mieście chciałby uścisnąć cię na powitanie.

–Większość wolałaby mnie zastrzelić.

Carl zerknął przez ramię na pistolet.

–Ale nie mogę się tym przejmować – mówił dalej Joel. – Nie teraz. Tak, chciałbym

cofnąć czas i parę rzeczy naprawić, ale nie stać mnie na ten luksus. Ścigają mnie, Carl. Uciekam i potrzebuję pomocy.

–A może nie chcę się w to pakować.

–Wcale bym się nie zdziwił. Ale musisz zrobić mi przysługę. Dużą przysługę. Pomóż mi, obiecuję, że już nigdy mnie nie zobaczysz.

–Następnym razem cię zastrzelę.

–Gdzie jest Clayburn? Tylko mi nie mów, że nie żyje.

–Żyje, i to całkiem nieźle. Poza tym masz szczęście.

–Szczęście?

–Clayburn jest tutaj, w Waszyngtonie.

–Co tu robi?

–Hollis Maples odchodzi na emeryturę po stu latach w senacie. Wieczorem urządzają balangę. Zjechali się wszyscy kumple.

–Maples? Ślinił się do zupy już dziesięć lat temu.

–Tak, a teraz nie widzi nawet zupy. Swego czasu trzymał z Clayburnem sztamę.

–Rozmawiałeś z nim?

–Z Clayburnem? Tak.

–No i?

–Może być ciężko. Twoje nazwisko źle mu się kojarzy. Wspomniał coś o rozstrzelaniu za zdradę stanu.

–Nieważne. Powiedz mu, że jak robi ze mną interes, poczuje się jak prawdziwy patriota.

–Jaki interes?

–Mam to oprogramowanie. Całość, cztery płytki. Dziś rano zabrałem je z bankowego skarbca w Zurychu, gdzie przeleżały ponad sześć lat. Przyjdźcie do mnie do hotelu, to je wam pokażę.

–Chyba nie mam ochoty.

–Owszem, masz.

Pratt wypił whisky jednym haustem. Podeszedł do barku, wziął zabójczą dolewkę, natychmiast wypił i spytał:

–Kiedy i do jakiego?

–Do Marriotta na Dwudziestej Drugiej. Pokój 520. Jutro o dziewiątej rano.

–Ale po co, Joel? Po co miałbym się w to pakować?

–Żeby zrobić przysługę staremu kumplowi.

–Z jakiej paki? Nie jestem ci nic winien. A stary kumpel odszedł dawno temu.

–Proszę cię, Carl. Przyrowadź Clayburna i do jutra w południe będziesz miał to z



**głowy. Obiecuję, że już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.**

**–To bardzo kuszące.**

**Powiedział taksjarszowi, że nigdzie się nie spieszy, i najpierw przejechali przez Georgetown K Street pełną nocnych restauracji, barów i studenckich knajpek, w których tłoczyli się ludzie żyjący pełnią życia. Były dwudziesty drugi marca, nadchodziła wiosna. Termometr wskazywał osiemnaście stopni Celsjusza i studenci chcieli poszaleć, nawet nocą.**

Na skrzyżowaniu I Street i Czternastej zwolnili i w oddali, na New York Avenue, zobaczył swój stary biurowiec. Gdzieś stamtąd, z najwyższego piętra, otoczony gotowymi na każde jego skinienie sługusami, rządził kiedyś swoim małym królestwem. Ale nie była to chwila nostalgii. Była to chwila przepełniona żalem po bezwartościowym życiu, które spędził na uganianiu się za pieniędzmi i na kupowaniu przyjaciół, kobiet i zabawek, jakie każdy ważniak powinien mieć. Pojechali dalej, mijając niezliczone biurowce, rządowe po jednej stronie ulicy i te wynajmowane przez lobbystów po drugiej.

Kazał taksjarszowi zmienić okolicę na przyjemniejszą. Skręcili w Constitution i przejechali promenadą Waszyngtona. Jego najmłodsza córka Anna Lee prosiła go przez wiele lat, żeby wiosną zabrał ją tu na spacer. Jej koleżanki często przychodziły tu z ojcami, więc tak jak one chciała zobaczyć pana Lincolna i spędzić dzień w Smithsonian Institution. Obiecywał jej i obiecywał, wreszcie zniknęła z jego życia. Mieszkała teraz w Denver z dzieckiem, którego nigdy nie widział.

Kopuła Kapitolu była coraz bliżej i nagle stwierdził, że ma dosyć. Krótki wypad w przeszłość przyprawił go o depresję. Wspomnienia z dawnego życia były zbyt nieprzyjemne.

–Jedźmy do hotelu – rzucił.

## Rozdział 33

eał zaparzył pierwszy tego dnia dzbanek kawy i wyszedł na chłodne, ceglane patio, żeby nasycić się pięknym, wiosennym porankiem.

Jeśli ojciec naprawdę wrócił do Waszyngtonu, o wpół do siódmej nie powinien już spać. Poprzedniego wieczoru wbił do komórki numery kilku waszyngtońskich hoteli i gdy weszło słońce, zaczął od Sheratona. Giovanni Ferro? Nie, nikt taki tu nie mieszka. Zadzwoił do Marriotta.

–Chwileczkę – powiedziała telefonistka i usłyszał sygnał.

–Halo? – Znajomy głos.

–Marco?

–Tak. To ty, Grinch?

–Tak.

**-Skąd dzwonisz?**

–Z patio. Czekam na wschód słońca.

–Jaki masz telefon?

–Nową motorolę, którą noszę w kieszeni od wyjścia ze sklepu.

–Jest na pewno bezpieczna?

–Tak.

Joel odetchnął głęboko.

–Dobrze cię słyszeć, synu.

–Ciebie też. Jak podróż?

–Z przygodami. Możesz przyjechać do Waszyngtonu?

–Kiedy?

–Dziś.

–Tak. Wszyscy myślą, że mam grypę. W kancelarii jestem kryty. Dokąd mam przyjść?

–Do Marriotta na Dwudziestej Drugiej. Wejdź do holu punktualnie o ósmej czterdzieści pięć. Wjedź windą na piąte piętro i zejdz schodami na czwarte. Pokój 520.

–Czy to wszystko konieczne?

–Zaufaj mi. Możesz pożyczyć od kogoś samochód?

–Nie wiem. Nie wiem, kto...

–Pożycz od matki Lisy. Sprawdź, czy nikt za tobą nie jedzie. Zostaw samochód na parkingu przy Szesnastej i przyjdź do Marriotta piechotą. Miej oczy z tyłu głowy. Jeśli zauważysz coś podejrzanego, zadzwoń i przerwiemy akcję.

Neal odruchowo rozejrzał się wokół siebie, wypatrując ubranych na czarno agentów. Ojciec miał obsesję. Naoglądał się filmów sensacyjnych? Naczytał się powieści szpiegowskich? A może mu odbiło przez to więzienie?

**–No więc? – warknął Joel.**

**–Tak, tato, już jadę.**

**Ira Clayburn wyglądał jak ktoś, kto spędził całe życie na kutrze rybackim, a nie jako senator z trzydziestoczteroletnim stażem. Jego przodkowie przez sto lat łowili ryby na Outer Banks w Karolinie Północnej. On też by łowił, gdyby nie to, że w szóstej klasie podstawówki nauczyciel matematyki odkrył jego wyjątkową inteligencję. Stypendium do Chapel Hill wyciągnęło go z domu. Kolejne zaprowadziło na Yale, gdzie zrobił magisterium. Po trzecim stypendium mógł przed nazwiskiem wstawić „dr”. Zadowolony z życia wykładał ekonomię w Davidson, gdy w drodze kom-**

promisu zaproponowano mu fotel w senacie, gdzie miał zastępować kogoś do końca kadencji. Pojechał, zastąpił, niechętnie wystartował do wyścigu o pełną kadencję i przez następne trzydzieści lat na próżno próbował wyrwać się z Waszyngtonu. Dopiął swego dopiero jako siedemdziesięcioletni starzec. Odchodząc, zabrał ze sobą wiedzę o amerykańskim wywiadzie, jakiej nie posiadał żaden inny polityk.

Carl Pratt był jego starym przyjacielem z klubu tenisowego i zgodził się pojechać z nim do Marriotta jedynie z ciekawości. O ile wiedział, tajemnicy Neptuna nigdy nie rozwiązano. Ale z drugiej strony, wypadł z tej gry już przed pięcioma laty, bo już od pięciu lat niemal codziennie łowił ryby i z radością pływał łodzią od Hatteras aż po Cape Lookout.

U zmierzchu kariery widział, jak Joel Backman wyrasta na największego i najbardziej wziętego w długim rządzie lobbystów, którzy do mistrzostwa opanowali sztukę wykręcania rąk za olbrzymie honoraria. Wyjeżdżał z Waszyngtonu, gdy znaleziono trupa Jacy'ego Hubbarda, kolejnego padalca, który dostał to, na co zasłużył.

Nie, ludzie ich pokroju do niczego nie byli mu potrzebni.

Gdy otworzyły się drzwi pokoju numer 520, wszedł za Pratem do środka i stanął twarzą w twarz z samym diabłem.

Ale diabeł okazał się zupełnie innym człowiekiem, całkiem sympatycznym i niezwykle uprzejmym. Więzienie.

Joel przedstawił siebie i swojego syna Neala. Uściśnięto sobie ręce, złożono niezbędne podziękowania. Stół był zastawiony ciasteczkami, kawą i sokami. Wokół niego stały kręgiem cztery fotele. Usiedli.

–Zajmę panom tylko chwilę – zaczął Joel. – Panie senatorze, potrzebuję pańskiej pomocy. Nie wiem, co pan wie o tym burzliwym skandalu, po którym na kilka lat...

–Wiem tyle, co wszyscy, ale wiele pytań pozostało bez odpowiedzi.

–Ja te odpowiedzi znam.

–Czyje to satelity?

Joel nie mógł usiedzieć na miejscu. Podeszedł do okna, popatrzył w dal i wziął głęboki oddech.

**–Zbudowali je Chińczycy, astronomicznym kosztem. Jak pan wie, jeśli chodzi o broń konwencjonalną, są daleko za nami, dlatego zainwestowali olbrzymie pieniądze w elektronikę. Ukradli nam technologię i bez wiedzy CIA udało im się wprowadzić satelity na orbitę.**

**–Jakim cudem?**

–Zastosowali bardzo prymitywną sztuczką: pożar. Spalili ponad osiem tysięcy hektarów lasu w północnej prowincji kraju. Powstała olbrzymia chmura dymu, a wtedy wystrzelili trzy rakiety, każdą z trzema satelitami.

–Tak jak kiedyś Rosjanie – mruknął Clayburn.

–Tak, Rosjanie dali się nabrać na własną sztuczkę. Niczego nie zauważyli. Nikt niczego nie zauważył. Nikt nie wiedział o istnieniu Neptuna, dopóki przypadkiem nie odkryli go moi klienci.

–Ci pakistańscy studenci.

–Tak. Żaden z nich już nie żyje.

–Kto ich zabił?

–Podejrzewam, że Chińczycy.

–A Jacy'ego Hubbarda?

–Też.

–I teraz ścigają pana?

–Tak. Depczą mi po piętach, są bliżej, niżbym chciał. Clayburn wziął ciastko, Pratt opróżnił szklanekę soku.

–Mam to oprogramowanie – kontynuował Joel. – Była tylko jedna kopia.

–Oprogramowanie, które próbował pan sprzedać?

–Tak. I chcę się go pozbyć. Jak widać, jest dość... zabójcze i chętnie je komuś oddam. Nie wiem tylko komu.

–Może CIA? – wtrącił Pratt, żeby coś wreszcie powiedzieć.

Clayburn już kręcił głową.

–Nie ufam im – odparł Joel. – Teddy Maynard załatwił mi ułaskawienie, żeby zobaczyć, kto mnie ukatrupi. Mają tam teraz dyrektora tymczasowego...

–A my nowego prezydenta – wpadł mu w słowo Clayburn. – Nie, w CIA jest burdel. Trzymałbym się od nich z daleka. – I w tym momencie senator się zdeklarował,



**przechodząc na jego stronę i z ciekawskiego obserwatora stając się doradcą.**

**–W takim razie z kim mam rozmawiać? – spytał Joel. – Komu zaufać?**

**–DLA, Agencji Wywiadowczej Obrony – odparł bez wahania Clayburn. – Szefuje tam niejaki major Wes Roland, mój stary przyjaciel.**

**–Od dawna?**

**–Tam pracuje? – Clayburn zastanawiał się przez chwilę. – Od dziesięciu, może dwunastu lat. To doświadczony fachowiec, inteligentny jak jasna cholera. I honorowy.**

–Mógłby pan z nim porozmawiać?

–Tak. Jesteśmy w kontakcie.

–Ale czy on nie odpowiada przed dyrektorem CIA? – spytał Pratt.

–Wszyscy odpowiadają. Mamy teraz co najmniej piętnaście agencji wywiadowczych; walczyłem przeciwko temu przez dwadzieścia lat; i wedle prawa, wszystkie podlegają CIA.

Więc Roland weźmie to, co mu dam, i pójdzie z tym do CIA? – spytał Joel.

–Nie ma wyboru. Ale można to załatwić na kilka sposobów. Roland jest rozsądny i zna się na polityce. Dlatego tak długo się tam utrzymał.

–Może pan nas umówić?

–Tak, ale co pan właściwie zamierza?

–Rzucić mu płytki z oprogramowaniem i zwać.

–A w zamian chce pan...

–Sprawa jest prosta, panie senatorze. Nie chcę pieniędzy. Chcę tylko pomocy.

–Jakiej?

–Wolałbym omówić to z nim. W pańskiej obecności naturalnie.

Zapadła cisza. Zamyślony Clayburn wbił wzrok w podłogę. Neal podszedł do stołu i wziął croissanta. Joel dolał sobie kawy. Pratt, najwyraźniej skacowany, pił kolejną szklankę soku pomarańczowego.

Wreszcie Clayburn wyprostował się i rzekł:

–Rozumiem, że to pilne.

–Więcej niż pilne. Spotkałbym się z nim choćby zaraz. Wszędzie.

–Na pewno rzuciłby wszystko i przyjechał.

–Telefon jest tam.

Clayburn wstał i podszedł do biurka. Pratt odchrząknął.

**–Panowie – powiedział – ja wypadam z gry. Nie chcę nic więcej słyszeć. Nie chcę być ani świadkiem, ani oskarżonym, ani trupem. Dlatego**

**wybaczcie, ale wracam do biura.**

**Nie czekał na odpowiedź. Wstał i już go nie było. Przez kilka sekund gapili się na zamknięte drzwi, trochę zaskoczeni tym nagłym wyjściem.**

**–Biedny Carl – mruknął Clayburn. – Zawsze bał się własnego cienia.**

**–Podniósł słuchawkę i wziął się do roboty.**

**W połowie czwartego telefonu, i drugiego bezpośrednio do Pentagonu, zasłonił ręką słuchawkę i szepnął:**

**–Wolą spotkać się u siebie.**

Joel pokręcił głową.

–Nie. Nie wejdę tam z oprogramowaniem, dopóki nie zawrzemy układu. Dam im je później, ale teraz nie ruszę się z nim nigdzie.

Clayburn przekazał to swojemu rozmówcy. Długo słuchał, wreszcie spytał:

–To oprogramowanie, na czym jest?

–Na czterech dwugigabajtowych płytach.

–Muszą to sprawdzić.

–Dobrze, wezmę do Pentagonu dwie płytki. To mniej więcej połowa całości. Będą mogli je przejrzeć.

Clayburn znowu przekazał rozmówcy warunki Joela i znowu długo słuchał. Wreszcie spytał:

–Pokaże mi pan te płytki?

–Proszę.

Clayburn odłożył słuchawkę. Joel otworzył walizeczkę, wyjął kopertę, z koperty płytki i ułożył je na łóżku jak na wystawie. Clayburn wrócił do telefonu.

–Tak, właśnie na nie patrzę. Pan Backman zapewnia mnie, że to jest to... –  
Ponownie zwrócił się do Joela: – Chcą, żebyśmy natychmiast przyjechali do Pentagonu.

–No to jedźmy.

Clayburn skończył rozmowę i ciężko westchnął.

–Gorąco się tam zrobiło. Chłopcy siedzą jak na szpilkach. Jedziemy?

–Proszę poczekać na mnie na dole. Będę za pięć minut.

Gdy senator wyszedł, Joel szybko zebrał płytki i dwie z nich schował do kieszeni. Pozostałe dwie, numer 3 i 4, trafiły do walizeczki, a walizeczka do Neala.

–Kiedy wyjdziemy, idź do recepcji i wynajmij pokój. Niech dadzą ci go od ręki, natychmiast. Z pokoju zadzwoń tutaj i zostaw mi wiadomość, gdzie jesteś. Siedź tam,

**dopóki się nie odezwę.**

**–Dobrze, tato. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.**

**–Dobijam targu, synu. Jak za dawnych czasów.**

**Taksówka wyrzuciła ich na południowym parkingu Pentagonu, tuż przy metrze. Czekają na nich dwóch oficerów majora Rolanda z upoważnieniami i poleceniami. Przeprowadzili ich przez punkty kontrolne, sfotografowali i wydali im identyfikatory. Clayburn przez cały czas burczał, że**

za starych, dobrych czasów wchodził tu każdy, kto chciał, bez żadnych takich.

Stare czasy czy nowe, z malkontenta szybko zmienił się w zawodowego gracza, całkowicie pochłoniętego sprawą Backmana. Idąc szerokimi korytarzami na pierwszym piętrze, wspominał, jak łatwo żyło im się przed laty, gdy na świecie były dwa supermocarstwa. Bo wtedy zawsze mieli Rosjan. Ciemne typy rzucały się w oczy.

Drugie piętro skrzydła C, drzwi i biuro, gdzie najwyraźniej ich oczekiwano. Na spotkanie wyszedł im sam major Roland, sześćdziesiąt lat, wciąż szczupły i wysportowany, no i oczywiście w mundurze. Dokonano prezentacji i zaprosił ich do sali konferencyjnej, gdzie na końcu długiego i szerokiego stołu trzech techników uwijało się wokół wielkiego komputera, który dopiero co tam ustawiono.

Major spytał Joela, czy ten miałby coś przeciwko, gdyby podczas rozmowy obecnych było jego dwóch zastępców. Nie, absolutnie. Joel nie miał żadnych zastrzeżeń.

–A czy moglibyśmy zarejestrować naszą rozmowę na wideo?

–W jakim celu?

–Żeby mieć ją na taśmie na wypadek, gdyby zechciał obejrzeć nas ktoś na górze.

–Na przykład kto?

–Na przykład prezydent.

Joel zerknął na Clayburna, swojego jedyne, choć w najlepszym razie niepewnego sprzymierzeńca na tej sali.

–A CIA? – spytał.

–Też.

–Darujmy to sobie, przynajmniej na razie. Zobaczymy, może wrócimy do tego podczas rozmowy.

–Zgoda. Kawa? Cola?

Nikommu nie chciało się pić. Major spytał techników, czy sprzęt jest gotowy. Był, więc poprosił ich, żeby wyszli.

**Joel i Clayburn usiedli po jednej stronie stołu, Roland i jego zastępcy po drugiej. Wszyscy trzej mieli długopisy i notatniki. Joel i senator nie mieli nic.**

**–Zacznijmy i zakończmy sprawę CIA – zagał Joel, chcąc przejąć inicjatywę i pokierować przebiegiem spotkania. – Na ile się znam, dyrektor**

**CIA odpowiada za całą działalność wywiadowczą naszego kraju. Tak przy najmniej było kiedyś.**

–Tak, zgadza się – odparł Roland. – Teraz też.

–Co pan zrobi z informacjami, które panu przekażę?

Major zerknął na zastępcę po prawej. Wymienili bardzo niepewne spojrzenia.

–Jak sam pan zauważył, dyrektor jest dyrektorem i ma wgląd do wszystkich materiałów. Tak stanowi prawo.

Backman uśmiechnął się i odchrząknął.

–Panie majorze, CIA próbowała mnie zabić. Rozumie pan? I o ile wiem, wciąż na mnie polują. Dlatego nie darzę ich zbyt wielkim zaufaniem.

–Dyrektora Maynarda już nie ma...

–Ale jego miejsce zajął ktoś inny. Majorze, ja nie chcę pieniędzy. Chcę ochrony. A konkretnie tego, żeby mój własny rząd dał mi święty spokój.

–To rzecz do załatwienia – odrzekł z przekonaniem Roland.

–I żeby pomógł mi w kilku drobniejszych sprawach.

–Panie Backman, może zaczęlibyśmy od samego początku? Im więcej będziemy wiedzieli, tym więcej będziemy mogli dla pana zrobić.

Nie licząc Neala, Joel nie ufał już żadnemu człowiekowi stąpającemu po tej ziemi. Ale nadeszła pora wyłożyć karty na stół z nadzieją, że wszystko pójdzie dobrze. Pościg dobiegł końca. Nie miał już dokąd uciekać.

Zaczął od Neptuna. Opisał, jak Chińczycy go zbudowali, jak ukradli technologię od dwóch niezależnych od siebie dostawców systemów obronnych i jak wprowadzili go na orbitę, wystrychnąwszy na dudka nie tylko Amerykanów, ale i Rosjan, Brytyjczyków i Izraelczyków. Opowiedział im o trzech Pakistańczykach, o ich zgubnym odkryciu, o ich lękach, ciekawości, czy dałoby się z tym systemem skomunikować, o genialnym oprogramowaniu, które mogło nim sterować. Surowo ocenił swoją niepoohamowaną chciwość, chęć sprzedaży „zakłócacza” rządowi kilku państw dla fortuny, o jakiej nikomu się nie śniło. Bez owijania w bawełnę powiedział im o lekkomyślności Jacy'ego Hubbarda i o ich głupim planie negocjacji z potencjalnymi klientami. Bez wahania przyznał się do błędów i wziął na siebie pełną odpowiedzialność za spustoszenie, jakiego dokonał. I parł dalej.

Nie, Rosjan ich towar nie interesował. Mieli własne satelity i nie stać ich było na



**kupno dodatkowych.**

**Nie, z Izraelczykami sienie dogadali. Ale Izraelczycy wiedzieli, a przynajmniej mogli się domyślać, że jest bliski dobicia targu z Saudyjczyka-**

mi. Saudyjczycy bardzo chcieli kupić Neptuna. Mieli kilka satelitów, ale nie dorównywały one chińskim.

Neptunowi nie dorównywało nic, żaden najnowocześniejszy system satelitarny, nawet amerykański.

Tak, Saudyjczycy widzieli płytki z oprogramowaniem. W ściśle kontrolowanym teście ich dwóm agentom zademonstrowano możliwości opracowanego przez Pakistańczyków oprogramowania. Test przeprowadzono w laboratorium komputerowym uniwersytetu stanowego Maryland. Był oszałamiającym i przekonującym dowodem na drzemiący w Neptunie potencjał. Tak, on, Joel Backman, był przy tym obecny, podobnie jak Jacy Hubbard.

Saudyjczycy zaproponowali sto milionów dolarów; negocjacje prowadził Hubbard, który uważał się za ich bliskiego przyjaciela. Na konto w Zurychu przelano „opłatę transakcyjną” w wysokości miliona dolarów. Hubbard i on przedstawili Saudyjczykom kontrpropozycję: pół miliarda.

Wtedy rozpętało się piekło. Wkroczyli federalni z nakazami i aktami oskarżenia. Rozpoczęło się dochodzenie i Saudyjczycy się wystraszyli. Hubbarda zamordowano. On ukrył się w więzieniu, pozostawiając za sobą pasmo zniszczenia i wielu urażonych, rozwścieczonych ludzi.

Przez czterdzieści pięć minut nikt nie przerwał mu ani słowem. Gdy skończył, żaden z siedzących naprzeciwko oficerów już nie notował. Za bardzo pochłonęła ich jego opowieść.

–Z Izraelczykami możemy porozmawiać, to na pewno odezwał się w końcu major Roland. – Jeśli przekonamy ich, że Saudyjczycy nigdy nie mieli i nie mają tego oprogramowania, będą spać spokojniej. Przez te lata często do tego wracali. „Zakłócacz” był ich ulubionym tematem. Jestem przekonany, że dadzą się udobruchać.

–A Saudyjczycy?

–Oni też o to pytali, na najwyższym szczeblu. Ostatnio łączy nas wiele wspólnych interesów. Jeśli dowiedzą się, że oprogramowanie mamy my i nikt więcej, myślę, że skreślą tę sprawę, uznając, że był to po prostu zły interes. Pozostawałaby jedynie kwestia tej... „opłaty transakcyjnej”.

–Milion dolarów to dla nich tyle, co splunąć. Opłata transakcyjna nie podlega negocjacji.

**–Dobrze. Pozostają nam tylko Chińczycy.**

**–Macie panowie jakieś sugestie?**

Clayburn, który dotąd milczał, pochylił się nad stołem i podparł łokciami.

–Moim zdaniem Chińczycy nigdy tego nie darują. Pana klienci ukradli im sprzed nosa system satelitarny wart miliardy dolarów i przeprogramowali go po swojemu, tak że jest dla nich zupełnie bezużyteczny. Mają

na orbicie dziewięć najnowocześniejszych satelitów, jakie kiedykolwiek

zbudowano, i nie mogą z nich korzystać. Nie zapomną tego i nie przebaczą, i trudno im się dziwić. Niestety, w delikatnych sprawach wywiadowczych nie mamy w Pekinie żadnych wpływów.

Major Roland kiwnął głową.

–Zgadza się z panem senatorem. Możemy ich zawiadomić, że mamy to oprogramowanie, ale zapomnieć, nie zapomną.

–Tak myślałem. Ale cóż, po prostu próbuję przeżyć.

–Zrobimy, co się da, ale boję się, że da się niewiele.

–Panowie, moja propozycja jest następująca. Dacie mi słowo, że ściągniecie mi z karku CIA, że jak najszybciej porozmawiacie z Izraelczykami i Saudyjczykami i że spróbowacie załatwić coś z Chińczykami, chociaż jak rozumiem, z tymi ostatnimi nie ma co liczyć na jakiś sukces. Oprócz tego dacie mi dwa paszporty, australijski i kanadyjski. Gdy tylko będą gotowe, a zakładam, że dzisiejsze popołudnie nie jest terminem zbyt odległym, przyniesiecie mi je, a ja przekażę wam płytki z oprogramowaniem.

–Zgoda – odparł Roland. – Oczywiście najpierw musielibyśmy na nie spojrzeć.

Joel wyjął z kieszeni dwie płytki. Major wezwał techników i wszyscy skupili się wokół komputera.

Agent Mosadu o kryptonimie Albert zobaczył, jak do Marriotta przy Dwudziestej Drugiej wchodzi Neal Backman. Zameldował o tym przełożonym i pół godziny później weszli tam jego koledzy. Godzinę później zobaczył, jak Neal Backman wysiada z windy z teczką, której przedtem nie miał, jak idzie do recepcji i wypełnia coś, co wyglądało na formularz meldunkowy. Potem Backman wyjął portfel i podał recepcjoniście kartę kredytową.

Jeszcze potem znowu wsiadł do windy i Albert stracił go z oczu.

**To, że Joel Backman mieszka prawdopodobnie w Marriotcie przy Dwudziestej Drugiej, było niezwykle istotne, jednak łączyło się z tym wiele poważnych problemów. Po pierwsze, egzekucja Amerykanina w Amery-**

ce była operacją tak delikatną, że musieliby najpierw uzyskać zgodę premiera. Po drugie, pod względem logistycznym egzekucja jako taka była prawdziwym koszmarem. Hotel miał sześćset pokoi. Mieszkało w nim setki gości, pracowało setki ludzi, odwiedzało go setki ludzi z miasta, a w jego salach konferencyjnych odbywało się obecnie pięć różnych zjazdów. Tysiące potencjalnych świadków. Mimo to szybko opracowano stosowny plan.

## Rozdział 34

Jedli lunch z senatorem na tyłach wietnamskich delikatesów niedaleko Dupont Circle, w miejscu gdzie, jak uważali, nie spotkają żadnych lobbystów i starych znajomych, którzy widząc ich razem, natychmiast rozpuściliby kolejną plotkę, jedną z tych, które wzbudzają sensację i tym samym trzymają to miasto przy życiu. Przez godzinę, zmagając się z pikantnymi, parzącymi usta kluseczkami, słuchali starego rybaka z Ocra-coke, który raczył ich opowieściami z dni sławy i chwały. Rybak często powtarzał, że nie tęskni za polityką, mimo to w jego wspomnieniach roiło się od politycznych intryg, zabawnych anegdotek i dykteryjek o przyjaciółach z tamtych czasów.

Clayburn rozpoczynał ten dzień z myślą, że kula w łeb byłaby dla Backmana zbyt łaskawą, ale gdy się tego dnia żegnali na chodniku przed delikatesami, serdecznie zapraszał go na łódź, jego no i oczywiście Neala. Joel, który nie łowił ryb od dzieciństwa, wiedział, że nigdy go nie odwiedzi, lecz z wdzięczności obiecał, że kiedyś spróbuje.

Choć nie miał się o tym nigdy dowiedzieć, był w tym momencie bliższy śmierci, niż przypuszczał. Gdy po lunchu szedł z synem Connecticut Avenue, uważnie obserwowali go agenci Mosadu. W wynajętej furgonetce czekał snajper z gotowym do strzału karabinem. Jednak wciąż nie mieli ostatecznej zgody na akcję, Tel Awiw wciąż zwlekał. A chodnik był bardzo zatłoczony.

Wróciwszy do hotelu, Neal przejrzał książkę telefoniczną i znalazł w niej adres sklepu z męskimi ubraniami, w którym krawieckie poprawki można było zrobić z dnia na dzień. Bardzo mu na tym zależało, bo ojciec nie miał się praktycznie w co ubrać. W końcu kupił sobie granatowy trzyczęściowy

garnitur, białą koszulę, dwa krawaty, luźne bawełniane spodnie, trochę sportowych ciuchów i – dzięki Bogu dwie pary czarnych butów. Wszystko razem kosztowało trzy tysiące sto dolarów i zapłacił gotówką. Buty do gry w kręgle wylądowały w koszu na śmieci, chociaż mediolański sprzedawca bardzo je zachwalał.

Wpadli na kawę do Starbucksa przy Massachusetts Avenue i punktualnie o czwartej Neal wyjął z kieszeni telefon. Wybrał numer Rolanda i podał telefon ojcu.

Odebrał major, osobiście.

–Już jedziemy- powiedział.

–Pokój 520 – odparł Joel, obserwując siedzących w pobliżu kawoszy. – Ile będzie z panem osób?

–Sporo.

–Nieważne, ale niech pan zostawi ich w holu.

–Zgoda.

Zapomnieli o kawie i poszli do Marriotta na piechotę. Mieli do pokonania dziesięć ulic, a każdy ich krok był obserwowany przez uzbrojonych agentów Mosadu. Tel Awiw wciąż milczał.

Wrócili i kilka minut później ktoś zapukał do drzwi.

Joel zerknął nerwowo na syna, który zamarł, przerażony tak jak ojciec. To może być ta chwila, pomyślał Joel. Epicka podróż, która rozpoczęła się na ulicach Bolonii, dobiegała końca. Podróż początkowo piechotą, potem taksówką, jeszcze potem autobusem do Modeny, a z Modeny taksówką do Mediolanu – okazja tu, okazja tam, znowu kilka taksówek, pociąg do Stuttgartu, niespodziewany przystanek w Zugu, kolejna taksówka i kolejny taksjarsz, który zawiózł go do Zurychu, dwa tramwaje, Franz, zielone bmw, sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę w drodze do Monachium i ciepłe, serdeczne powitanie pod skrzydłami Lufthansy, na których wrócił do domu. Koniec. To mógł być koniec drogi.

–Kto tam? – spytał, podchodząc do drzwi.

–Wes Roland.

Przytknął oko do judasza, ale nikogo nie zobaczył. Wziął głęboki oddech i przekręcił klamkę. Major był w sportowej marynarce i w krawacie. Miał puste ręce i był sam. A

**przynajmniej na to wyglądało. Joel zerknął w lewo i zobaczył kilku ludzi, którzy próbowali ukryć się w korytarzu. Szybko zamknął drzwi i przedstawił majorowi syna.**



–Przyniosłem – powiedział Roland i wyjął z kieszeni dwa podniszczone paszporty. Jeden miał ciemnoniebieskie okładki ze złotym napisem AUSTRALIA. Joel otworzył go i najpierw spojrzął na zdjęcie. Wykorzystując to zrobione w Pentagonie, technicy mocno rozjaśnili mu włosy, usunęli okulary i dodali kilka zmarszczek, tak że wyglądał na nim całkiem całkiem. Nazywał się Simon Wilson McAvoy.

–Nieźle – powiedział.

Drugi paszport był granatowy, ze złotym napisem Kanada na okładce. To samo zdjęcie, inne nazwisko: Ian Rex Uatteboro. Joel kiwnął głową i dał je do obejrzenia Nealowi.

–Jeszcze jedno – powiedział Roland. – Nie rozmawialiśmy o tym, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że skandalem z ułaskawieniami za pieniądze zajmie się wielka ława przysięgłych.

–Panie majorze, obydwaj wiemy, że nie mam z tą sprawą nic wspólnego. Spodziewam się, że CIA przekona FBI, że jestem czysty. Nie miałem pojęcia, że chcą mnie ułaskawić. To nie mój skandal.

–Mogą wezwać pana do sądu...

–Świetnie, sam się zgłoszę. Moje zeznanie będzie rekordowo krótkie.

Majora to chyba zadowoliło. Był tylko posłańcem. Dał mu już paszporty i teraz interesowało go jedynie to, co miał otrzymać w zamian.

–A jeśli chodzi o te płytki...

–Tu ich nie ma – przerwał mu Joel z niepotrzebnym dramatyzmem. Ruchem głowy dał znak Nealowi, który wyszedł z pokoju. – Chwileczkę – dodał uspokajająco, bo Roland już zmarszczył brwi i zmrużył oczy.

–Czyżby jakieś problemy?

–Nie, absolutnie. Płytki są w innym pokoju. Przepraszam, ale za długo bawiłem się w szpiega.

–Jak na kogoś w pańskiej sytuacji całkiem nieźle panu szło.

–Boję się, że będzie to teraz mój nowy styl życia.

–Nasi technicy wciąż analizują te dwie pierwsze płytki. Imponująca robota.

**–Moi klienci byli bardzo inteligentnymi ludźmi. I dobrymi. Zgubiła ich chciwość. Tak jak kilku innych.**

**Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Neal. Podał ojcu kopertę, ten wyjął z niej dwie płytki i wręczył je majorowi.**

**–Dziękuję – powiedział. – Jest pan bardzo odważnym człowiekiem.**

Wymiana dobiegła końca. Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Roland ruszył do drzwi. Przekręcił klamkę i nagle znieruchomiał, jakby coś mu się przypomniało.

–Tak do pańskiej wiadomości... – powiedział poważnym głosem. – CIA jest prawie pewna, że dziś po południu do Nowego Jorku przyleciał Sammy Tin. Samolotem z Mediolanu.

–Chyba powinienem panu podziękować – odrzekł Joel.

Gdy zostali sami, wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy. Neal wyjął z barku dwa piwa i opadł na fotel. Odczekał kilka minut, sącząc piwo, wreszcie spytał:

–Tato, kto to jest Sammy Tin?

–Lepiej, żebyś nie wiedział.

–O nie. Chcę wiedzieć wszystko. A ty mi wszystko opowiesz.

O szóstej wieczorem przed salonem fryzjerskim na Wisconsin Avenue w Georgetown zatrzymał się samochód teściowej Neala. Joel wysiadł i się pożegnali. Jeszcze raz wielkie dzięki, synu. Neal odjechał, chciał jak najszybciej wrócić do domu.

Joel umówił się na wizytę kilka godzin wcześniej, przekupując recepcjonistkę obietnicą pięciuset dolarów w gotówce, i teraz czekała na niego korpulentna Maureen, niezbyt szczęśliwa, że musi pracować po godzinach, mimo to ciekawa, kto chce wydać tyle pieniędzy na zwykłe farbowanie.

Joel najpierw zapłacił, potem podziękował obu paniom za elastyczność, wreszcie usiadł przed lustrem.

–Myjemy? – spytała Maureen.

–Nie. Pospieszmy się.

Dotknęła jego włosów.

–Kto to panu kładł?

–Pewna Włoszka.

–Zdecydował się pan na kolor?

**–Niech będzie siwy, mocno siwy.**

**–Ale naturalny?**

**–Nie, sztuczny, prawie biały.**

**Maureen spojrzała na recepcjonistkę i przewróciła oczami. Co za typy tu przychodzą.**

Wzięła się do roboty. Koleżanka poszła do domu i zamknęła drzwi na klucz.

–Pracuje pani jutro? – spytał mniej więcej w połowie zabiegu.

–Nie, jutro mam wolne. Bo?

–Bo w południe chcę przyjść tu na jeszcze jedno farbowanie. Będę w nastroju na coś ciemniejszego, żeby ukryć siwiznę, którą mi pani nakłada.

Maureen znieruchomiła.

–Co panu jest?

–Niech pani przyjdzie jutro o dwunastej. Zapłacę tysiąc dolarów gotówką.

–Mogę przyjść, czemu nie. A pojutrze?

–Na razie skończymy na porządnej siwiznie. Powinna wystarczyć.

Gdy zadzwonił telefon, było już po południu i Dan Sandberg byczył się za biurkiem w redakcji „Posta”. Rozmówca przedstawił się jako Joel Back-man i powiedział, że chce porozmawiać. Na ekraniku identyfikatora widniał nieznany numer.

–Ten prawdziwy Joel Backman? – spytał Sandberg, błyskawicznie włączając laptopa.

–Jedyny, jakiego znam.

–Bardzo mi miło. Ostatnim razem widziałem pana w sądzie, kiedy przyznawał się pan do różnych brzydkich rzeczy...

–Z których oczyściło mnie prezydenckie ułaskawienie.

–Myślałem, że ukrywa się pan gdzieś na drugim końcu świata.

–Tak, ale Europa mnie zmęczyła. Zatręskniłem za moimi ulubionymi miejscami. Wróciłem i znowu pałę się do interesów.

–Do jakich interesów?

–Takich, w których jestem najlepszy, to chyba oczywiste. Właśnie o tym chciałem porozmawiać.

**–Z wielką przyjemnością. Ale będę musiał spytać pana o to ułaskawienie. Krąży wiele plotek...**

**–Od tego zaczniemy, panie redaktorze. Jutro o dziewiątej rano? Może być?**

**–Za nic bym tego nie przegapił. Gdzie?**

**–Mieszkam w apartamencie prezydenckim w Hay-Adamsie. Jeśli pan chce, niech pan przyprowadzi fotografa. Wielki Gracz wrócił.**

Sandberg odłożył słuchawkę i zadzwonił do Rusty'ego Lowella, swojego najlepszego informatora w CIA. Lowella nie było i jak zwykle nikt nie wiedział, gdzie jest. Sandberg przekręcił do innego znajomego z Langley, ale niczego się nie dowiedział.

Whitaker siedział w pierwszej klasie samolotu Alitalii z Mediolanu do Waszyngtonu. Tu, z przodu, wóda była za darmo, więc robił, co mógł, żeby się urządzić. Gdy zadzwoniła do niego Julia Javier, przeżył wstrząs. Zaczęła grzecznie i uprzejmie.

–No i? Namierzyliście go?

–Nie, ale szukamy.

–Myślisz, że go znajdziecie?

–Na pewno się pokaże.

–Pani dyrektor bardzo się niecierpliwi. Chce wiedzieć, czy go znajdziecie.

–To powiedz jej, że tak!

–A gdzie go szukacie?

–Między Mediolanem i Zurychem.

–Hm, w takim razie marnujecie tylko czas, bo widzisz, nasz stary Marco pojawił się w Waszyngtonie. A dzisiaj odwiedził Pentagon. Prześliznął się wam między palcami, zrobił z nas durniów.

–Co takiego?

–Lepiej wracaj do domu, i to szybko.

Dwadzieścia pięć rzędów za nim kulił się w fotelu Luigi, trąc kolanem o kolano dwunastolatki, która podrygiwała w takt najbardziej jazgotliwego rapu, jaki kiedykolwiek słyszał. Pił już czwartego drinka. Tu za drinki trzeba było płacić, ale miał to gdzieś.

Wiedział, że Whitaker zastanawia się już, jak zrzucić na niego całą winę. Powinien robić to samo, ale w tej chwili miał ochotę tylko pić. Czekał go bardzo nieprzyjemny tydzień.

Dwie minuty po szóstej wieczorem czasu wschodnioamerykańskiego Tel Awiw kazał

**przerwać akcję. Przerwać akcję, wycofać się, spakować manatki i wracać. Tym razem żadnego trupa nie będzie.**

**Agenci przyjęli ten rozkaz z ulgą. Potrafili być niewidzialni, potrafili zabić i zniknąć bez najmniejszego śladu. Ale Bolonia była o wiele lepsza niż zatłoczony Waszyngton.**



Godziną później Joel wymeldował się z Marriotta i poszedł na długi spacer. Ale trzymał się ruchliwych ulic i maszerował szybkim krokiem. Waszyngton to nie Bolonia. Wieczorem było tu zupełnie inaczej. Gdy dojeżdżający do pracy urzędnicy wracali do domu i zamierał ruch, w mieście robiło się niebezpiecznie.

Recepcjonista w Hay-Adamsie wolałby kartę kredytową, coś plastikowego, coś, co łatwiej by było zaksięgować. Rzadko kiedy klient upierał się, żeby zapłacić gotówką, ale ten nie chciał słyszeć żadnych tłumaczeń. Ponieważ rezerwacja została potwierdzona, recepcjonista uśmiechnął się służbiście, wręczył mu klucz i powitał pana Ferra w hotelu.

–Ma pan jakiś bagaż?

–Nie.

I na tym zakończyła się ich krótka rozmowa.

Pan Ferro ruszył do windy. W ręku trzymał tylko tanią, czarną walizeczkę.

## Rozdział 35

partament prezydencki mieścił się na siódmym piętrze i miał trzy wielkie okna z widokiem na H Street, park Lafayette'a i na Biały Dom. Były tam duża sypialnia z podwójnym łóżkiem, marmurowa łazienka z mosiężnymi kranami oraz salon ze stylowymi antykami, nieco przestarzałym już telewizorem, telefonem i faksem, z którego rzadko kiedy ktoś korzystał. Kosztował trzy tysiące dolarów za noc, ale od kiedy to Gracz przejmował się takimi drobnostkami?

Gdy o dziewiątej Sandberg zapukał do drzwi, te otworzyły się gwałtownie i usłyszał serdeczne: „Witaj, Dan!” Backman chwycił go za rękę, kilka razy wściekle nią potrząsnął i wciągnął go do swojego królestwa.

–Cieszę się, że mógł pan wpaść. Kawy?

–Tak, chętnie. Czarną poproszę.

Sandberg rzucił torbę na fotel, a Backman sięgnął po srebrny dzbanek. Był teraz znacznie szczuplejszy, miał zapadnięte policzki i niemal zupełnie białe włosy. Owszem, przypominał Backmana z sali sądowej, ale tylko trochę.

–Niech się pan rozgości – mówił. – Zamówiłem śniadanie. Zaraz powinni przynieść. -  
Podszedł do sofy i ostrożnie postawił na stoliku dwie filiżanki ze spodeczkami. –  
Usiądźmy tutaj. Będzie pan nagrywał?

–Jeśli można.

–Tak wolę. Unikniemy nieporozumień.

Usiedli. Sandberg postawił na stoliku mały magnetofon, wyjął notatnik i długopis. Backman był cały w skowronkach i gdy siedział w fotelu z nogą na nodze, biła z niego pewność siebie człowieka, który nie boi się żadnych pytań. Sandberg zerknął na jego buty, na ich prawie idealnie gładkie podeszwy z twardej gumy. Czarna skóra, nigdzie plamki czy zadrapania. Typowy prawnik: granatowy garnitur, biała koszula, złote spinki, stójka i rzucający się w oczy czerwono-złocisty krawat.

–Dobrze, zatem zacznijmy od tego, gdzie pan był?

–W Europie. Obijałem się trochę, zwiedzałem...

–Przez dwa miesiące?

–Tak. Dwa miesiące to w sam raz.

–Był pan w jakimś konkretnym miejscu?

–Nie, niezupełnie. Mnóstwo czasu spędziłem w pociągach. To cudowny sposób podróżowania. Można dużo zobaczyć.

–Dlaczego pan wrócił?

–Bo tu jest mój dom. Dokąd miałbym wracać jak nie tutaj? Co innego miałbym robić? Włóczęga po Europie: to brzmi zachęcająco, świetna zabawa, tylko że na zabawie się nie zarobi. A tu mam robotę.

–Jaką?

–Taką jak zwykle. Konsulting, stosunki międzynarodowe...

–To znaczy, że będzie pan lobbystą, jak kiedyś?

–Tak, w mojej firmie będzie wydział lobbystyczny, owszem. Ale nie stawiam wyłącznie na lobbying.

**–Jaka to firma?**

**–Nowa.**

**–Zechciałby pan to rozwinąć?**

**–Zakładam nową firmę, Dan. Backman Group. Siedziba będzie tutaj, przedstawicielstwa w Nowym Jorku i San Francisco. Sześciu wspólników. Początkowo, bo za rok przewiduję około dwudziestu.**

**–Co to za wspólnicy?**

–Dan, przecież nie mogę wymienić ich nazwisk, nie teraz. Uzgadniamy szczegóły, negocjujemy, ustalamy najdrażliwsze kwestie. Pierwszego maja zamierzamy przeciąć wstęgę. Będzie wielki jubel.

–Nie wątpię. A więc nie będzie to kancelaria adwokacka?

–Nie, ale z czasem stworzymy w niej wydział prawniczy.

–Myślałem, że odebrano panu licencję...

–Owszem, odebrano. Ale ponieważ zostałem ulaskawiony, mam prawo ponownie przystąpić do egzaminu. Jeśli zatęsknię za salą sądową, odświeżę wiadomości i zawalczę o nową licencję. Ale nie w najbliższej przyszłości, mam za dużo pracy.

–Czym się pan teraz zajmuje?

–Sprawami organizacyjnymi, gromadzeniem funduszy. No i oczywiście spotykam się z potencjalnymi klientami, to w tej chwili najważniejsze.

–Mógłby pan podać ich nazwiska?

–Teraz to wykluczone, ale niech pan zaczeka kilka tygodni i na pewno je pan pozna.

Zadzwonił telefon i Backman zmarszczył brwi.

–Chwileczkę, czekałem na ten telefon. – Wstał i podniósł słuchawkę.

–Backman. Jak się masz, Bob? Tak, będę jutro w Nowym Jorku. Posłuchaj, oddzwonię za godzinę, dobra? Teraz jestem trochę zajęty. - Odłożył

słuchawkę. – Przepraszam.

Był kwadrans po dziewiątej i zgodnie z planem, dzwonił Neal. Przez najbliższą godzinę miał dzwonić co dziesięć minut.

–Nie szkodzi. Porozmawiajmy o pańskim ulaskawieniu. Czytał pan artykuły, w których twierdzono, że pan je kupił?

–Czy czytałem? Dan, moi prawnicy już działają, już nad tym siedzą. Poinformowałem federalnych, że jeśli uda im się zebrać wielką radę przysięgłych, chociaż bardzo wątpię, żeby sprawy zaszły aż tak daleko, chcą być pierwszym świadkiem. Nie mam absolutnie nic do ukrycia, a sugestie, że to ulaskawienie kupiłem, to czyste oszczerstwo dające podstawę dochodzenia na drodze sądowej.

**–Zamierza pan ich zaskarżyć?**

**–Jak najbardziej. Moi prawnicy przygotowują pozew przeciwko „New York Timesowi” i temu gryziopiórkowi Heathowi Frickowi. Będzie paskudnie. Będzie paskudny proces i zapłacą mi kupę pieniędzy.**

–Na pewno pan chce, żebym puścił to do druku?

–Ależ oczywiście! I skoro już o tym mówimy, chciałbym pochwalić pańską gazetę za dotychczasową wstrzemięźliwość. To dość niezwykle i godne podziwu.

Opowieść o wizycie w apartamencie prezydenckim hotelu Hay-Adams byłaby wystarczająco dobrym tematem na artykuł. Teraz jednak z trzeciej czy czwartej strony jutrzejszego wydania artykuł trafił na pierwszą!

–A więc zaprzecza pan, że ułaskawiono pana za pieniądze?

–Kategorycznie, stanowczo i oficjalnie. Zaskarżę każdego, kto będzie tak twierdził.

–W takim razie dlaczego pana ułaskawiono?

Backman poprawił się w fotelu, jakby miał zamiar wygłosić dłuższą przemowę, gdy nagle zadzwonił dzwonek u drzwi.

–Aaa, śniadanie! – Zerwał się na równe nogi, otworzył drzwi i do pokoju wszedł kelner w białej marynarce, pchając przed sobą wózek z kawiozem, jajecznicą z truflami i z butelką kruga w lodzie. Backman podpisał rachunek, a kelner otworzył szampana.

–Jeden kieliszek czy dwa? – spytał.

–Napije się pan, Dan?

Sandberg odruchowo zerknął na zegarek. Trochę za wcześnie na alkohol, ale z drugiej strony, czemu nie? Ostatecznie, jak często zdarzało mu się bywać w apartamencie prezydenckim z widokiem na Biały Dom i pić bąbelki po trzysta dolarów za butelkę?

–Chętnie, ale tylko troszeczkę.

Kelner napełnił kieliszki, wstawił butelkę do kubelka i wyszedł. W tej samej chwili znowu zadzwonił telefon. Tym razem dzwonił Randall z Bostonu i Backman kazał mu czekać. Oddzwoni za godzinę, bo teraz ma spotkanie.

Trzasnął słuchawką i powiedział:

–Niech pan coś zje. Jest tego tyle, że wystarczy dla dwóch.

–Nie, nie, dziękuję. Przed wyjściem zjadłem bajgielka. – Sandberg wziął kieliszek i

wypił łyk kruga.

Backman nabrał na wafelek kawioru za pięćset dolarów i niczym opychający się chipsami nastolatek, włożył go sobie do ust. Żuł, chodząc z kieliszkiem po pokoju.

–Dlaczego mnie ułaskawiono? – powtórzył. – Poprosiłem prezydenta

Morgana, żeby ponownie rozpatrzył moją sprawę. Szczerze mówiąc, nie

myślałem, że go zainteresuje, ale to bardzo inteligentny i wnikliwy człowiek.

–Morgan? Prezydent Arthur Morgan?

–Tak, nie doceniano go, bardzo niesłusznie zresztą. Nie zasłużył na złą opinię. Jeszcze będzie go nam brakowało. Tak czy inaczej, im dłużej analizowałem moją sprawę, tym bardziej go martwiła. Rząd postawił zasłonę dymną, ale on ma dobry wzrok i dostrzegł wszystkie kłamstwa. Jako doświadczony adwokat doskonale rozumiał, że jeśli władze federalne chcą uziemić niewinnego człowieka, mają do tego praktycznie nieograniczone możliwości.

–Więc twierdzi pan, że jest pan niewinny?

–Absolutnie. Nie zrobiłem nic złego.

–Ale przyznał się pan do winy.

–Nie miałem wyboru. Po pierwsze, Jacy'ego Hubbarda i mnie oskarżono na podstawie spreparowanych dowodów. Nie ugięliśmy się. „Proszę bardzo, niech będzie proces”, tak im powiedzieliśmy. Przestraszyli się i zrobili to, co zawsze: wzięli się za naszych przyjaciół i rodzinę. Ci idioci, ci gestapowcy oskarżyli mojego syna, chłopaka tuż po studiach, który nie miał o niczym pojęcia! Dlaczego o tym nie napisaliście?

–Ja napisałem.

–Tak czy inaczej, mogłem się tylko przyznać, nie miałem wyjścia. To była sprawa honoru. Przyznałem się, żeby wycofali zarzuty przeciwko mojemu synowi i moim wspólnikom. Prezydent Morgan się tego domyślił. Dlatego mnie ułaskawił. W pełni na to zasługiwałem.

Kolejny wafelek, kolejna porcja złota w ustach, kolejny łyk szampana. Backman, już bez marynarki, chodził teraz tam i z powrotem jak człowiek, którego przygniata wielki ciężar.

–Ale dość już o przeszłości. Porozmawiajmy o przyszłości. Niech pan spojrzy w okno. Biały Dom. Był pan tam kiedyś na uroczystej kolacji? Czarny krawat, żołnierze piechoty morskiej w galowych mundurach, zmysłowe kobiety w pięknych sukniach... Był pan?

–Nie.



**Backman stanął przy oknie.**

**–Ja byłem dwa razy – powiedział z nutką smutku w głosie. – I postaram się tam wrócić. Dajcie mi dwa, trzy lata i pewnego dnia przyniosą mi**

**zaproszenie. Gruby papier, złoty nagłówek. Prezydent i pierwsza dama**

**mają zaszczyt zaprosić pana na...**

**Odwrócił się i spojrzał dumnie na Sandberga.**

–To jest właśnie władza, Dan. Po to żyję.

Dobre, dobre, ale Sandberg nie po to tu przyszedł. Ściągnął go na ziemię ostrym pytaniem:

–Kto zabił Jacy'ego Hubbarda?

Backmanowi opadły ramiona. Podeszedł do stolika, żeby dolać sobie szampana.

–To było samobójstwo, Dan, po prostu i zwyczajnie. Ponizono go, ponizono niewyobrażalnie. Federalni go zniszczyli. Nie wytrzymał.

–Jest pan chyba jedyną osobą w tym mieście, która w to wierzy.

–I jedyną, która zna prawdę. Niech pan to napisze.

–Nie omieszka.

–Porozmawiajmy o czymś innym.

–Szczерze mówiąc, pańska przeszłość jest znacznie ciekawsza niż przyszłość. Mam bardzo dobrych informatorów, którzy twierdzą, że to CIA chciała, żeby pana ułaskawiono, że Morgan ugiął się pod presją Maynarda i że ukryto pana, żeby sprawdzić, kto pierwszy pana dopadnie.

–Musi pan zmienić informatorów.

–A więc zaprzecza pan, że...

–Przecież tu jestem! – Backman szeroko rozłożył ręce, jakby chciał pokazać mu całego siebie. – Żyję! Gdyby CIA chciała mnie zabić, byłbym już trupem. – Wypił łyk szampana. – Niech pan rozejrzy się za lepszymi informatorami. Zje pan trochę jajecznicę? Wystygnie.

–Nie, dziękuję.

Backman nałożył jajecznicę na talerzyk i zaczął jeść, chodząc od okna do okna; ciągnęło go zwłaszcza do tego z widokiem na Biały Dom.

–Bardzo smaczna, z truflami.

–Nie, naprawdę dziękuję. Często jada pan takie śniadania?

**–Niezbyt.**

**–Znał pan Boba Critza?**

**–Oczywiście, wszyscy go znali. Kręcił się tu tak długo jak ja.**

**–Gdzie pan był, gdy Critz zginął?**

**–W San Francisco, z przyjaciółką. Dowiedziałem się o tym z telewizji. Smutne. Ale co on ma wspólnego ze mną?**

**–Nic, byłem po prostu ciekaw.**

**–Czy to znaczy, że zabrakło panu pytań?**

**Sandberg zaczął przerzucać kartki notatnika, gdy nagle znowu odezwał się telefon. Tym razem dzwonił Ollie i Backman obiecał, że oddzwoni.**

–Na dole czeka fotograf. Mój wydawca chciałby zamieścić kilka zdjęć.

–Oczywiście, proszę bardzo.

Joel włożył marynarkę, spojrzął do lustra, poprawił krawat, przygładził włosy, wyszczerzył zęby, po czym zjadł kolejną porcję kawioru. Wszedł fotograf. Podczas gdy rozstawiał sprzęt, Sandberg zadał Backmanowi jeszcze kilka pytań.

Według fotografa – ale też i według Sandberga – najlepiej wyszło zdjęcie Backmana na ciemnoczerwonej skórzanej sofie pod portretem na ścianie. Pozował również do kilku przy oknie, tak żeby widać było Biały Dom.

Telefon dzwonił i dzwonił, więc w końcu przestał zwracać na to uwagę. W tej sytuacji – gdyby ojciec nie odbierał – Neal miał telefonować co pięć minut, i co dziesięć – gdyby odbierał. Po dwudziestominutowej sesji zdjęciowej dzwonek telefonu zaczął doprowadzać ich do szału.

Gracz był bardzo zajęтым człowiekiem.

Fotograf skończył, zebrał sprzęt i wyszedł. Sandberg został jeszcze kilka minut, wreszcie ruszył do drzwi.

–Wie pan – powiedział na odchodnym – nie ma wątpliwości, że jutrzejszy artykuł będzie prawdziwą sensacją. Ale nie wierzę w połowę tego, co tu usłyszałem.

–W którą połowę?

–Zrobił pan coś złego i coś panu groziło. Hubbardowi też. Hubbard się nie zabił, a pan zwiął ze strachu do więzienia. To Maynard załatwił panu ulaskawienie. Morgan nie miał o niczym pojęcia.

–Świetnie. Ta połowa jest nieistotna.

–A co jest istotne?

–To, że Wielki Gracz wrócił. Niech pan to da na pierwszą stronę.

Maureen była w lepszym nastroju. Za wolny dzień nigdy w życiu nie dostała tysiąca dolarów. Zaprowadziła go do prywatnego gabinetu na zapleczu, z dala od rozchichotanych pań w gabinecie od ulicy. Razem przejrzelili kolory i odcienie i wreszcie wybrali taki, który łatwo było utrzymać. „Utrzymać” za tysiąc dolarów co półtora miesiąca, przynajmniej taką miała nadzieję.

**Joelowi było wszystko jedno. Wiedział, że już nigdy jej nie zobaczy.**

**Maureen ufarbowała mu włosy na siwo i żeby odmłodzić go o kilka lat, dodała trochę brązowego. Ale stawką w tej grze nie była próżność.**

**Młodość też nie miała znaczenia. Joel chciał się po prostu ukryć.**

## Rozdział 36

statni goście wycisnęli mu z oczu łzy. Neal, syn, którego prawie nie znał, i Lisa, synowa, którą widział pierwszy raz w życiu, dali mu potrzymać Carrie, jego dwuletnią wnuczką, o której jak dotąd mógł jedynie śnić. Carrie też się rozplakała, ale gdy dziadek zaczął chodzić z nią po pokoju, gdy pokazał jej Biały Dom, uspokoila się i otarła łezki. Nosił ją od okna do okna, nosił ją po wszystkich pokojach, kołysał, podrzucał i cały czas z nią rozmawiał, jakby wychował z tuzin wnuków. Neal zrobił mu kilka zdjęć, ale były to zdjęcia zupełnie innego człowieka. Elegancki garnitur poszedł w ką; Joel był w luźnych spodniach i kraciastej koszuli. Poszły w ką głośne przechwałki i arogancja. Ojciec był zwykłym dziadkiem z małą piękną wnuczką.

Zamówili późny lunch, zupę i sałatkę i zjedli go razem, jak rodzina. Dla Joela był to pierwszy taki posiłek od wielu, wielu lat. Jadł jedną ręką, bo drugą podtrzymywał podskakującą mu na kolanie Carrie, która za nic nie chciała przestać.

Ostrzegł ich o artykule w „Washington Post” i wyjaśnił powody, dla których udzielił wywiadu. Chciał, żeby go zauważono, zwłaszcza tu, w Waszyngtonie, chciał jak najbardziej rzucić się w oczy. Dzięki temu miał nadzieję zyskać na czasie i zdezorientować tych, którzy wciąż mogli na niego polować. Wiedział, że artykuł Sandberga narobi hałasu i będzie tematem plotek długo po jego wyjeździe.

Na pytanie Lisy, czy grozi mu poważne niebezpieczeństwo, odpowiedział, że nie wie. Ale zamierzał zniknąć na jakiś czas i trochę popodróżować, nieustannie oglądając się za siebie. Przez ostatnie dwa miesiące dużo się nauczył.

–Wrócę za kilka tygodni – powiedział. – Od czasu do czasu będę do was wpadał. Mam nadzieję, że za parę lat wszystko się uspokoi.

–A teraz? – spytał Neal. – Dokąd jedziesz?

–Pociągiem do Filadelfii, a stamtąd samolotem do Oakland. Chcę odwiedzić matkę. Byłoby miło, gdybyś wysłał jej czasem jakąś kartkę. Nie będę się spieszył i pewnie wyląduję gdzieś w Europie.

–Na którym paszporcie?

–Na pewno nie na żadnym z tych, które mi dali.

–Jak to?

–CIA nie będzie śledziła moich ruchów, nie zamierzam na to pozwolić. Skorzystam z

**nich tylko w razie niebezpieczeństwa.**

–No to jak chcesz podróżować?

–Mam inny paszport; ktoś mi pożyczył.

Neal podejrzliwie zmrużył oczy, jakby domyślał się, kim ten „ktoś” jest. Lisie to umknęło, bo mała Carrie akurat zrobiła siusiu. Joel szybko podał ją matce.

Gdy Lisa wyszła do łazienki, żeby zmienić córce pieluchę, Joel zniżył głos i powiedział:

–Trzy sprawy. Po pierwsze, wynajmij specjalistów, żeby wyczyścili ci dom, biuro i samochód. Zdziwisz się, ile znajdą tam pluskiew. Zapłacisz coś około dziesięciu tysięcy, ale musisz to zrobić. Po drugie, znajdź gdzieś w pobliżu dobry dom starców. Moja matka, a twoja babka siedzi w tym Oakland jak na wygnaniu i nikt się nią tam nie zajmuje. Będzie to kosztowało od trzech do czterech tysięcy miesięcznie.

–Rozumiem, że masz pieniądze.

–Po trzecie, tak, mam pieniądze. W Maryland Trust. Jesteś współwłaścicielem konta. Podejmij dwadzieścia pięć tysięcy, potrąć z tego tyle, ile wydałeś do tej pory, resztę miej pod ręką.

–To za dużo...

–No to trochę wydamy, dobra? Wyluzuj, synu. Zabierz małą do Disneylandu.

–Jak będziemy utrzymywali kontakt?

–Od tej chwili tylko e-mailami, panie Grinch. Poduczyłem się, niezły ze mnie haker.

–Tato, czy coś ci... grozi?

–Nie wiem, ale najgorsze już minęło.

Wróciła Lisa i Carrie znowu wylądowała na kolanach dziadka. Joel przytulił ją i huśtał, dopóki mógł.

Union Station. Ojciec i syn weszli do środka, Lisa z córką zostały w samochodzie. W hali było gwarno i tłoczno. Joel natychmiast wzmógł czujność i mocniej chwycił małą torbę, w której miał cały dobytek; trudno jest przezwyciężyć stare nawyki i czuł, że nieprędko tego dokona.

Kupił bilet do Filadelfii i powoli poszli na peron.



**–Dokąd jedziesz? – spytał Neal. – Chcę wiedzieć. Joel przystanął i spojrzał mu w oczy.**

**–Wracam do Bolonii.**

**–Do tego kogoś od paszportu, tak?**

–Tak.

–To kobieta?

–O tak.

–Hm, dlaczego mnie to nie dziwi?

–Nic na to nie poradzę, synu. Zawsze miałem słabość do kobiet.

–Włoszka?

–W każdym calu. Bardzo wyjątkowa Włoszka.

–Wszystkie były wyjątkowe.

–Ale ta uratowała mi życie.

–Wie, że przyjeżdżasz?

–Chyba tak.

–Uważaj na siebie, tato.

–Zobaczymy się mniej więcej za miesiąc. Objęli się i pożegnali.

## Od autora

*Jestem specjalistą od prawa, na pewno nie od satelitów czy szpiegostwa. Elektroniczne gadzety najnowszej generacji przerażają mnie dzisiaj bardziej niż rok temu. (Piszę książki, posługując się trzynastoletnim edytorem tekstu. Ilekroć się zawiesza, a zawiesza się coraz częściej, wstrzymuję oddech. Gdy w końcu wysiądzie na dobre, wysiądę na dobre i ja).*

*To wszystko fikcja, moi drodzy. Wiem bardzo mało o szpiegach, o elektronicznych inwigilacjach, o telefonach, tych satelitarnych i tych inteligentnych, o pluskwach, podsłuchach, mikrofonach i ludziach, którzy ich używają. Jeśli z czymś w tej powieści trafiłem, to chyba przez przypadek.*

*Jednak Bolonia w tej książce jest bardzo prawdziwa. Miałem ten wielki luksus, że mogłem rozwiesić mapę świata i rzucić w nią strzałką w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłbym ukryć Joela Backmana. Nadawałoby się do tego każde państwo. Ale*

***uwielbiam Wiochy i wszystko, co włoskie, i muszę wyznać, że rzucałem strzałką bez przepaski na oczach.***

***Szukając materiałów do powieści, czyli prowadząc badania (to zbyt poważne słowo), trafiłem do Bolonii, cudownego, starego miasta, które natychmiast pokochałem. Oprowadzał mnie mój przyjaciel, Luca Patuelli. Zna wszystkich tamtejszych restauratorów – a to nie lada wyczyn – tak że w trakcie naszej żmudnej pracy przytyłem cztery i pół kilo.***

***Dziękuję Luce, jego przyjaciołom oraz ich ciepłemu, magicznemu miastu. Dziękuję również Gene 'owi McDade'owi, Mikę 'owi Moody 'emu i Bertowi Colleyowi.***

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-19

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*